



MARTA OBUCH



FRANCUSKI
PIESEK



FILIA

MARTA OBUCH

FRANCUSKI
PIESEK

FILIA

Copyright © by Marta Obuch, 2016
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2016

Projekt okładki: Olga Reszelska
Zdjęcie na okładce: © Dmitry Fisher/iStock (postać)
© Antagain/iStock (żaba)
© Phil Ashley/Getty Images (buty)

Redakcja: Monika Orłowska
Korekta: Kinga Zalejarz
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-185-9

FILIA

Wydawnictwo FILIA
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[* * *](#)

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)

[Karta redakcyjna](#)

*Izie Salamon, której zawdzięczam wiele powiedzonek,
a Ryszarda... rzetelną zakrzepicę!*

Wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej, gdyby Zuza nie chlapnęła jęzorem. I to śmiertelnie, czego świadkami było co najmniej tuzin osób, które miały tego dnia zdawać egzamin na prawo jazdy, oraz bardzo miła pani ustalająca w WORD-zie terminy dla straceńców.

Otóż Zuza znowu oblała.

I to po raz dwunasty!

Owszem, w sumie zgadzała się z panującą polityką: gdyby każdy smarkacz napalony na BMW tatusia dostawał prawo jazdy od ręki, ulice, i tak już przepełnione, pękałyby w szwach. Ośrodki szkoleniowe też by cienko przędły, nie mówiąc o zarobkach instruktorów, wiadomo. Ktoś to przemyślał i odgórnie kręcił kurkiem. Normalna sprawa w kraju, który nie może się poszczycić systemem autostrad.

Problem w tym, że Zuza się uparła.

A jeśli Zuza się uparła, ciężko było ją od tego odwieść, w zasadzie było to zupełnie i absolutnie niemożliwe. W kwestii prawa jazdy nie liczyła jednak na żaden cud: za każdym razem rzetelnie się przygotowywała, za lekcje płaciła jak za zboże i wciąż szukała instruktora, dzięki któremu jej babski mózg nie myliłby prawej strony z lewą, i na odwrót. W końcu się udało – trafiła na pana Darka. Instruktor był jeszcze niższy niż jej chłopak, Piotrek

Marchewka, aż Zuza zastanawiała się, czy nie powinien mieć specjalnie podnoszonego fotela, w dodatku wytwarzał taką ilość cierpliwości, że w zasadzie nie miał prawa być człowiekiem. Już to wystarczyło, żeby pokochała go jak ojca.

Niestety, cierpliwość pana Darka nie została nagrodzona.

Po oblanym egzaminie czekał na nią załośnie wciśnięty w kąt sali, a w spojrzeniu jego łagodnych oczu malowało się poczucie winy i... przerażenie.

Bo też Zuza w ten piękny słoneczny dzionek miała wypisany na twarzy mord.

– Zabiję go, normalnie świniaka zabiję! – oznajmiła gromko, wygrażając pięścią w stronę mężczyzny, który właśnie przemierzał plac, i pan Darek odetchnął z ulgą, że tym razem nie chodziło o niego.

– Kogo, na Boga?! – Pani w okienku wychyliła się i z zaciekawieniem popatrzyła we wskazanym kierunku, a wraz z nią do szyby przylgnął tłumek oczekujących.

Do tej pory w większości ćwiczyli masaż powierzchni gładkich swoich telefonów, teraz się ożywili i atmosfera wreszcie uległa rozluźnieniu.

– Jak to: kogo? Tego podleca. – Zuza spojrzała na koleśia w sportowej kurtce takim wzrokiem, że teoretycznie z jegomością powinna zostać mokra plama na asfalcie.

Ale nie została.

– Pana Krzemińskiego?

– Jakiego Krzemińskiego? – nie skojarzyła. – Dwunasty raz! Ileż można...

– To jest pan Krzemiński, egzaminator. Na pewno się przedstawiał – stwierdziła blond rejestratorka i stłumiła chichot, bo pojęła, że sytuacja w jej miejscu pracy jakby

wymyka się spod kontroli.

Kandydaci na przyszłych kierowców jak jeden mąż (i trzy kobiety) wbili solidarne spojrzenia w szpakowatego mężczyznę, a ten, nieświadom wyładowań za swoimi plecami, przystanął pod sąsiednim budynkiem i niedbale odpalił papierosa. Pyk, pyk, zaciągnął się z rozkoszą, nie wiedząc, że właśnie umiera na kilka sposobów jednocześnie, bo życzenie śmierci stało się udziałem całej sali – nikt nie czuł się przecież zagrożony. Można było spokojnie patrzeć bykiem i zaciskać pięści. Jednak bez obaw, wystarczyłoby, żeby Krzemiński odwrócił głowę, a wszyscy poodpadaliby od szyby jak martwe komary.

Tymczasem podniosły się głosy rozochoconych recydywistów, bo nie tylko Zuza musiała zdawać kolejny raz, że pan Krzemiński to faktycznie wybitny gnojek i znana ze swej złośliwości gadzina. Blondynka za szybą zrobiła minę, jakby coś o tym wiedziała, ale wygrał obowiązek.

– Drodzy państwo... Pani nie zdała dwanaście razy, ale przecież nie przez pana Krzemińskiego – usiłowała łagodzić. – Egzaminatorzy ciągle się zmieniają. Trzeba być wytrwałym...

– Wytrwałym?! Ale ten świniak odesłał mnie przy drugim zgaśnięciu waszego rzęcha! Graty nie samochody. – Zuza ponownie zaczęła się żołądkować. – Ledwie dotknąć, a silnik już zdycha. To jest śmieszne... Ktoś w tym kurniku w ogóle zdaje?! – Nabrała powietrza. – Zabiję gnojka, normalnie zaraz mnie ciężki szlag trafi!

– Już, już... – Kurnik najwyraźniej wstrząsnął panem Darkiem, bo choć instruktor nie czuł się kogutem, to jednak wystartował do Zuzy i wziął ją pod swe opiekuńcze

skrzydła. Delikatnie, ale stanowczo, skierował podopieczną w stronę drzwi. – Jutro zapiszemy panią na kolejny termin, teraz trzeba się uspokoić. Proszę już nic nie mówić... – szepnął ostrzegawczo i na pożegnanie wyprostował usta w przepisowym uśmiechu.

Zuza musiała mieć jednak ostatnie słowo.

Odwróciła się w progu i, wciąż zaciskając pięść, wykrzyknęła:

– Zabiję!

Później swej zapalczywości bardzo żałowała, ale kiedy już pewne ciała stały się zimne i sztywne, było za późno. Nikt nie musiał zakładać fundacji „Pamiętamy”.

Scenę oglądało czternastu świadków.



Godzina była raczej niewyględna.

Fakt.

Ryszarda Kociołek wątpiła, aby pojawienie się u Misi ze spontaniczną wizytą o dziesiątej rano było szczytem kultury, postanowiła więc odczekać kwadransik i korzystając z cudownej pogody, pójść na spacer. Wcześniej zaparkowała na Akacyjowej i wydobyła z bagażnika gigantycznych rozmiarów walizę, ponieważ nie mogła się pogodzić z myślą, że zostawia swoje najlepsze kreacje na pastwę złodziejasków – ci nie odpuszczali nawet o tak daremnej porze i nawet na obrzeżach Parku Śląskiego, tego była pewna, bo kilku złodziei jednak w życiu poznała. Dzięki Hardemu, który, jak by nie patrzeć, trząsał całym śląskim półświatkiem.

A Misia BYŁA BYŁĄ żoną jej BYŁEGO faceta.

Kobietą świętą, która z powodzeniem mogła rywalizować

z miłosiernym Samarytaninem albo Martą ochlapującą nogi Chrystusa. No, może z tym chlapaniem nóg to przesada, bo kiedy Misia dowiedziała się o romansie Hardego z Ryszardą, wystawiła nogi małżonka wraz z kadłubem za drzwi, ale wszystko odbyło się kulturalnie, bez żadnych niesmacznych scen. Co więcej – Misia nie miała do Ryszardy pretensji. Przynajmniej wyrażonych wprost. Uznała widać, że Hardy (jako zgnilizna moralna i rasowy przestępca) prędzej czy później i tak wywinąłby jej numer, więc lepiej, że z kimś, kogo znała, a nawet lubiła. Nie kryła przy tym obaw, że Ryszardę czeka podobny los, ale kto by myślał o losie, kiedy wszystko szło tak pysznie.

Na szczęście w życiu uczuciowym Misi pojawił się Igła, prawa ręka Hardego, co w dużym stopniu załagodziło sytuację. Przynajmniej dopóki Igła z pracownika nie przeistoczył się w amanta, a następnie w pracującego pod przykrywką glineę, który doprowadził do aresztowania swojego szefa.

Oj, działa się, działa...

Tyle że *the end* nie zmienił się w przypadku Ryszardy w *happy end*.

Na początku wierzyła, że aresztowanie Hardego to tylko taka gra. Że ukochany przygotował plan awaryjny, jak zawsze. Tymczasem mijały tygodnie, miesiące, potem minął rok, z roku zrobiły się dwa lata, a pieniądze topniały w zastraszającym tempie. „Na górze róże, na dole fiołki...” nie brzmiało już tak przekonująco. Co gorsza, urząd skarbowy położył łapę na wszystkich nieruchomościach i do kompletu uczepił się Ryszardy ZUS. Że wzywa ją do zapłacenia zaległych składek za pracowników. Jedyne trzysta piętnaście tysięcy czterysta dwadzieścia trzy złote

i sześć groszy.

Pryszcz!

Tylko... Skąd ona niby ma wytrzasnąć taką kasę?!

I dlaczego Hardy tego nie uregulował?...

W firmie to ona zajmowała się papierami i choć księgowość zlecali na zewnątrz, później wszystko szczegółowo analizowała, oczywiście przymykając oko na pewne kwoty, lekutko naginane do rzeczywistości, ale gdzie się tego nie robi... Jednak płatnościami zajmował się narzeczony. Zwłaszcza płatnościami dotyczącymi pewnej spółki zapisanej na jej ojca. Hardy otrzymywał co miesiąc od swojej asystentki wykaz przelewów, ale pieczę nad licznymi kontami sprawował sam.

Taką miał zasadę, a ona ją szanowała.

Do czasu.

Bardzo szybko przekonała się jednak, że narzeczony na wolności a narzeczony w pudle to dwa różne rodzaje ukochanego. Ten drugi był mrukliwym i opryskliwym frustratem, choćby z tego powodu, że jego życie intymne toczyło się... w kratkę. Dodajmy, że odstępy między kratami były naprawdę duże. Tak duże, że zaczynało to doskwierać i jej, przecież nadal była młodą i atrakcyjną kobietą. A właśnie – to potwornie niesprawiedliwe, ale musiała ograniczyć wydatki na stroje, choć moda była nie tylko jej pasją (och, bez udawanej skromności, niektórzy uważali ją za czołową blogerkę polskiej modosfery), ale wręcz życiową filozofią.

Teraz dla przykładu – ciągnąc przez park walizę z całym swoim dobytkiem (została wyrzucona na bruk przez komornika!), mogłaby iść noga za nogą, upokorzona i zdruzgotana. Ale o wiele bardziej malowniczo

prezentowała się w zwiewnej karminowej sukni, która idealnie podkreślała jej rude loki. Do tego buty ze sznurkami wokół łydek i jest sznycik i wdzięk. Bo jeśli już żegnać się ze światem, to tylko w kreacji Zienia!

Poza tym, bądźmy szczerzy, śmierć też powinna mieć swoją oprawę.

À propos śmierci i innych takich tam: gdzie niby miałyby pójść w obecnym stanie ducha, jak nie do kogoś, kto wspierał ją podczas całego pobytu Hardego w areszcie? Misia z pewnością znajdzie dla niej wolne łóżko, choćby z pościelą z kory. Przecież niedawno wprowadziła się do nowego domu, a co jak co, ale w takim domu musi być jakaś kotłownia czy malusia piwniczusia z widokiem na ogród. Ryszardzie wiele nie potrzeba. Jeśli chodzi o telewizor, wystarczyłoby jej nawet osiemnaście cali, byle tylko wśród kanałów znalazło się Fashion TV.

Zaraz, przecież w ramach podziękowania mogłaby pomóc się Misi urządzić! Ostatnio Misia była w fatalnym nastroju, pewnie teraz nie ma głowy do aranżacji wnętrz. Igła wystawił ją do wiatru i ani myślał o przewodzie, bałwan. Dwa lata mydlenia oczu, tui-tui, a potem gadki o sikaniu do wspólnego kibelka, który z urządzenia sanitarnego urósł nagle do rangi symbolu. Że niby codzienność zabija wzniosłe uczucia. Dobre sobie!

Ryszarda westchnęła przejmująco i w zamyśleniu przeciągnęła walizkę przez trawnik, na obrośniętą krzakami ścieżkę. Tu przystanąła na moment, a kiedy obcas pantofli na dobre ugrzęzły w runie, poczuła, że otwiera się przed nią jakaś upojna głębia, że odkrywa uniwersalną zasadę, co przeczyło opinii, że uroda i mądrość nie idą w parze. Jak nie idą, jak idą?... Zdarza się, że

z miłości do grobowej deski zostaje tylko... deska klozetowa.

Proszę, jest myśl filozoficzna?

Jest.

I to jaka!

Ten galop egzystencjalnych myśli dobrze Ryszardzie zrobił. Wreszcie z siebie zadowolona, odetchnęła kilka razy, aż gumka rajstop uciskowych (walczyła z zakrzepicą) poważnie się naprężyła i konsultantka do spraw stylizacji poczuła w środku rozkosznie pikającą misję.

Tak, Misia zdecydowanie potrzebowała towarzystwa kogoś rozsądnego. A już na pewno nie zaszkodziłaby jej maleńka przebudowa wizerunku, od jakiegoś czasu ubierała się po prostu koszmarnie (koszule flanelowe i gumiaki!). Ryszarda nie zdążyła się nacieszyć myślą, jaki to nada życiu Misi sens, jak to życie odmieni barwami, fakturami i odpowiednią dietą, bo na pierwszy plan wysunęła się sprawa o wiele bardziej przyziemna.

Przekrzywione rajstopy.

Od dłuższego czasu czuła, że założone pośpiesznie o poranku podążają w odwrotną stronę niż jej odnóża, a rajstopy uciskowe to nie jedwab i muślin, ale żelazna zbroja, która ma na celu poprawę krążenia. Jeśli taki sprzęt nosiłaby opisywana przez Sienkiewicza Jagienka, pośladkami rozłupywałaby nie tylko orzechy, ale i kamienie, z których śmiało można by wytwarzać kruszywo ozdobne. Jest tylko jeden problem: kiedy się to ustrojstwo źle założy, nie ma mowy o dyskretnym poprawieniu pończoszki.

Trzeba sprzęt zdjąć i naciągnąć na cztery litery od nowa.

Ryszarda wydobyla zatem nogi z gruntu, pobieżnie otarła

listkiem obcasy i zyskawszy pewność, że nikt za nią nie idzie, skoczyła w gąszcz. A raczej usiłowała skoczyć, bo walizka ważyła tonę i łatwo się nie poddała. Niestety, od głównej alei rozbrzmiały czyjeś kroki, a że skrywanie się w gęstwinie miało jeszcze chwilę potrwać, a nawet wejść w fazę zasadniczą, Ryszarda z całych sił szarpnęła walizę i tłumacząc sobie w duchu z przekąsem, że Czerwony Kapturek też nie miał lekko – zanurkowała w zieleń.

Tak oto, brnąc wśród listowia i ściągając z włosów pajęczyny, dotarła do niedużej polany, która za chwilę miała stać się sceną ważnych wydarzeń.

Ale na razie wiedziała o tym jedynie opatrność.

Póki co eksploratorka zieleni miejskiej rozejrzała się wokół i ustaliwszy, że miejsce cieszy się popularnością (na trawie dostrzegła dowód w postaci wyleżanego placka), postanowiła, że tutaj właśnie raz dwa upora się z problemem. A potem wróci na Akacjową, gdzie stanie w drzwiach i olśni Misię swoim wyglądem, którego nie zepsują falujące na jej nogach firany.

Z tym że „raz dwa” w praktyce oznaczało cały rytuał.

Kto ma żylaki, ten wie. Najpierw należało się położyć i zdjąć upiorne cud-rajstopki, a potem z wyciągniętymi w górę kończynami poczekać, aż odpłynie z nich krew. Dopiero wtedy można przystąpić do ponownego zakładania garderoby, co wcale nie jest proste, bo czynność utrudnia obrzydliwie zwarty materiał, z którym Ryszarda walczyła każdego dnia, oczywiście przeklinając przy tym na czym świat stoi. Dlatego do zakładania rajstop producent zaleca dokupić – tak, takie rzeczy się dzieją – metalowy stelaż... Stelażyk wyglądem przypomina „samolot” ginekologiczny i naprawdę bardziej kojarzy się z krowim porodem niż

z seksownym nakładaniem bielizny, ale nie ma wyjścia. Na tym nie koniec. Żeby rajstopy przylegały do skóry, po wszystkim należy jeszcze wygładzić zagniecenia...

W jaki sposób?

Ryszarda już wyciągała z walizki ręcznik (nie położy się przecież na trawie – zbezpieścić Zienia chlorofilem?!), a następnie sięgnęła po... gumowe rękawiczki.

Najładniejsze, jakie znalazła w aptece.

Różowe.

Mocno pudrowane.



Komuś się tam w górze coś pomieszało.

Pory roku, na przykład.

Tegoroczne lato to nie było lato, to była rosyjska ruletka.

Jednego dnia słońce grzało tak, że człowiek marzył, żeby szczeznąć w najbliższym rowie, ale już następnego – z nieba sączył się niemrawy deszczyk, temperatura leciała na łeb na szyję i gdyby nie promocje bikini w sieciówkach, można by sądzić, że nadeszła jesień. Po kilku takich urokliwych dniach zza burych chmur wyskakiwało słoneczko, przemoczona natura wykrzykiwała z ulgą coś w rodzaju *Yeah!*, po czym cały scenariusz powtarzał się od początku, z zaskakującą dokładnością.

Oszaleć można.

Tym bardziej że Misia zaledwie przed dwoma miesiącami stała się posiadaczką własnego domu – a dokładnie parteru i piętra wraz z szopą, garażem, altanką oraz sporym ogrodem. Całość tuż przy Parku Śląskim. I to była dobra wiadomość. Zewsząd otaczało ją zielone, co po latach spędzonych w blokowisku stanowiło oszałamiającą

odmianę. Na przykład taka kawa wypijana o poranku na osobistym tarasie pełnym hortensji. Co prawda za stół robiły... sanki, ale kto by tam zwracał uwagę na szczegóły. Misie o wiele bardziej martwiło, że parter jak parter, ale remont należało zwyczajnie dokończyć. I to przed nadejściem zimy. Zimy poprzedzonej zwariowanym latem, a przecież powszechnie wiadomo, że prace remontowe plus wilgoć równa się grzybnia i reumatyzm.

Pocieszające, że dół po odświeżeniu ścian był właściwie gotowy, stało tam nawet kilka mebli plus nieczynny kominek i właśnie wczoraj nastąpiło doniosłe wydarzenie: Misia przywiozła na Akacjową swoje ostatnie rzeczy, a klucz do poprzedniego lokum przekazała nabywcy. Zostawiła mu w zasadzie wszystko, oprócz rzeczy osobistych i ubrań zabrała tylko laptopa, garnki, kilka talerzy i sztuce.

Chciała zacząć wszystko od nowa.

Nie przerażał jej fakt, że czas na wielkie początki wybrała, delikatnie mówiąc, średni. Ledwie pozbierała się po rozwodzie (banał: małżonek okazał się mafijnym bossem i zdradził ją z sekretarką, czyli z Ryszardą, którą znała i lubiła), sprawy znowu zaczęły się komplikować. Jej aktualny oblubieniec nie potrafił się określić, a po tym, jak wpompowała w kupno domu wszystkie oszczędności i pożyczkę od swojej przyjaciółki Zuzy, los znowu z niej zakpił. Właściciel lokalu, który dzierżawiły jako współniczki na studio urody Femina, tak podniósł czynsz, że musiałyby chyba pracować dwadzieścia godzin na dobę, żeby wyjść na swoje. Zwinęły więc interes i szukały nowego miejsca, co w połączeniu z pracami przy domu szło opornie.

Ale Misia się nie zrażała.

Kawa ze słoika po majonezie kieleckim smakowała wyjątkowo.

– Dziecino, musisz jak najszybciej kupić ekspres do kawy.

– Zuza w kwestii napoju była nieprzejeżdżalna, jak to ona. Pociągnęła łyżeczek i wydeła usta w kształcie pulchnego różowego serca, ale zaraz spojrzała z czułością na migocące w słońcu stokrotki i rozchmurzyła się. – Ale ogród... bajka. Zobacz. – Pokazała z zapalem na prawo, mając już w głowie wizję przyszłości, bo była zapaloną ogrodniczką. – Tu się pierdyknę lawendę – oznajmiła słodkim głosikiem, co w zestawieniu z jej bezceremonialnym sposobem mówienia wywoływało uśmiech.

– Lawendę? – usiłowała wtrącić Misia. – A może lepsza byłaby maciejka?

– Lawendę. Całe morze lawendy, będzie pachniała oszałamiająco. Na razie zostają nam oczywiście sadzonki, ale w przyszłym roku... Tyle dobrze, że chociaż ścieżki masz wysypane kamyczkami... A tam się walnie warzywka. – Zuza dla odmiany wycelowała teraz energicznie palcem w okolice domku dla gości. – Takie dynie chociażby. Masz pojęcie? Wiesz, jak smakują dynie z własnego ogrodu?

– A właśnie. Wiesz, jak smakują... marchewki? – zagadnęła Misia i z trudem stłumiła westchnienie.

Temat Piotrka Marchewki, czyli osobistego komisarza Zuzy, jak nazywała go sama zainteresowana, stał się ostatnio równie gorący jak temat remontu czy zmiany siedziby Feminy. Komisarz po dwóch latach umizgów domagał się bowiem... ślubu, co jego wybranka przyjęła z właściwą sobie wzgardą, jak każdą próbę ograniczenia jej wolności. Zresztą wzgardy nie żałowała mu od chwili, kiedy

się poznali, co nastąpiło dokładnie w dniu aresztowania Henryka vel Hardego – to właśnie Marchewka kierował śledztwem.

– Pietruszek czy tam marchewek i innej włoszczyzny mam jak na razie potąd. – Zuza przejechała palcem po czubku głowy i zaprezentowała język w odruchu wymiotnym.

Ale reakcja była chyba odrobinę przerysowana.

– Nie szkoda ci? Fajny ten Marchewka... Mikrusik, ale fajny. – Misia od dawna tłumaczyła, że polityka odciągania w czasie kiedyś się na Zuzie zemści.

– Mikrusik?! Kurdupel, a nie mikrusik. Facet sięga mi do biustu jak kijki do chodzenia...

– O, czyli jednak sięga, gdzie trzeba... Przesadzasz, jesteście tego samego wzrostu.

– ...nordic walking! – Zuza nie dała sobie wytłumaczyć. – Jak facet jest z kobietą równy wzrostem, to znaczy, że jest niższy... Boże, a swoją drogą, czy marchewki to jedyne warzywa w całej wsi?!

– No tak, są jeszcze dynie...

– I w ogóle jakie małżeństwo? Co to w ogóle jest?!

– To związek dwojga... – zaczęła cierpliwie tłumaczyć Misia.

Zuza wzdrygnęła się tak, jakby w kawie zobaczyła pływającą muchę.

– A mój to co? Mój związek nie jest dwojga?! – Nie przestawała się pieklić. – Po co zaraz jakieś obietnice na śmierć i życie? I po jaką cholerę mieszać do tego państwo... Żebym mogła oficjalnie odebrać zwłoki?!

Misia z wrażenia odstawiła kawę.

A raczej odłożyła słoik na sanki.

– Słucham? – zapytała ze wzburzeniem.

– To był przykład. – Zuza machnęła lekceważąco ręką. – Oficjalnie wszystko może odbierać tylko żona. Postronnym nie wydają. Ani rzeczy, ani dokumentów... A może ja wolę być postronna, co? Nie wolno mi?

– Ale skąd... zwłoki? – Misia popatrzyła bezradnie na przyjaciółkę.

– Marchewka jest policjantem, czy nie jest? – zachnęła się Zuza. – Jest. Resztę dośpiewaj sobie sama. Ryzyko zawodowe na przykład.

– No, nie... – Misia wzniosła oczy do nieba, które w końcu przestało przypominać brudny basen: na jego skraju pojawił się jaśniejący kawałek błękitu, co pozwalało mieć nadzieję, że dzień będzie jednak piękny. – Czyli, ot tak, naturalną kolejną rzeczą przeszedł od ślubu do pogrzebu? – zapytała, kręcąc z dezaprobatą głową.

Zuza nigdy sobie nie żałowała. Jeśli już coś robiła – koniecznie z rozmachem. A jeśli w efekcie po tych zamaszystościach nie zostawał w okolicy ślad życia? Co z tego? Przynajmniej miał postać prekambryjskich skamielin, zawsze to jakaś wartość dodana.

Teraz Zuza również nie widziała w swoim słowotoku niczego niestosownego.

– Zawsze trzeba myśleć trzy kroki do przodu – wyjaśniła ze wzruszeniem ramion, aż zza ucha wyskoczył jej ciemny pukiel włosów. – Poza tym to kazirodztwo... Pół życia patrzenia, jak taki je, jak gapi się w komputer albo w telewizor... Czym się tu podniecać, skoro w kółko to samo?! Taki facet po dwudziestu latach wspólnego życia to jest bardziej jak brat, a nie jak mężczyzna! Kazirodztwo, zwykłe kazirodztwo...

– Ty się po prostu boisz. – Misia strzeliła w przyjaciółkę odkryciem i zajrzała jej w oczy, ale Zuza nie pozwoliła się zbić z tropu.

– Jakie boisz? – zaprotestowała. – Twardo stąkam po ziemi, ot co. Jestem realistką! Wiesz, ile wynosiła średnia życia, kiedy wymyślono małżeństwo? Czterdzieści lat! – wykrzyknęła z satysfakcją i rzuciła się na wafelki holenderskie, które spoczywały przed nimi na gazecie. – Nie wspomnę już o tym, że na dwa śluby przypada obecnie jeden rozwód. O, pardon... – Przycichła na chwilę, gryząc się w język.

– Nic, nic – rzuciła lekko w odpowiedzi Misia, ale Zuza przezornie postanowiła zmienić temat.

– À propos katastrof... Obląłam – wyznała, wracając myślami do dzisiejszego poranka.

– Niemożliwe. Znowu?!

Zuza już dwunasty raz podchodziła do egzaminu na prawo jazdy i zdaje się, że w tutejszym ośrodku ruchu drogowego zanosilo się na mały rekord Guinnessa. Prowadzić uwielbiała, ale jej skłonność do przesady była widoczna i w tej dziedzinie. Jeździła na pełnym gazie. I zwykle na czwórce albo na wstecznym, i dziwiła się, że oczekiwano od niej równowagi. Dopiero teraz stało się jasne, dlaczego przyjaciółka dotarła dziś na Akację wcześniej niż zwykle, egzamin miała przecież o ósmej!

– Czy możemy na to zdarzenie spuścić pierniczoną zasłonę milczenia? – spytała Zuza wojowniczo, po czym, jakżeby inaczej, przeszła do szczegółów i opisała Misi przebieg poranka. – I normalnie kiedy ten rzech zgasł, poczułam, że zaraz wyciągnę z torebki tasaczek i zarządzę wiosenne porządki – zakończyła uruchomiona na dobre. –

Myślałam, że Krzemińskiego zabiję. To ten dzisiejszy egzaminator... Przecież gad wie, że wszystkie auta na placu nadają się tylko do kasacji. Ale, nie, nie mógł mi darować! Jak można?! Przecież są granice chamstwa i muzyki góralskiej...

– To może... zrezygnujesz?! – zasugerowała nieśmiało Misia, uśmiechając się pod nosem, bo doskonale wiedziała, co usłyszy. – Albo chociaż zrób sobie przerwę. Jak ktoś napiera, często się nie udaje. Dopiero jak sobie człowiek odpuści...

– Odpuści? I co, mam ciągle kogoś prosić o podwózkę? Poza tym... Ja kocham prowadzić! – wyrzuciła z siebie naprawdę zrozpaczona Zuza, po czym, nie wiedzieć czemu, spojrzała takim wzrokiem na garaż sąsiada, Luka Lucateau, że Misia poczuła z tyłu głowy dziwne mrowienie.

A kiedy czuła dziwne mrowienie, coś było na rzeczy.

Przerabiała to już tyle razy, że nie miała wątpliwości.

Pytanie tylko: CO SIĘ, DO DIABŁA, ZNOWU KROIŁO?

Kombinowała właśnie, jak pociągnąć Zuzę za język, kiedy z willi naprzeciwko wyprysnął jej nowy sąsiad i Misia mimowolnie rozplynęła się w uśmiechu. Za płotem stał Francuz we własnej osobie. Wesolutki jak bocian na wiosnę. W ceglastym pulowerku i spodniach w granatowo-białą kratę. Pomachał do nich okularami słonecznymi i z udawaną emfazą, bo uwielbiał się przekomarzać, zakrzyknął:

– *Bonjour*, kobiety! Miło widzieć je o taki ranek.

– Ciebie również – odparła Misia i zachęcająco wskazała na sanki. – Może kawy?

– Nie mam czasu, *pardon*. – Luk podrapał się po zakrzywionym nosie, który upodabniał go do imiennika

z kreskówki, Lucky Luke'a. Naprawdę się zmartwił. – Dużo rzecz robienie mam dzisiaj. Ale wpadcie wieczór do restauracja. Zapraszam bardzo. Dwadzieścia godzina. Będzie *coq au vin*... Znacie się?

– Że co? – mruknęła pod nosem Misia, ale Zuza ruszyła z odsieczą.

– *Hello!* – Już odmachiwała na powitanie, mało sobie przy tym nie nadwyrężyła ręki, taką miała do Francuza słabość.

Zresztą, trudno się dziwić.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy zdążyli się we trójkę całkiem dobrze poznać, a nawet zawrzeć sąsiedzką przyjaźń, co nie było trudne, bo Luk był zabawnym i niekonfliktowym facetem, a do tego... Wybornie gotował! One pomogły mu się więc przedrzeć przez gąszcz polskich przepisów sanitarnych i otworzyć rodzinną restaurację, a on wspierał je w pracach budowlanych. I choć poza wspólnymi kolacyjkami niewiele z tego wynikło (Francuz nie umiał nawet porządnie wbić gwoźdźcia), nie mogły mu odmówić zapału. A zapał i osobnik płci męskiej – wiadomo. Rzadki zbieg okoliczności. Trzeba sobie cenić.

– On pyta, czy jadłyśmy kiedyś *coq au vin*, a nie czy piję kawę ze słoika z obcą babą – wyjaśniła na stronie Zuza i również wyszczerzyła w uśmiechu zęby. – *Coq au vin?! Wspaniale. Czyli o dwudziestej! Jesteśmy umówieni...*



Komisarz Piotrek Marchewka czuł się potężnie sfrustrowany.

Do tego stopnia, że od rana walczył z bólem głowy.

A wszystko dlatego, że pierwszy raz w życiu spotkał

kobietę, która nie chciała wić gniazda! Było to zjawisko tak wyjątkowe, że nawet węszył małe oszustwo – kobiece sztuczki, wiadomo – chociaż w duchu wyzywał się od paranoików i zawodowych zbrojeńców. Traktować własną dziewczynę jak podejrzaną? A jednak. Może Zuza tylko tak mówiła, a naprawdę pragnęła stabilizacji, bo która kobieta nie chce zatrzymać faceta na dłużej...

One przecież ZAWSZE chcą NA ZAWSZE.

Owszem, do niedawna temat rodziny przewijał się w tle i Zuza nie protestowała, kiedy roztaczał przed nią wizję wspólnej przyszłości: słodkich maleństw dowodzących pod stołem, przy którym ona i on będą się trzymać za ręce i napawać ciepłem domowego ogniska. Ale mniej więcej pół roku temu zaszła niepokojąca zmiana.

Kobieta jego marzeń zaczęła się krzywić.

O dzieciach nie mówiła inaczej niż... bachory (co za paskudne słowo!). A jeśli tylko w pobliżu rozbrzmiewało jakieś kwilenie lub krzyk czy też dolatywały ich dźwięki dziecięcej zabawy, jego wybranka zarządzała odwrót („Znowu drą ryje!”). Nawet ostatnio, kiedy planowali wyjazd w góry, Zuza kategorycznie domagała się, żeby wybrać „pensjonat dla dorosłych”. Żeby nie musiała znosić porannych wrzasków. Dla dorosłych?! Nawet nie wiedział, że takie ośrodki istnieją. Z przekąsem zapytał, czy są też pensjonaty dla dzieci, a wtedy usłyszał... Usłyszał, że owszem, są i nazywają się... DOMY DZIECKA. Po raz pierwszy odkąd byli parą, Marchewka nie wiedział, co powiedzieć. Zamurowało go. Żartować z takich spraw?! Zuza w odpowiedzi zarechotała po swojemu i rzuciła, żeby się tak nie ekscytował, bo to jedynie próbka czarnego humoru, nic więcej. Ale niesmak pozostał. Później

usiłowała tłumaczyć, że wścieka ją, kiedy widzi, że dzieci są coraz bardziej rozpuszczone, a rodzice ogłupiali, że nawet w knajpach nie ma spokoju...

Tylko co on ma sobie myśleć?

Przecież Zuza nie jest zimną suką.

Bywa trochę ekscentryczna, ale na pewno drzemią w niej olbrzymie pokłady wrażliwości.

– Panie komisarzu... – padło z ust szefowej i Marchewka musiał wrócić na ziemię.

Jego nowa przełożona, na oko kobieta po czterdziestce, w wielkim czarnym fotelu wyglądała jak sowa na gałęzi; zajmowała tylko brzeg mebla, taka była drobniutka.

Ale duże i bystre oczy świdrowały to jego, to stojącego obok Igłę.

I raczej nie było w nich zamiaru objęcia ochroną rzadkich gatunków.

– Tak, słucham, pani prokurator.

– Proponuję słuchać z większym zrozumieniem... Macie znaleźć na faceta kwity, nie muszę chyba szczegółowo tłumaczyć?... Chcę zobaczyć na tym biurku – tu dziabnęła chudziutkim palcem w blat – dokumentację. Rzetelną dokumentację, która pozwoli mi napisać akt oskarżenia i kolesia posadzić. Daję wam najwyżej półtora miesiąca. Jasne?

Marchewka zerknął badawczo na kumpla, bo za cholere nie miał pojęcia, o co w tym zoo chodzi. Na szczęście Igła udowodnił ich przynależność do *homo sapiens*.

Zamknął usta.

– Jakies pytania?

Zgodnie pokręcili głowami.

Taki chudziutki, kościsty paluszek to jednak kiepska

sprawa. Szybko może się znaleźć w czyimś zadku i zanim człowiek zdąży przeanalizować sytuację, już wylatuje z roboty, zwłaszcza teraz, po zmianie rządów.

– A zwróciłam się z tym do was, ponieważ... – Tu zrobiła efektowną pauzę i zahukała z satysfakcją: – Zdaje się, że macie wspólną znajomą na... Akacjowej?

Proszę, proszę, ktoś tu się przygotował.

Na korytarzu wymienili się spojrzeniami i wszystko stało się jasne.

Jasne, pełne i długo warzone.

Bez piany nie ma rozmowy, wiadomo, a jedno piwko to jak zero piwka, zresztą niedługo i tak zjedzą obiad, rozpuści się. Wylądowali zatem na Mariackiej, gdzie mieli swój ulubiony ogródek. Widok na ulicę niezakłócony, obsługa dyskretna, a odległości między stolikami na tyle duże, że nie musieli szeptać nad kuflem. O, i pogoda robiła się ładna.

Żyć nie umierać.

– Piotruś, a co ty byłeś taki zamyślony u tej Przepiórek? – Igła otarł usta i wyciągnął się z lubością na krześle.

Dobrze im się razem pracowało, choć początki były trudne. Marchewka poznał Iglę jako prawą rękę Hardego, o jego tajnej misji wiedziało zaledwie kilka osób, i to na samej górze, dlatego trudno się dziwić, że nie od razu zostali przyjaciółmi. Wtedy. Bo dzisiaj sprawy miały się zupełnie inaczej.

– Przepiórek? Czyli jednak ptactwo – parsknął Marchewka. – Od początku zajeżdżała mi sową.

– Słusznie, najmądrzejsza w całym lesie – zgodził się Igła.

– Ale chyba nie myślałeś o ptakach?

– O ptakach? Wręcz przeciwnie. O kobietach myślałem.

A konkretnie o jednej...

– Zuza – rzucił ze współczuciem Igła i zamilkł.

– Zuza... – Komisarz z westchnieniem zapatrzył się w rzeźbę męczyzny umocowaną na linie, którą rozciągnięto między budynkami. – W sumie to ja mam podobnie. – Wskazał głową. – Niby parę metrów nad ziemią, niby wszystko pięknie, ale że jeszcze na łeb nie upadłem, to się dziwię... Zuza nie chce ślubu – dokończył i pociągnął łyk piwa.

– Na cholerę ci ślub? – Igła zareagował żywiołowo.

– Konserwatywny jestem, można powiedzieć.

– Jak tam uważasz, ale z tymi ślubami to zawracanie dupy... Żyjecie razem?

– Razem, ale osobno. Co to za życie? Nawet razem nie mieszkamy... Broni się.

Igła cmoknął i przylgnął spojrzeniem do ud, które przedefilowały właśnie przed ich nosami. A były to uda nad wyraz kształtne i aksamitne.

– Taaa... To z nią zerwij.

– To z nią co?! – Komisarzowi momentalnie zagotowało się w środku.

Takie rady? Takie rady to niech sobie Igła...

– Zerwij z laską i tyle.

– Co ty w ogóle mówisz, człowieku? Jakie zerwij?! Ja ją kocham!

– O, to tym bardziej.

– Jakie bardziej?!

– Kota masz? – Igła puścił do niego oko.

– Stary, za chwilę mi się uleje, tak że... miarkuj się – ostrzegł.

– Kot... Takie zwierzę. Jakbyś miał, to byś wiedział, że

jak dachowca zamkniesz w domu, chce na zewnątrz.

– Co?!

– Ale spróbuj gadzinę wyrzucić na dwór i... zatrzaśnij drzwi – dokończył znacząco Igła, składając z zadowoleniem ręce. A ręce i nogi miał nad podziw długie, zresztą cały mierzył prawie dwa metry, konkretnie metr dziewięćdziesiąt sześć.

Marchewka na chwilę zeszywniał, a w jego umyśle zaczęła krążyć przedziwna myśl. Krążyła, krążyła, aż zrobiło mu się całkiem... kołowato.

– Sugerujesz, że...

– Że, że – przytaknął z szelmowską miną Igła. – Za miętki jesteś. Zuza to despotka. Nadaje się do zarządzania młynem albo do skubania gęsi. Okiełznać taką... Ja ci naświetlę sprawę psychologicznie, chcesz? – Zapalił się, bo był świeżo po szkoleniu z technik manipulacji. – Zasada mniejszego zainteresowania. Tak się paskudztwo nazywa. A w praktyce działa tak, że jak jesteś desperat i pchasz się na chama, to jak chama cię traktują. Wygrywa ten, komu mniej zależy, proste. Pożegnaj koleżankę i zamknij drzwi. Sama do ciebie przyjdzie, zobaczysz... Miauuu...

– Kretyn – skomentował Marchewka, ale poczuł nagle, że łupiący go pod czaszką od rana ból jakby odpuszcza. Tak, na ból głowy piwo najlepsze. – W podchody mam się z nią bawić?

– W podchody? Czemu w podchody? CiuciuBABKA lepsza... Tak swoją drogą, to mi się wydaje, że ty tej zabawy nie zaczynałeś. A jak ktoś nie dorósł i chce się bawić, trzeba się z nim zabawić tak, żeby dorósł. I zrozumiał. I dopiero wtedy można dojrzale. Ukróć to przedszkole, mówię ci, ukróć...

– A ty niby jesteś gdzie? W liceum? – Marchewka nie mógł sobie darować i nie nawiązać do sytuacji kumpla. Zuza już mu zdążyła zdać raport.

Igła się wykręcał.

– Że niby do czego... pijesz?

– A piję, piję... Na zdrowie! – Marchewka uniósł w toaście kufel i wreszcie się rozluźnił. – Skoro tak sobie szczerze rozmawiamy... Kiedy się wprowadzasz do Misi?

– Do Misi... Dobrze to ująłeś. A ja bym się wolał wprowadzić do NAS. Do siebie i do niej. Na Akacyjowej nawet psia buda nie jest moja, za wszystko płaciła Misia i nawet nie raczyła mnie zapytać o zdanie. Ja jestem goły jak święty turecki.

– Fuckt – podsumował Marchewka i teraz on współczuł przyjacielowi. – Głupio.

– Zakur... głupio. Ale niedługo stuknie mi piętnaście lat służby, myślałem, że wyskoczę z odprawy i że wiesz... To nie, musiała kupić teraz! Okazja pieprzona się trafiła.

– Czyli pozamiatane?

– Tłumaczyłem, że nie chcę jak pasożyt... Że wolę choćby dwa pokoje, ale żebyśmy kupili za wspólne. To mi powiedziała, że się wykręcam. Bo niby wcześniej coś tam plotłem o wolności. I co z tego? Podtrzymuję! Po co mi życie na automatycznym pilocie?

Marchewka pociągnął piwka z samego dna i stwierdził, że z dna najlepsze.

– Fuckt – zgodził się.

Tym oto sposobem część nieoficjalną mieli za sobą.



Niektórzy lubią się przed pracą przejść.

Albo pobiegać, jeśli mają czas.

A jeśli wziąć pod uwagę, że nie wszyscy na świecie pracują, wychodzi na to, że Park Śląski o poranku wcale nie musi być pusty. Jest też całkiem spora grupa osób, która z zasady zagląda tu tylko rano, bo nienawidzi tłumów, w efekcie czego latem w godzinach popołudniowych przez płuca Śląska przelewa się masa ludzi złaźnionych nie tylko kontaktu z naturą, ale po prostu wyczerpanych upałem. Polany zmieniają się w plaże, gdzie na promieniach UV można wyhodować najprawdziwszą opaleniznę, place zabaw pękają od śniętych dzieciaków, a w grze o pustą zacienioną ławkę wygrywają staruszki albo... najsprytniejsi.

Sześćset dwadzieścia hektarów terenów zielonych to jednak nie byle co.

Jerzy Ziętek wyświadczył tutejszym mieszkańcom prawdziwą przysługę.

Jeden z takich mieszkańców przemierzał park każdego dnia i każdego dnia robił z tego mały rytuał. Szedł sobie niespiesznie, głęboko oddychał, żeby dotlenić organizm, i rozglądał się dookoła, bo ogromnie ciekawił go świat. Jednak w tym zaciekawieniu był nieco osamotniony. Ludzie przechodzili obok, biegali albo mknęli na rowerach, ale zawsze skupieni, jakby ich ktoś zamknął w powietrznej bańce albo jakby byli jedynymi istotami na Ziemi. A przecież miło jest spojrzeć komuś w twarz i w oczach spotkać człowieka. Tyle że były to spotkania rzadkie, co robić. Im bardziej rozszerza się materia, tym bardziej kurczy się duch, zwłaszcza gdy go odciąć od źródła.

I właśnie dlatego chadzał tędy każdego dnia.

Żeby ten duch nie zdechł mu gdzieś pomiędzy pracą

a domem.

Poza tym lubił poranne bulgotanie natury.

W parku eksplodowały co rusz inne zapachy, powietrze pełne było maleńkich pyłków, których nikt nie potrafił złapać, a jeśli spacerowiczom dopisało szczęście – mogli liczyć na spotkanie z dzikiem.

A nawet z lochą.

Ledwie pomyślał o faunie, kątem oka dostrzegł migoczącą w alejce plamę czerwieni. Albo rózu, zawsze miał problem z odróżnianiem barw. Plama ułożyła się w zwiewną sukienkę i nawet stąd dało się dostrzec przyjemne wcięcie w talii i burzę miedzianych loków, które, podświetlone słońcem, wyglądały jak kula ognia. Dama rozejrzała się lekliwie wokół siebie, po czym zeszła ze ścieżki, co i jemu przypomniało o potrzebach i obowiązkach. Ładne rzeczy, ogląda się za kobietami, a przecież zaczyna dzień ważnym spotkaniem. Już tam na niego z pewnością czekają!

W panice sprawdził godzinę, po czym błyskawicznie podjął decyzję. Spacerkiem, okrężną drogą, będzie w okolicach Planetarium za niecały kwadrans, a tymczasem już dochodzi dziesiąta. Nie ma wyjścia, musi poświęcić nowe pantofle i biec na skróty.

Z westchnieniem dał więc nura między drzewa.

Obierając kierunek, tak ustawił swojego wewnętrznego GPS-a, żeby jego trasa nie pokryła się z trasą loszki w czerwieni, ale na wszelki wypadek nadłożył nieco drogi. Dlatego tym większe było jego zdziwienie, kiedy dotarł do niewielkiej polany i ujrzał...

Szczerze mówiąc, w pierwszym momencie nie bardzo wiedział, na co patrzy. A potem zmrużył zaskoczony oczy, bo czerwień sukienki i zieleń trawy były w połączeniu tak

sugestywne, że obrazek siłą rzeczy skojarzył mu się z grządką, z której wyrastała wielgachna i jędrna rzodkiewka. I tylko zastanawiał fakt, że rzodkiewka...

Rosła do góry nogami!

Lady in red, ponieważ to była ona we własnej osobie, leżała na trawce i aktualnie celowała paluchami prosto w niebo. A paluszki wygrywały jakiś skoczny rytm, od którego kołysały się na niej obiecujące krągłości. To znaczy krągłości rozlane między talią a szyją – te od pasa w dół były widoczne, owszem, ale dla kontemplujących zjawisko od drugiej strony.

Tak, za krzaczkiem naprzeciwko, w kępach koniczyny, siedziało dwóch przyczajonych koleśków, którzy musieli mieć niezgorszy widok, bo z wrażenia poprzekrzywiali głowy i wyglądali przy tym, jakby trafiła ich pomrocność jasna. Pomrocność częściowo zawdzięczali rozpoczętej butelce, ale też panowie nie sprawiali wrażenia upojonych po całości, testosteron pod powierzchnią aż kipiał, co nie rokowało najlepiej dla driady prezentującej swe wdzięki na łonie natury.

Jak nic sprawy zaraz przybiorą gwałtowny obrót.

Ma ją tak zostawić na pastwę losu?

Spieszył się już okrutnie, może w innych okolicznościach rozegrałby to inaczej, ale czas naglił.

Nie myśląc wiele, po prostu chrząknął.

Znacząco.

Żeby zaznaczyć swoją obecność, a tym samym dać do zrozumienia, że słodki czas lenistwa dobiega końca, że należałoby może... stanąć na nogi i podziękować wybawcy? Tak, sprawy rzeczywiście przybrały gwałtowny obrót, bo czy mógł się spodziewać, że rudowłosa zerwie się z murawy

jak oparzona i zacznie drzeć gardełko na cały park? I, co niebyswałe, bez próby nawiązania jakiegokolwiek dialogu!

– Myślisz, że trafiłeś na ofiarę, co?!... – Obrzuciła go od góry do dołu badawczym spojrzeniem. Jednak wynik oględzin nie wypadł korzystnie, gdyż od razu przeszła do ataku: – A może myślisz, że mnie zaskoczysz, a ja się potulnie pozwolę... – urwała. – Nie, nie pozwolę się. Ja się nie pozwolę! Na pomooc! Wszyscy mnie usłyszą, wszyscy... Tu są ogrodnicy i ludzie. Ratuuunku!

Oj, potrafiła zagotować człowiekowi krew w żyłach, choć trzeba przyznać, że z rozwianym włosiem i wzburzonym licem wyglądała nad wyraz temperamentnie, a temperament to jest to, co prawdziwi mężczyźni lubią najbardziej. Aż się spocił. Już chciał pewne sprawy wyjaśnić (ogrodnicy są chyba ludźmi?), ale najpierw z krzaków dobiegł go pijacki rechot, a potem...

Driada przeszła do czynów.

Zanurkowała na chwilę w otwartej walizce i wydobyła stamtąd... Nie, zdecydowanie poziom absurdu sięgnął dzisiejszego poranka zenitu. Wydobyła... Stojak na wino? Jakies takie powyginane pręty, zbrojenie, nie wiadomo co. Ale tym nie wiadomo czym wykręciła w powietrzu młynka jak najprawdziwszy ninja (na rękach miała gumowe rękawiczki!) i dawaj...

Rzuciła się wprost na niego.

– Ty zboczeńcu!



Poranek rozhulał się w słońcu na całego.

Było ciepło, ale nie za gorąco, motyle bezczelnie rozkładały skrzydła na kwiatach hortensji, muszki

bzyczały, a gołębie usiłowały wbić się na imprezę i uszczknąć co nieco z grządek obsianych przez Zuzę ziołami.

Misia z dumą gospodyni przyjrzała się każdej roślince, każdemu kamykowi i, stwierdziwszy, że od wczoraj za wiele się nie zmieniło, przeciągnęła się z rozkoszą, po czym zarządziła malowanie ogrodzenia. Odgrzała się przy tym, że siatkę zastąpi w niedalekiej przyszłości jakimś konkretem, na przykład murem z kamieni jurajskich, ale póki co, nie mogła patrzeć na złączącą z niej całymi płatami farbę. Prowizorka jest najtrwalsza, jasna sprawa. Zuza zgodziła się z przyjaciółką w całej rozciągłości, mimo że rozciągłość liczyła wiele, wiele metrów. Zajęcie przypadło jej do gustu, nawet bardzo, gdyż machanie papierem ściernym idealnie współgrało z jej aktualnym stanem ducha.

Bo dosyć już tego dobrego!

Ma być ofiarą systemu?

O nie, ona rozpieprzy ten system w drobny mak.

Zuza stanowczo nie przyjmowała do wiadomości, że pewne fakty trzeba przyjąć do wiadomości, zwłaszcza jeśli miała do czynienia z faktami z pogranicza głupoty i fantazy. Z głupotą należało walczyć. Szlifować charakter (niekoniecznie papierem ściernym) i walczyć. Gdyby żyła w średniowiecznej Francji, ho, ho, jak nic dołączyłaby do Joanny D'Arc i wywijała mieczem w słusznej sprawie, ale żyła w Polsce. I na oficjalne wywijanie mieczykami mogli tu sobie pozwolić w imię prawa i sprawiedliwości tylko niektórzy.

Hm, na oficjalne tak, ale na... nieoficjalne?

Po oblaniu dzisiejszego egzaminu umysł Zuzy, która czuła

się odgórnie zrobiona w balona, zaczął pracować pełną parą. W kasie ośrodka zostawiła już fortunę, a końca tego szaleństwa nie było widać. Jeździła za to jak szatan i nikomu nie wyrządziłaby na drodze krzywdy, więc gdzie tu sens i logika? I z czego ma płacić, skoro straciły Feminę, a rzęchy w WORD-zie pozostaną rzęchami? Ma bić głową w mur?!

O, nie, swoją głowę za bardzo szanuje, a mur... obsika.

Skoro nadal ma płacić, ekonomiczniej będzie, jeśli to prawko po prostu KUPI.

Koniec, kropka.

O dziwo, jej instruktor był tego samego zdania. Po wyjściu z ośrodka zaprosił ją na kawę i z nieudawaną bezradnością rozłożył ręce, oznajmiając, że się poddaje, że to nie na jego nerwy i że jeśli ona faktycznie wie, co robi, porozmawia ze swoim kolegą, który pomoże. Oczywiście nie za darmo. Prawo jazdy będzie jak najbardziej prawdziwe, egzamin również, tyle że nastawienie egzaminatora... ulegnie zasadniczej zmianie. Zuzy nie interesowały więc już szczegóły. Pan Darek nie podkładał jej świni, był na to zbyt poczciwy, poza tym zauważyła, że z lekcji na lekcję stawał się coraz bardziej przygaszony i ostatnio zaczynała nawet przeczuwać, że długo razem nie pojeżdżą. Miałaby znowu szukać kogoś nowego? Była już tym wszystkim zbyt zmęczona. Z radością przystała więc na układ, bo przecież samodzielne wkraczanie na drogę przestępstwa pochłania mnóstwo czasu! W dodatku czekało ją wkraczanie w konspiracji przed Misią, która – jak to nazywała – dzieliła się swoim życiem z Iglą. Czytaj: klepała mu wszystko, jak leci. W efekcie o jej przestępczym czynie dowiedziałyby się cała komenda miejska. Z Marchewką na

czele jako niezłomnym stróżem prawa, rzecz jasna. A wtedy... nawet bała się o tym myśleć.

– Słuchaj, a może z tymi egzaminami to faktycznie strata czasu? – zagaiła do przyjaciółki. Aż ją skrecało, żeby przedyskutować temat.

Tak eksperymentalnie.

– Z prawem jazdy? – Misia połknęła haczyk.

– Yhy... Przecież dopóki nie wymienię w ośrodku aut, to kaszanka. Więc sobie pomyślałam... Skoro i tak bulę jak za trufle, może kogoś znajdę i... po prostu kupię to cholerne prawko? Przecież ludzie tak robią. I jeżdżą. Co sądzisz?

Misia w jednej chwili zmieniła się w słup soli.

– Oszalałaś?! – Z przerażenia aż pobladła. – Przecież to przestępstwo. Co ty chcesz? Skończyć w więzieniu? I gnić tam po wsze czasy?... A wiesz, że przez twoje wybryki Marchewka będzie w policji spalony? A skoro Marchewka, to Igła też – wyjąkała. – Wtedy to już w ogóle nie będzie szans, żeby ten dom żył. – Z rozpaczą omiotła spojrzeniem stokrotki i Zuza zrozumiała, że za chwilę poleją się tu łzy czyste, rzęsiste.

– Coś ty, przecież ja tylko tak... Fantazjuję, można powiedzieć – próbowała bagatelizować. – Zapisałam się na kolejny termin, tak że luzy.

– Luzy – powtórzyła z przekąsem Misia. – Tylko czemu ja mam na plecach ciarki, co? I to od samego rana. Bo fantazji ci akurat nie brakuje.

– Dzięki.

– To nie był komplement – sprostowała odruchowo i dla podkreślenia słów pogroziła jej palcem jak jakiś Mussolini.

– O żadnym kupowaniu nawet nie myśl. Ja się nie zgadzam i nie będę cię kryć. Lojalnie uprzedzam.

– Wiem, wiem... Nie myślę – oświadczyła Zuza, bo od myślenia wolała działanie, po czym kolejny raz sprawdziła telefon. Pan Darek obiecał umówić ją ze znajomym, ale póki co w eterze trwała cisza. – A na kolację do Luka idziemy same czy zabieramy chłopaków?

Kwestię należało rozważyć.

Tymczasowo porzuciły więc ogrodzenie i poszły do kuchni, gdzie myśli się o wiele lepiej. Zwłaszcza gdy się popija mrożoną lemoniadę z cytryną i listkami mięty.

Zarówno Igła, jak i Marchewka na osobników tej samej płci reagowali jak na krowę w szkodzie, dlatego zażyłość z sąsiadem, którego po warunkach nie obsadzono by w *Imieniu róży*, obie do tej pory wolały utrzymywać... Może nie w tajemnicy, ale na pewno się tą znajomością nie chwaliły. Już i bez tego Igła z Marchewką popatrywali na Francuza jak na Wilka z Akacja Street.

– Właśnie nie wiem... – Misia się zamyśliła. – W sumie to chore, żeby nie móc utrzymywać stosunków...

– Aha!

– No towarzyskich przecież! Stosunków towarzyskich z sąsiadem – dokończyła pośród chichotów. – Przecież nie robimy niczego złego.

Na myśl o Francuzie Zuza uśmiechnęła się, jakby stała w cukierni po tort.

Co, a kto powiedział, że za szybko nie można się oblizywać?...

Poza tym od początku było wiadomo, że z Lukiem nigdy nic, obie były w udanych związkach i doskonale wiedziały, że Luk Lucateau tak po prostu miał. Działał na kobiety. Nie był może szaleńczo przystojny, za to zarażał uśmiechem, a konwersacja przebiegała dla niego także na

poziomie organoleptycznym, więc w efekcie każda kobieta czuła się w jego towarzystwie jak wybranka, mimo że wybranek w przyległych wioskach i miasteczkach nie brakowało. I każdą Francuzik potrafił pomiziać po policzku czy siarczyście ucałować tak, że robiło jej się ciepło na sercu. A wszystko z chłopięcym wdziękiem, jakby wcale nie stuknęła mu czterdziestka.

– Nie wiem, przy nim czuję... – Zuza zawiesiła głos. – Zestraja nam się DNA. Normalnie reakcje zachodzą na poziomie międzykomórkowym. I nawet nie chodzi o seks...

– Otóż to. On jest taki... cielesno-serdeczny. – Misia znalazła wreszcie odpowiednie słowo. – Toczy się zwykła rozmowa, niby nic, na przykład o zaprawie cementowej, a facet łapie cię za ramię i topniejesz, choćbyś była Matką Teresą z Kalkuty. To trzeba mieć... Czy ja wiem. Jakiś dar? A może to ta francuszczyzna z niego wychodzi?

– Francuszczyzna to podstawa – potwierdziła skwapliwie Zuza. – Nawet nie chcę sobie wyobrazać... Chociaż, kto mi zabroni?!

– No, zdaje się, że niejaki Piotrek Marchewka by ci jednak zabronił. Tylko w jaki sposób go teraz wydobyć z cienia? Luka, w sensie...

– Też się zastanawiam. Jak Igła i Marchewka zderzą się z jego... cielesnością, he, he, może być tragedia. Trzeba by jakoś umiejętnie – zaakcentowała Zuza. – I może nie na trzeźwo, z procentami łatwiej przełkną. Trzech facetów razy trzy ego to nielicha historia. Albo matematyka wyższa... Wiem! Przecież kupiłaś dom. A co się robi, kiedy się kupuje dom? – W przeblysku geniuszu wskazała na okno.

– Zawiesza się zasłony?

– Parapetówę się urządza, moja droga – uściśliła, nie kryjąc pobłażania. – Parapetówę! Przecież na uroczystej imprezie nasi panowie nie będą robić wsi.

– Czemu na uroczystej? – Misia w jednej chwili nabrała podejrzeń.

– A choćby temu, że podamy... Ślimaki?

– Żartujesz?

– A kto marudzi, że gnojki łażą po klombach? – Zuza wskazała ręką na ogród, w którym rzeczywiście roilo się od nieproszonych gości. – I wpieprzają, co popadnie? Proszę, znalazłam rozwiązanie, więc nie podważaj. Chciałaś się bydlaków pozbyć, i to ekologicznie? Chciałaś! W takim razie nie widzę lepszego sposobu... Zjemy, wydalimy i przerobimy na nawóz. *Voilà!*

Misia złapała się za głowę.

Ślimaki faktycznie ją zalewały, nawet nie przypuszczała, że ślimaczek, niby miłe i pocieszne stworzonko, może się nagle wydać krwiożerczą bestią, ale tu nic się nie wydawało. One były krwiożerczymi bestiami. Produkowały śluz! I w ciągu jednej nocy potrafiły uśmiercić najpiękniejszego kwiatka. Misia walczyła dzielnie, kupiła nawet specjalne pułapki, ale już w drugim tygodniu pobytu na Akacyjowej musiała się poddać.

Ale żeby gadziny jeść?!

– Luk nam dogadza? – przekonywała Zuza.

– Owszem, nawet bardzo.

– Właśnie. Dźwiga, przesuwa ciężary, gotuje... A my dla niego co?

– Przecież pomogłam. Wypełniłam papiery, dopilnowałam...

– I chwała ci za to, do darmowej knajpy mamy rzut

beretem... Ale skoro dla niego kuchnia jest tak ważna, może bardziej doceni nasz wysiłek właśnie na tym polu. – Zuza podjęła decyzję i z zadowoleniem wpackowała sobie do ust listek mięty. – Dlatego przyrządzimy ślimaki. Na cześć Luka i na pohybel... śliskim!

– Boże, ale jak? – Misia usiłowała wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu, ale szło jej raczej kiepsko. – Nigdy nie gotowałam ślimaków, proszę cię...

– To ugotujesz. Znaczący, ugotujemy. Z ziołami są podobno wyborne.

– Myślisz? – Powoli zaczęła się jednak przekonywać. – I pewnie trzeba użyć masełka?

– Bez masełka w ogóle nie ma mowy. – Zuza klasnęła w dłonie. – Kuchnia francuska to jest w ogóle jedna wielka maselniczka. Ależ się Luk ucieszy! Francuska parapetowa, masz pojęcie?... I wtedy ich ze sobą poznamy. A dzisiaj spokojnie, z rozwagą... – zawiesiła głos – ...spuszczamy facetów po rynnie, zresztą Marchewka się nie zapowiadał.

W tym momencie do kuchni wkroczyła z miną urażonej hrabiny Pyza, rosyjska niebieska kotka Misi, która do tej pory miała swojej pani za złe, że obróciła ich wspólne życie w perzynę. Pyzunia od momentu zmian lokalowych schudła i zmieniła kolor tak bardzo, że zamiast szarej kluski zaczęła przypominać pełnoziarniste spaghetti.

– À propos, jak skrobałaś furtkę za domem, dzwonił Igła. – Misia nasypała karmy do miseczki, ale Pyza nawet nie spojrzała na posiłek. Wskoczyła za to na okno, skąd roztaczał się najlepszy widok, zarówno na kuchnię, jak i okolicę.

– Tak?

– Mają jakąś gorącą sprawę. Wnoszę po „obserwacji

figuranta”, co za słownictwo... Dlatego chyba nie musimy nikogo z rozwagą spuszczać – powtórzyła Misia z przekąsem i znowu posmutniała. – Nawet mój własny kot jest przeciwko mnie. Boże, jak ja bym chciała, żeby ten dom żył!

– A taki jest bardzo zdechnięty? – Zuza poczuła się lekko urażona. – Dom, nie kot.

Od dwóch miesięcy przyjeżdżała tu prawie codziennie. Zostawiła w tych murach resztki godności (malowała ściany w majtkach i staniku!), jej własne mieszkanie zaczęło przypominać pieczarkarnię, tak bardzo je zapuściła, a życie towarzyskie... Czy rozmowa z parkingowym to event?

W każdym razie Misia pięknie jej podziękowała za wysiłki, nie ma co.

– Zuza, nie o to chodzi. – Misia zreflektowała się i rzuciła się ścisnąć przyjaciółkę. – Przecież wiesz, bez ciebie nie dałabym rady, ale myślałam, że Igła i ja... Że po tej trawie będą biegać dzieci, a nie ślimaki, że ten dom będzie pełen ludzi...

– Ile wy się z Iglą znacie? Dwa lata? – zapytała retorycznie Zuza i pokiwała głową. – To by się zgadzało. Zakochanie trwa od dwóch do trzech. A potem hormony opadają, klapki z oczu również i trzeba się zmierzyć z rzeczywistością. I wtedy wóz albo przewóz.

– Albo radiowóz – uściśliła ponuro Misia. – Z policjantem wiesz, jak jest...

– A z weterynarzem jest niby inaczej? Nie żebym sprawdzała... – zastrzegła szybko. – Ale co prawda, to prawda. Zanim Marchewka dojdzie do siebie po pracy i otrząśnie się z tej całej zawodowej agresji, trochę czasu

mija – stwierdziła. – A może Igła ma jakiś kłopot i nie chce cię martwić? Rozmawiałaś z nim?

– Coś tam niby rozmawiałam. Ale mnie wodzi za nos. Raz mówi, że nie chciał, żebym płaciła za dom, bo nie jest utrzymankiem, innym razem słyszę, że brak wolności i rutyna zabijają miłość. Zupełnie jakbym słuchała ciebie, ale w jego ustach to brzmi jak: rozstańmy się... Już się w tym wszystkim gubię. – Misia pociągnęła nosem. – Ja wiem, że człowiek ma na przemian potrzebę to odcinania pępowiny, to zlewania się z drugą osobą jak z matką...

– Z matką?! – Zuza wyłowiła z tego psychologicznego wyводу tylko jedno i aż się otrząsnęła. – Z jaką matką?! Co ty wygadujesz? Ty masz być heroiną sypialni, hurysą albo wtórną dziewczicą, do diabła, a nie mamusią.

– Wtórny czym?!

– A co, jak jest wtórny analfabetyzm, nie może być wtórnego dziewictwa? – Zuza wzruszyła ramionami. – W przerośni mówię, nie zmieniaj tematu... Mamusi proszę do tego towarzystwa nie mieszać i tyle, bo Igle opadną nie tylko klapki z oczu, ale i co innego. A zadatki na opiekunkę masz, znam cię... Nie będziesz głodny? A może chcesz jeszcze herbaty? – przedrzeźniała. – Tyle dobrze, że mu nie podgrzewasz krzeselka.

– Po prostu się o niego troszczę.

– Moim zdaniem przesadzasz. – Zuza widziała to inaczej. – Jak cię opiekuńczość z troską męczą, weź się za wolontariat. W schronisku dla zwierząt na przykład. Zajmij się jakimś porzuconym jamniczkiem czy innym gadem. Albo depresją Pyzy, o, proszę, jak znalazł. W każdym razie dla swojego dobra pojmij, że Igła mamusię już ma, a matka jest jedna. I nie uprawia się z nią dzikiego seksu.

I jeszcze... Chodzisz za nim i rzucasz aluzje.

– Bo jestem na niego zła, cholera!

– Chyba gangrena – sprostowała Zuza uprzejmie. – A wiesz, jak to widzi facet? Czy raczej słyszy?... Słyszy bzyczenie muchy. Bzz, bzz, bzzzz. A muchę chce się przegonić... O, i wykrakałaś! – zakrzyknęła z pretensją, a Pyza w jednej chwili znalazła się pod drzwiami. – Riczarda!

U furtki wisiał nie kto inny jak Ryszarda Kociołek, oblubienica Hardego, i Zuza na ten widok wewnętrznie zdrętwiała.

Co za durne babsko, czupiradło ryże, głupawe jak but albo i dwa, a każdy z innej pary... Najpierw odbiła Misi męża, później się do niej przyssała. Uroiła sobie, wariatka, jak nic wariatka, że są przyjaciółkami, a poniekąd nawet rodziną, i szukała u Misi wsparcia, ponieważ okazało się, że Hardy, niebożątko, na tę wolność jednak tak szybko nie wyjdzie.

Po co tu znowu przylazła?

Ostatnio przebąkiwała coś o długach i ZUS-ie, pewnie liczyła na pożyczkę, ale źle trafiła. Może dzisiaj przyszła zebrać wprost?

– Boże, wygląda jak maskotka Straży Pożarnej. – Zuza wyjrzała dyskretnie zza okna i z uciechą zarejestrowała, że Ryszarda, cała w czerwieni, prezentuje się jednak nie najlepiej. Makijaż w proszku, sukienka przekrzywiona, nogi jak banie. – Tylko jakaś taka porzucona w lesie i wymemłana przez grzybiarzy... Było wypowiadać życzenia?

– Jakie życzenia?! – Misią się nie poczuwała.

W jej ocenie Ryszarda rzeczywiście wyglądała jak siedem

nieszczęść, należało biedaczce szybko otworzyć, przygarnąć do łona i Zuza już wyobraziła sobie ciąg dalszy. Zaraza rozlezie się po domu, rozpanoszy i jeszcze zeżre im wszystkie mielone...

– Chcę, żeby ten dom żył, żeby tętnił ludźmi – powtórzyła za przyjaciółką Zuza, a w jej głosie zabrzmiała gorycz, bo mięso na kotlety osobiście doprawiła majerankiem. – To masz! Ludzia... Chociaż ona przeczy teorii ewolucji. Darwin po kwadransie z nią w jednym pokoju przerzuciłby się na psychiatrię. Przecież Ryszarda to nie imię. To ROZPOZNANIE...



Co prawda umówili się z Iglą na obserwację Akacyjowej wieczorem, ale Piotrek Marchewka czuł przemożną siłę, która pchała go w okolice parku już teraz. Coraz trudniej było mu się godzić z faktem, że Zuza ciągle gdzieś biegała, latała i wołała ten pęd z dala od niego, zamiast wspólnego wieczoru, kiedy mogliby razem usiąść, zjeść kolację czy zwyczajnie porozmawiać. A nie rozmawiali tak naprawdę od tygodnia, kiedy to Zuza zrobiła awanturę, bo rzekomo wymagał ślubu. Niczego nie wymagał, normalnie zapytał. Tym bardziej, że temat wspólnego życia omawiali nie raz, nie dwa, co prawda zawsze w żartach, ale w każdym żarcie jest odrobina prawdy.

Czy to coś złego, że chciał być blisko swojej dziewczyny?

Tyle że Zuza nie potrafiła usiedzieć na miejscu, ostatnio bardziej mieszkała na placu budowy niż u siebie, a przecież nie mógł nachodzić Misi. Nie żeby pragnął zamknąć swoją kobietę w klatce, więzy a więzi to przecież różnica, ale zwyczajnie za Zuzą tęsknił. W pracy mógł trzymać gardę

wysoko, bo wiedział, że po dniu użerania się ze zwyrodnialcami czeka go nagroda, jednak kiedy przyjeżdżał na ulicę Zielony Zaułek i zastawał zamknięte drzwi, czuł się jak zagoniony do... Ciemnego Zaułka.

Paskudne uczucie.

Bardzo jej potrzebował.

Była w jego popapranym życiu światłem.

A że światło co chwilę to gasło, mrugało, to tliło się i od nowa jaśniało – cóż, widocznie taka karma. Do tej pory nie narzekał, cierpliwie przyjmował coraz to nowe pomysły Zuzy, znosił jej naprzemienne wybuchy i ekscytacje, przecież taką ją poznał i pokochał, ale czas nie stał w miejscu. Komisarz optymistycznie patrzył w przyszłość, jednak nawet i jemu trudno było sobie wyobrazić, że płodzi swojego pierwородnego jako łysiejący pięćdziesięciolatek. A już bardzo chciał rodziny. Zresztą dlaczego miałby o tym nie myśleć, skoro znalazł odpowiednią kobietę?

Zasada mniejszego zainteresowania...

Westchnął z głębi wątroby, ale wcale nie zrobiło mu się lepiej.

Miłość to nie kalkulacje.

Kalkulują tchórze albo emocjonalne kaleki. A Marchewka nie był kaleką – wiedział, kim jest i czego chce. Mówiąc o swoich uczuciach, niczego nie ryzykował i niczego nie zamierzał udawać. Przecież o to chodzi w zaufaniu. Człowiek niesie przed sobą duszę, może małą i pokraczną, ale oddaje ją drugiej osobie z nadzieją, że ta jej nie podepcze i nie wyrzuci. A jeśli wyrzuci, cóż, nikt nie obiecywał, że w barze zawsze będą frytki i coca-cola. Jakies tam cierpienie jest do przerobienia, wieczna szczęśliwość na dłuższą metę tylko zawęży horyzont.

Tak sobie Marchewka rozmyślał i rozmyślał, i w końcu wymyślił, że z niego to jednak jest burak, w dodatku osioł patentowany i najzwyklejsze chamidło, bo kiedy napomknął Zuzie o ewentualnym ślubie...

Nie wręczył ukochanej pierścionka!

Może dlatego ostatnio była taka nieprzyjemna?

I w ogóle jakim ewentualnym, ewentualnie to można kupić bilet na PKS do Radzionkowa, a oświadczyć trzeba się z pompą. I klasą. W końcu jak będą kiedyś wspominać ten dzień? Że ruszył tyłek i gdzieś między zlewem a lodówką zapytał, czy ewentualnie...

Złość go na siebie wzięła tak wielka, że już nie czekał, aż piwo z niego wywietrzeje, ale pożegnał się z Iglą i ruszył do Galerii Katowickiej.

W poszukiwaniu jubilera.



Ryszarda pokręciła się chwilę po salonie i nie widząc za bardzo przed sobą perspektyw biesiadnych (Zuza zajmowała jedyny wolny fotel i ani myślała go opuszczać, a krzesła zastawiały kartony), zaciągnęła swoją walizę na środek pokoju, przewróciła na podłogę i wreszcie usiadła.

Z jękiem.

I nie był to jęk udawany, miała paskudnie fioletowe nogi (w cętki!), które usiłowała co chwilę masować. Misia taktownie nie zadawała pytań, ale poważnie się martwiła. Nigdy nie uważała sekretarki Henryka za swoją przeciwniczkę, choć był taki moment, że bardzo chciała, niestety przeszkodziła jej w tym sympatia, którą od początku czuła do tej prostej, ale zabawnej i dość osobliwej dziewczyny. Nie zawsze można przecież wybrać scenariusz

zdarzeń, w jakich się uczestniczy, a już na pewno trudno wpłynąć na to, jaką kochankę wybierze przeniewierca (a szkoda...). Jednak Ryszarda swojej roli nie napisała z wyrachowania, sama się w tym wszystkim gubiła i aż żal było patrzeć, jak się męczy.

Misia dała więc za wygraną.

Przecież nie będzie przeszkodą na drodze do czyjegoś szczęścia.

Serca im, zdrajcom, drgnęły, stosowne organa również – trudno, kochajmy się i pozwólmy kochać innym. Oczywiście w praktyce nie było to takie proste. Gdyby nie Igła, który pojawił się w jej mieszkaniu jako „ochroniarz” (zanim Henryk trafił do aresztu, zlecił pilnowanie żony, rzecz jasna bez zgody samej zainteresowanej), pewnie zapłakałaby się na śmierć, ale przy Igle można było myśleć tylko o życiu.

– Ojej, ale się wygłam. – Ryszarda przebiegła wzrokiem po swojej pogniecionej sukni, dotknęła rozczochranych włosów, a w jej oczach pojawił się jeszcze większy smutek.

Ale zaraz pocieszyła się wafelkiem i Misia odetchnęła.

Na krótko.

Zuza wciąż nie potrafiła przejść do porządku dziennego nad kolorytem Ryszardy, jak określała całość osoby panny Kociołek, wahając się, czy bardziej dziwi ją zachowanie czy wygląd miłośniczki mody (na jej górnych siekaczach znów pysznił się wymalowany szminką wzorek, co z pewnością nie umknęło uwadze przyjaciółki, podobnie jak żółte, plastikowe koła w uszach w charakterze „subtelnej” biżuterii). Może dlatego każde spotkanie z Ryszardą kończyło się dla Zuzy wstrząsem, po którym jeszcze długo do siebie dochodziła?...

Dziś nie było inaczej.

– Wygłaś się?! – zapytała oszołomiona i w napięciu czekała na ciąg dalszy.

Nawet nie starała się ukrywać, że na zmianę targa nią to niesmak, to fascynacja zjawiskiem. A może analizowała, czy przypadkiem nie użyto tu jakiegoś środka poetyckiego?

– No, cała się wymłam – wyjaśniła dobrotliwie Ryszarda, połechtana zainteresowaniem. – Sukienka do prania. Jej nie można prasować, muszę oddać do pralni. To Zień – dodała z dumą i potarła nabrzmiałą łydkę. – Ale za to pogoniłam w parku zboczeńca.

– Kaczeńca? – Zuza stwierdziła, że musiała się przesłyszeć.

– Zboczeńca. Taki facet, który obnaża narządy, podgląda albo chce zgwałcić.

– Ciebie? Zgwałcić? Niemożliwe! – Zuza parsknęła urągliwym śmiechem. – Obnaża narządy! – wyłapała w następnej kolejności i na nowo zaczęła chichotać.

Misi zrobiło się trochę nieswojo.

W końcu była gospodynią.

– Zuza, może niech Ryszarda dokończy... Jak to: pogoniłaś zboczeńca? Tutaj, u nas? – Odruchowo próbowała ustalić, gdzie znajduje się ściana parku, ale trafiła wzrokiem jedynie w kominek.

Świadomość, że w pobliżu grasuje jakieś niewyżyte męskie indywiduum, nie należała do najprzyjemniejszych.

– Tutaj, niedaleko. Zakładałam w krzakach rajstopy... – wyjaśniła ochoczo Ryszarda. – Noszę takie specjalne na żyły... I jeden koleś mnie podglądał, a potem zaczął wygadywać różne świństwa... Ohyda, mówię wam. – Przewróciła oczami, po czym rozpoczęła opowieść

skwitowaną na koniec jednym, wypowiedzianym z obrzydzeniem słowem: bydlak...

– A właśnie, à propos twojego uwięzionego konkubenta. – Zuza gładko przełknęła historyjkę, a pobażanie niemal ułożyło się na jej czole w komunikat: „Było nie pchać się w krzaki”. – Bo ostatnio słyszałam, że czegoś nie zapłacił. Posunęło się, ekhm, coś?

Ryszarda ułożyła usta w skrzywdzony dzióbek i po raz pierwszy odkąd przekroczyła próg domu, spojrzała na Zuzę z prawdziwą przykrością. Niestety, Misię dzieliła od Zuzy zbyt duża odległość, kopnęła więc przyjaciółkę mentalnie, czyli wbiła w nią wzrok pełen nagany.

Z marnym skutkiem.

– To nie jest już mój konkubent – oświadczyła Ryszarda z miną zaduszonej gołymi rękoma kaczuszki, po czym spytała: – Czy ja mogę zadrzeć nogi?

– Zadzieranie, rozkładanie... – mruknęła Zuza pod nosem, ale na tyle głośno, żeby było ją słychać. – Właśnie od tego się zaczęło.

– Mam zakrzepicę, muszę...

– Oczywiście. – Misia zerwała się z miejsca, próbując jakoś zaaranżować przestrzeń, ale jej niewykończony salon niezbyt nadawał się na sypialnię. – Gdzie by cię tu ułożyć?

...

– Rozstałam się z Hardym. – Z Ryszardy znowu popłynęły zwierzenia, a w ślad za nimi pierwsze łzy. – Zrobił się nieznośny, a z płaceniem powiedział, że na razie nie ma opcji, wszystko zamrożone, a koledzy też za kratkami. Że muszę czekać. Ale ZUS nie czeka, dzisiaj mój dom przejął komornik. – Załkała cicho, a Misia poczuła w środku falę gorąca.

Tak właśnie podejrzewała.

Jednak pewne gadziny pozostają zmiennocieplne.

– To dlatego ta walizka... – Nagle pojęła.

– I gdzie teraz będziesz mieszkać? – Zuza również poczęstowała się wafelkiem, łyzy Ryszardy nie zmiękczyły jej serca. A przynajmniej starała się sprawiać takie wrażenie. – Bo chyba nie przytachałaś tej kolubryny – tu puknęła w walizkę – żeby się u nas podstępnie zagnieżdżyć?

...

Przez chwilę w salonie trwała pełna napięcia cisza.

Misi zabrakło tchu, ale trudno jej było mieć do Zuzy pretensję – przyjaciółka nadal żywiła do Ryszardy żal. Niby przyjmowała argumentację, że minął już kawał czasu, że Henryk nie jest wart takiego afektu, ale zapomnieć nie potrafiła.

– Zuza ma specyficzne poczucie humoru – pospieszyła więc z wyjaśnieniami, podczas gdy Zuza z lubością zajadała się ciastkiem, nie spuszczając przy tym z Ryszardy kpiącego wzroku.

– Yhy. Specyficzne. Takie wygłe – dodała i bezczelnie puściła do niej oko.

Wtedy Misia wpadła na rewelacyjny pomysł.

Domek dla gości!

Budynek nadawał się do zamieszkania choćby zaraz, było tam sucho i czysto, a nawet przytulnie, bo na porządkach zszedł jej cały weekend: w oknach zawisły zasłony w truskawki, podłoga pachniała drewnem, a ściany zdobiły litografie roślin. Co prawda pod szumną nazwą „domek” krył się tylko jeden pokój oraz mikroskopijna łazienka, ale powinno wystarczyć, żeby Ryszarda czuła się tam dobrze.

Odpuść, pozadziera nogi i zejdzie z pola rażenia Zuzy.

– Bardzo za wszystko dziękuję, bardzo. – Ryszarda uniosła się honorem i już myślała o odwrocie, ale w ewakuacji przeszkodził jej wybuch płaczu. Mimo że z całych sił usiłowała nad sobą panować, zatrzęsała się nagle od powstrzymanego szlochu, aż żal było patrzeć. – Jaaa już... pójdę. Bo jaaa... naprawdę chciałam się u was zagnieździć – wyznała, od czego Misię ścisnęło w dołku. W oczach Ryszardy wyczytała rozpacz i... ujmującą szczerość. – Ale nie podstępnie. Chciałam zapytać, poprosić... Do rodziców przecież nie wrócę, są dumni, że ja z Hardym, taka partia... Nic nie wiedzą. A moja siostra ma dzieeeci! – zakończyła, po czym rzuciła się z łkaniem na walizkę.

– Wiesz, Misia też chciała mieć dzieci. Z Hardym, nie wypominając. – Zuza dołożyła do pieca, ale w końcu i ona się poddała. – Nie wyj!

Należało coś postanowić.

– Wyj! – Misia była odmiennego zdania. – Bardzo dobrze, trzeba ten żal z siebie wyrzucić. Słuchaj, u mnie warunki są, jakie są, ale w ogrodzie stoi domek dla gości, a ja potrzebuję pomocy – zaczęła przemowę, wskazując na sterzące ze ściany kable. – Dlatego, jeśli nie masz gdzie pójść, możemy się umówić, że pomożesz mi tu wszystko ogarnąć, a przez ten czas sytuacja na pewno się unormuje. Zgoda?

Wdzięczność Ryszardy trudno opisać słowami. Zresztą nie wyrażała jej werbalnie.

Najpierw zaczęła łkać jeszcze głośniejsze, później starannie wysmarkała nos i usiłowała obsypać Misię dziękczynnymi pocałunkami, ale ledwo trzymała się na spuchniętych nogach. Dlatego została ze swoim dobytkiem

przetransportowana do domku i ułożona w łóżku – Misia zrobiła jej nawet herbaty, a także przyniosła radio.

Kiedy pośród jabłonek i wiśni zadudniły wesoło dźwięki Złotych Przebojów, a chmury na niebie ułożyły się w pierzaste poduchy, Zuza stwierdziła, że czas smażyć kotlety.

Powoli wszystko zaczęło wracać do normy.



Jeśli do żołądka wpada jeden kotlecik, później drugi, a do tego dołącza wybitna miseria ze szczypiorkiem, człowiek patrzy na świat inaczej. Zwłaszcza jeśli świat jest tak nieskazitelnie zielony jak w połowie czerwca – wśród liści nie pobrzmiwa ani jeden żółty ton, trawa aż kipi od soku, a na gałęziach drzew pękają zawiązki przyszłych owoców, z których robi się szałowe dżemy, a kto wie, może nawet wino. Dlatego też Zuza poukładała już sobie w środku nie tylko obiad, ale i Ryszardę.

Chciała mieć Misia dom pełen ludzi, niech jej będzie na zdrowie, ona tu tylko sprząta.

Sprząta, maluje, kładzie gładź, przycina listwy, normalka. Igła z Marchewką wykazywali dobre chęci i naprawdę starali się pomóc, ale zawód policjanta ma to do siebie, że nie jest się pewnym dnia ani godziny – ciągle im coś wypadło. Luk też bywał u swoich sąsiadek z doskoku, ledwie otworzył przecież restaurację. W efekcie Zuza z Misią musiały zdecydować: czekać w nieskończoność na mężczyznę pośród cegieł i zgliszczy albo wziąć się do roboty. Decyzja była prosta. Przezornie zaczęły więc od obejrzenia na YouTube filmów instruktażowych w stylu *Problem głuchych płytek* czy *Jak zrobić zabudowę rur płytami*

karton-gips, a potem zakasały rękawy... Niestety wykończenie domu zbiegło się w czasie z klęską finansową, o zatrudnieniu fachowców nie było mowy, ale od czego inwencja, chęci i dwie pary rąk!

A teraz okazuje się, że nawet trzy pary – oby te dodatkowe nie okazały się lewe.

Co prawda Ryszarda nawet o dziesiątej rano wyglądała, jakby szła na zabawę do remizy – o sukience od Zienia krążyły już legendy! – ale jak dotąd dała się poznać jako osoba pracowita. Wręczy się paniusi gumowe rękawice i zagoni do szorowania garów czy coś. Pewnie już sama na to wpadła, bo po obiedzie bez słowa pognęła z brudnymi talerzami do kuchni.

Może będzie z niej jakiś pożytek?

– Ciekawe, jak to się wszystko skończy – powiedziała niby do siebie Zuza.

Misia wyciągnęła nogi i już pewnie myślała nad zagospodarowaniem popołudnia – na Akacyjowej nie potrafiła usiedzieć w miejscu ani minuty, miała mnóstwo energii, co było widać na jej policzkach: gładkich i zaróżowionych jak nigdy.

– Ale co konkretnie? – zapytała beztriosko i zerknęła do salonu, gdzie za wielkimi zasuwanyymi drzwiami siedziała Pyza; jak na razie nie potrafiły namówić jej, żeby wyszła na zewnątrz. – Czy powinnyśmy zrobić koktajl owocowy? – zmieniła nagle temat. – Mam mrożone maliny. Ze sklepu, ale gdyby tak posadzić...

– O, to, to – zgodziła się Zuza. – Znam jednego zapaleńca pod Częstochową, za butelkę whisky odda nie tylko parę krzaczków, ale i nerki... Z koktajlem się wstrzymaj, póki mamy strefę ciszy. – Zniżyła głos. – Lepiej powiedz, jak

sobie wyobrażasz mieszkanie pod jednym dachem z kobietą, która wylewa na siebie hektolitry perfum. Przecież tego się nie da wytrzymać, całe szczęście, że siedzimy na dworze!

Rzeczywiście, Ryszardę otaczała gęsta chmura zapachów, zupełnie jakby pracowała na półtora etatu w Rossmannie, i może był to jakiś patent, bo nikt jej poufale nie poklepywał po ramieniu, ale taki poziom skażenia mógł być szkodliwy nie tylko dla ludzi, ale dla roślin i zwierząt.

– Normalnie sobie wyobrażam, przecież nie pod jednym dachem – stwierdziła Misia. – Domek dla gości...

– Fakt, może chociaż tyle z tego będzie, że ci ślimaki wymrą – powiedziała Zuza z udawaną nadzieją. – To jest silniejsze niż opryski, idealna broń biologiczna... Może ją powinni zatrudnić w jakimś ośrodku badawczym? Jak myślisz?... Albo, tak jak się wypożyczają pszczoły w Stanach, my mogłybyśmy wypożyczać Ryszardę do tępienia szkodników. Ogrodów tu przecież nie brakuje, dorobiłaby sobie, biedaczka, na twojej dobroci żerująca larwa jedna skąposzczetowa...

– Jesteś okrutnie zawzięta – oceniła przyjaciółka, kręcąc w podziwie głową.

– Ale jak Henio znosił ten smród, pozostanie dla mnie zagadką – ciągnęła niezrażona Zuza. – A właśnie... Ta historia z ZUS-em...

– Mówiła mi – Misia również przyciszyła głos i przysunęła się bliżej – że Henryk nie płacił składek za pracowników. To znaczy za niektórych i po latach się uzbierało, a firma należy do jej ojca. Oczywiście, z ojcem to przykrywka.

– I co, tatuś zapłaci? – zakpiła Zuza, bo zawsze uważała

Ryszardę za cwaną gapę.

– A skąd mam wiedzieć? Nie, chyba nie... Skarbówka go wykończyła, zanim zdążył wyciągnąć portfel.

– To co ta wariatka teraz zrobi? Szybko do siebie doszła, nie uważasz?... Trzysta tysięcy, sporo kasy.

– Zuza... – Misia spojrzała groźnie. – Za dużo Marchewki w gruncie, że się tak wyrażę. Czy wszędzie musisz węszyć podstęp?

– Wszędzie nie. Ale jak mam pod nosem, co poradzić, samo się pcha. – Poprawiła zawadiacko brew. – Myślisz, że Henio by ją tak zostawił z długami?

Nie uzyskała jednak odpowiedzi. Na sąsiedniej posesji, na którą zresztą od początku zerkały z zazdrością, pojawił się Tajemniczy Milioner – tak nazwały starszego, ale eleganckiego mężczyznę, właściciela imponującej willi oraz idealnie utrzymanego ogrodu. W przeciągu dwóch miesięcy widziały go raptem trzy razy i gdyby nie parkujący codziennie na podjeździe jaguar (wstrząsająco błyszcząca czerń!), można by było sądzić, że dom stoi pusty.

– Ile ten facet może mieć lat? – Zuza porzuciła Ryszardę i zmieniła obiekt zainteresowania, zastanawiając się, czy bardziej podoba jej się Milioner czy jego włości.

Posiadłość powalała nie tylko rozmiarem, ale doskonałym gustem architekta, który, zdaje się, zaprojektował to cacko w stylu angielskim. Dom był dwukondygnacyjny, jednak niezbyt wysoki, zbudowany z cegły wykończonej białym drewnem, przez co w słońcu przypominał szarlotkę ozdobioną kleksem śmietany. Śliczności. Wnętrze pewnie jaśniało światłem, ponieważ cały parter był usiany oknami, a od strony ulicy znajdował się olbrzymi taras, na którym próżno by szukać sanek w charakterze stołu...

Na tyłach domostwa wzniesiono małą dobudówkę z ceramicznym piecem ogrodowym, ale, póki co, nikt z niej nie korzystał. Podobnie rzecz się miała z ogrodem. Stale widywały pracujących ogrodników i efekty ich pracy – kwiaty wyrastały tam prawie tak wielkie jak w gliwickiej palmiarni – tyle że nikt ich nie zrywał, nikt nie urządzał między drzewami pikników.

Co do właściciela – nie dorównywał może urodą swojej rezydencji, jednak na portiera nie wyglądał, co to, to nie. Za każdym razem widziały go ubranego w dobry garnitur, a jego srebrna bródka i jajowate okulary mogły się podobać. To znaczy jeśli ktoś lubił takich importowanych z Wielkiej Brytanii wymoczków. Zuza wołała modele mniej oficjalne, mimo że Misi trochę oko na tę czerstwiznę zablýsło, nie da się ukryć.

W końcu była zdrową kobietą i na szczęście w przypadku Igły nie zaszło fatalne w skutkach zjawisko wznoszenia chłopu za życia pomnika. W salonie wisiała tylko tablica pamiątkowa, ale Misia już dostrzegała różnorodność świata, choć wołała swój mikroświatek: spokojny i monogamiczny. Jednak za patrzenie nikt jej nie kasował, a oczu nie wyłupił – miała je zasłaniać?

– Pięćdziesiąt na pewno – stwierdziła. – Jeśli nie więcej.

– Hm, takie obiekty powinno się datować izotopem węgla – mruknęła Zuza i przywarła spojrzeniem do butów sąsiada, które zachwycaly nawet z takiej odległości. – Koleś ma lepsze pantofle ode mnie, na to powinien być odpowiedni paragraf! Dziwne, faceci potrafią wybrać opony, ale takie rzeczy...

– Żadnej kobiety na tych hektarach nie widziałam.

– Może gej? Przy okularach ma czerwone druty. Ale nie

wygląda... – Zuza cmoknęła w rozterce.

Misia wyteńczyła wzrok.

– Jakie druty?! A, zauszniaki? I co z tego? A sweterek Luka widziałaś? O spodniach w kratkę nie wspomnę. Teraz faceci są inni, też chcą wyglądać, cieszymy się... Nie – oceniła stanowczym głosem, przyglądając się sąsiadowi, który właśnie kliknął pilotem w kierunku bramy. Coś tam w ustroju nie zadziało, Milioner zaczął więc nim z irytacją potrząsać. – Hetero. Na bank.

– Myślisz? Klombiki ma cholernie zadbane, od frontu we wzorki... A w zasadzie to dlaczego myśmy nawiązały stosunki sąsiedzkie tylko z Lukiem? – Drgnęła pod wpływem pewnej myśli. – Czeka, czeka, zaraz zobaczymy, czy zniewieściale macha rączką.

Misia nie zdążyła zaprotestować.

Zuza zerwała się z krzesła, z prędkością światła skoczyła do siatki i zawisała na niej całym swym popiersiem. Popiersie tkwiło w umazanym farbą kitelku i bujając się na ogrodzeniu, wyglądało w pełnym słońcu co najmniej apetycznie. W dodatku gdyby ktoś chciał teraz oceniać Zuzę po uśmiechu, nie posądziłby jej o intelekt, bo wyszczerzyła się szalenie głupawo. Ale czy facetom chodzi o znajomość Sokratesa albo rymów parzystych? O parowanie, owszem, jednak rymy i Sokrates są wręcz niewskazane, przynajmniej na początku. Nie ma to jak komunikat, że się jest dostępną idiotką.

Działa na osiemdziesiąt procent męskiej populacji.

– *Hello!* – Zuza wydarła się tak, jakby podejrzewała sąsiada o aparat słuchowy, przez co niemal spłoszyła gołębie w całej okolicy.

Milioner najpierw w osłupieniu przyjrzał się obrazkowi,

a potem zakłopotany jednak pomachał w odpowiedzi. Od razu stało się jasne, że jak najbardziej interesują go kobiety – nadział się wzrokiem na eksponowane przez Zuzę wdzięki i na dłuższą chwilę do nich przyrósł.

Znaczy się, reagował zgodnie z instrukcją obsługi.

– Witam sąsiada. Jestem Zuza, pomagam tej miłej pani, która jest właścicielką domu i moją przyjaciółką – oznajmiła już normalnym głosem, wskazując przy tym Misię. – Robimy mały remoncik, czy raczej kończymy przebudowę. I właśnie chodzi o płot. – Znowu dziabnęła siatkę biustem, a na twarzy Milionera niemal wyświetliło się ostrzeżenie, żeby uważała na sutki, bo kitelek był z lekka przyciasny.

– Dzień dobry – powiedział w końcu, jakby się zastanawiał, czy w ogóle przemówić, a głos miał niski, przyjemny, od którego wzdłuż kręgosłupa mogło przelecieć to i owo. Na przykład ciarki. – Witam panie. – Ukłonił się i tym razem zerknął w stronę prowizorycznego stolika.

Misia postanowiła więc zareagować. Tym bardziej że zza szkieł spoglądały oczy o zaskakująco orzechowej barwie.

– Tadeusz Zawadzki.

– Michalina Skoczy... To znaczy jestem już po rozwodzie – poprawiła się szybko, rejestrując, że pan Tadeusz z bliska wcale nie jest ohydniejszy. – Michalina... Zawadzka. – Ostatnie słowo wypowiedziała w prawdziwym zdumieniu. – Nosimy to samo nazwisko! Czy to przypadek?

Na taką wiadomość Zuza wreszcie odkleiła się od ogrodzenia, które faktycznie wymagało naprawy: kupując dom, zauważyły, że jakiś wandal przeciął siatkę niemal od góry do dołu, dzięki czemu na upartego można było swobodnie przechodzić na drugą stronę. Któregoś dnia pod

nieobecność właściciela rozważały nawet spontaniczny rekonosans, ale posiadłość wzbudzała respekt. A nuż, widelec rozwyje się na niej alarm?

– Góra z Górą się nie zejdzie, a Zawadzki z Zawadzką zawsze. – Zuza zaśmiała się perliście, żeby zachęcić pana Tadeusza do konwersacji, ale on najwyraźniej już nie potrzebował pomocy.

Czyżby miała z tym związek osoba Misi?

– To prawda, zbiegi okoliczności potrafią być czasem zaskakujące – stwierdził, odsłaniając w uśmiechu zęby, i jego twarz zmieniła się nagle z surowej w ładną, prawie chłopięcą. – Ale żeby odpowiedzieć na pani pytanie, musiałbym mieć więcej informacji. Nie sądzę jednak, żebyśmy byli... rodziną – zakończył znacząco i trzeba by być tępą ślepotą, żeby nie skojarzyć faktów.

Zuza skojarzyła.

– Tak, musimy porozmawiać, koniecznie. Nie tylko o płocie, ale choćby o drzewach genealogicznych. Ma pan ochotę na kawę? – Zachęcająco wskazała na sanki, a Misia zrobiła się cała czerwona.

– Pięknie dziękuję, ale wracam do pracy, wpadłem tylko po doku... – nie dokończył.

Z domu wybiegła Ryszarda i na ich widok stanęła w miejscu jak wryta.

Tym razem ze względu na panujące gorąco miała na sobie jedynie strój kąpielowy, fartuch Misi w brokuły i uciskowe podkolanówki, a jej szyję zdobiła jakaś wietnamska czy indyjska kolia. Wyglądała w niej jak w obroży dla pudła, bo na różowym pasku skóry ktoś poprzyklejał szkiełka, ćwieki i cekiny, aż się chciało zawołać „Do nogi!”.

– W końcu pan jest! – krzyknęła z radością, a pan

Tadeusz poruszył w przerażeniu brwiami.

Zdaje się, że nie był przygotowany na taką ilość folkloru.

– Jeszcze jedna sąsiadka?

– Jaka tam sąsiadka, to Riczarda – wyjaśniła z pobłażaniem Zuza, ciężko zastanawiając się, o co wariatce może chodzić. – Znaczy się, Ryszarda, ale Riczarda brzmi prawdziwiej, zaraz się pan przekona. I fakt, przez jakiś czas będzie się tu pasła... Czy tam mieszkała w domku dla gości – dokończyła z wyraźnym niesmakiem.

Tymczasem Ryszarda musiała lecieć do siatki na skrzydłach, gdyż od schodów do ogrodzenia było kilkanaście metrów, a zmaterializowała się przy nich w tempie błyskawicy. Jeśli jednak wziąć pod uwagę, że błyskawica poprzedza burzę...

– Pan jest TYM sąsiadem, o którym dziewczyny tyle opowiadały! – rzuciła w podziwieniu, a blask bił od niej taki, że gdyby organizowała przyjęcie w ogrodzie, mogłaby z powodzeniem rozpalać grilla. Bez podpałki. – Wreszcie mogę pana poznać, bardzo się cieszę, bardzo...

Pan Tadeusz zaśmiał się lekko zakłopotany, ale rola gwiazdy ulicy Akacyjowej zaczynała mu schlebiać, nie mogło być inaczej.

– Tak? Mam nadzieję, że nie poznała pani tych najgorszych historii. Że na przykład puszczam muzykę o trzeciej nad ranem.

Misia zamrugła w oszołomieniu oczami i wreszcie zrozumiała.

Ależ tu zaszła piramidalna pomyłka!

Jednak powstrzymanie Ryszardy wcale nie było takie proste. Tym bardziej w stanie emisji energetycznej.

I pomyśleć, że jeszcze niedawno głowiły się nad projektem oświetlenia ogrodowego...

– Pan jest wspaniały. Pan umie gotować i mówić po polsku! – Ryszarda nie ustawała w obdzielaniu sąsiada komplementami, które wprawdzie go dziwiły, ale wiadomo, próżność nie lubi pustki, każde brzdęknięcie to jednak dźwięk. Poza tym czynnik zaskoczenia też pewnie odegrał tu niemałą rolę.

Tyle że Zawadzki mówić w języku ojczystym mówił, może też nieźle gotował, po co się czepiać.

– Tak, to nasz sąsiad. – Misia starała się, jak mogła, żeby jednak nie pozbawić mężczyzny złudzeń, ale Ryszarda weszła jej w słowo.

– Bo ja wymyśliłam jedno danie – paplała w najlepsze, prezentując wysmarowane szminką siekacze, od czego Zuza dostała w środku szału. – Na początku nazwałam je tygiel różnaitości, ale zmieniłam na kociołek smakosza, bo ja się nazywam Kociołek. Ryszarda Kociołek. I koniecznie muszę to danie dla pana przyrządzić.

– Będę zaszczycony – wyjąkał pan Tadeusz.

Jednak czas zaczynał go naglić.

Dyskretnie spojrział na zegarek, co pomogło Zuzie podjąć decyzję.

– Czyli prezentację mamy za sobą – podsumowała i bezceremonialnie odciągnęła Ryszardę od płotu za majtki, rzucając mimochodem komentarz o seksturystyce. Spojrzała na Misie, po czym zapytała głosem słodziutkim jak różany lukier: – Skoro nie kawa, może da się pan namówić na kolację? Dziś o dwudziestej w restauracji znajomego. Tutaj, w parku, wjazd przy Telewizji Katowice. Tylko że knajpka na razie nie ma nazwy, dopiero powstała,

ale bardzo łatwo trafić. Wyjaśnimy koligacje rodzinne... Zawadzki i Zawadzka, to dopiero numer!



Hardy postawił sobie za punkt honoru nie spuszczać ręki z pulsu.

Mógł gnić za kratkami, ale życzył sobie dokładnie wiedzieć, co w trawie piszczy, zwłaszcza jeśli chodziło o jego własność. Na razie pani prokurator i inne gadziny skutecznie go blokowały i nie mógł użyć narzędzi finansowych, ale byłby ostatnim frajerem, gdyby nie przygotował się na taką ewentualność. Poza tym trochę wpływów jeszcze się miało i niektórzy pamiętali, za czyje pieniądze jedli chleb. Albo kupowali nieruchomości na Maderze.

Wystarczyło, żeby rzucił słowo.

Forsa dla Ryszardy by się znalazła, nawet w jeden dzień, oczywiście, ale niewdzięcznica zaczęła pyskować, postanowił ją więc przetrzymać. Dla zasady. W odpowiedzi rzuciła mu kilka gorzkich słów, nawet bredziła o rozstaniu, co samo w sobie nie było takie głupie (nowa pani prawnik miała niesamowite ciało), ale to powinno paść z jego ust.

Korzystać w latach prosperity potrafiła. Z kocmołucha z Siemianowic Śląskich zrobił kobietę światową, której niczego nie brakowało. Zabierał ją do najlepszych restauracji, woził po Kanarach, Egipcjach, obsypywał prezentami, i to jakimi! Dużo zainwestował w tę znajomość, o wiele za dużo, jak się okazuje. Jednego dnia potrafiła wydać na fatałaszkę kilkadziesiąt tysięcy, a dzisiaj co? Tylko narzekania i pretensje, choć to on siedział w ciupie...

Niewdzięczność.

Czarna niewdzięczność.

Czy mógł coś takiego tolerować?

Miotając się nerwowo po celi, zahaczył wzrokiem o lustro i humor mu się nieco poprawił. Przynajmniej tyle. Często na siebie patrzył, sprawiało mu przyjemność, że widzi teraz zupełnie innego człowieka niż ten wymuskany elegancik, który trafił tu dwa lata temu. Dwa lata... Żeby nie zwariować, bo największym problemem w pace był nadmiar wolnego czasu, zaczął ćwiczyć i w efekcie, trzeba przyznać, nigdy nie wyglądał lepiej.

Jednak wysiłek fizyczny wyrzeźbił nie tylko jego ciało – przy każdym tężejącym mięśniu czuł, że twardnieje też w środku, zupełnie jakby ktoś go wylał cementem. Zresztą zmianę było widać również na twarzy. Zestarzał się: w zmarszczkach przy ustach czaiła się gorycz, a gładkie dotąd czoło przecinała gruba bruzda. Pewnego dnia ogolił włosy; dawne niesforne kosmyki były dobre dla nieopierzonego pisklaka, a nie dla Hardego, który teraz w pełni zasługiwał na swój przydomek.

Nie będzie litości.

Z nudów obejrzał jakiś teleturniej, odczekał, aż zgasną światła, po czym włączył telefon. Że niby nie można mieć w areszcie telefonu? Wielu rzeczy nie można tu mieć.

Ale ci, którzy mogą, mają.

– Co tam? – rzucił niedbale na powitanie, choć zaczynało mu już być gorąco jak każdemu nadciśnieniowcowi, kiedy w krwi zaczyna krążyć adrenalina.

– Dobrze, że szef dzwoni. – W słuchawce usłyszał przejęty głos. – Sam miałem kręcić... Od paru dni nie spuszczałem z pani Ryszardy oka, tak jak szef kazał.

– I?

– Jest tak, jak mówiła. Wywalili ją z chaty. Komornik położył łapę na Wiklinowej.

– Kiedy?!

– Dzisiaj rano.

– Tak szybko? – Trochę się jednak zdziwił. – I co?

– Nic. Zainstalowała się u szefa byłej.

– U Misi?! O, proszę, proszę... A więc mamy dwa w jednym – wycedził przez zęby. – Dobra, a faceci? Kręci się przy niej jakiś fagas?

Już on tam swoje wiedział.

Baby zaczynają pokazywać humory z konkretnych powodów.

– Yyy... – Jego ludzie wciąż nie lubili przekazywać mu złych wieści. Dobrze, tak ma być.

– No? Mów!

– Dzisiaj w parku... Jakiś tam w krzakach był... – W głosie rozmówcy wyczytał niepewność. Czy raczej strach.

– Czyli miętoszyła się w krzakach?!

– Szefie, no były krzaki i był facet, nawet rajstopy zdejmowała...

– Uch! – Poczuł, że za chwilę eksploduje, więc nabrał powietrza i zmusił się, żeby nie ulegać emocjom.

Najpierw trzeba ustalić fakty.

– I co?!

– No, nie mogłem podejść za blisko. Przyszli osobno i tak samo wyszli. Może dla niepoznaki... Ale widziałem, że rozmawiali, a potem pani Rysia miała jakieś pretensje, zaczęła go gonić.

– Czyli jednak! – Zacisnął pięść. – Kłócili się?

Obcego się przecież po krzakah nie gania!

– Może i tak. Ja tam nie wiem, szczegółów nie słyszałem. Mówię, co mi się udało zobaczyć. Z daleka... I co teraz?

Dobre pytanie.

– Ile razy się z nim widziała?... Nazwisko masz? Adres?

– Szefie... To była jednorazowa akcja. Facet polazł między drzewa, pani Rysia na Akacjową. Nie miałem jak ustalić, za szybko się działo.

– Słuchaj – zaczął groźnie, ale w porę się zreflektował. Znaleźć nowego żołnierza, zwłaszcza w jego sytuacji, nie było łatwo. – Okej, robimy tak... Przystajesz łązić za Ryską, a bierzesz na warsztat klienta. Chcę go mieć podanego na tacy, rozumiesz? Nazwisko, adres, numer buta, konta, telefon mamusi... Chcę o nim wiedzieć wszystko. Wszystko! Daję ci dwa dni.

– Tak jest!

– Nie zawieźdź mnie... I pamiętaj, czas zapłaty przyjdzie szybciej, niż myślisz. Niż wszyscy myślą... Uruchamiamy plan B. – Podjął decyzję, nad którą zastanawiał się cały dzień.

– Plan D? – Matołek chyba nie dosłyszał.

– B jak baran... Plan B. Powtórz.

– Plan B.

– Zgadza się. Daj znać chłopakom.

– Tak jest!

Na myśl o wydarzeniach, które miały nastąpić, Hardy doznał ulgi. I jednak się uśmiechnął. Choć był to uśmiech jak ściana przy jego pryczy.

Wyjątkowo zimny.



Muchy i inne latające gadziny kochały Ryszardę nad życie, pewnie im, tak jak Henrykowi, ponętnie śmierdziała. Postawiły na żółty staniczek. Ochoczo go obsiadły, urządzając sobie na miseczkach C imprezę jak na opadłej z drzewa renklodzie, choć do przejrzałości złodziejce cudzych mężów było daleko; nie miała jeszcze trzydziestki, podła. Ale co się dziwić, jak facet zmienia obiekt, licznik bije w dół; trądzik w tym przypadku zawsze wygra z menopauzą.

Kiedy Ryszarda pozbyła się fartuszka i zademonstrowała okolicznej ludności swoje wdzięki (przynajmniej ta zakrzepica była dowodem na sprawiedliwość dziejową), w Zuzie aż się zagotowało.

– O, jakie ładne bikini – rzuciła znad „Urody Życia”. – Kolorek pod ząbki?...

Po przepysznym obiedzie nastał czas odpoczynku, co niektóre bezwstydnice zamierzały wykorzystać, wystawiając swoją skórę na działanie promieni słonecznych. Niech wystawiają, nawet jednorazowe oparzenie zwiększa prawdopodobieństwo czerniaka...

– Ale moje bikini nie jest białe – sprostowała naiwnie łajdaczka, rozkładając kocyk, na co Zuza tylko westchnęła.

Ryszarda postanowiła więc nie wnikać, w konfrontacji z przyjaciółką Misi zawsze miała poczucie przegranej, nawet jeśli udało jej się powiedzieć coś mądrego. Umościła się wygodnie nieopodal krzaków jaśminu, pod powiekami poczuła kojące ciepło i w zamyśleniu rzuciła:

– Jak się nie ma służby, nic nie jest na zawsze. Porządek nie jest na zawsze, bo ciągle trzeba sprzątać. Ogród nie jest na zawsze, bo trzeba wrywać chwasty i wrywać... Pranie, gotowanie... I jeśli naprawdę jesteśmy

zwierzętami, to bez sensu, że sprzątamy, chodzimy do pracy i się męczymy, bo zwierzęta nie pracują.

– Ale polują. – Misia zareagowała szybciej, niż pomyślała, a Zuza poczuła, że coś jej się w środku przemieszcza. Zapewne wątroba. – Chomiki chomikują, wiewiórki zbierają zapasy na zimę...

– Miśka, czy ty słyszysz, co mówisz? – przerwała jej brutalnie. – Jakie wiewiórki na Boga Ojca Wszchemogącego? Jakie chomiki?!

– Jesteśmy na łonie i jakoś tak mi się pomyślało – bąknęła Ryszarda, znowu czując się winna.

– Wiesz co, może lepiej zajmij się tym, co potrafisz – doradziła Zuza. – Nie myśl. Po prostu leż.

Ryszarda gwałtownie usiadła, a na jej twarzy odbiła się doznana krzywda. Misia również spojrzała z naganą i już szykowała się, żeby wziąć przyjaciółkę na stronę i natrzeć jej uszu, ale na Akacjową wjechała ciężarówka. W powietrzu zaburczało, a potem zapiszczały hamulce.

Zuzę tknęło, zresztą słusznie.

– Pani Michalina Zawadzka? – W szybie zobaczyły pyzată twarz zwieńczoną śmieszną czapeczką, ale facetowi jakoś nie było do śmiechu.

Zaniepokojona Misia podeszła do furtki. Zuza wraz z nią.

– Jest dla pani dostawa z Feminy. Jakies maszyny czy inne sprzęty...

Dobre sobie!

Umawiały się z właścicielem lokalu, że zabiorą urządzenia, ale przecież nie teraz. Aparaty do zabiegów, lampy, meble – wszystko zajmowało mnóstwo miejsca. Gdzie niby miały to trzymać? Między betoniarką a taczka z żwirem?!

– Ale jak to? – zapytała bezradnie Misia. – Ja nic nie wiem.

– Pani Zawadzka? – Chłopek domagał się odpowiedzi, a zyskawszy potwierdzenie, krzyknął na siedzącego obok kumpla: – Stasiu, chybniej no do bramy. Zaczynamy rozładunek!

– Jaki rozładunek?! – Zuza ruszyła z odsieczą. – Panowie nie słyszeli? Pani Zawadzka nic nie wie, a ja jestem jej współniczką. Umawialiśmy się z właścicielem, że nasze rzeczy mogą u niego stać. Do odwołania.

– Może i mogły, ale już nie stoją. Panie macie odwołanie, a ja zlecenie. – Chłopek wiedział swoje. – To gdzie panie sobie życzą? Chyba nie na ulicy? Stówka i się wniesie, gdzie trzeba...

Laser diodowy Light Sheer na ulicy?! Misia z Zuzą na takie barbarzyństwo aż zbladły, za wyposażenie salonu zapłaciły krocie. Wynajmujący, oszust parszywy, nie odbierał telefonu, a facet w czapce w ogóle nie dał się urobić, więc nie było wyjścia.

Salon Misi po pół godzinie zaczął przypominać salon, owszem, tyle że... kosmetyczny.

W każdym kącie stały teraz jeśli nie sprzęty, to fotele i łóżka zabiegowe, lampy, lampeczki, szafki i stoliki. Pyza była zachwycona – wszystko dokładnie obwąchiwała i pocierała pyszczkiem. Misia patrzyła wokół całkiem załamana.

– Makabra. I co teraz? Nie dość, że nie ma się gdzie ruszyć, to jeszcze nie zmrzę w nocy oka!

Ryszarda zatrzepotała seledynowymi powiekami.

– Czemu? Przecież śpisz na piętrze.

– Właśnie! Wiesz, ile to wszystko kosztowało? Sam laser

jest wart prawie dwieście tysięcy. A jeśli ktoś się tu włamie? – Odruchowo zerknęła przez okno, ale na Akacjowej trwało zwykle, leniwe popołudnie.

Słońce wygrzewało pstrokate klomby, ptaki ćwierkały, a na ulicy, zapewne z racji wściekłego upału, nie było żywej duszy – włamywaczy i innych bandytów również.

– Tutaj? – Zuza próbowała ją pocieszyć. – Przecież tu jest spokojnie, coś ty.

– Zboczeńcy w parku się nie liczą – dołożyła Ryszarda, dzięki czemu Misia już całkiem osłabła.

– O Boże! – jęknęła i bez sił klapnęła na krzeselko. Jedyne wolne w całym pomieszczeniu. – Jak nie...

– ...Ryszarda, to przemarsz wojsk pruskich – dokończyła Zuza, która już zaczynała odzyskiwać kontrolę nad sytuacją. Po chłodnej analizie nadszedł czas na działanie, przecież nie będzie tu z nimi histeryzować! – Musimy pomyśleć o jakimś alarmie. I to jak najszybciej.

– Ale ja jestem całkiem spłukana. – Misia była bliska płaczu.

– Wszystkie jesteśmy spłukane. – Zuza wzruszyła ramionami. – Czy ja powiedziałam, że tłuczemy skarbonkę? Myślmy, drogie panie, myślmy, to akurat nic nie kosztuje.

– Ja mogę mieć w nocy dyżur – zadeklarowała Ryszarda, dzięki czemu Zuza po raz pierwszy tego dnia spojrzała na nią inaczej niż na nosicielkę gronkowca.

– O, to jest pomysł. Ja cię też nie zostawię – zapewniła. – Dopóki czegoś nie wymyślimy, będę tu mieszkać. Oczywiście, jeśli mnie przyjmiesz. – Mrugnęła do Misi, która wreszcie zaczęła odzyskiwać równowagę.

– Jesteście wspaniałe – stwierdziła wzruszona. – Może

faktycznie nie będzie tak źle?

– Ba! – Zuza cmoknęła, włączając czajnik, bo jeśli coś może człowiekowi poprawić humor, to z pewnością kawa.

A jeśli kawa, to i małe co nieco.

– Masz coś słodkiego?

Misia zrobiła skruszoną minę.

– Zapomniałam kupić. Rano sprzątałam, przepraszam.

– Jakie przepraszam? – oburzyła się Zuza. – Ja powinnam kupić po drodze, ale egzamin... Dobra, skoczę do pani Halinki – zdecydowała i już pędziła do drzwi. – Tylko nie zaczynajcie beze mnie!

Jedyny sklep w okolicy mieścił się na górcie, na końcu ulicy Wschodniej, dokąd z Akacjowej było niecałe pięć minut drogi. Prowadziła go przemiła pani Halinka, z którą Misia zdążyła się już zaprzyjaźnić, a Zuza usiłowała, bo przekonywanie się do ludzi zwykle zabierało jej więcej czasu niż przyjaciółce na starcie kochającej cały świat.

Sklep pachniał jabłkami i kiszoną kapustą – plastikowe wiaderka pełne kwaśnego specjału stały na szerokim blacie wśród rozmaitych warzyw oraz koszy pełnych owoców. Pomidory, ogórki, truskawki... Zuze aż zakręciło w nosie od tej mieszanki zapachów. Gdyby nie to, że była po obiedzie, pewnie wyszłaby stąd z pełnymi torbami, a Pani Halinka jak na złość wystawiła na widok morele, które aż się śmiały, takie były złote i mięciutkie.

– Dżem z moreli to poezja – westchnęła Zuza na powitanie.

– A, dzień dobry. – Sprzedawczyni, niska i pulchna brunetka, była prawie zawsze uśmiechnięta, co udzielało się klientom. – Są jeszcze dwie skrzynki, jakby pani chciała. Policzę po cenie hurtowej – kuśiła.

– Hm... Ale Misia nie ma słoików – stwierdziła chyba tęsknym głosem, bo pani Halinka klasnęła w dłonie.

– Ale ja mam. I to pełno! Zapraszam na zaplecze. – Niemal siłą zaciągnęła ją do pakamery z tyłu sklepu, gdzie panował przyjemny chłodek.

Na niezliczonych półkach tłoczyły się tu najrozmaitsze towary, a kąt pod oknem zastawiały dwie olbrzymie lodówki pełne warzyw i nabiału. Zuzie zabłysło jednak oko na widok worka pełnego pustych puszek.

Skoro same musiały myśleć o alarmie...

– Pani Halinko, a te puszki – zaczęła nieśmiało, bo niezręcznie jej było nadużywać czyjejs dobroci. – Te puszki gromadzi pani w jakimś konkretnym celu?

– W jakim tam konkretnym... Po pijakach zbieram wokół sklepu, żeby się nie walały. Piwsko chlać potrafią, ale sprzątać to już ja muszę. Oddam komuś, bo można przecież do skupu, ale mnie się nie chce jeździć.

– A jakbym ja wzięła? Nie do skupu... Tylko mamy problem z bezpieczeństwem.

– Z bezpieczeństwem? – powtórzyła za Zuzą pani Halinka, ale nie żeby ciągnąć za język. Po prostu usiłowała zrozumieć związek.

– Ktoś przeciął siatkę. – Zuza uznała, że jednak obwieszczanie stanu posiadania Misi, nawet tak miłej osobie jak sklepowa, nie byłoby rozsądne, więc postanowiła inaczej rozłożyć akcenty. – To znaczy Misia już kupiła dom z takim ogrodzeniem, ale czujemy się jednak nieswojo... A wszystkie pieniądze poszły na wykończenie domu.

– Aha. I puszki...

– Trzeba by zmontować jakiś alarm. – Zuza oczami wyobraźni widziała już pewien obiecujący projekt. – Puszki

świetnie się sprawdzą!

Pani Halinka zachichotała.

– Kobiety to są jednak pomysłowe bestie. A ta siatka to od frontu?

– Na szczęście nie od frontu, tylko od pana Zawadzkiego, ale i tak musimy coś wykombinować, bo na podwórku leżą różne materiały budowlane i inne rzeczy. A właśnie... Pani go zna?

– Zawadzkiego? – Pani Halinka strzeliła okiem, zupełnie jak Misia.

Co by jednak nie mówić, jakaś prawidłowość w tych całych amorach była. Faceci w kryzysie wieku średniego porywają się na młódki, młódki wołają kasiastych i starszych, szalejące czterdziestki zaczynają się oglądać za studentami i po tym poznają, że zegar tyka.

A trzydziestki?

Trzydziestki nie wiedzą, co mają, i chciałyby więcej.

– Każdy zna Zawadzkiego – powiedziała pani Halinka. – Ma piękny dom.

– Chyba pałac – sprostowała Zuza. – Piękny. Opad szczęki normalnie. A on jest jakimś szejkiem czy prezesem wypasionej firmy, że go tak na wszystko stać?

– Prezesem. Excela, zdaje się. Czy czegoś innego komputerowego, ja się tam nie znam.

– A żona? – Zuza uważała, że skoro dzieli się informacjami, uczciwie będzie, jeśli je również otrzyma.

– Rozwiedziony. Dwukrotnie – dodała pani Halinka głosem tęsknym, jakby wykonywała w domu kultury jakiś kawałek poezji śpiewanej.

– Czyli obrotny facet. A nie wygląda... Małomówny, jakby go ktoś dwa tygodnie pod wodą trzymał. Dopiero dzisiaj się

przedstawił.

– Tak? Ale ja tam wolę subtelnych mężczyzn, co to się nie pchają...

– W sumie racja... Pani tu wszystkich zna? – zapytała Zuza.

– Osiem lat prowadzę sklep, więc czemu mam nie znać. Konkurencji na szczęście wcale...

– A ten człowiek, od którego Misia kupiła dom? To jakiś w porządku był?

– Bardzo w porządku. Ale ciągle spotykały go nieszczęścia. – Pani Halinka złożyła ze współczuciem ręce.

– A to kłopoty ze zdrowiem, a to z pieniędzmi i ten jego dom stał tak niedokończony. Mieszkali na parterze, góra została surowa. Coś tam dłubał, ale jak mu żona umarła, całkiem stracił zapał i dlatego wystawił na sprzedaż, a sam przeniósł się do córki. Dom stał pusty parę lat.

– Żona mu umarła? – Zuza poczuła na plecach dreszcz. Budowa budową, nawet ją to bawiło, ale duchy? Duchy to zupełnie inna para kaloszy. Tym bardziej teraz, kiedy będzie u Misi spać. – Ale że umarła w domu czy w szpitalu?

– Zawał. W ogrodzie.

Trochę to zmieniało postać rzeczy, ale i tak trudno po takiej informacji odzyskać humor. Zuza wołała więc nie dopytywać, gdzie dokładnie rozegrała się tragedia.

Siedzieć pod gruszą i widzieć zwłoki?!

Nie, oszczędzi Misi szczegółów tej rozmowy, po co ją dobijać. Dlatego podziękowała pani Halince, przełożyła morele i słoiki do reklamówek, oplątała worek z puszkami wokół ręki i poczłapała z powrotem do domu. W połowie drogi zaskoczył ją telefon.

Numer nieznany!

Rzuciła więc puszki i jakoś tak mimowolnie rozejrzała się wokół, bo co innego planować, a co innego wkraczać na drogę przestępstwa. Niby wciąż była na Wschodniej, ale otoczenie dziwnym trafem zaczęło nagle wyglądać jakby obco.

– Zuza Bączek, słucham – powiedziała do słuchawki dość niepewnie.

– Witam. Pani jest kursantką prawa jazdy u pana...

– U pana Darka – dokończyła, odnosząc wrażenie, że gdzieś już ten głos słyszała.

– Właśnie... Chciałaby pani o tym porozmawiać?

– Taak – zająknęła się, ponieważ rozmówca zakaszłał i ten kaszelek... Tak, to nikotynowe cherlanie, zażółcone palce i tłuste włosy. Czy to nie był ten patafian, Krzemiński?! Egzaminator, który oblał ją dziś rano! Boże, i czemu ona się cieszy, że na drodze przestępstwa spotyka znajomego? – Chyba tak.

– To tak czy chyba? Proszę się zdecydować, mój czas jest... cenny.

– Tak, oczywiście, że tak. Gdzie i kiedy?

– Jutro o szesnastej na parkingu pod Silesią. Będę w bordowej toyocie avensis, wejście od strony Saturna. Może być?

– Tak, jasne... A... Ile to będzie kosztowało? – pozwoliła sobie na pytanie, ale Krzemiński się rozłączył.

Wracała więc zamyślona.

Zanim jednak doszła na miejsce, już sobie wszystko poukładała, proces racjonalizacji zadziałał jak złoto i Zuza stanęła na Akacjowej nie jako przestępczyni pozbawiona kręgosłupa moralnego, ale jako kobieta zaradna, która bierze sprawy w swoje ręce.

– Da dam! – Wkroczyła do salonu, triumfalnie grzechocząc zdobyczą. – Mamy alarm, kobiety. Trzeba to oblać.

– W taki upał? – Misia nie podzieliła jej entuzjazmu. Ale za to morele obejrzała z prawdziwym zachwytem. – Oblejemy u Luka, dwudziesta niedługo.

– Kawą, kawą! – Zuza rzuciła owoce na blat i już trzaskała słoikami. – I musimy się spieszyć. Najpierw robimy alarm, a przed wyjściem trzeba wypestkować morele. Zasypujemy je na noc cukrem. Ruchy!



Piotrek Marchewka nie znał się na błyskotkach, ale pierścionek podobał się sprzedawczyni oraz dwóm paniom, które mu doradzały, bo miały drobne palce, tak jak Zuza. Całe szczęście, że nie został z tym sam, wszystkie te przesady dotyczące wyboru kamienia były przytłaczające. Perły nie – zwiastują łzy, opal – jeszcze gorzej, podobno przynosi nieszczęście. Ale rubin już tak, potrafi uchronić młodą parę od zdrady. Że niby kawałek szkiełka ma decydować, czy zostanie rogaczem? Zwariować można. A znowu cyrkonie tracą przedwcześnie blask. Jasne, najlepiej kupić diamenty, z nimi dziwnym trafem jakoś nic się nie dzieje... Kupiłby, czemu nie, dla Zuzy kupiłby wszystko, ale ostatnio trzymał w dłoni brylanty, kiedy udowodnił Hardemu kradzież. Na taki wydatek, póki co, nie było go stać.

Wybrał więc pierścionek z granatem.

Oczko mrugało wesoło czerwienią i przypominało kolor ust Zuzy.

Jedna z pań ostrzegła, że granaty oznaczają wybuchowy

związek, ale czy on nie wiedział, że wybuchowy? Pewnie, że wybuchowy. Jak się ma kobietę z temperamentem, to jaki ma być? Jak urlop w Ciechocinku? I bardzo dobrze, plus przyciąga minus, co jest podobno najlepszą z możliwych konfiguracji. Przynajmniej się uzupełniają: on, spokojny, potrzebuje energii Zuzy, z kolei jego żywiołowa partnerka trochę się przy nim wycisza. Bo na przykład dwa plusy gwarantują wieczne awantury, a już najgorzej, kiedy związek tworzy dwoje introwertyków. Minus i minus zwykle równa się depresja. Tyle jeśli chodzi o temperament, w kategoriach wartości już nie ma zmiłuj, plus musi spotkać się z plusem. Trudno razem żyć, jeśli człowiek na każdej płaszczyźnie życia ma inne priorytety. Cóż, może nie tylko kamienie dobiera się według klucza?

A pierścionek był śliczny.

Do kompletu kupił ogromny bukiet frezji (Zuza nie znosiła róż) i... pompę.

Niedużą, zębatkową, ale skoro miało być z pompą, będzie z pompą!

Marchewka wracał więc na komendę bardzo z siebie zadowolony i pełen nadziei, że dzisiejszy wieczór odmieni jego kawalerskie życie. Igła był myślami gdzieś daleko, ale to nawet lepiej. Trzeba ułożyć przemówienie, nie wręczy przecież Zuzie pierścionka ot tak. Będzie uroczyście, ale z humorem.

Tylko...

Gdzie ją zabrać?

Myślał o tym całą drogę do Chorzowa, myślał i myślał, ale nic nie wymyślił.

– Gdzie można zabrać kobietę? – zapytał więc Iglę, który w skupieniu jechał Wschodnią. Akacyjowa była na

obserwację zbyt krótka, od razu zostaliby zauważeni, za to sąsiednia ulica stwarzała możliwości. – Takie typowo kobiece miejsce... I żeby były fotele.

– Ginekolog? – rzucił Igła. – Poradnia K?

Usiłował zaparkować i właśnie analizował różne scenariusze, bo musieli tu spędzić kilka godzin. W końcu zdecydował się na podwórko przy jedynym w okolicy familoku. Powinno być dobrze.

– Jaki ginekolog, jaka poradnia...

– Ale co, ja mam ci nazwisko podać?! Nie za dużo ode mnie wymagasz?

– Jakie nazwisko... – Marchewka zgłupiał. – O knajpę mi chodzi. Żeby była elegancka czy tam romantyczna. I z miękkim do siedzenia... Do KATO jej przecież nie wezmę.

– To mów jak człowiek... Zabierasz Zuzę na randkę? Ale przecież miałeś z nią zerwać. A tu widzę kwiaty, knajpa...

– Igła zerknął znacząco na tylne siedzenie.

– Zerwać? Zuzia to jest najpiękniejsze, co mi się w życiu zdarzyło. Nie ma opcji.

Igła podrapał się po demonicznie przyciętej bródce i zrobił dość niewyraźną minę. On sam przesiadywał przy kieliszku dobrego wina w swojej kawalerce albo na piwie w Lornecie z Meduzą. Ale z romantycznych klimatów był tam tylko zapach w ubikacji – jaśmin z wanilią, jak głosił napis na pudełku.

– Via Toscana? – rozważał na głos. – Jeśli lubi włoskie jedzenie.

– Coś mi ostatnio mówiła o francuskim, niestety – zachnął się Marchewka, zerkając z frustracją na pobliskie wille. – Myślisz, że nasz chłoptaş jest w domu?

– Może przejdziemy na techniki kreatywne i się przekonamy – zaproponował Igła i już sięgał po telefon, kiedy komisarz zapuścił żurawia na ulicę, skamieniał, a następnie pociągnął go w dół, na podłogę. – Zuza!

Z górki schodziło właśnie dziarskim krokiem uosobienie wszelkich cnót odziane w błękitny kombinezon i olśniony tym widokiem Marchewka musiał przyznać, że Zuza nawet w roboczym stroju wyglądała jak Królowa Zstępująca z Niebios. Jej drobną buzią okalała aureola czarnych loków, kapryśne usteczka wygwizdywały jakąś melodyjkę (jednak na pewno nie pobożną), nosek...

Ileż słodczy w jednej małej osobie!

I tak kontemplując zajeżdżającą gumą wycieraczkę, Marchewka poczuł się niczym dziecicę z Lourdes niegodne całowania boskich szat. Jednocześnie rozplaszczony na przednim siedzeniu dostał takich skrzydeł, że aż dziw, że ich służbowy opel nie uniósł się w przestworza. Ale jedno było zastanawiające.

Puszki?...

Po co Zuza niosła tyle puszek?

– Dziwne. – Igła wyjrzał dyskretnie.

– Co?

– No wychyl się, głowy ci przecież nie urwie.

– Nie może nas zobaczyć! Czemu dziwne?

– Odebrała telefon, ale rozgląda się, jakby rozmawiała z bin Ladenem. Zamach terrorystyczny planuje w Spodku czy co?...

Rzeczywiście. Zarówno Marchewka, jak i Igła mowę ciała mieli opanowaną niczym rodzice siódemki dzieci, niektóre symptomy rejestrowali odruchowo. Zuza przystanęła na wprost nich, więc przy zachowaniu ostrożności mogli sobie

dokładnie wszystko obejrzeć. Nie zachowywała się naturalnie, niestety. Na dźwięk telefonu drgnęła przerażona, to raz. Dwa, odebrała z wahaniem i patrzyła wokół, jakby robiła coś mocno zabronionego.

A trochę ją znali.

– Dziwne – powtórzył za kumplem Marchewka, czując nagły ścisk serca.

– Może jakaś zła wiadomość? – zastanawiał się Igła. – Bo co innego? Przecież nie przyprawia ci rogów...

Komisarz na te słowa przysiadł na fotelu jak na złamanej gałęzi – skurczony i bez życia.

Może faktycznie ten rubin to nie był głupi pomysł?

– Piotrek. – Igła szturchnął go jak zawsze, kiedy chciał okazać wsparcie. – Pogieło cię? Przecież żartowałem!

Marchewka westchnął.

– A ty byś na Zuzę nie poleciał?! – Wskazał na bóstwo, które schylając się po zakupy, niemal skosiło biustem chabazie przy chodniku.

Igła aż wstrząsnęło.

– W życiu!

– Co, nie podoba się? – Marchewka już usiadł wygodnie. Zuzę skręciła w Akacjową i mogli teraz podziwiać jej biodra, wywijające na drodze energiczne esy floresy.

– Stary, podobać się podoba, ale co innego podobać, a co innego na kogoś lecieć.

– No! – zakończył Marchewka, po czym wrócił do swoich rozmyślań. – Może faktycznie jakaś wiadomość. Dzisiaj miała egzamin na prawo jazdy, pewnie znowu oblała.

– Ale o tym się wie od razu.

– Niby tak, ale za Zuzą nie trafisz. Ta kobieta jest poza wszelkimi bazami danych...



Dlaczego właściwie jest tak, że człowiek chce tego, czego nie może mieć?

Ryszarda, naturalna szatynka, zawsze chciała być blondynką, a kiedy zrobiła się na platynowy blond, spojrzała w lustro i stwierdziła, że wygląda jak biała kupa w żółtej trawie. Dosłownie. Zero charakteru. Przy jasnej karnacji zupełnie się w tych blondach rozmyła, wróciła więc do swojego koloru włosów, ale wciąż czuła niedosyt. Potem były różne fryzjerskie historie, jednak sprawdziła się dopiero Pure Paprika, czyli Bardzo Intensywna Miedź.

Tak, teraz rzucała się w oczy i lśniła.

Bo czy kobieta istnieje, jeśli na ulicy nikt nie zatrzyma się na jej widok jak zbaraniały?

Ale też Zuza wyglądała w kruczoczarnych włosach świetnie i Ryszardę zaczynało gnieść. Może już za długo chodziła w rudościach? Może, gdyby zmienić garderobę tak, żeby kolory podkreślały czerni – może wynikłoby z tego jakieś stylowe oszołomienie?

I jeszcze ta druga połówka...

Kiedy Ryszarda biegała do aresztu i widziała skwaszoną minę Hardego, a potem obserwowała, jak z przystojnego faceta zmienia się w nadętego mięśniaka, bardzo chciała być wolna. I udało się. Już jej nikt nie rozkazywał, mogła robić, co chciała. Tylko że znowu chciała...

Chciała być dla kogoś ważna.

To jak to jest? Zawsze będzie pragnęła czegoś przeciwnego, a jak już to dostanie, zamiast się cieszyć, zacznie myśleć o powrocie do tego, co było?

Nogi znowu zaczęły ją rwać, dlatego kiedy dziewczyny

poszły szukać sznurka (miał stanowić zasadniczy element systemu alarmowego), Ryszarda na chwilę położyła się na kocu i sięgnęła po „Urodę Życia”, ulubioną gazetę Zuzy. Dokładnie przestudiowała rubrykę MODA, ku jej zaskoczeniu materiał dobrano w niebanalny sposób, ale już informacji o życiu gwiazd nie znalazła. W rozczarowaniu przewróciła kilka kartek i tak jej uwagę przyciągnął intrygujący tytuł: *Zwolnij i... poczuj*. A potem przeczytała:

Każdy chciałby żyć świadomie, osiąść bezcenną umiejętność bycia „tu i teraz”, zamiast wybiegać w przyszłość czy tkwić w tym, co było. Tylko jak to zrobić? Znany psycholog biznesu udowadnia, że pomoże w tym MINDFULNESS, czyli rodzaj uważności. Trening można zacząć nawet od... zjedzenia rodzynek![\[1\]](#)

Od zjedzenia rodzynek?!

A może być morela?

Przejęta, przeczytała artykuł od deski do deski i poczuła ulgę. A więc to tak... Wystarczy po prostu raz na jakiś czas pooddychać albo zobaczyć, poczuć, posłuchać? Zachwycić się kwiatem, liściem? Dostrzec na nich żyłki, plamki...

Ryszarda spojrzała w głąb ogrodu i aż ją rozboleły oczy.

Czy szczęście jest koloru zielonego?

– Jak tam? – Nagle stanęła nad nią Zuza i czar prysł. W rękę trzymała kłęb sznurka, którym potrząsała jak jakąś upiorną peruką. – Wszystko w porządku?

Czyli jednak Zuza potrafi czasem przemówić ludzkim głosem.

– Tak, trochę mnie jeszcze bolą nogi, ale tak.

– Bo leżysz jak kilo schabu na ladzie – burknęła. –

Pomożesz rozplątać sznurek? Misia zaraz przyjdzie, przyrządza koktajl.

Jak Zuza to robiła?

W jej towarzystwie Ryszarda czuła się zwykle jak nędzna poczwarka, a zaraz potem Zuza rzucała jakimś cieplejszym słowem i poczwarka przeobrażała się w motyla. I tak na zmianę. Motyl, poczwarka; poczwarka, motyl. Bardzo męczące. Gdyby jej chociaż nie cierpiała, ale Zuza bywała złośliwa, irytująca i uparta, jednak trudno było znaleźć bardziej lojalną przyjaciółkę. Trochę Misi zazdrościła.

– Już pomagam. – Usiadła, gotowa rozplątać każdy węzeł, choćby gordyjski. – A domek dla gości... – zaczęła nieśmiało, bo przecież darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda. Chyba że koń przypomina osła. Domek był śliczny, już porozkładała swoje rzeczy, ale coś nie dawało jej spokoju.

– No?

– Bardzo ładny i... ustawny. – Plątała się. – Zasłonki, kwiatki, baaardzo... Tylko...

– Tylko co? Za mały dla takiej wielkiej osobowości?

– Nie, w sam raz. Tylko... Tylko coś w nim chrobocze.

Zuza zamarła.

– Jak: chrobocze?

– No, właśnie się zastanawiam. – Ryszardzie było głupio.

– To w sumie jakby na dachu szurało. Jakby ktoś chodził...

Nie przypuszczała, że Zuza tak się przejmie, naprawdę, może więc były szanse, że będą kiedyś ze sobą normalnie rozmawiać?

– Szurało? – powtórzyła, wydymając kształtne usta.

– Bo tak sobie leżałam, odpoczywałam i wtedy zaczęło. Dlatego wołałam tutaj – dokończyła zawstydzona

Ryszarda. – I trochę się boję, co będzie w nocy. Nie mówiłam Misi, jest dla mnie taka dobra...

– Słusznie, same to wyjaśnimy. – Zuza, jako kobieta czynu, już się otrząsnęła i zamaszystym krokiem ruszyła w głąb ogrodu. – I bez hysterii, pewnie to myszy harczą. Kupi się trutkę i będzie po krzyku. Gdzie drabina?

Drabina już stała oparta o klapę, Ryszarda sama próbowała sprawdzać, ale zerknęła raz i nie starczyło jej odwagi. Stryzek był bardzo ciemny, a takie chroboty i niewiadomego pochodzenia popiskiwanie bardzo źle się sprawdza w samotności, oj bardzo źle. W samotności w ogóle świat zmienia wymiar.

– W górnej szufladzie jest latarka, podasz? – Zuza rzuciła okiem na komodę i już wspinała się po szczeblach. – Co ci tu szura? – zawołała z góry, kiedy omiotła snopem światła każdy z kątów. – Tu nic nie ma. Szura jej! Jak ktoś jest szurnięty, to mu szura... – marudziła i Ryszardzie znowu nie wypadało zwrócić jej uwagi.

Bo przecież miała swoją godność.

Ale z drugiej strony była tu na łaskawym chlebie.

– Koniec z głupotami. – Zuza odstawiła drabinę. – Myszy, szczury albo korniki – padła diagnoza. – Albo wszystko naraz z akcentem na korniki, bo świń nie widać. Ale jak ci łono natury nie odpowiada...

– Nie, nie. Myszy albo korniki – przytaknęła pośpiesznie, starając się za wszelką cenę zapomnieć o szczurach. – Bardzo dziękuję.

– Na zdrowie. A Misi ani słowa, i tak ma dosyć problemów. Już, już, bierzemy się do pracy, nie ma co się zastanawiać nad życiem. Jak się za dużo myśli, to się wymyśla.

Kiedy wypily koktajl, Zuza powbijala w okolicach bramy stare tyczki do pomidorow, do ktorych mial byc uwiązany sznurek z puszkami. Z kolei puszki zamierzala wypełnić zelastwem, na przyklad jednogroszówkami. Jeśli ktoś wejdzie w nocy na podwórko, nie ma siły, zapłacze się w tę pajęczynę i narobi hałasu.

I o to chodzilo.

– Strasznie tego duzo – wyrazila opinie Misia, patrzac na trawnik, gdzie lezaly wszystkie potrzebne elementy.

– Dlatego ze bedzie kilka warstw. Czyli tak... Bierzemy puszke, odginamy blaszke i przeciągamy przez nią sznurek. – Zuza dokonala prezentacji. – A potem robimy supeł z jednej i z drugiej strony, zeby puszki nie latały jak w naszymniku. Muszą być odstępy. Jak skończymy, powiesimy na siatce i załozymy dopiero na noc. I co rano bedziemy sciagac, zeby cala ulica nie miala ubawu i zebyśmy mogły swobodnie chodzic.

– Skomplikowane – ocenila nieśmiało Ryszarda, choc pomysł bardzo jej się podobal.

– Skomplikowane to są losy bohaterów *M jak miłość* – odparowala Zuza. – Puszki, sznurek i kilka drobników, wielka mi komplikacja. Takiego patentu nie wymyslili jeszcze w zadnej agencji ochrony. Można? Można!... Szkoda tylko, ze nie mamy wiatrówki – dodala na zakonczenie, a w jej głosie zabrzmial smutek i Ryszarda się ucieszyła.

Znalazła rozwiązanie!

– Mam sztormiaczek, i to czarny.

– He?

Proszę, Zuza taka mądra, a nie wie, co to sztormiak.

– Taki rodzaj kurtki – wyjasnila. – Wiatrówki wlasnie. Ochroniarze zawsze chodzą w czarnych, więc bedzie super.

Tylko że nie wzięłam... Ale mogę jutro. Umówiłam się z komornikiem, że zabiorę osobiste rzeczy.

Zuza znowu wyglądała, jakby jej ktoś bez uprzedzenia ściągnął aparat ortodontyczny, za to Misia poczęstowała ją morelą i serdecznie się uśmiechnęła, kochana...

– Zuzie chodzi raczej o rodzaj pistoletu.

– Ale ja mam też pistolety! – Ryszarda nie widziała problemu.

– Jak to: pistolety?! – Tym razem wiadomość zelektryzowała obie przyjaciółki.

– No, przecież Hardy miał tego pełno...

– Ale mu zarekwirowali? – zapytała niepewnie Misia.

– Zarekwirowali. Ale nie wszystko. Zawsze mówił, że przy jednej dziurze... yyy... to i kot zdechnie. I jeden składzik się wziął i został.

– Się wziął i został – powtórzyła martwo Zuza, ale chwilę potem wrócił jej zwykły wigor. – A ten składzik... To jeszcze aktualny? Można tam wejść i... na przykład coś wypożyczyć? Żebyśmy się tu czuły bezpieczne. Bo puszki nas zaalarmują, ale potem co? Mamy łapać za grabie?

– Zuza! – Misia aż się zatrzęsła z oburzenia. – Chcesz mierzyć do ludzi z pistoletu?!

– Do złodziei, złodzieje to nie ludzie, tylko hieny. Owszem, chcę mierzyć. I co z tego? Mierzyć, nie: strzelać. Pomierzę, pomierzę i się przestraszą.

– Ewentualnie można załadować kilka ślepaków – podpowiedziała zachęcająco Ryszarda, na co Zuza uśmiechnęła się z wdzięcznością od ucha do ucha.

– Ty, kochana, to się jeszcze przy nas wyrobisz. – Klepnęła ją po ramieniu, co jednak bardziej przypominało wymierzony policzek niż wyraz sympatii. – Kto wie, może

nawet będą z ciebie ludzie.

Znowu to zrobiła.

Obraziła ją i poczęstowała komplementem jednocześnie. A jeśli już nadszedł czas, żeby się Zuzie postawić?

Ryszarda uniosła więc dumnie głowę i patrząc jej w oczy, zapytała:

– Co w ten sposób inseminujesz?



Parodia.

Autentyczna parodia, i to w biały dzień.

Zuza jednak miała za dużo spraw na głowie, żeby się przejmować jakąś niedouczoną bawolicą. Misia na dźwięk słowa „pistolet” dostała amoku i uspokojenie jej trochę trwało. Poza tym przed wyjściem musiały jeszcze wziąć prysznic i doprowadzić się do porządku. Nie mogły przecież pójść do francuskiej restauracji w trampkach i roboczych szmatach umazanych farbą. W dodatku Zuzę czekała wizyta na Zielonym Zaułku, chciała zabrać kilka rzeczy.

Alarm działał świetnie.

Pracowały w skupieniu równo pół godziny (Ryszarda w końcu się zamknęła, za to podejrzenie często patrzyła na hortensje i co chwilę zamykała oczy!), ale efekt... Przerósł ich najśmielsze oczekiwania. Po przeprowadzonej próbie musiały stwierdzić, że zaplątanie się w Beer Network – puszki były przecież w większości po piwie – nie mogło ująć niczyjej uwagi. Łomot szedł na Akacjową tak potężny, że chyba nawet przedobrzyły.

Ryszarda również.

Tuż przed dwudziestą pojawiła się w salonie ubrana w sukienkę będącą żywą reklamą kwiaciarni albo

spółdzielni wiejskiej, bo maków, tudzież pszenicznych kłosów na materiale nie brakowało. Po jej szyi i wylewającym się z dekoltu biuście wiły się jakieś liany, które były chyba rodzajem artystycznego naszyjnika, cholera wie. Pióra, kwiatki, listki – w całym tym łąkowym badzewiu brakowało tylko dojarki dla krów, taka Ryszarda była wiosenna i mleczna.

– Może być? – zapytała skromnie. – Za bardzo nie wiedziałam, jak się ubrać. Taka okazja...

– Łączę się z nią w bólu przez „u” otwarte – jęknęła na stronie Zuza.

Ryszarda, stojąc między aparatem do bioliftingu a fotelem hydraulicznym, wydzielała z siebie takie ilości samozachwyty, że trudno jej było odbierać złudzenia.

– Bardzo... oryginalna kreacja. – Misia chrząknęła. – Przynajmniej będziesz się wyróżniać.

– Dziękuję. – Dygnęła jak pensjonariuszka. – A będzie Francuz? – dopytywała.

– Oczywiście, przecież to jego lokal. Chociaż prowadzi go do spółki z mamą, ona jest szefem kuchni.

– Ale on też gotuje?

– Jasne. Ale jest również menadżerem. Musi wszystkiego pilnować i w ogóle ma tam masę obowiązków, więc wątpię, czy spędzi z nami cały wieczór – uprzedziła Misia, podchodząc do lustra w holu, z którego spozrzała blondynka uczesana w efektowny kok.

Blondynka była szczupła, miała drobną buzię i zabawny okrągły nos. Ale do biuściastości Ryszardy było jej daleko, co stwierdziła, omiatając krytycznym spojrzeniem wiadome rejony. Pinezki, nie piersi, tak z goryczą mawiała i zaraz psuł jej się od tego humor.

– Ślicznie wyglądasz. – Zuza stanęła obok. – Klasa. Tylko że bez polnych maków i wideł. Więc nie wiem, czy pan Zawadzki wytarza się z tobą w pszenicy.

– I bardzo dobrze – ucięła Misia, niby chłodno, ale twarz jej pojaśniała. – Skoncentruj się i pomóż mi zapanować nad Ryszardą, bo tam może dojść do gorszących scen. – Ściszyła głos. – Może jej wyjaśnimy, że pomyliła sąsiadów?

– Żeby było, że znowu coś inseminujemy?! Sama niech główkuje, przyda jej się gimnastyka umysłu... I widziałaś, co sobie zawiesiła na szyi? – przeżywała Zuza. – Co to są? Jakieś konary czy inny chrust? Nie idzie na ognisko, tylko na elegancką kolację, wieśniara.

– Zuza, mnie już tego przykro słuchać, naprawdę. Skończ wreszcie z tymi prześladowaniami...

– Ale ona się sama prosi!

– Ja też cię proszę, wyhamuj. To jest dobra dziewczyna, czy wszyscy muszą być tacy sami? A tak na marginesie, co znaczy insemi... – próbowała powtórzyć Misia.

– Inseminować? Sztucznie zapładniać. Na przykład wprowadzać nasienie buhaja w drogi rodne.

– O!

– Ale kobietom też się to robi. Podobno jest nawet skuteczniejsze niż in vitro.

– Ale chyba nie nasieniem buhaja?!

– No, wiesz, niektórym facetom do buhaja wcale niedaleko.

– Fakt... – przyznała Misia. – Inseminować! Ryszarda to ma jednak rozmach.

– Jak się nie ma obycia, dobry i rozmach – zakończyła Zuza, dając sygnał, że czas się zbierać. – Powiedz tej swojej Matce Naturze, że idziemy. Herbapol szuka twarzy syropu,

placą ziólkami na zatwardzenie...

Gdyby Zuza zerknęła chwilę wcześniej za drzwi, zauważyłaby Matkę Naturę, ale już nie radosną i całą w wiosennym kwieciu, tylko oklapłą i przygnębioną – z jej oczu można było wyczytać, że Ryszarda usłyszała więcej, niżby chciała, i zastanawia się właśnie, czy są jakieś ziółka na...

Brak serca.



Może dobrze, że już nie będzie mieszkać sama?

Misia, zamykając furtkę, jeszcze raz objęła spojrzeniem ich wspólne dzieło i nie mogła powstrzymać uśmiechu. Z Zużą i Ryszardą od razu poczuła się raźniej, chociaż ten prowizoryczny magazyn w salonie nie dawał jej spokoju. Jak to wszystko ogarnąć? Jeszcze rok temu nie byłoby sprawy, po prostu wynajęłaby fachowców, przebudowę i wykończenie zrobiłoby się raz dwa, a na firmę w kilka dni znalazłaby inny lokal, choćby przez biuro nieruchomości. Żaden problem. Tak, rok temu sytuacja wyglądała inaczej, ale dzisiaj pozostawało jej nie upadać na duchu i kombinować.

Bo w zasadzie w krótkim czasie została bez pracy, domu i bez faceta.

Dobrze, może trochę dramatyzuje. Ma gdzie mieszkać, prace budowlane po prostu się przedłużą, a co do Feminy, na pewno coś wspólnie wymyślą, w końcu są dwie. Albo i trzy.

Tylko Igła...

Tak naprawdę wcale nie chciał się tu przeprowadzać. Widział, że cieszy się domem, i nie chciał jej sprawić

przykrości, ale Igła to nie były jakieś odgrzewane kluchy. Jeśli mu na czymś zależało, zwyczajnie po to sięgał, a jeśli na daną rzecz nie miał ochoty, nie przekonałby go do niej nawet dowódca generalnych sił zbrojnych, a co dopiero ona. Ludzie dzielą się na takich, którzy mają pazur, i na takich, co obgryzają paznokcie. I nie było wątpliwości, że Misia należy do tej ostatniej grupy.

Wszystko było w porządku, dopóki nie zamieszkała na Akacjowej. Taka wspaniała lokalizacja: park, ogród, czyste powietrze, a dookoła mili sąsiedzi. Ale Igła stwierdził, że to jej miejsce, ponieważ przed kupnem nawet nie spytała go o zdanie. Nie spytała, ponieważ chciała mu zrobić niespodziankę. Tyle rozmawiali o wspólnym kącie, a teraz Igle się odmieniło, zupełnie nie potrafiła tego pojąć.

Może wcale nie byli dwójką kochających się ludzi?

Może byli parą, w której tylko ona kochała – i jak zwykle w swojej szczerości została wystawiona do wiatru? Bo nie kaprysiła, nie robiła idiotycznych awantur z byle powodu i przede wszystkim: nie wymagała. Przecież wiadomo, że jak się taki nie napoci, nie nagłowi, to nie będzie sobie cenił. Narzekają, oczywiście, że narzekają, że kobietę trudno zrozumieć, ale jak przyjdzie co do czego, kobietę niekonfliktową i myślącą logicznie traktują jak kumpla.

I jak tu szlifować charakter?

Świetnie, Luk zaprosił je na dzisiejszy wieczór, może najwyższy czas się zresetować? Obowiązki, kłopoty – ostatnio im więcej myślała, tym częściej odnosiła wrażenie, że dochodzi do granicy wytrzymałości, bo że każdy, nawet Dalajlama, ma swój poziom, powyżej którego mu wywala korki, to fakt.

Podobnie jak ze zbieraniem chrustu.

Ktoś idzie i podnosi gałązkę. Jedna gałązka, co tam gałązka, za wiele nie waży, więc się zbiera i zbiera, a że wszystko trwa w czasie, człowiek nie czuje ciężaru, choć przygnieciony nim ledwo powłóczy nogami. Dopiero jak się ten ciężar zrzuci...

Tak, Misia miała sporo do zrzucenia; inni rzucali czym popadło, na bieżąco, i byli zdrowsi.

Napije się więc z Lukiem wina.

Jak kumpel z kumplem.

Lokal mieścił się zaraz przy wjeździe do Planetarium i każdy, kto dotarł do parku z tej strony, musiał go minąć – chyba że wcześniej skręcił przy mostku w prawo, w drogę prowadzącą do ich osiedla.

Spacerkiem doszły więc na miejsce w dziesięć minut.

– Ojej! – Ryszarda na widok zabudowań przystanęła i odezwała się po raz pierwszy, odkąd wyszły z domu. – To prawdziwa restauracja...

Cokolwiek miało to znaczyć, budynek wyglądał jak żywcem wyjęty z krajobrazu śródziemnomorskiego. Parterowy, obudowany kamieniem, z wielkimi półkolistymi oknami, wybornie komponował się z nacierającą zewsząd zielenią. I już tutaj, na mostku, dobiegł je wspaniały zapach cebulki i pieczonego chleba, najlepszy znak, że właśnie przygotowywano kolację.

I to nie byle jaką!

– *Coq au vin*. – Misi zrobiło się błogo, bo Luk znał się na kuchni jak mało kto i każda wizyta w jego królestwie była niezapomnianym przeżyciem. Tego właśnie potrzebowała. – Uratowani!

– Cook to gotować, prawda? – błysnęła Ryszarda, którą ktoś nagle jakby przyspieszył. Wydarła do przodu i nie

zważając na ich towarzystwo, pierwsza wpakowała się do lokalu.

– Oho, jest i jaguar. – Zuza zerknęła na parking. – Dobrze, wybornie... Luk potrafi określić rocznik każdego starego wina.

– On nie jest stary, jest dojrzały.

– Dojrzały? Niech ci będzie, na serach nasz Francuz też się zna.

I gadaj tu z taką!

Pan Zawadzki wcale nie jest stary, po czterdziestce czas płynie inaczej, poza tym od takiego mężczyzny można się wiele nauczyć, i to dopiero frajda. Taki nie musi sobie niczego definiować, bo na niektórych definicjach zjadł zęby. Oczywiście Zuza w tym miejscu wyskoczyłaby z komentarzem o sztucznej szczęce, ale ona potrafi wszystko spłyć. Dojrzały mężczyźni wcale nie są płytki i jeszcze: o ile kobiety tracą w tym wieku na atrakcyjności, oni wręcz przeciwnie. Choć to niesprawiedliwe, dopiero wtedy stają się interesujący. Seks nie pada im już na mózg i nagle się okazuje, że buzia może służyć również do rozmowy. Fascynująca odmiana...

Swoją drogą, ciekawe, czy dla pana Zawadzkiego jędzowatość także jest synonimem prawdziwej kobiecości?

Tuż za progiem przywitał je ich ulubiony kelner i zaprowadził do stolika przy kominku – wszystkie krzeselka w ogródku były już zajęte, ale może to i dobrze, zbliżała się noc, a wiatr jakby się dopiero ocknął: zaczął dąć, gwizdać i świszczec, aż z zewnątrz dochodziło skrzypienie drzew i szum targanych wiatrem liści. Zmiana pogody dokonała się tak nagle, że w powietrzu zapachniało burzą. Ale burzą oczekiwaną, więc wśród klientów

restauracji zapanowało przyjemne ożywienie.

– Proszę powiedzieć panu Lukowi, że przyszliśmy – zarządziła Zuza, lustrując salę. – Gdzie on się podziewa?

– Pewnie w kuchni – odpowiedziała Ryszarda, a Misia również zaczęła wyciągać szyję.

Pan Zawadzki musiał tu gdzieś być, ale lokal składał się z dwóch pomieszczeń pod wieczór niemal w całości wypełnionych gośćmi – fama o kuchni Luka i jego mamy rozeszła się już po okolicy i restauracja miała pełne obłożenie.

– Z przystawek polecamy carpaccio z wołowiny bazadais z Akwitanii. – Kelner uklonił się przy wręczaniu karty. – To nazwa zastrzeżona dla jednego z najbardziej luksusowych mięs na świecie.

Misia z rozkoszy aż przymknęła powieki.

Chwilo trwaj!

Czy to nie zrządzenie losu, że Luk przyjechał z Francji i zatrzymał się właśnie w Katowicach? Co prawda zrządzenie było z pochodzenia Polką i wyjechało z kraju we wczesnych latach siedemdziesiątych (dlatego imię Luka zostało spolszczone), a potem wyszło za żabojada, ale fakt pozostał faktem: miały niesamowitego fuksa.

Mama Luka jednak niekoniecznie, to znaczy teraz, bo przez ostatnie czterdzieści lat żyło jej się za granicą całkiem dobrze. Sielankę przerwała dopiero śmierć męża, a że rodzicielka za Polską tęskniła pół życia, postanowiła wrócić. Syn przyjechał z matką, ponieważ tyle się nasłuchał o tej krainie mlekiem i miodem płynącej, że zapragnął ustalić, czy opowieści są prawdziwe.

– Weź carpaccio – doradziła Zuza Ryszardzie, która popatrywała na nią dziwnie rozzalona. – Jest doskonałe!

– A wy?

– My już próbowałyśmy, nie chcemy puścić Luka z torbami. Za często tu jemy, a on nie pozwala płacić.

– To ja też zamówię coś innego – zdecydowała Ryszarda i spróbowała się uśmiechnąć, co wypadłoby blado, gdyby nie szminka na siekaczach. – Chyba nie lubię surowego mięsa.

– Mamy szeroki wybór pieczystego – zagulgotał ucieszony kelner, starając się zbytnio nie lustrować klientki wzrokiem, chociaż jego mina mówiła, że liany z popiersia... Tak, liany jako element dekoracyjny świetnie sprawdziłyby się na komunijnym stole.

– Ojej! Faktycznie macie tu niezły wybór. Pieczyste? Zamawiam w takim razie... Udko daniela. – Ryszarda rozplynęła się już w pełnym uśmiechu, a kelner dla odmiany ścierpł. – Nigdy nie jadłam, a to chyba egzotyczne. Dostanę do tego ziemniaczki?

Zuza w pierwszej chwili nie skojarzyła, ale widząc przerażone spojrzenie Misi, zerknęła do karty i zabrakło jej słów.

Menu otwierało starannie wykaligrafowane zdanie:

Daniela Utko poleca.



„Macie tu niezłe żarcie”.

ŻARCIE?!

Jak można w ten sposób mówić o jedzeniu?

To przecież zupełnie trzeba nie mieć kultury albo... trzeba być Polakiem!

Luk jeszcze nie doszedł do siebie, po tym, jak usłyszał „słowa pochwały” z ust, pożałował się Boże, klienta i wciąż żałował, że puścił go wolno. We Francji kmiotek urągający

tradycji kulinarnej zostałby publicznie napiętnowany, ale w Polsce? W Polsce popija się obiad deserem! W życiu czegoś takiego nie widział. Bo czym jest kompot? No, przecież owocami gotowanymi w cukrze. Jak można?! Posiłek powinno się popijać specjalnie dobranym winem, które ma za zadanie wydobyć z potrawy maksimum smaku; po daniu głównym z kolei próbuje się serów, a deser i kawa znajdują się w tej kulinarnej chronologii na końcu. Ktoś to przecież wymyślił, ułożył, mając na uwadze nie tylko kulturę spożycia, ale i zdrowie.

Barbarzyńcy, po prostu barbarzyńcy!

Czarny gastronomiczny ląd pośrodku Europy...

A Pascal Brodnicki i Michel Moran piali z zachwytu nad polską kuchnią, ale co się dziwić. Jak się występuje w telewizji, trudno pluć na polskie pieniądze. Jasne, w wielu punktach się z nimi zgadzał, odkrył tu naprawdę niezwykle smaki, ale, spryciarze, celowo eksponowali tylko zalety, dyplomatycznie nie wytykali Polakom ich wielkich brzuchów i zatrwających nawyków żywieniowych. A przydałoby się niektórym powiedzieć kilka słów prawdy.

Oczywiście, *maman* ostrzegła, że tutejsza kuchnia jest specyficzna, że będzie się musiał przyzwyczaić do kwaśnego, wędzonego, duszonego... Oj, tak. Bigos, żurek i pierogi uwielbiał, zwłaszcza te ostatnie podbiły jego serce, zresztą *la cuisine régionale* to chluba narodu, ale żeby wyborne, tradycyjne dania podlewać kompotem?! Skandal! I w sumie już nie wiedział, co przeraża go bardziej: kompot czy czarna herbata, bo Polacy wręcz kąpali się w herbacie, która, wypijana w tak zastraszających ilościach, musiała być szkodliwa.

Wszystko na odwrót.

To, co we Francji uważano za zdrowe, na przykład wodę z kranu, tu było nie do pomyślenia. Kiedy po przyjeździe chciał wypić szklaneczkę, *maman* wyrwała mu ją z okrzykiem „Chlorowana!”. Co to jest chlorowana, nie wiedział, ale szybko pojął, że wypicie kranówki równa się w tym kraju zamachowi na życie.

A sosy?

Jakie w ogóle sosy?! Te mączne papy absolutnie nie zasługiwały na zaszczytne miano sosów. Na szczęście jego *saucier* to rozumiał, choć był Ślązakiem (Luk podejrzewał jednak, że chłopak musiał mieć francuskiego przodka, tak wyśmienitego sosu porto do *tournedos à la Rossini* nie jadł nigdy wcześniej).

Można by też wiele mówić o tym, jak w kraju kiszzonego ogórka zabija się smak mięsa (duszą i duszą, smażą i smażą, aż na dnie garnka zostaje twarde, żałośnie pokurczone truchło!), ale Luk nie chciał się już denerwować. Nic nie oburzało go bardziej niż brak kulinarnej wyobraźni, poza tym kelner właśnie mu przekazał, że dotarły Zuza z Misią.

– Z paniami jest ktoś jeszcze. Jakaś ich znajoma – dodał półgębkiem. – Ale niech szef się nie unosi.

– Co nosi?

Polski to straszliwie dziwny język. I trudny do opanowania. Choć Luk i tak sporo rozumiał, bo mama była w tej kwestii niewzruszona: w domu wciąż mówiła po polsku, zapisała go też do polskiej szkoły, gdzie jednak wytrzymał tylko dwa semestry. Z mówieniem wciąż miał więc spore kłopoty.

– Nie nosi, tylko niech szef się nie denerwuje. Bez nerwów... Nie chciała wina ani przystawki – wyznał ze

skruchą.

– Proponowasz ty? – Przyparł pracownika do blatu.

Otwierając restaurację, postanowił uczyć Polaków kultury jedzenia. W związku z tym przeszkolił cały personel i czuwał, żeby obsługa delikatnie naprowadzała klientów na właściwe rozwiązania. Kropla draży skałę, może po dziesięciu latach ci barbarzyńcy przestaną mylić vegetę z winegretem.

– Proponowasz, ale... – bronił się kelner.

– Co: ale?! Proponować, mówić, rada dać!

– Kiedy ona... Pani szefowo! – wezwał na ratunek *maman*. – Tu też chodzi o panią!

– Co się dzieje?

Wtedy usłyszeli coś zadziwiającego.

– Pani Danielo, odstąpi pani klientce swoje udo? – zapytał niby poważnym tonem kelner.

– Udo? Wykluczone. – *Maman* otarła z czoła pot, mieli tu dzisiaj niezłe zamieszanie. – Ale prawą rękę jak najbardziej, chyba sobie nadwyreżyłam – stwierdziła wesoło znad garnka, w którym pykała aromatyczna zupa rybna. – Pewnie na zmianę pogody. A co?

Kelner zachichotał i pokazał na salę.

– Bo mamy taką jedną, stolik przy kominku, ruda, która poprosiła o... Udko daniela!

Przez chwilę w kuchni panowała konsternacja (on też musiał połączyć słowa, ach ten polski), ale *maman* to była kobieta o imponującym poczuciu humoru. Ten, kto systematyzował typy inteligencji, chyba o tej kategorii zapomniał, ale Luk uważał, że dystans do siebie stawia człowieka oczko wyżej od kogoś, kto może i jest błyskotliwy, ale śmiertelnie poważny.

Tu musiał przyznać Polakom zaszczytne miejsce na podium.

Potrafili się śmiać, nawet ze swoich wad.

– Nie! – zapiała z zachwytu *maman*. – Poważnie?! Muszę to zobaczyć.

Wytarła ręce w fartuch i dawaj, pognąła na salę.

Reszta personelu za nią.



Zuza stwierdziła, że zaczyna się chyba przyzwyczajając.

Obserwowanie Ryszardy dostarczało tak różnorodnego i obszernego materiału do studiowania ludzkiej natury, że gdyby dostała etat na wydziale psychologii, jak nic zrobiłaby na niej profesurę. „Psychospołeczne komponenty nieprzystosowania a poziom edukacji wczesnoszkolnej”.

– Ojej! Faktycznie macie tu niezły wybór – stwierdziła znad karty Ryszarda, robiąc obrzydliwie lepki dzióbek. – Pieczyste? Zamawiam w takim razie... Udko daniela. Nigdy nie jadłam, a to chyba egzotyczne. Dostanę do tego ziemniaczki?

Kelner zdębiał, Zuza również.

Oczywiście Misia, wcielenie subtelności, próbowała jakoś Ryszardę odwieść od jej „pomysłu”, zamiast jasno i wyraźnie zakomunikować, że ktoś tu jest niedorozwinięty.

Ale najgorsze miało dopiero nadejść.

– A może najpierw podadzą nam aperitif i przystawkę, a potem się zastanowimy? – Misia wzniosła się na wyżyny dyplomacji, bo znała Luka. Był świetnym kumplem, dobrym sąsiadem, ale jeśli chodziło o kuchnię, dostawał fioła. Jeśli zauważy, a zauważy, że ktoś tu łamie *cadre*,

marny ich los.

– Aperitif? – Ryszarda ujęła jedną z lian i zaczęła tym badylem zmysłowo wywijać. Jednocześnie z jej maźniętych zieleńią oczu wyjrzała taka tęsknota za rozumem, że Zuza spodziewała się, że zaraz padnie coś w stylu: „Aperitif? To na wątrobę? Nie, dziękuję, wolę Raphacholin”.

– Jesteś w restauracji – upomniała ją więc, chcąc wesprzeć przyjaciółkę. – A nie w barze szybkiej obsługi, gdzie wrzucisz na ruszt kebaba, chlapniesz musztardą, keczupem i gotowe. Tu się celebryści posiłki. I zamawia dania w odpowiedniej kolejności. To właśnie próbujemy ci zasugerować.

– Dobrze, już dobrze. Tylko... Nie mam za co celebrować – bąknęła ledwie słyszalnym głosem i Zuzie zrobiło się wstyd. – Dlatego poprosiłam o udko.

Fakt, Ryszarda zawarła ostatnio bliską znajomość z komornikiem, a ona się nad nią znęca, mistrzyni empatii, naprawdę... Dziewczyna straciła wszystko, a że jest sprawna inaczej, co począć. Człowiek strzela, a Pan Bóg kule i plemniki nosi.

Zuza więc cichutko westchnęła, wymieniła się spojrzeniem z Misią i podjęła próbę ratowania wieczoru. Łatwo jej to nie przyszło, ale jakąś trzeźwość w ocenie sytuacji wypadało zachować. Trochę Ryszardzie ostatnio dokuczwała, to „trochę” trwało nawet dwa lata, ale niezmiernie irytowało ją, że ktoś może przejąć cudzego męża, a potem dossać się do jego żony jak najlepsza przyjaciółka. A przecież to ona była najlepszą przyjaciółką.

Co z tego, że przyjaciółką odrobinę... zazdrosną?

– Ale nie ma mowy, jesteś naszym gościem. – Trzepnęła Ryszardę serdecznie po łopatce, aż jedna z lian niemal

wybiła jej oko. – Zamawiaj, co chcesz, tu jest tyle pyszności, że grzech nie spróbować. W ogóle się nie krępuj.

– Ale, ale... – Ryszardę zatkało, chyba ze wzruszenia i zakłopotania jednocześnie.

– Żadnego ale. – Misia również się dołączyła. – Zapraszamy.

– Ale wy też jesteście na skraju...

– Tak, na skraju wytrzymałości nerwowej – dokończyła półgłosem Zuza. – I z tego daniela jednak zrezygnuj, akurat daniela mają tu cholernie żylaste. Nie polecam.

– Słucham? – Z boku padło pytanie, w którym dały się słyszeć nuty rozbawienia, i Zuza aż podskoczyła na krześle.

Pani Daniela!

Mamę Luka pokochały z Misią od pierwszego razu, zresztą nie były w tym odosobnione, ich entuzjazm podzielało pół Francji i cały Górny Śląsk. Bo niektórzy mają serce nie tylko na dłoni, ale na policzkach, ustach, wszędzie; bije nawet zaplątane w srebrnych włosach. Od pani Danieli promieniowały uśmiech i mądrość, co nadawało jej postaci ponadczasowego uroku. Kiedy się patrzyło w jej błękitne, ukryte pośród zmarszczek oczy, trudno było zaprzeczyć, że świat jest wyjątkowym miejscem, ale kiedy ktoś poznał mamę Luka bliżej, wiedział, że świat jest również miejscem uporządkowanym. Pani Daniela mieściła w sobie takie pokłady energii, że jej dom, jej kuchnia, jej... syn, wszystko musiało chodzić jak w zegarku. Chyba dlatego ich sąsiad, choć szczerze wielbiący *maman*, wolał jednak mieszkać sam.

Ale matka i syn pracowali razem, kuchnia nadawała ich życiu wspólny sens.

– Pani Daniela! – Zuza i Misia zerwały się z miejsc, żeby

uściskać właścicielkę.

Ryszarda tymczasem siedziała przyczajona wśród lian, nie wiedząc za bardzo, co się dzieje, i czemu nagle na sali znaleźli się ci wszyscy ludzie w fartuchach.

– To nasza... – Misia zawahała się podczas prezentacji. – To nasza Ryszarda – powiedziała po prostu.

– Bardzo mi miło. Daniela Utko, szefowa kuchni i mama Luka. – Pani Daniela wyciągnęła swoją malutką dłoń, spoglądając przenikliwie rudowłosej w oczy. – Czy pani zamawiała którąś z moich apetycznych nóg? – zapytała, śmiejąc się zaraźliwie i już nikt nie musiał niczego tłumaczyć.

Nawet Ryszardzie – wreszcie pojęła!

W jej teoretycznie szarych komórkach doszło do zwarcia, neurony wreszcie zliczyły impulsy, przekazały info dalej i Ryszarda już szykowała się do ekspiacji, kiedy na scenie pojawił się ktoś jeszcze.

Luk.

Stanął w drzwiach kuchni niczym szeryf lustrujący wzrokiem saloon. W czarnych spodniach na kant, białej bluzie i opasce na włosach zastępującej czapkę kucharską wyglądał dosyć groźnie, zupełnie inaczej niż kiedy wpadał do nich wieczorem na kieliszek naleweczki.

Tyle że Ryszarda nie okazała kucharzowi należnej czci.

Najpierw znieruchomiała, potem na chwilę się zapowietrzyła, żeby wreszcie wykrzyczeć, ile miała sił w piersiach:

– Zboczeniec! To jest ten facet, który chciał mnie zgwałcić w parku! To on!

Uśmiech natychmiast zszedł z oblicza pani Danieli.

– Jaki zboczeniec? Kto?! Co ty, dziecko, mówisz?!

– Zboczeniec! – Ryszarda przeszła na pełne uruchomienie. Poczerwieniała i zerwała się z krzesła, a kłęby podskakujących z oburzenia badyli wraz z nią. Nie przestawała też wymachiwać paluchem, który dźgał powietrze, ale nie pozostawiał wątpliwości, kto został właśnie namaszczonej na parkowego zwyrodnialca.

Kuchenny szeryf poczuł się dla odmiany jak lew wygoniony na scenę Colosseum, bo najpierw się cofnął i przyczaił, a potem szerokim susem skoczył do przodu.

I zaczął ryczeć:

– Wariata, głupia baba!

– Ja, głupia?! – Zuza z Misią po raz pierwszy miały okazję zobaczyć Ryszardę w stanie pełnej furii i dopiero ten obrazek pomógł im zrozumieć, jak sobie radziła z Hardym.

– Chcesz ze mną zrobić wariatkę, tak?! Policja! – wrzeszczała. – Ja tego tak nie zostawię! Panie Luk, pomocy! Panie Luuuk!

Tu już wszyscy oniemieli, ponieważ Ryszarda złowiła okiem podchodzącego do baru mężczyznę w okularach.

– Panie Luk, proszę wezwać policję! Proszę mi pomóc!

Pan Zawadzki, bo to o niego chodziło, wydawał się tak samo zaskoczony jak reszta widzów.

– Ja? – zapytał niczym wezwany do tablicy dzieciak, rejestrując, że już nie ma nikogo, kto patrzyłby w swój talerz.

– Panie Luk! – W głosie Ryszardy zabrzmiała taka rozpacz, że trudno ją było zignorować.

– Witam. – Podszedł wyraźnie spłoszony, ale nawet w takiej chwili nie zapomniał o dobrych manierach. – Tadeusz Zawadzki – przedstawił się pani Danieli i reszcie personelu. – Czy mogę zapytać, co się tu dzieje?



Piotrek Marchewka i Igła wiedzieli jedno.

Jak się chce wygrać z przestępcą, trzeba czasem schować białe rękawiczki i założyć rękawice bokserskie. A co się tam potem naskrobie w raporcie, to już inna sprawa. Gdyby zawsze działali zgodnie z wytycznymi, gdyby czekali na nakazy, świstki, kwitki, bandyci śmialiby się im w twarz, a w tym środowisku trudno o coś gorszego niż brak szacunku. Więc bywało różnie. Nie rozpamiętywali swoich wycieczek po obrzeżach prawa, ale jeśli chcieli być skuteczni, musieli sobie radzić. Jak choćby teraz. Akacyjowa to była paskudnie sterylna i krótka ulica – ileż mogliby się po niej plątać w charakterze pijaczków? Mieszkańcy zaraz by się zainteresowali, nie wspominając o tym, że Zuza z Misią by ich wytropiły i tak długo suszyły głowy, aż wynikłaby z tego jakaś osobista tragedia.

Założyli więc na rozdzielni elektrycznej, dokładnie na wprost domu Misi, dwie kamerki.

Niby nielegalnie, ale kto by się o takiej drobnostce dowiedział?

Dzięki temu, siedząc wygodnie w aucie, widzieli nie tylko obserwowany dom, ale i posesję, na której urzędowały ich wybranki. A właśnie – urzędowały to właściwe słowo, bo kotłowało się na tym podwórku i kotłowało. Jak w Silesii podczas letniej wyprzedaży.

– Co one wyprawiają? – Marchewka usiłował cokolwiek pojąć z oglądanej sceny, jednak kobieca kreatywność zawsze go przerastała.

– Coś dłubią z tymi puszkami. Szkoda, że nie można zbliżyć – westchnął Igła. – Piotrek, a czy to nie...

Ryszarda?! – Nachylił się do laptopa, którego usiłował zainstalować pomiędzy kierownicą a szybą, bo, skubaniec, trzymany na kolanach prawie zagotował mu materiał genetyczny.

Urządzenie nie imponowało jakością, program do przesyłania obrazu również, więc trudno było jednoznacznie ocenić sytuację, ale latająca po ogrodzie baba do złudzenia przypominała kochankę Hardego.

– No, chyba Ryszarda. Ale czemu u Misi?

– Wymyśliła sobie, że są psiapsiółkami czy coś. Czasem do nas... To znaczy – uściślił Igła – do Misi przychodzi. Nie wiem, nie znam się, zarobiony jestem.

– Ale że sobie wymyśliła, bo sobie wymyśliła, czy faktycznie się przyjaźnią? – dociekał Marchewka. – Bo Hardy niby w areszcie, ale kto wie, jak się akcja rozwinie. Można by Ryszardę o niego wypytać.

– Hardy głupi nie jest, każdemu mówi co innego. Nie łudź się, poza tym to, co powie Ryszardzie, to jedno, a co ona z tego zrozumie i jaką wersję puści dalej, to... Piąte przez dziesiąte.

Marchewka nie mógł się ze swoim przyjacielem nie zgodzić.

– Taaa... Umysł kobiety. Setka zakładek w Google, jednocześnie otwartych. A w każdej działa dźwięk. Znasz to?

Igła zarechotał, atmosfera wytworzyła się przyjemna, więc pogadali jeszcze chwilę, a potem czas płynął spokojnie, obraz mrugał i śnieżył, wydedukowali więc, że dziewczyny... robią na podwórku jakiś tor przeszkód.

– Może się będą odchudzać? – myślał na głos Igła, licząc na inwencję kumpla. – Bo co to ma być?

– Zuza rozważała kiedyś połknięcie jaj tasiemca – wyznał niechętnie Marchewka. – Więc jeśli chodzi o diety cud, uwierzę we wszystko. Ale nam się trafiły pomysłowe Dobromiry...

Inne przeznaczenie konstrukcji, która powstawała na ich oczach, jakoś nie przyszło im do głowy. Zresztą szybko musieli się zastanawiać nad czym innym. Ich połowice najpierw z zapalem porozwieszały wzdłuż siatki zwoje sznurka z pobrzękującymi puszkami, później zniknęły wewnątrz domu i po czterdziestu minutach... wyszły odstawione jak na odpust w Gidlach.

– A to jest ciekawe – mruknął ukochany Misi, przyglądając się swojej dziewczynie, która w zwiewnej sukience w groszki wyglądała zjawiskowo. – Dla mnie się już tak nie stroi. Słuchaj, ty się tak rwiesz do wspólnego mieszkania i rwiesz...

– No?

– ...i nie boisz się, że ci Zuza zakręci kurek?

– Ale że... Że co? – Marchewka doskonale wiedział, co Igła miał na myśli, ale rozmawianie w taki sposób o Zuzie wydało mu się mało eleganckie.

– Dostęp, że ci odetnie. Nie boisz się?

– Aaa... niby dlaczego?

– Mieszkałeś kiedyś z kobietą?

– Pomieszkiwałem.

– A, no właśnie! Pomieszkiwałeś. – Igła machnął lekceważąco ręką. – Ale jak mieszkasz, to się pewne sprawy kończą. Taka kolej rzeczy, co zrobić. Nie mówię, że od razu. Ale tak kapią, kapią, potem jesteś spragniony, a tu nagle studnia zasypana, a na górze tylko śmieci i glina. Nawet nie wiesz kiedy. Zanim się dogrzebiesz, zanim

przekopiesz przez tony pizam, dresów, podkoszulek, choć na początku spała goła, to zapal mija...

Marchewka spojrzał na niego tak współczującym wzrokiem, że Ięła zaczął się tłumaczyć.

– Nie, mnie i Misi to jeszcze nie dotyczy. Ale... Skąd mam wiedzieć, co będzie dalej? Już to przerabiałem. Na początku seks pełną parą, potem lata lecą i jest wspólne mieszkanie, gotowanie, pranie, sprzątanie i... spanie. Tylko spanie. Dużo spania. Bez kochania... Dobra, idziemy – uciął, bo gromadka wyfiokowanych pań wróciła na podwórko. – Wychodzą od drugiej strony, bramą. A naszego kołesia nie ma w domu – powiedział tak sugestywnym głosem, że komisarz stwierdził, że musi swojemu partnerowi zaufać.

Nic tu po nich.

Za to kobietom nie zaszkodzi dyskretna eskorta.



Ale się zrobiła afera.

Zuza dawno nie uczestniczyła w wydarzeniach zakrojonych na tak szeroką skalę – zanim dopuszczono do głosu wzburzonego Luka, zanim Ryszarda zrozumiała, co naprawdę wydarzyło się w parku, gdy usiłowała poprawić rajstopki, a także kiedy oficjalnie przedstawiono przy stole pana Zawadzkiego, upłynęło sporo wina w kieliszkach. Na szczęście wino było wyborne i w zasadniczy sposób odmieniło przebieg wieczoru.

– Muszę się przewietrzyć – zakomunikowała Zuza, po czym ruszyła na tyły restauracji, gdzie znajdowały się drzwi z widokiem na park.

To był dobry pomysł.

Wokół pachniało ziemią, wiatr szalał wśród gałęzi, gwał je

i rozgarniał, ale docierał i tutaj: owiewał Zużę chłodnym powietrzem, aż poczuła się rzeška, świeża i zrelaksowana.

– Ale kasiańska – usłyszała za sobą.

– Kaszanka – poprawiła odruchowo Luka, który też chyba potrzebował tlenu.

Stanął za nią i dmuchnął jej w szyję, co pewnie miało zastąpić powitanie.

– Kaszanka – powtórzył i jednak się roześmiał, choć Zuza myślała, że to już dzisiaj nie nastąpi. – Wieczór pełnego wrażenia mam. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Wszystkie mamy.

– Tak, Ryszarda to gwarancja niezapomnianych chwil – potwierdziła z miną cierpiętnicy. – Będzie u nas mieszkała, więc emocji nam nie zabraknie.

– Gdzie mieszkała?!

– Wdarła się do Misi.

– Darła? Darła papiera znam. – Luk szukał na głos właściwych skojarzeń. – Drzeć papierka?

– Nie, he, he. Wdarła się, czyli wprosiła. Mieszka teraz u Misi. Ja zresztą też – dodała Zuza.

– Ta wariata Ryszarda i wszystkie na Akacjowa? – W końcu zrozumiał. – Wszystkie trzy kobieta? *Oh, mon Dieu!* Ale ja nie jestem boczeniec – zapewnił raz jeszcze. – To znaczy lubiam seks, ale nie dla siła i przestępca. Wszystko wykrcęiła.

Zuza parsknęła śmiechem, ale mogła sobie pozwolić na parskania i chichoty, Luk nie należał do ludzi przewrażliwionych na swoim punkcie.

– Przestępca to niedługo będę ja – próbowała go uspokoić, ale Francuz doskonale wyczuwał wszelkie nastroje. Teraz też zastrzygł uszami.

A Zuza znowu zaczynała się zastanawiać, czy podejmuje właściwą decyzję.

– Dzisiaj oblałam egzamin na prawo jazdy – wyjaśniła, widząc jego spojrzenie.

– Którego zraza? – Luk znał temat, pani Daniela również próbowała zdobyć w tym samym czasie prawo jazdy, tyle że podchodziła do egzaminu zaledwie kilka, nie kilkanaście razy!

I jednak była starsza.

– Dwunastego. Dwanaście razy nie zdałam. To jest normalnie żenuacja! – Znowu się uniosła.

– Żenua? – Puścił do niej oko.

– Żenua jak jasna cholera. Tylko że to przestaje być śmieszne... W związku z czym musiałam podjąć kroki.

Luk próbował parodiować spacer, ale doczekał się jedynie ciężkiego westchnienia.

– Poważnie mówię. Mogę się pożegnać z oficjalnym prawkiem, nie zdam. A nie mogę cię przecież ciągle wykorzystywać.

– Wykorzystywać mnie, wykorzystywać. Nie ma problem, wykorzystywać – zapewnił. – Tylko w nasze miejsca.

– Jesteś wspaniały. – Zuza rozczuliła się, bo miała być za co Lukowi wdzięczna.

Oj, miała...

– Owszem – przytaknął z zadowoleniem. – Wspaniały. Dobrze mówisz. Jeszcze mówisz, jeszcze...

– Nie wiem, jak to możliwe, że mnie tak dobrze rozumiesz, skoro nie rozumiesz... Więc tylko tobie powiem – zdecydowała, rozglądając się wokół, ponieważ jednak tajemnice mają to do siebie, że najbardziej smakują, kiedy można się nimi dzielić. – Luk, ale nikomu ani słowa.

Nikommu, obiecujesz?

– Obiecowałam. Znowu bez słowa!

– Misi też nie mów, żebyś mnie czasem nie sypnął...
Kupuję lewe prawo jazdy – oznajmiła, nachylając się do Francuza w największej konspiracji.

– Lewe? – Luk wyciągnął przed siebie najpierw jedną, później drugą rękę i udawał, że im się z zapalem przygląda.

– LEWE PRAWO jazdy.

– Nie w tym sensie. Lewe, czyli... – Szukała odpowiedniego skojarzenia. – Oszustwo, kradzież, przestępstwo. Rozumiesz? Policja, więzienie, sąd, krzesło elektryczne i brak pianki do włosów.

Luk w końcu spowaźniał, pod przesadą Zuzy wyczuł poważniejszą troskę.

– Policja, tak, rozumieć. Ty oszukiwasz. Ale jak to w Polska może być, nie wiem. Opowiadaj. Jak prawo jazdy oszukiwasz?

– Zapłacę komu trzeba i po sprawie. Normalnie.

– Normalnie? – dopytywał i Zuza zauważyła, że komuś tu w ciemnościach rozbłysły oczy. – Czyli to szybko, prosto i ja też mogę?

– Też chcesz kupić prawo jazdy?! – powtórzyła z niedowierzaniem, bo pomysł wydał jej się dość karkołomny. Francuz i lewe dokumenty! Jednak czegoś tu nie rozumiała. – Przecież ty masz prawko, więc o co chodzi?

– Papier ja mam. Ale *maman* nie...

– A, to takie buty! – Dopiero teraz pojęła. – Chcesz kupić prawo jazdy dla mamy?

– Opowiadasz, ja wymyślam.

– Czyli zastanawiasz się?

– Wystanawiam, wymyślam, pomyślam. Ach, polski... Wy, zy, prze, do... Gubiam się.

– Spoko. – Zuza wymierzyła mu kuksańca; rozmówki polsko-francuskie z Lukiem niezmiernie ją bawiły. – Zasada jest prosta. Płacę egzaminatorowi, po cichu, on bierze kasę i przymyka oko na egzaminie. Przepuszcza, znaczy się.

– Prze, wy, zy... – Luk znowu złapał się za głowę.

– Zdaję. Wystarczy? Dostaję prawo jazdy. Prawdziwe.

– No, a krzesło elektrikey?

– Przecież taki egzaminator też ryzykuje. I to jest moja gwarancja. Nie jestem jedyna, która to załatwia – próbowała przekonywać, zdaje się, także samą siebie. – Kumasz?

Luk poznał już dzięki Zuzie sporo słów ze słownika kolokwializmów, więc potwierdził.

– Rozumiem.

– Poważnie nad tym myślisz? A co na to pani Daniela? – zaciekała się Zuza, ale Luk nawet nie musiał odpowiadać.

Na jego twarzy malowało się dorodne zmieszanie.

Czyli Francuzik chciał dogodzić pani Danieli bez jej wiedzy.

– Nie, nie, *maman* nic. Nic nie wie i będzie nie wiedzieć. Ale ona też: nie zdam, nie udawam się, za staram... Bezpieczne to?

– Tak mi się wydaje.

Luk nagle się spiał i stanowczo oznajmił:

– *Maman* musi się mieć prawo jazdy. Musi. Jak najmocno szybko, bardzo szybko. A w Polsce wolno, mocno wolno wszystko chodzi.

– Ale dlaczego musi mieć? Przecież ty masz prawo jazdy i wszędzie ją wozisz.

– Zuza... – Luk nawet nie zwrócił uwagi na jej ostatnie słowa. Wyglądał na przejętego. – Zrobisz dla mnie? Ty i ja lewe dla *maman*? Proszę... Pieniądza bez roli, nie ma kłopoty z pieniądze, ja płacić wszystko, ciebie też. Tylko nic nie mówisz się dla *maman*, dobrze?

– Spokojnie – usiłowała go hamować, bo im bardziej nacierał Luk, tym mocniej dał wiatr, aż nad koronami drzew pokazała się błyszcząca żyłka błyskawicy, po której niebo pękło od grzmotu. Że Luk za wszystko płaci?! – Zaraz będzie burza jak marzenie – oceniła. – Czyli co? Mam załatwiać prawko również dla pani Danieli?

– *Oui!* – przytaknął z takim entuzjazmem, że zsunęła mu się z włosów opaska i przez chwilę wyglądał jak pirat. – I pieniędzy nie myśl, wiem, ty i Misia bankrut. Ja wszystko płaca.

Zuza jeszcze się wahała, ale rozmawiała przecież z mężczyzną. Po co szukać drugiego i trzeciego dna, skoro stoi po kostki w kałuży? Francuz czy Polak, nieważne. Jeśli facet mówi, że zapłaci, to zapłaci, i to nie jest problem.

– Jesteś pewien?

– Pewien. A co patrzasz na mojego auto ciągle się tak? – Uśmiechnął się zachęcająco, gdyż Zuza faktycznie od pewnego czasu popatrywała to na kotłujące się niebo, to na dostawcze renault, którym Luk przewoził ryby i mięso.

Tak sobie właśnie myślała uwolniona w cudowny sposób od troski finansowej...

Skoro pogoda psuła się z chwili na chwilę, na ulicach nie powinno być tłoku. I nikt nie spostrzeże, że pewna miłośniczka czterech kółek bryluje sztuką prowadzenia

pojazdu. Właśnie na tym polegał układ z Lukiem. Sąsiad najpierw sprawdził jej umiejętności, potem rzecz jasna nabrał zaufania, a od czasu do czasu pozwalał Zuzie zaszaleć i w tajemnicy przed wszystkimi udostępniał swój samochód. Dostawczaka! Nie żadne tam niskopodłogowe barachło, które mogło się rozwalić od byle stuknięcia, ale prawdziwą blaszaną gadzinę. Z chłodnią! Siedząc na miejscu kierowcy, oglądało się okolicę jak z tarasu widokowego i trudno było to uczucie do czegokolwiek porównać, choć Zuza mogła jeździć tylko w określonych miejscach.

Tak, dostawczaki.

Tylko dostawczaki, a potem może nawet ciężarówki?

Bo przecież po zdobyciu prawa jazdy ani myślała kupować jakiejś drobnicy.

W życiu!

– Wiesz co, muszę zabrać od siebie parę rzeczy. Ciężkich rzeczy... Przecież to nie w centrum, tylko przy osiedlu Tysiąclecia. I jakbyś powiedział Misi, że poszłam na spacer...

Luk w odpowiedzi wyciągnął z kieszeni klucze i zadzwonił nimi w powietrzu, na co Zuza skoczyła przed siebie jak kotka na tłustą spyrkę.

Z wdzięczności posłała Lukowi buziaka.

– Za godzinę będę z powrotem. Czuję od ciebie pietruszkę – zachichotała.

Ale ledwie wypowiedziała te słowa, z krzaków przy parkingu wyskoczył... Marchewka.

Pełen warzywnych pretensji.

– To tak wygląda sprawa?! Dlatego nie chciałaś ślubu, tak?! – Nawet tu, z dala od lampy, widać było, że jest

czerwony jak burak i że ledwie brakuje mu tchu. – A ja się wygłupiam z pompą! – Tuż pod nogami Zuzy wylądowało rzucone przez Marchewkę jakieś plastikowe ustrojstwo, na tyle ciężkie, że jeszcze centymetr, a zniszczyłoby jej sandałka i jednak miarka się przebrała. – To jak tak, jak ty się po ciemku migdalisz z Francuzami, jak Polaka zdradzasz na zapleczu, to nie myśl, że ja jestem taki ostatni naiwny!

– No, wychodzi na to, że chyba jesteś – usiłowała wtrącić, bo tylko człowiek naiwny osądza innych po pozorach.

Jednak w ten sposób jeszcze bardziej pogorszyła sytuację.

Piotrek, jej spokojny Piotrek, w jednej chwili zapiekł się w złości tak, że wyglądał niczym grillowana papryka.

– Słuchaj... – stwierdził nagle, zupełnie tracąc siły i tym razem Zuza odniosła wrażenie, jakby ktoś dla odmiany rzucił na stół selera.

Bładego, pomarszczonego i zimnego.

Ileż jeszcze będzie trwać ten Festiwal Witamin Prosto z Grządki?!

Ledwie za Marchewką nadażała.

– Czy ty się możesz ogarnąć?! Albo uspokoić?

– Właśnie się ogarniam, szkoda tylko, że tak późno... To jednak bez sensu – stwierdził pustym głosem. – Nie będę już więcej dla ciebie przeszkodą, bo pewnie jestem od dawna. Te klucze... Na pewno nie dostałaś ich po raz pierwszy. „Tylko nasze miejsca, jesteś wspaniały, nikomu ani słowa” – cytował w rozgoryczeniu. – Żegnaj, Zuza. Tak będzie najlepiej. Może Pan... Pisuar? To chyba z francuskiego?... Może Pan Pisuar da ci więcej szczęścia, choć – zawiesił na Luku wzrok. – Bardzo wątpię... *Bon voyage!*



Niebo raz za razem rozcinały błyskawice, w górze dudniło tak, jakby ktoś obłożył cały park blachą falistą i z uporem walił w nią młotkiem. Ryszarda odruchowo skuliła się na krzeselku, ale zaraz dumnie rozpostarła pierś; co tam błyskawice.

Największa burza przetaczała się w niej.

Czuła się tak podle, była tak wyprowadzona z równowagi, że kiedy przy stole zostali już tylko Misia i pan Zawadzki, wymknęła się na zewnątrz i usiadła pod parasolem, sama ze swoim smutkiem, chłostana podmuchami bezlitosnego wiatru.

Wieśniara.

A więc tak o niej mówią.

Jakaś przytomna myśl podpowiadała, że jednak nie wszyscy, przecież te niesprawiedliwie słowa padły z ust tylko jednej osoby, ale w stanie wzburzenia trudno być przytomną. Przed chwilą znowu się popisała, grono osób uważających ją za idiotkę wzrosło do kilkudziesięciu – zdaje się, że tyle miejsc liczyła restauracja – i Ryszarda na nowo wpadła w otchłań rozpaczy.

– A co sobie tak siedzisz? – Drzwi lokalu zaskrzypiały i na taras weszła pani Utko, mama... Luka.

Usiadła na sąsiednim krześle, wystawiając twarz do wiatru, który tylko czekał na takie zaproszenie – zaraz rzucił się jej między włosy i po chwili pani Utko również wyglądała jak najprawdziwsze czupiradło. Jednak wcale jej to nie przeszkadzało, Ryszarda odniosła nawet wrażenie, że ta miła pani znajduje w tym jakąś osobliwą przyjemność.

– Siedzę i myślę, że jestem nienormalna – palnęła więc,

ponieważ dokładnie tak uważała.

Pani Utko zaśmiała się, ale nie było w tym ani grama kpiny.

– Czyli należysz do elity. Trzeba się cieszyć.

Co ona wygadywała?

– Nie bardzo rozumiem.

– To proste. Kto stanowi większość?

– Ale...

– Właśnie, przyjęło się, że większość stanowią ci... normalni, chociaż to słowo ujęłabym w cudzysłów. Bo co to znaczy być normalnym? Każdy ma jakieś odbicia, odchylenia, mniej lub bardziej zdiagnozowane czy tam świadome – przemawiała życzliwym głosem pani Utko i Ryszardzie zaczęło być dziwnie.

Dziwnie, ale lepiej, a przecież przed chwilą zmieszała jej syna z błotem!

– Eee...

– I co, chcesz być przeciętna? – zapytała, potrząsając srebrną grzywką, a później musnęła piórka w jej naszyjniku, które łopotały na wietrze jak szalone. – Nie wierzę.

– Jakby się tak zastanowić...

Gdzie przeciętna, absolutnie nie chciała być przeciętna!

Do tej pory była zwykłą sekretarką czy tam asystentką, ale pragnęła projektować, tworzyć kolekcje, prowokować, ubierać największe sławy, błyszczeć.

– Tylko to się wiąże z pewnymi kosztami – uprzedziła pani Utko. – Bo większość panicznie boi się inności, nie rozumie jej i za wszelką cenę będzie cię próbowała ściągnąć z powrotem na ziemię; czyli do swojego poziomu. A ty chyba... Masz artystyczną duszę?

Ryszarda oniemiała.

Właśnie ktoś zupełnie obcy uświadomił jej w kilku słowach tyle ważnych rzeczy, i to bez wymądrzania się, bez sprawiania, że czuła się nic niewarta. I jakie ta mama Luka miała przenikliwe oczy. W tych oczach było tyle zrozumienia, akceptacji, że dawno nie czuła się tak...

Dobrze ze sobą.

Taką, jaką była.

Więc w ciągu pół godziny opowiedziała pani Utko historię swojego życia, nie szczędząc nawet tak kompromitujących szczegółów jak odbicie Misi męża.

Skończyła na podsłuchanej w holu rozmowie.

– I... i... ja zawsze jestem gorsza – zakończyła, walcząc z bólem, który dławił ją w gardle.

– Po pierwsze, jesteś tym, kim się czujesz. – Pani Utko pogroziła jej dobrotliwie palcem. – Do siebie i o sobie zawsze należy mówić z szacunkiem, żeby inni brali przykład. Obowiązkowo! A Zuza – westchnęła – to nie jest zła osoba. Tylko... czasem psuje się jej optyka i widzi zaledwie dwa kolory. Czarny i biały, nic pomiędzy. A życie... Życie łączy w sobie wiele barw.

– Tak, kolory są kapitalne! Ja używam dużo kolorów.

Pani Utko poklepała ją po dłoni i Ryszarda zrozumiała różnicę.

Tak dotykała jej mama.

– Dziecinko, a ty podobno będziesz teraz mieszkać u Misi?

– Na razie tak, dopóki moja sytuacja... Dopóki wszystko się nie wyjaśni. Ale się wyjaśni, już nawet mam plan! – zapewniła gorąco.

– To dobrze – powiedziała w zamyśleniu pani Daniela,

obejmując wzrokiem jej twarz, jednak Ryszarda miała wrażenie, jakby zaglądała głębiej. Znacznie głębiej, ale bez wsadzania łap i bez grzebania. – A co byś powiedziała na domowe konfitury i świeżą bagietkę? – kusił pani Utko. – Zapraszam cię w takim razie na jutrzejszy podwieczorek. Na Akacjową. Mam wolne, obiecałam wpaść do Luka i coś upichcić. Tak, wiem, on sam potrafi gotować, ale nie o to chodzi. Muszę czasem o niego zadbać, jemu ogromnie brakuje Francji...

Ryszarda poczuła, że wraz z pierwszymi strugami deszczu dopada ją na przemian to radość, to panika.

– Pani Danielo, bardzo chętnie przyjdę, tylko... Wolałabym bez pani syna, mnie jest tak strasznie głupio...

– Kochanie, Luk to nie jest pamiętliwy chłopak, chyba że mowa o gotowaniu, wtedy faktycznie budzi się nim bestia. Ale do jutra mu przejdzie, spokojna głowa, poza tym będzie w pracy. A my sobie zrobimy ucztę i porozmawiamy o... kolorach. Bo ja bym miała pewien pomysł, żebyś się już nie czuła gorsza. To co, przyjmiesz zaproszenie?



Postanowiły wracać, pomimo szalejącej ulewy.

Misia co prawda dobrze się bawiła, zdążyła już nawet przejść na ty z Tadkiem, ale Zuza z Ryszardą były dziwnie markotne. Luk też minął ich stolik ponury, w połowie wieczoru nieoczekiwanie zdjął swój mundurek szefa kuchni i pożegnał się, więc z propozycją odwiezienia ich w strugach deszczu na Akacjową wyszedł sąsiad zza płotu.

Jak to jednak dobrze mieć pod ręką kulturalnego mężczyznę.

Albo w ogóle mężczyznę.

Mężczyzna Misi, czyli Igła, nie odzywał się od wczoraj, nie wysłał jej nawet małego SMS-a, a przecież wystarczyłaby jakaś buźka i wszystko wyglądałoby inaczej. Na szczęście Misia przestała już o tym myśleć, w złapaniu oddechu pomogło jej nie tylko to, że zmieniła otoczenie, ale że w końcu założyła na siebie coś innego niż roboczy kombinezon – Tadeusz, zresztą w bardzo delikatny sposób, dał jej do zrozumienia, że wygląda zjawiskowo. I wcale się do niej nie przystawiał, dzięki czemu komplement zyskał głębszy wydźwięk.

Bo jednak dom domem, twierdza twierdzą – Misia pokochała już swoje nowe miejsce na ziemi, a nawet polubiła remontową dłubaninę – ale nie można się wciąż kisić we własnym sosie. Czasem trzeba zapomnieć o czterech kątach, choćby na chwilę, trzeba złapać dystans i wyjść do ludzi. I właśnie ten nowy i nie nowy, bo znany zza płotu, ludź ogromnie poprawił dzisiaj Misi nastrój. Dzięki niemu znów poczuła się kobietą. Nie żeby przy Igle czuła się facetem, ale ostatnio zbyt często w powietrzu wisiały małe napięcia, które przeradzały się w duże eksplozje, zresztą w najmniej oczekiwanych chwilach, co wprowadzało w ich relację sporą nerwowość.

Misia zaczynała być tym zmęczona.

Tymczasem z Tadkiem rozmowa płynęła niespiesznie, gładko, okazało się nawet, że lubią podobne filmy. Kiedy podwoził sąsiadki do domu, również zachował się grzecznie, nie zajmował się cały czas Misią, ale zagadywał do każdej z nich po kolei. Aż żal było się rozstawać, ale co za dużo, to niezdrowo, poza tym miny Zuzy i Ryszardy wydłużały się coraz bardziej.

Ciekawe, co je gryzło.

– Dziękuję za udany wieczór. – Tadeusz zaparkował na swoim podjeździe i odprowadził je pod bramę, po czym z atencją ucałował każdą w rączkę. – Dobranoc, śpijcie spokojnie.

Niestety.

Tej nocy nie zaznały spokoju.

Tadeusz kliknął pilotem i zniknął w swojej rezydencji, jednak Misia z Zużą nie zdążyły nawet dotrzeć do drzwi, kiedy ciszę ogrodu rozdarł przejmujący krzyk Ryszardy.

– O Booże! O Boże... Krew!

Mało nie połamały sobie nóg, tak szybko dopadły budynku.

Domek wyglądał okropnie.

Ryszarda włączyła zewnętrzne światło, mogły więc dokładnie obejrzeć każdy przerażający szczegół. Framugi, próg, schody, wszystko wokół było pokryte zakrzepłą krwią – drzwi dosłownie nią ociekały. Na klamce zaś... wisiało jakieś zmasakrowane zwierzęce truchło, w połowie odarte ze skóry, która przypominało ścierkę oblepioną brudną sierścią.

Misia omal nie zemdląła.

Kto mógł zrobić coś tak okrutnego?!

– Boże, przecież to kot! – powiedziała strasznym głosem Zuza. – Nie, nie Pyza – uspokoiła, nachylając się do klamki.

W jej oczach pojawiły się łzy współczucia, a Ryszarda już jawnie pochlipywała.

– Dzwonimy po Igłę! – zarządziła Misia, w przelocie omiatając spojrzeniem sąsiednie wille, ale chyba ani w domu Tadeusza, ani Luka ich nie usłyszano. Obie posiadłości oblewały światła, jednak wszystkie drzwi i okna pozostały zamknięte, pewnie ze względu na burzę.

– A może... Tadeusz? – Zuza pokazała na płot.

– Nie – zdecydowała Misia, która nie umiała sobie wyobrazić sąsiada babrzącego się we krwi. – Idziemy do mnie, Igła to obejrzy i dopiero później posprzątam. Napijemy się herbaty.

Wtedy na strychu usłyszały cichutkie pomiaukiwanie.

Dźwięk dochodził z góry, więc był zniekształcony, ale brzmiał nad wyraz żałośnie.

– Tam są małe! – Ryszarda już nie czekała. Szlochając, ściągnęła ciało z klamki, ułożyła je na mokrej trawie, po czym wpadła do środka. Zuza już podawała drabinę i nawigowała z dołu.

Jak Ryszardzie udało się wyciągnąć ze stryżku puchate i przerażone maleństwa, pozostanie tajemnicą, ale po chwili, potykając się i płacząc, dziewczyny dotarły do domu Misi. trzymając w objęciach dwa mikroskopijne kociaki.

Tu czekał je kolejny wstrząs.

Na klamce tarasowych drzwi znalazły odcięty koci ogon przywiązany sznurkiem.

Ryszarda krzyknęła, ale Zuza już doszła do siebie, bo maluchy piszczały i trzęsły się ze strachu. Oddała swojego kotka Misi i ująwszy klamkę przez sukienkę, wpuściła je do środka. W domu było czysto, bez śladów czyjejś obecności. Żeby mieć jednak pewność, Zuza obiegła jeszcze piętro.

– W porządku – poinformowała. – Wszystkie okna zamknięte.

– Co się dzieje? – nie przestawała dopytywać Ryszarda. – Kto to zrobił?

– Może jakiś cholerny świr albo chuligan? – myślała na głos Zuza. – Misia, zorganizuj dla maluchów jakiś koc

i pudełko – zarządziła. – A ty tu nie przeżywaj, bo się zaprzeżywasz na śmierć, a zwierzakom jest potrzebny spokój. – Stała nad Ryszardą, wyciągając ręce. – Daj mi koty, a sama podgrzej mleko. O, Pyza! – zakrzyknęła, ponieważ zwabiona hałasem Pyzunia wsadziła pyszczek do salonu i, wciąż zaspana, nie przestawała to węszyć, to mrugać oczami.

Kiedy namierzyła gości, przyczaiła się i bardzo ostrożnie podeszła do fotela, gdzie właśnie usiadła Zuza. Nie wskoczyła jej jednak na kolana, ale z wyciągniętą szyją monitorowała sytuację z poziomu podłogi.

W końcu jako tako udało się im wszystkim dojść do siebie.

Kiedy na Akacjową przyjechał Igła (telefonicznie otrzymał rozkaz, że najpierw musi podjechać do apteki i kupić strzykawki), Ryszarda już nie płakała, choć wciąż wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy. Misia też się już uspokoiła, mimo że ciągle czuła potworny ucisk w żołądku. Zuza wytarła kocięta z pajęczyn i ułożyła troskliwie w pudełku, które zabrała do kuchni, gdzie zrobiła dla wszystkich herbatę z cytryną. Tym razem w słoikach po dzemie.

Igła był w nie najlepszym humorze, co poznały od razu w drzwiach. Policzki opadły mu wzdłuż brody, brwi zjechały do środka, nawet pachniał inaczej. Wciąż korzennie, ale jak paczka zleżałych pierników.

– Cześć pracy, co jest? I po co wam w środku nocy strzykawki? – zapytał, nie zaszczycając Misi żadnym ciepłym powitaniem. – Co tak miauczy?

– Chodź. – Misia nie wdawała się więc w tłumaczenia, tylko zaprowadziła Iglę do ogrodu.

Z ukłuciem w sercu odnotowała, że pomiędzy tarasem

a domkiem dla gości mężczyzna jej życia nie wypowiedział nawet słowa!

– Ożeż... – sapnął na widok zakrwawionych drzwi, które pozostały suche pomimo deszczu, bo daszek przy domku był spory.

– Na kłamce ktoś powiesił obdartego ze skóry kota. – Misia machnęła ręką w stronę trawnika, gdzie leżały zwłoki, ale sama odwróciła głowę. – A ogon wisi tam. – Pokazała na taras.

– Paskudnie to wygląda. – Igła chrząknął. – Musiałyście się nieźle przestraszyć. Masz jakiś pomysł, o co może chodzić?

– Poszłyśmy we trójkę... na kolację. Do Luka, Francuza, naszego sąsiada... Mówiłam ci, że prowadzi restaurację.

– Taaa... Do Francuza. Kolacja... I co?

– I nic. Jak wróciłyśmy, zastałyśmy to... – Przy ostatnim zdaniu głos się Misi załamał, więc Igła wykonał jakiś niesprecyzowany ruch ręką i chyba chciał ją przytulić, ale rozmowa przebiegała tak dziwnie, że Misia, niby przypadkiem, ale się odsunęła.

Udał, że nic się nie stało.

Tkwiał w miejscu, jednak ręce opadły mu prawie do ziemi, co przy jego wzroście wyglądało dość osobliwie.

– Nie wiem, mam wzywać ekipę? Do kota? – Zaczął się wahać i nadržabiać miną. – Coś zginęło? I w ogóle co w tym domku? – Zajrzał przez próg.

Na wieść, że domek zajmuje Ryszarda, która będzie tu mieszkać przez nieokreślony czas, Igła jakby się wyprostował i zapadł w sobie jednocześnie. Podobnie przyjął informację, że dołączy do nich Zuza.

– Jasne – powiedział tylko, po czym zajął się miejscem

zbrodni. – Wracaj do domu, ja sobie tu wszystko obejrzę.

W salonie pojawił się po kwadransie.

– Moim zdaniem ktoś chciał was nastraszyć – stwierdził, siadając na fotelu, który do niedawna był wyposażeniem Feminy. – Wszedł przez tylną bramę. Są ślady krwi, ale rozmyte przez deszcz, nie widzę też żadnych odcisków palców. Zresztą trudno odzierać kota ze skóry gołymi rękami. – Zerknął na popiskujące w pudełku maluchy, które Ryszarda właśnie próbowała karmić strzykawką.

– Ale czemu nastraszyć? – zapytały jednocześnie Misia z Zużą.

– A taras był zamknięty? – Igła najpierw sam zadał pytanie.

– Tylko go zatrzasnęłam – odpowiedziała zmieszonym głosem Zuza, bo przecież przez pół wieczoru przygotowywały system alarmowy, a tu taka wpadka.

– Właśnie. Do środka domku też nie wlaź, nie ma śladów. Chciał was nastraszyć, inaczej by wszedł i coś ukradł.

– Nic nie zginęło – zapewniła Misia, widząc jego pytający i... daleki wzrok. – Co teraz?

– Nic, potraktujcie to jako okrutny żart. Zrobiłem foty – poklepał się po przewieszanej przez ramię torbie – ale nie będę wzywał chłopaków, nie ma sensu. Ryszarda może spokojnie nocować w domku, moim zdaniem nic jej nie grozi – zakończył, zbierając się do wyjścia. – Będę leciał... – Skinął Misi na pożegnanie i tyle go widziały.

Wspaniale.

– Co za kretyn! – Zuza aż jęknęła, kiedy za Igłą trzasnęły zamykane drzwi. – Okrutny żart? I to ma być pomoc policji?!

Misia również czuła rozczarowanie, widocznie Igle nie chciało się już dla niej wysilać także na polu zawodowym.

– Po co ktoś miałby nas straszyć? – Ryszarda wciąż próbowała zrozumieć, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Mało tego, w salonie padły kolejne pytania.

– I po co ktoś sobie zadał tyle trudu? – rozważała na głos Zuza. – Zwróciłyście uwagę, że Igła mówił o tym potworze, bo trzeba być potworem, żeby skrzywdzić zwierzę, w dodatku karmiącą matkę, per on? Chciał was nastraszyć, inaczej by wszedł i ukradł... Może Igła coś wie? A Igła potrafi ukryć przed rozmówcą nawet trzecią wojnę światową.

Misia zapatrzyła się na Pyzę, która wreszcie nie wytrzymała i wsadziła nos do pudełka z małymi. Kiedy jeden z nich przeraźliwie zamiauczał, kotka prychnęła, po czym uciekła pod fotel. Zaraz jednak wystawiła wąsy i cała zabawa zaczęła się od nowa.

– Nie wiem, co się tu święci – zaczęła bojowym głosem Misia – ale skoro jesteśmy zdane na siebie, nie damy się. Obojętnie, chuligan, nie chuligan, nikt nie będzie na moje podwórko tak po prostu wchodził.

– Alarm z puszek nietknięty – zameldowała Zuza, która już zdążyła sprawdzić instalację. – Zresztą i tak nas nie było, nawet jakby się rozdzwonił. A Igła mówił, że potwór łamane przez podlec wszedł przez bramę. Której nie zabezpieczyliśmy.

– Zabezpieczymy – rzuciła twardo Misia, bo już zaczął jej świtać w głowie pewien plan. – Nie przypuszczałam, że to powiem – zerknęła na Ryszardę – ale może rzeczywiście powinniśmy przemyśleć te ślepaki i pistolety...

– Kochana! – Zuza złożyła ręce, tak bardzo się ucieszyła.

– Pewnie, że powinniśmy. Ale nie: myśleć. Działać, powinniśmy działać!

– A czy to może nie być dzisiaj? – zasugerowała nieśmiało Ryszarda, która była już bardzo blada i znowu zaczęła masować opuchnięte nogi. – Chyba muszę się położyć.

Zuza po raz pierwszy stanęła dziś na wysokości zadania, ponieważ... oddała Ryszardzie swój pokój.

– Idź spać – powiedziała, patrząc gdzieś w bok, żeby jej ktoś czasem nie posądził o przyzwoitość. – Ja wezmę taksówkę, i tak miałam zabrać kilka drobiazgów. Przenocuję u siebie, a jutro to wszystko posprzątam.

– Co za dzień – westchnęła Misia, kiedy już zaprowadziła Ryszardę do pokoju, a taksówka była w drodze.

– Tak, dzień pełen wrażeń. – Zuza podeszła do pudełka i ostrożnie zajrzała pod koc. Kotki, wtulone jeden w drugiego, smacznie spały. Zupełnie jakby ich matka czuwała obok, a nie leżała w trawie rzucona tam niczym kawałek mokrego mięsa. – Dziwne, że do drzwi tarasu ten podlec przymocował tylko ogon. A całą złością i krwią rzygnął na domek.

Misia otworzyła szeroko oczy.

– Złością?

– A nie? Załóżmy nawet, że to faktycznie jakiś chuligański wybryk. To co, chuligani bywają aż tak okrutni?

– Nie znam zbyt wielu chuliganów.

– Ja też nie, ale moim zdaniem tu chodzi o coś więcej. – Zuza się zamyśliła.

– Nie przerażaj mnie. Jakie więcej?!

– Nie wiem, może wcale nie chodziło o nas, ale o... Ryszardę? Może to ją ktoś chce przestraszyć?...

Misia poczuła, że żołądek zwija jej się w twardey supeł.

– Tak jakoś mówisz, że naprawdę zacznam się bać.

– Niepotrzebnie – łagodziła Zuza. – Może Igła coś przed nami ukrywa, a może nie. Ale jeśli mówi, że Ryszarda może się czuć bezpieczna, ja bym mu wierzyła. W końcu to Igła.

– A nie możesz pociągnąć Marchewki za język? – zasugerowała Misia i to był chyba nie najlepszy pomysł, bo Zuza opadła na fotel, zupełnie jakby jej ktoś odłączył zasilanie.

– Marchewka ze mną zerwał i mam go od dzisiaj głęboko w pępku – oznajmiła, starając się, żeby ta deklaracja zabrzmiała nonszalancko, ale Misia wiedziała swoje.

Zuza była załamana.

– Jak to: zerwał?! Przecież chciał się żenić!

– A tam, kmiotek wszystko źle zrozumiał...

Tu z ust Zuzy popłynęła opowieść, dość zagmatwana, z której Misia za wiele nie pojęła, z wyjątkiem jednego: Marchewka uważał, że Zuza ma romans z Lukiem.

– Ale nie próbowałaś mu tłumaczyć? – dopytywała.

Zuza przygryzła usta, aż na jej pękniętych wargach złożonych w serce pokazała się strużka krwi.

– Szlag by trafił – syknęła, szukając chusteczki. – Jeszcze mnie będzie przepraszał. Przyleci tu skoro świt, zobaczysz – wygłaszała przepowiednie, ale w oczach skrywała niepewność. I żal. – Nędzne warzywo... Wszystko przemyśli i odszczeka, kurdupel jeden. Dlaczego ja się mam przez niego denerwować?! W dupie! I wtedy mu powiem, żeby spadał na Olkusz. Z wieśniakami się nie zadaję...



Piotrek Marchewka siedział bez słowa na fotelu pasażera. Niemal od pół godziny.

Kochać kogoś bezgranicznie to jedno, ale pozwolić podeptać granice godności drugie. Na coś takiego nie można się zgodzić, choćby się konało z miłości, choćby skały srały. Tak postanowił. Bez granic wszystko się miesza, przelewa, wszystko staje na głowie i potem już nie wiadomo, gdzie się kończy druga osoba, a gdzie zaczyna własna. To jak tu się dzielić, skoro rozdzielenie jest fikcją?

Granice są konieczne w każdej dziedzinie życia, bez tego nie ma równowagi.

A jak nie ma równowagi, w jego zawodzie leci się głową w dół. I ani się człowiek obejrzy, sam zostaje przestępcą, tyle że w mundurze. Różnica zaledwie galanteryjna.

– No, to się porobiło. – Igła wsiadł do auta i w przelocie zerknął z troską na Marchewkę. – On już chyba wie.

– Wie?

Igła wyciągnął aparat i pokazał mu kilka upiornych zdjęć.

– A jak inaczej? Tu masz domek dla gości.

– Co to?!

– Chyba... komunikat dla nas. Kot. A raczej kotka i to, co z niej zostało. A tu masz ogon. – Przewinął kursorem kilka klatek do przodu. – Drzwi od tarasu. Dom.

Komisarz ordynarnie zaklął.

– Ale jakim cudem, ja się pytam? – Nie mógł uwierzyć. – Jakim?! O robocie wie tylko Przepiórek i my.

– Widocznie nie tylko, Piotruś. Widocznie nie tylko... Nie doceniliśmy gościa – syknął i odpalił laptopa. – Ale jak się kręci wokół dziewczyn, a szczególnie wokół jednej... – Tu spojrzeli po sobie z tak samo ponurą miną. – Trudno, żeby nie wiedział o nas, nasze panie raczej do dyskretnych nie

należą. Wystarczyło dodać A do B i mu wyszło.

– Kręci się! – Marchewce zaczęło nagle brakować powietrza. – Myślisz, że coś im grozi?

Kiedy patrzył na fotografie, kiedy patrzył na sierść, krew i błoto zmieszane w lepłą bryłę, robiło mu się słabo. Zbyt dobrze wiedział, że ludzkie ciało składa się z tej samej materii, a kobieca skóra jest tak samo złakniona pieszczot, jak miękka skóra kotki.

– Moim zdaniem to jest komunikat, i to bardzo dosadny komunikat, że on nie chce rozlewu krwi. – Igła splunął przez otwartą szybę, najwyraźniej też odczytał analogię. – Inaczej by się nie wysiłał. Więc moim zdaniem są bezpieczne.

– Do czasu.

– Do czasu... – potwierdził. – Tu nic nie widać – westchnął, przewijając nagrania z kamery. – Deszcz, ciemno, a brama i tak poza zasięgiem. Chyba że przeanalizuję klatka po klatce, ale nie teraz.

– A z domu wyłaził?

– Widać tylko, jak wraca.

– Jak to rozegramy? – Marchewka już się ocknął.

Nie mógł się teraz rozklejać. Teraz należało zewrzeć szyki, zagryźć wargi i przemyśleć nawet najdrobniejszy szczegół.

Nie miał złudzeń, byli na widelcu.

Igła podrapał się po brodzie i po swojemu zapytał:

– Oficjalna wersja, panie Marchewka, czy nieoficjalna? Założę się, że i jedna, i druga tak samo ci się nie spodoba...



Misia już dawno odkryła, że kłopoty wcale nie chodzą

parami.

Chodzą całymi tabunami.

Na pocieszenie – szczęście również się rozmnaża, dlaczego płodne miałyby być tylko nieszczęścia? Wystarczy przeczekać i wierzyć, że droga wiedzie nie tylko w dół; za zakrętem na pewno wyrasta góra, nie może być inaczej.

A czynnik sprawczy?

Jeśli ktoś miał pewność, że potrafi odwrócić bieg każdego wydarzenia, Misia życzyła mu wszystkiego najlepszego. Sobie nie przypisywała aż takiej roli (w związku z czym schodziło z niej trzy kilo stresu), choć nie należała do osób, które składają broń i sądzą, że kijem Wisły nie zawrócą. Jakiś tam kijaszek posiadała i w miarę możliwości starała się nim machać. STARAŁA SIĘ. Jednak niepowodzenia losu przyjmowała z pokorą, godziła się na odgórnie ułożony porządek rzeczy, ponieważ już dawno doszła do wniosku, że cokolwiek by się nie zdarzyło, będzie dobrze – mimo że brzmiało to jak banał. Może tego „dobrze” nie było widać od razu, ale nie zawsze jest ważne, co się ma, ale co się z tym robi.

Bo można mieć diament i wrzucić go do rzeki.

A można mieć kozie bobki, zrobić z nich naszyjnik i upchnąć na Allegro jako ekologiczne korale.

Misia zachichotała w duchu, wyobrażając sobie reakcję Zuzy na tak malownicze porównanie, ale kiedy się pracuje całą noc, umysł płata figle. Nie potrafiła zasnąć. Zamiast więc zamartwiać się o swój związek z Iglą, zamiast analizować wypadki wieczoru, kiedy to nad Akacją zawisło złowrogie fatum, wolała zająć się konkretem.

I pożytkiem społecznym.

Od popatrywania na kocie zwłoki nie przybywało jej

spokoju, więc zaczęła właśnie od tego. Wyposażona w gumowe rękawice zakopała kotkę pod płotem, przyklepała kopczyk, a potem wyszorowała drzwi i schody domku – w ten sposób po rozegranej tragedii nie został nawet ślad. Później pod wpływem impulsu przekopała pod bramą pas ziemi, który ułożył się po jej zmaganiach w sporą grządkę. Po wszystkim spocona i umazana jak nieboskie stworzenie wzięła gorący prysznic, a o czwartej nakarmiła przebudzone kotki. Kiedy za oknem zaczęło świtać, Misia postanowiła się już nie kłaść i nastawić dzem. W międzyczasie skoczyła jeszcze do pani Halinki, po pieczywo.

O ósmej do kuchni tonącej w aromacie goździków i smażonych moreli weszła Ryszarda.

– Ależ tu pachnie! – krzyknęła, zerkając do piekarnika, gdzie stały jeszcze gorące słoiki, więc Misia zaproponowała jej śniadanie.

– Masz ochotę na rogalika z dżemem morelowym?

Ryszarda obtuliła się szlafroczkim i zamrugła powiekami, które już teraz ugiwały się pod ciężarem niebieskiego cienia. Podobnego koloru były także jej kapcie zwieńczone wielkim puszystym pomponem.

– Podziwiam cię, tyle tu robisz. I zawsze coś pysznego ugotujesz – zaszczębiotała. – A mnie mama zawsze mówiła, żebym się trzymała z daleka od garów.

Misia uniosła w zdziwieniu brwi, bo krzątanie się w kuchni sprawiało jej przyjemność, swoje dzieci też by do tego zachęcała.

– Poważnie? Jak to?

– Yhy, poważnie... Mówiła, że jak wejść między gary, to mi tak zostanie do końca życia. I jak będę umiała robić

wszystko, trafi mi się facet, który nie będzie umiał robić nic.

Misia stanęła pośrodku kuchni lekko ogłuszona, a Ryszarda z niefrasobliwym uśmiechem obłożyła rogalika dżemem i załamywała ją dalej.

– Naprawdę, to podobno tak działa, więc nie trzeba się ujawniać. Chyba że od czasu do czasu, a wtedy facet jest taki zachwycony, że ojej.

– I... tak robiłaś z Hardym? – Misia spytała chyba tylko po to, żeby się ostatecznie dobić.

– Od samego początku. – Ryszarda odgryzła ze smakiem kolejny kęs. – Z tym że wtedy nie lubiałam gotować, więc się fajnie składało. Ale się uaktywniałam – wyznała. – Przecież wymyśliłam kociołek smakosza.

– I tylko... kociołek?! – Misi przeleciały przed oczami potrawy, jakie stawiała przed Henrykiem, a były to dania, nad którymi mógłby się pochylić niejeden szef kuchni. Igły też nie trzymała na suchym chlebie, wymyślała rozmaite przepisy, żeby sprawić mu przyjemność.

I co jej z tego przyszło?...

– Tylko kociołek – zapewniła z rozbijającą szczerością Ryszarda. – A raczej aż, to przecież bardzo skomplikowana potrawa. Na dno wrzucałam indyka albo kurczaka, czasem wołowinę. Potem, kiedy mięso już było prawie gotowe, dodawałam ziemniaczki, a górę też zmieniałam, żeby Hardy miał urozmaicenie. Brokuły albo marchewki. Czasem trafił się kalafiorek.

– I on... nie był zły?

– Czemu zły? Przecież to czysta oszczędność czasu. I pieniędzy, bo do zmywania jest tylko jeden garnek. Poza tym się starałam. Od czasu do czasu...

– A w międzyczasie?!

Ryszarda z fantazją nalala sobie do słoika kawy.

– On gotował.

– Henryk gotował?!

– Yhy... Albo chodziliśmy do restauracji.

Pomocy!

A jeśli Zuza miała rację, jeśli trzęsa się nad Iglą jak matka? Matkę się szanuje, owszem, ale kiedy się samemu założy rodzinę, czyli w praktyce – po kilkudziesięciu latach!

Misia przysiadła na krześle, siły całkiem ją opuściły.

– Ale ty jesteś najwspanialszą gospodynią na świecie! – zapewniła ją z atencją Ryszarda i Misia poczuła się niniejszym mianowana na frajerkę roku. – Jesteś dla mnie taka dobra, że zupełnie nie wiem, jak ci się odwdzięczę...

– Zapomnij o odwdzięczaniu. Na tym chyba polega pomoc, że się nie oczekuje zapłaty. – Misia westchnęła; miała nad czym myśleć.

Kociołek smakosza!

Ale Ryszarda nie zamierzała ustąpić.

– Naprawdę jestem wdzięczna, bardzo wdzięczna i coś wymyślę – obiecała. – Ojej! – Przeszła do salonu, gdzie natknęła się na Pyzę, która przez noc zdążyła zawrzeć bliższą znajomość z kociakami, na co aż miło było popatrzeć.

Kotka siedziała przy pudełku i nie spuszczała z maluchów troskliwego spojrzenia.

– Może damy im jakieś imiona? – zaproponowała Ryszarda, więc Misia znowu westchnęła, ale jednak wróciła do rzeczywistości.

W nocy dokładnie przyjrzała się kotkom. W wyniku oględzin doszła do wniosku, że przygarnęła pod dach

chłopca i dziewczynkę, ale musiał to jeszcze potwierdzić weterynarz.

– Wstępnie przedstawiam ci... – wydobyła z pudełka mniejsze z kociąt, całe w rude, białe i czarne łatki – Gryzoldę, bo zawzięcie gryzie wszystko dookoła. To kotka. A ten mały, czarny zbój to... Madej. Jest silny i waleczny, już sam wychodzi z pudełka.

– Jak ślicznie! – Ryszarda zapała z zachwytu i od razu przywitała nowo ochrzczonych porcją pieszczot. – Ale słyszałam, że kotki powinny być do trzeciego miesiąca życia z mamą. Mama je uczy, jak polować, jak się wspinać na drzewa i w ogóle. A jak tego nie mają, podobno źle się rozwijają uczuciowo.

Znowu matka!

– Tak. – Misia również o tym wiedziała, dlatego było jej szkoda zwierząt. – To prawda, kotki wychowywane bez mamy mogą mieć później różne problemy psychiczne. Nic nie zastąpi bliskości, taka prawda. Zresztą to nie dotyczy tylko kotów – rzuciła w przestrzeń, myśląc o Zuzie, którą praktycznie wychowywała babcia. – Na szczęście jest z nami Pyza.

Kotka miauknęła, jakby doskonale wiedziała, o kim mowa.

– To możliwe, żeby je zaadoptowała? – spytała Ryszarda z niedowierzaniem, ale Misia się tym nie martwiła.

– Chyba tak. Im więcej poznaję ludzi, tym częściej odnoszę wrażenie, że zwierzęta są bardziej ludzkie od nas. W każdym razie, widzę, że Pyzunia je polubiła, a to najważniejsze. I przestała być już taka smutna.

– A jeśli one mają ojca? – Ryszardę tknęło.

Kwestia wymagała rozważenia, nie można było takiej

ewentualności wykluczyć.

– Wiem, zabiorę je z powrotem do domku – znalazła rozwiązanie. – Z nimi nie będę się bała, a jeśli Gryzolda i Madej mają tatę, on tam pewnie gdzieś krąży i je znajdzie. Przecież domek stał zamknięty, na strych musi być jakieś wejście z zewnątrz.

Propozycja brzmiała sensownie.

– A jeszcze co do zwierząt... – zagaiła Misia. Niezabezpieczona brama nie dawała jej spokoju. – Mówiłaś, że przy twoim domu na Wiklinowej jest stadnina koni. Myślisz, że odstąpią nam trochę łąjna?

Bo można mieć diament i wrzucić go do rzeki.

A można mieć...



Dzisiejszy poranek był tak rozświetlony, tak parny, że trudno było uwierzyć we wczorajszą burzę – przypominał o tym zapach bijący od ziemi i lśniące główki kwiatów; pozostałe rośliny wypłyły wodę duszkiem, przez co sprawiały wrażenie mocno wstawionych.

Ryszarda do wczoraj też miała swój ogród.

Mniejszy i dużo bardziej zadbany, ale ogród Misi zachwycał właśnie bujnością oraz lekkim nieładem, choć krzewy i klomby przy oczku wodnym zaprojektował ktoś znający się na rzeczy i wystarczyłaby zaledwie odrobina wysiłku, żeby przywrócić im dawną świetność. Jednak w innych miejscach kwiaty rosły, gdzie chciały, szczególnie bezczelne były pod tym względem floksy: stworzyły wokół domku coś na kształt systemu połączonych biało-różowych wysp, dzięki czemu Ryszardę obudziło dziś brzęczenie pszczoł, które w kwiatnych kulach urządziły sobie

kompleks fast-foodów. Wpadały i wypadały stamtąd coraz cięższe i tłustsze. W pobliżu bramy królowały natomiast nagietki, skromne, ale wesołe kwiatki mrugające jak butelka whisky żółcią i pomarańczem, i tak chyba były traktowane przez skrzydlatą zgraję. Osy i trzmiele zalatywały tu na szklaneczkę małego co nieco.

Przy silniejszym powiewie wiatru do domku docierała także woń jaśminu – tonął w nim cały tył ogrodu, gdzie było sporo cienia, choć i w sadzie słońce grało z gałęziami w chowanego, prześwietlając liście i głaszcząc trawę rozproszonym blaskiem. Sporo tego blasku mogło wpaść pod przymknięte powieki, zwłaszcza jeśli leżało się pod drzewem.

Było miło.

Bardzo miło i leniwie.

Domek w słońcu wyglądał zaskakująco inaczej niż domek widziany wczorajszej nocy: zbryzgany krwią i oblepiony sierścią.

Ale co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

Ryszarda posmarowała się obficie kremem przeciwsłonecznym i usadowiła wraz z kotkami na kocu pod rozłożystym orzechem, skąd roztaczał się doskonały widok na okolicę. Czuwała. Misię po śniadaniu dosłownie ścięło z nóg, zasnęła, biedaczka, przy kawie, na fotelu kosmetycznym. Spała, kiedy Ryszarda pojechała po swoje rzeczy na Wiklinową, i spała teraz, mimo że zbliżało się południe.

A właśnie.

Za dwie godziny Ryszardę czekało umówione spotkanie z dyrektorem ZUS-u, wypadało się przygotować i jeszcze raz przejrzeć papiery. Wypadało... Ale przecież o wiele

ważniejszy był wygląd, to był jej największy atut. Przywiozła więc z Wiklinowej szalowy kombinezon, caczuszko po prostu, leżał przygotowany w domku i lśnił srebrnymi nitkami. Do tego zamierzała założyć turkusowe sandaalki na koturnie i różową torebkę by Fendi.

Bo musiała faceta olśnić i urobić, to było jedyne wyjście.

Wszystko inne zawiodło.

Próbowała negocjować, pisać pisma, ale jak na jej rozum, ktoś w tej instytucji był głupszy od niej. Z listów, które dostawała, nie była w stanie pojąć niczego, jakby korespondencja z urzędem stanowiła rodzaj gry, z tym że nikt nie wytłumaczył jej reguł działania, a na starcie odebrał wszystkie życia i artefakty. Jednak gra na pewno miała związek z magią i czarami, tego była pewna, gdyż przesyłane w informacjach kwoty raz się zmieniały w nadprzyrodzony sposób, raz wracały do stanu pierwotnego, kiedy to okazywało się, że ma Zakładowi Ubezpieczeń Społecznych do zapłacenia trzysta piętnaście tysięcy czterysta dwadzieścia trzy złote i sześć groszy.

Koszmarna ilość pieniędzy.

Żeby spłacić dług, musiałyby chyba zostać prostytutką, i to prostytutką luksusową. W grę wchodził również wyjazd do Norwegii, gdzie na jakimś malowniczym fiordzie skrobałyby z zapalem ryby – jako podrzędne popychadło ubrane w kapok i rękawiczki. Potem przez dwa lata musiałyby się moczyć w mleku, żeby ludzie przestali zatykać na jej widok nos.

Perspektywy porażały...

Dzisiejsze spotkanie było więc ostatnią deską ratunku.

– Misia! – Od ulicy usłyszała pokrzykiwania Zuzy, która wysiadła właśnie z taksówki i, tak samo jak Ryszarda,

przywiozła ze sobą walizki.

Cztery sztuki!

Ryszardzie trochę zrzęda mina, bo cztery walizki to nie jedna, ale niektórym nie patrzył na ręce komornik i nie rozliczał ich ze skórzanego płaszcza czy indiańskich botków. Westchnęła i jednak ruszyła do furtki, w końcu Zuza zachowała się w nocy bardzo ładnie, tyle że w połowie drogi zaszły nieprzewidziane okoliczności. Na podjeździe, brzęcząc kluczykami do samochodu, pojawił się pan Zawadzki. A po wczorajszej kolacji nie był kimś, kogo Ryszarda chciałaby spotkać. Ukryła się więc za jabłonką.

– Witam panią – przemówił sąsiad wesoło. – O, widzę, że zapowiada się jakaś podróż. Urlop?

– *Hello* – odpowiedziała Zuza, ale brzmiała dość smętnie.

– Niestety, o urlopie musimy zapomnieć. Przywiozłam parę najpotrzebniejszych rzeczy, będę tu chwilowo mieszkać.

Pan Tadeusz chrząknął zakłopotany, widocznie grzecznościowe pogawędki nie były jego mocną stroną.

– Smakowała panu kolacja?

– Muszę przyznać, że ogromnie.

– A nie miałby pan ochoty na powtórkę?

– Ale...

– Bez scen, ma się rozumieć – zastrzegła niemrawo Zuza, szurając po chodniku walizką.

– Skoro bez scen, będę to musiał jeszcze przemyśleć. – Pan Zawadzki zdobył się na żart i to Ryszardę przekonało.

Postanowiła opuścić kryjówkę.

– Bo myślimy z Misią o zorganizowaniu uroczystej kolacji na cześć Luka. Na razie to jeszcze nic pewnego, ale gdyby pan...

– Bardzo chętnie – zapewnił, a widząc Ryszardę,

ponownie się uklonił. – Dzień dobry.

– Bry... – przywitała się nieco spłoszona – Uroczysta kolacja?

Zuza rozciągnęła usta w bladym uśmiechu.

– Cześć, piękna. Taaa, uroczysta. Ale jeszcze nie ustaliłyśmy terminu – rzuciła wymijająco. – Pytał ktoś o mnie?

– W takim razie ja nie przeszkadzam. – Pan Zawadzki pożegnał się i wsiadł do samochodu, po czym zniknął z powierzchni Akacjowej.

Zuza przeciwnie.

Zaczął jej być na Akacjowej całkiem sporo.

Kiedy usłyszała, że Misia śpi, porzuciła walizki i wyszła na ulicę, gdzie przetrząsnęła wszystkie krzaki, a później rozpoczęła dziwne śledztwo, przy czym z pytania na pytanie robiła się coraz bardziej przygnębiona. Ciekawiło ją, o której Ryszarda wstała, czy ktoś dzwonił, czy na ulicy stał jakiś policyjny samochód, co mówiła Misia...

– Misia mówiła, że końska kupa jest najlepsza – wyrecytowała zgodnie z prawdą Ryszarda.

– No i gówno! – odrzekła na to zrezygnowanym głosem Zuza, siadając okrakiem na walizce. – Co proszę?

Nie zdążyła wyjaśnić, co ma na myśli, bo pod furtkę zajechało z wizgiem granatowe audi, z którego dosłownie wylała się zażywna pięćdziesięciolatka i na widok Zuzy oniemiała z radości. Jak na swoją tuszę, była nad wyraz energiczna. Wzniosła dziękczynnie do nieba tłuste rączki, sapnęła, a potem rzuciła się do płotu niemal jak Wałęsa, z tym że szanse przeskoczenia przez ogrodzenie miała żadne, dałaby za to radę je staranować.

– Pani Zuza! Nareszcie, jak ja was szukałam... Kochane

moje!

– Pani Beatka. – Zuza drgnęła zaskoczona, a na jej twarzy pojawił się cień sympatii. – Dzień dobry, co za niespodzianka.

– Pewnie, że niespodzianka. Jak można było zamknąć taki salon?! Zamknąć i zniknąć! – zawołała, nie ukrywając nagany. Wiaterek rozdał podmuchem jej kwieciste wdzianko, kwiaty w cudowny sposób się na niej rozmnożyły, przez co stała się jeszcze szersza, a nawet miiododajna. – Zostawiłyście mnie na pastwę losu, ładnie to tak?

– Ale myśmy uprzedzały, w recepcji wisiała kartka z informacją – tłumaczyła Zuza, która przestała myśleć o własnych sprawach, bo jej dawna klientka zdołałaby zaabsorbować nawet buddyjskiego mnicha.

Zresztą już była w ogrodzie, już zaplątała Zuzę w ukwiecone poły garderoby i podduszała serdecznym uściskiem.

– Ale teraz, kiedy was odnalazłam, nie odpuszczę... Moje wspaniałe! – wykrzykiwała. – Za tydzień w sobotę mam ślub córki, a patrzcie, jak wyglądam... Tragedia po prostu! – Dotknęła twarzy, a Ryszarda odniosła wrażenie jakby ktoś pomachał w powietrzu sznurkiem serdelków. Umoczonych w keczupie, gdyż pani Beatka miała paznokcie pomalowane na czerwono.

– Pani Beatko, zawiesiliśmy działalność, bardzo mi przykro.

– Moja droga, ale sprzęty macie! Wiem, bo wydobyłam adres z kierowcy... Dla mnie nie ma znaczenia, czy mi zrobicie zabiegi na... – tu rozejrzała się po ulicy, szukając tabliczki – Akacyjowej czy gdzie indziej. Chodzi o was, wy

jesteście kochane, najlepsze, złote, chcę was! Tylko was!

Ryszardzie jakby zabrakło tchu.

Ale bardzo chciała pomóc, choćby w drobnostce.

Dlatego zniosła kociaki do domku, zabrała pudełko ze wstążkami (kiedy komornik odebrał telefon, zapakowała je po cichu do auta wraz z maszyną do szycia) i wkroczyła do kuchni, gdzie w lodówce mroziła się zielona herbata. Tak, mrożona herbata na upał jest najlepsza. Ryszarda trzasnęła szafkami, wybrała odpowiednią wstążkę i słoiki po majonezie kieleckim w jednej chwili zyskały nowy wygląd.

Zielone wstążki mrugały groszkami, a w każdej herbacie wylądował plasterek cytryny, plasterk pomarańczy i pokrojony w słupki imbir. Na spodeczku znalazł się miód udekorowany białym floksem. Żeby było jeszcze wytworniej, Ryszarda pobiegła do ogrodu, zerwała kilka główek nagietków, parę listków mięty i wrzuciła je na wrzątek, tym razem do dzbanka udekorowanego dla odmiany sznurkiem. Gorący napój też może się przydać.

Na ten wysmakowany kulinarny *vintage* pani Beata zareagowała kolejnym okrzykiem, a Zuza uniosła w uznaniu brwi, co dla Ryszardy było największą nagrodą.

– Francja elegancja! Ależ to był dobry pomysł, żeby was odnaleźć, dziewczynki. I jak tu... – Rozejrzała się wokół, ponieważ Zuza prowadziła ją ogrodem do niewielkiego pokoju, który posiadał z tyłu domu osobny tarasik, nieco zarośnięty trawą i czerwieniejącymi w słońcu porzeczkami.

– Jak tu naturalnie.

– Prawda? – zaszczebotała Zuza, szukając jednocześnie wzrokiem pomocy u Ryszardy, co było wręcz niebywałe. – Dobrze, jeśli pani zależy, zrobimy kilka zabiegów, ale

uprzedzam, że panują tu inne warunki. Poza tym zmieniłyśmy nieco, ekhm, profil firmy – znowu to rozpaczliwe spojrzenie – pracujemy teraz w duchu... ekologicznym. Pani pozwoli, że przedstawię. Ryszarda Kociołek, nasza... konsultantka.

Tu już Ryszarda poczuła grunt pod nogami, a w skrzydłach załopotał jej wiatr.

Zuza łągała jak najęta!

– Bardzo mi miło – przejęła więc pałeczkę, ustawiając napoje na prowizorycznym stoliku. – Pomagam pani Zuzie robić esencje roślinne. Wyciąg z jaśminu, wyborny na wrażliwą cerę, wyciąg z nagietka, pomaga walczyć z syfami... To znaczy, z niedoskonałościami skóry. I tak dalej... Ale głównie specjalizuję się w budowaniu wizerunku i przemyśle *fashion*, bo działamy kompleksowo. Pielęgnowujemy i ubieramy nasze panie od stóp do głów – zapewniła, szczerząc zęby, na co pani Beata złożyła w zachwycie serdelki, jakby zamierzała wrzucić je do jednego garnka, a Zuza omal nie zakrztusiła się z wrażenia.

– Ale jak to: *fashion*? – dopytywała stała klientka.

– Projektuję ubrania – wyznała więc nieśmiało Ryszarda.

– I sama je szyję. Mam w domku obok... pracownię.

– Pracownię! Kochana, z nieba mi spadasz, nie śpię po nocach, bo dzisiaj znaleźć krawcową... – Pani Beata uruchomiła się na całego. – Naprawdę szyjesz?! A mogę zobaczyć? Bo ja mam straszny problem, no, masakra po prostu, a ślub tuż, tuż. I wymyśliłam taką tunikę, taką wiesz, kochana, wytworną, miętową, po prostu marzenie...

Wobec miętowego marzenia zabiegi kosmetyczne zeszły na drugi plan.

Pani Beatka z rozpaczą wyznała, że tusza nie pozwala jej kupować w sklepach, że musi wszystko szyc na miarę, a jej dotychczasowa krawcowa wyjechała do Anglii, do pracy. Dosłownie z dnia na dzień! I w czym niby ona ma pójść na ślub jedynej córki?

Ryszarda rozkwitła.

Planowanie i rysowanie pochłonęło ją niemal bez reszty, ledwie przypomniała sobie o ZUS-ie. Ale kiedy wsiadała do auta, świat wyglądał całkiem inaczej. Wśród okrzyków podziwu zaprojektowała strój weselny pani Beatki, zdjęła miarę i umówiła się z nią na jutro, a do portfela wpadło jej pięćset złotych zaliczki.

Pięćset złotych!

Co prawda groźba nierządu lub oprawiania rybich zwłok wciąż nad nią wisiała, ale Ryszarda dotarła na ulicę Dąbrowskiego w Chorzowie pełna nadziei.

Niestety, nadzieja została jej odebrana już w sekretariacie.

– Ryszarda Kociołek? Pan dyrektor dzisiaj pani nie przyjmie – oświadczyła baba za biurkiem, patrząc na Ryszardę z takim niesmakiem, jakby oglądała *Oblicza prostytutki*. Odcinek *Mój alfons chce za darmo*.

Ale że było jej widać stanik?

Co z tego, bielizna jest elementem garderoby, poza tym staniczek był różowy i pasował do torebki.

– Ale ja byłam umówiona – zaprotestowała, jednak dosyć anemicznie. Baby za biurkami zawsze emanowały władzą, nawet ruchy szyi miały wystudiowane, powolne, jakby odbierały za to specjalny dodatek ortopedyczny.

Sekretarka nie zdążyła wyjaśnić odwołanego spotkania – drzwi gabinetu zaskrzypiały, stanął w nich starszy,

chuderlawy mężczyzna w tak nienagannie uprasowanych spodniach i koszuli, że chyba musiał mieć w pokoiku żelazko.

– Dzień dobry – rzucił bez zapału, nie odrywając nosa od trzymanej w ręku teczki, i Ryszarda jako kobieta poczuła się zignorowana.

Do urzędowych bab oraz innych zawistnych babsztyli zdążyła mniej więcej przywyknąć, choć to nie jest miłe, kiedy reagują na ciebie jak na prątki gruźlicy, ale żeby wzgardził nią mężczyzna?

I to kiedy lśniła?!

O, nie.

– Przepraszam, czy pan dyrektor? – spytała przymilnie, starając się ustawić do chuderlaka profilem, co zwykle działało, profil miała przecież bogato ukształtowany.

Ale najwyraźniej trafiła na rybę, egzemplarz całkowicie pozbawiony emocji, może nawet wadliwy, dla którego seks i zmysłowość były czymś niewartym uwagi, zapewne dlatego, że nie dało się ich wyprasować.

– Pan dyrektor – potwierdził, obrzucając ją krótkim spojrzeniem, co wystarczyło, żeby temperatura w pokoju spadła poniżej zera. Zamiast oczu miał dwa lodowe cukierki: niebieskie i orzeźwiające, jednak skute wieczną zmarzliną. – Proszę się umówić na inny termin, dzisiaj jestem zajęty.

– Już pani mówiłam. – Baba aż wstała, musiała przecież udowodnić, że należy do wiernej świty. – Panu dyrektorowi wypadła ważna narada.

– Ale ja mam straszny kłopot. – Ryszarda przeszła na rzewne tony, co jednak w zestawieniu ze staniczkiem oraz ogólnym błyskiem nie pracowało na jej korzyść. – Panie

dyrektorze...

– Przykro mi, innym razem – uciał, odwracając się plecami.

– Bardzo chciałam pana prosić...

– Proszę pani... – Facet-ryba odłożył teczkę i stanął na środku pomieszczenia, które nagle zaczęło przypominać martwe akwarium. – Czy pani jest głucha? Wszyscy mają kłopoty, wszyscy chcą bardzo prosić.

– Ale...

– I następnym razem, kiedy będzie pani szła do urzędu, proszę pamiętać, że to nie klub go-go. Rury występują tu tylko w charakterze poręczy. Żegnam.



Komisarz Piotrek Marchewka zwykle miał doskonałe wycucie czasu.

Ale Zuza dała mu mocno w kość, więc Igła wcale się nie zdziwił, kiedy Marchewka przybył na miejsce nie tylko wymięty, zalatujący alkoholem, ale i spóźniony.

– *Sorry*, ciężka noc – rzucił na powitanie, tocząc wokół nieprzytomnym wzrokiem, co akurat wcale nie było takie złe.

Dziś nie powinni wyglądać na miłych gliniarzy.

– Jak tam we flakach? – zapytał więc Marchewki, bo została im jeszcze chwila.

– Nicość się telepie.

– Znaczy się, żyjesz.

– A JAK się żyje, to nieistotne?

– A myślisz, że mnie było miło patrzeć na Miśkę w falbankach? Jak się wdzięczy do obcego faceta?!

Igła przypomniał sobie wczorajszy wieczór i zgrzytnął

zębami.

Widział scenę w restauracji, oczywiście, że widział.

Przecież nie zamierzał siedzieć jak gajowy w krzakach, więc kiedy Marchewka pienieł się wśród listowia, z zawodowego nawyku postanowił obadać teren. I z tego badania wyszło mu, że kobieta, która tak namawiała go do przeprowadzki, która tak naciskała na wspólne mieszkanie, kęs po eleganckim kęsie skubie francuskie żarcie i toczy przy lampce wina damsko-męską pogawędkę, co najwyraźniej sprawiało jej ogromną radość.

Jemu wręcz odwrotnie: uśmiech w jej oczach, ten ujmująco ciepły uśmiech, który do niedawna był zarezerwowany tylko dla niego, teraz jaśniał odbity w okularach kretyna z brodą i sprawił Igle wielką przykrość. I zawód. Sądził, że z Miską nie musi się wysilać na te wszystkie durne podjazdy, że nie musi obsikiwać terenu i skakać wokół niej jak szczeniak. Sądził, że spotkał kobietę taką jak on – dojrzałą, zmęczoną brakiem poczucia bezpieczeństwa.

A tu taki strzał...

– Tylko wolałbym nie szukać dentysty – zastrzegł, kiedy Marchewka wprowadzał się w nastrój.

Nastroszył natkę, wykonał nawet kilka przysiadów.

– Spoko. Telewizja już jest?

Igła zerknął na drugą stronę ulicy, gdzie pod sądem czatowali nie tylko pismacy, ale i spoceni kolesie z kamerami. Chodnik był obłożony telewizyjnym sprzętem, z nieba kapał żar, a miasto czekało na sensację, ponieważ właśnie dobiegał końca długoletni proces w sprawie katastrofy hali Międzynarodowych Targów Katowickich i było wiadome, że na ołtarzu skona nie tylko jakiś kozioł

ofiarny, ale i kilka jeleni.

Oprawę wybrali więc sobie godną.

– Dajesz w prodiż – mruknął z determinacją Igła i znieruchomiał, bo Marchewkę od pierwszego razu uruchomiło.

Zamiast się trochę poszarpać, zamiast rzucić mięsem, żeby było soczyście i w odcinkach, Marchewka złożył swoją drobną postać w aerodynamiczny pocisk, a następnie strzelił mu w pysk.

Centralnie między zęby.



Misia obudziła się zaraz po wyjściu Ryszardy, więc o panią Beatkę zadbały we dwójkę – zabiegi trwały aż do obiadu i ta niespodziewana wizyta była czystym błogosławieństwem; bo na zbieractwie i łowiectwie można przetrwać tydzień, a później co? Na szczęście nie musiały się już zamartwiać, ich domowy budżet został po tym spotkaniu zasilony okazałą sumką! Tak, prawdziwe piękno jest za darmo, ale już za *beauty* słono się płaci...

Wychodząc, pani Beatka nie przestawała im dziękować, kuracja ekstraktami roślinnymi niezmiernie jej odpowiadała, a i one czerpały radość z powrotu do zawodu. Prawdą jest, że w pewnym momencie z kosmetyczek stały się bardziej właścicielkami, które tylko nadzorowały pracę, a teraz znowu miały okazję przypomnieć sobie, że kosmologia to wdzięczne zajęcie.

Zuzę dodatkowo cieszył fakt, że jej pasja do ogrodnictwa w końcu znalazła zastosowanie.

– Glistnik, czyli jaskólcze ziele?! – Misia wciąż była podekscytowana. – Kto by pomyślał. I zrobiłaś tę nalewkę

tylko z dwóch krzaczków?

Zuza potrząsnęła z czułością butelką, która zabrała z Zielonego Zaułka, ponieważ nie wyobrażała sobie bez niej codziennej pielęgnacji – każdego wieczora przecierała twarz nalewką niczym tonikiem, dzięki czemu nie powstawały na jej skórze żadne przykre niespodzianki.

Oczywiście płyn został wypróbowany na pani Beatce, przy jej gorącej aprobacie.

– Tylko dwa krzaczki, ale spore i wyrwane z ziemi w słoneczne południe. Wyrwasz z korzeniami! – podkreśliła. – A potem to otrzepujesz, myjesz, upychasz do butelki, najlepiej trzonkiem drewnianej łyżki.

– Czemu drewnianej?

– Chyba chodzi o reakcję chemiczną. Z metalem by reagowało. – Zuza znalazła wyjaśnienie. – Ale upychaj, czym chcesz... Później zalewasz to wódką albo spirytusem i pasiesz w ciemnym miejscu przez trzy tygodnie; tylko nie zapomnij co parę dni wstrząsnąć. Potem przelewasz przez ligninę, zakręcasz butelkę i gotowe. Jaskółcze ziele to jest moc! – krzyknęła z przekonaniem, zaglądając do ogrodu.

Misia przejęła butelkę i obejrzała pod słońce.

– Takie coś...

– Działa na wszelkie dermatologiczne świństwa. Na całej skórze. Rany goją się od tego jak szalone. Kurzajki też znikają, ale lepiej nacierać je żywym sokiem, wystarczy oderwać gałązkę. O! – Zuza wskazała na płot, gdzie przycupnęło kilka roślin o pierzastych liściach i żółtych kwiatach. – Proszę, rośnie na twoich oczach.

Misia przyjęła tę informację z wielkim zadowoleniem. Tym większym, że pani Beata zapowiedziała się na jutro z córką, którą również trzeba było przed ślubem

doprowadzić do porządku.

– Zrobię, na pewno zrobię, musimy mieć zapas. I trzeba już planować maseczki.

– Mam też niesamowity pomysł na peeling – zapaliła się Zuza, która od dawna marzyła o własnym ogrodzie, a fakt, że może w końcu rozwijać swoją pasję, dodawał jej skrzydeł. Zwłaszcza że te skrzydła ktoś wczoraj skutecznie podciął. – Maść z witaminą A plus proszek z *pau-d'arco*! – rzuciła rozemocjonowana, ale zaraz ożywienie opadło jej z twarzy, a pomiędzy skrzydełka brwi zakradła się troska.

– Marchewka mówił, że nasze dzieci zabierałby do Puszczy Białowieskiej – wyjaśniła, widząc pytające spojrzenie Misi.

– Ale co dzieci mają wspólnego z peelingiem, objaśnisz mi uprzejmie?

– *Pau-d'arco* rośnie w lasach tropikalnych i mi się skojarzyło.

– Aha. Ale powiedział to, zanim z tobą zerwał czy po? – Misia wysłuchiwała już opowieści o rozstaniu stulecia, ale może umknęły jej jakieś szczegóły.

– W ogóle powiedział. Kiedyś.

– To chyba dobrze, że do puszczy? Matoły z Lasów Państwowych chcą wyciąć, mają w nosie ekspertyzy naukowe. A to pralasz, unikat na skalę światową.

– Niby tak, ale Pietruszka mówił, że chciałby pokazać swoim dzieciom, jak gniją drzewa... Czy to normalne?

– A nalewka z jaskółczego ziela jest bardziej czy mniej normalna? – zapytała Misia z przekorą. – Ja bym chciała, żeby Igła pokazywał naszym dzieciom, że świat to nie tylko lody w McDonalddie, ale też śmierć i zgnilizna. Bardzo ważna lekcja. Kto jak kto, ale ty powinnaś to rozumieć.

– Może i tak. Ale powiedział też, że absolutnie nie pójdzie

na urlop tacierzyński. – Zuza się naburmuszyła, co wcale nie odjęło jej urody. Wręcz przeciwnie. Z nadąsanymi ustami wyglądała uroczco. – Masz pojęcie?

– To już o takich szczegółach rozmawialiście?!

– Teoretycznie.

– Aha, i praktycznie się wkurzyłaś? Taką bzdurą?

– To nie jest bzdura. Pietruszka, tfu... – Zawsze przekręcała warzywa, kiedy była na Marchewkę zła, nie potrafiła nad tym zapanować. – Żenić się chciał, niziołek jeden, ale gary i pieluchy to tylko dla mnie?! Co za hipokryzja! Albo cholerny szowinizm, sama nie wiem. I mam wychodzić za takiego głąba?

– Przy odrobinie złej woli, czemu nie. Ale zdaje się, że wychodzenie już nieaktualne?...

– Czasy się zmieniły – kontynuowała wzburzona Zuza. – Mamy postęp. Kobiety pracują tak samo ciężko jak mężczyźni. To ile kobieta ma mieć etatów?!

– Ile etatów, nie wiem, ale kobieta piersi ma dwie. I jakby trudno, żeby karmił nimi facet – wyjaśniła Misia, która już zaczynała żałować, że nie zakończyła tej rozmowy wcześniej. – A śmierć i zgnilizna też wchodzi w skład. Wszystkiego, absolutnie wszystkiego. Wczoraj miałaś dowód – przypomniała domek dla gości. – À propos, trzeba przetransportować dwie tony końskiego nawozu. Wchodzisz w to?

– O matko, córko i szwagierko...

Misia zachichotała.

– Czyli potrafię cię jeszcze zaskoczyć?

– Riczarda coś bredziła o łajnie, ale ona często bredzi. Dwie tony?! Chyba mam gównianą wyobraźnię, bo nie ogarniam rozmiaru. I po co?!

– Tak, dwie, wszystko już ustaliłam. Musimy przewieźć do jutra, inaczej oddadzą komu innemu. Po co? A jak się rozrzuci trochę nawozu pod bramą... – zawiesiła zachęcająco głos. – To jakby strefa buforowa nie do pokonania. Nikt tu nie wejdzie! A potem się posadzi dynie, pietruszki czy co tam chcesz.

– Tylko że dwie tony nawozu pod bramą wałą chyba dwa razy bardziej niż zero ton – zasugerowała Zuza. – Czy się mylę? Zmieniłyśmy co prawda profil firmy na ekologiczny, ale...

– Już to przemyślałam – zapewniła Misia. – Będziemy przyjmowały klientki tam, gdzie dzisiaj. Z tyłu domu, nic nie będzie czuć. Poza tym grządkę można przykrywać w ciągu dnia folią.

– Wybacz, nie doceniłam cię... Ale jak to zamierzasz przetransportować? Chyba nie sankami?!

– Tak się zastanawiałam, czy nie poprosić Igły. – Misia tęsknie zerknęła na telefon. – Coś by wymyślił.

– Po tym, jak „wymyślił” wczoraj? – przypomniała Zuza. – Potraktujcie to jako okrutny żart, rzeczywiście... Poza tym Igła ma tylko motor i auto służbowe, więc chyba nie weźmie do bagażnika dwóch ton końskich odchodów. Chyba żeby się zwarł. – Zachichotała, ale przyjaciółce się nie udzieliło.

– Tylko w ogóle nie mogę się do niego dodzwonić. – W jej głosie zadźwięczało rozgoryczenie. – Wszystko się chrzani.

– I na tym bym poprzestała. Będzie chciał, oddzwoni. Nie, to nie.

– Tak? A kto od rana wypytuje o Marchewkę? Wiśta wio, łatwo powiedzieć. – Misia pociągnęła nosem. – Szkoda...

– Szkoda to jest, jak krowa narobi do studni –

odpowiedziała Zuza bez chwili wahania, pozostając w wiadomej stylistyce, i obie parsknęły śmiechem, bo jednak kilka godzin wytrwałej pracy, która przynosi widoczny rezultat, nastraja optymistycznie. Mimo wszystko.

– Masz rację, to nie jest szkoda, to jest... – Misia, od rana w filozoficznym nastroju, szukała odpowiedniego porównania. – Może okazja, żeby się czegoś nauczyć? Nie wiem, na przykład samotności, nie można się przecież w nieskończoność podpierać facetem.

Zuza nie skomentowała, ale bez słowa złapała przyjaciółkę za rękę i pociągnęła do okna.

Była poruszona.

– Widziałam Pyzę!

– Gdzie?!

Wychowana w bloku kotka konsekwentnie odmawiała wychodzenia na zewnątrz, co Misię trapiło, ogród to przecież wymarzone miejsce dla zwierzaków.

– Tam! – Zuza pokazała w kierunku domku dla gości, więc żeby coś zobaczyć, musiały wyjść na taras. – To naprawdę Pyza.

– Może ucieka? – Misia drgnęła, ale niepotrzebnie myślała o najgorszym.

Przyczajona Pyza pomknęła do domku Ryszardy i wskoczyła przez otwarte okno.

Adopcja Madeja i Gryzoldy miała szansę na pomyślny finał.



Ryszarda Kociołek czuła się dotknięta i upokorzona do żywego.

Jak nigdy dotąd.

Usiadła na korytarzu, gdzie chlipała żałośnie przez kwadrans, a łzy jak ziarna fasoli (groch stanowczo był za mały) skapywały jej z oczu na dekolt, czyniąc z różowego staniczka górę mokrego bikini. Przechodzący obok ludzie patrzyli ze współczuciem – wyglądała, jakby po dziesięciu latach harówki otrzymała emeryturę w zawrotnej kwocie trzystu złotych. Co robić, takie życie. Przechodzili więc dalej, dźwigając na plecach własny bagaż wyrażony w groszach polskich. Złotych!

Tymczasem Ryszarda, siedząc w chorzowskim ZUS-ie na ohydny polipropylenowym krześle, doznała czegoś na kształt objawienia. Pod wpływem wstrząsu dotarło do niej to, co od dawna sugerowali najbliżsi, zwłaszcza mama i siostra, ale kto by słuchał najbliższych – z bliska słychać najgorzej.

Wcale nie wyglądała na damę.

Jej image wcale nie był wysmakowany, a spojrzeń mężczyzn wcale nie przepełniał podziw, ale plugawa żądza, bo w swojej naiwności wykladała na tacę od razu wszystko, co posiadała.

Nagle Ryszardzie zrobiło się tak wstyd, że nawet rozważała zerwanie z tablicy pokaźnych rozmiarów plakatu („Przegląd emerytalny – bezpieczeństwo dzięki odpowiedzialności”), a następnie owinięcie się nim jak habitem. Spowita w czystą biel wyglądałaby jak ucieleśnienie wewnętrznego cierpienia, jak zgwałcona dziewczica, a krwawe loki odcinałyby się od tej bieli wstrząsającym kontrastem... Na marginesie – czerwień i biel to rewelacyjny pomysł na kolekcję!

I kiedy jej myśli w naturalny sposób poszybowały do

świata mody, bo prawdziwi kreatorzy potrafią własną porażkę przekuć w większą ideę, Ryszarda Kociołek znalazła rozwiązanie. Skoro wyczerpała wszelkie możliwości obejścia problemu, skoro nie mogła na nikogo liczyć i skoro zawiódł ją sektor państwowy, czy nie powinna... odebrać pieniędzy właśnie od państwa?!

W końcu jeszcze nie tak dawno była narzeczoną Hardego!
Coś się wymyśli.

Wytarła zatem nos, wzięła kilka głębszych oddechów, po czym ruszyła na rekonesans. Niestety, w tej dostojnej placówce dbającej o los obywateli nie znalazła czegoś takiego jak kasa, a zapytany o nią ochroniarz wyjaśnił, że wpłat dokonuje się od dawna drogą elektroniczną. Niezrażona tym faktem Ryszarda ruszyła do centrum, gdzie nabyła paczkę rolek do czyszczenia ubrań, kilka par rękawiczek chirurgicznych, czarne tenisówki, koszulkę, legginsy i... kominiarkę.

Bo najważniejsze to dobrze wszystko zaplanować.



W pokoju pani prokurator było duszno jak w wielobranżowym sklepiku wiejskim.

Nie pomagał wentylator, nie pomagały otwarte na przestrzał okna i drzwi. Szefowa starała się trzymać fason, ale zapewne i ona czuła przykry smrodek własnego potu. Igła i Marchewka wyczuwali coś znacznie gorszego.

Zapach urażonej kobiecej ambicji.

– Pan idzie do lekarza i na zwolnienie, komisarz Piotr Marchewka zostaje z dniem dzisiejszym zawieszony w czynnościach służbowych – wyrecytowała Przepiórek, po czym przyjrzała im się z martwym uśmiechem, choć

złożenie wąskich warg bardziej przypominało grymas. – Akacją przejmie kto inny... Możecie mi tylko wyjaśnić, dlaczego dwóch poważnych funkcjonariuszy tak spieprzyło sprawę? Chcieliście sobie dać po mordach, proszę bardzo, nie widzę przeciwwskazań. Po godzinach, w barze, czemu nie. Ale na oczach kamer? – grzmiała. – I to pod sądem?! Co to miało być?!

Igła już otwierał usta, żeby zażartować, że będzie liczył wejścia na YouTube, ale Przepiórek miała medialne poczucie humoru, a żyłka w jej tyłku zapewne była wypełniona żółcią.

Nie doceniłaby.

– Skompromitowaliście nie tylko mnie, skompromitowaliście polskie organa ścigania... Zwłaszcza ubolewam nad postawą pana komisarza. Jak można przyjść do pracy pod wpływem alkoholu?!

– Pani ...tor... – Marchewka, dość niechętnie, ale wziął się za wyjaśnienia. – Tłumaczyłem, procenty zostały z wczoraj. Nic wielkiego, wypłem parę piw. Ale ten duppek kazał mi zerwać z dziewczyną! – Pokazał na Igłę i Igła, aktualnie uboższy o lewą górną jedynekę, przysięgłby, że pretensja w oczach Marchewki nie była udawana.

Może właśnie dlatego otrzymał złoty strzał w maskę?!

– Wasze życie osobiste w ogóle mnie nie interesuje, interesują mnie efekty.

– No, właśnie przyłożyłem mu w efekcie, bo od tego jego pierniczenia straciłem miłość życia – skomlał Marchewka, całkiem już w rozsypce, co Przepiórek przyjęła początkowo ze wstrząsem, a potem z obrzydzeniem.

Dlatego palnęła jeszcze kilka tekstów o kodeksie moralnym, zatrzepotała spoconymi piórami, po czym

najzwyczajniej w świecie ich wyprosiła.

Igła miał całkiem podobne odczucia.

Nie kryjąc wstrętu, przyparł na korytarzu Marchewkę do ściany i wyszczerzył dziąsła. Zakrwawione i spuchnięte wyglądały koszmarnie.

– NO?!

Marchewka zapadł się we własną koszulę i wystękał:

– Musiałem jej coś powiedzieć.

– Fęfa... Wyfiłeś mi fęfa! Fefychanka miała byf, fefilu...

– A kto mnie zachęcał?! – Marchewka wyrwał się z uścisku i zacietrzewił, aż zafalowała mu blond grzywka.

– „Dajesz w prodiż”... To dałem. I co to za zęby? Jak kapsle od piwa! Ledwie cię dotknąłem... Już, nie denerwuj się, wstawisz most i będzie git. Zapłacę. Ważne, że odsunęli nas od sprawy.

– Ale jak ja se telas pokaze Mifi?!...



Dom Luka otaczały grządki pełne warzyw.

Kwiaty rosły tylko gdzieniegdzie, ale czy róża na polu ziemniaków nie jest przypadkiem chwastem?

Warzywa wcale nie są gorsze, też kwitną. Taki koper włoski – jego koszyczki przypominające ażurową parasolkę sterczały dumnie w niebo i pachniały jak słój małosolnych ogóreczków. Podobnie czosnek ozdobny. Też miał się czym pochwalić, pośród liści wyrastały badyle zakończone fioletową pękatą kulą, która wyglądała tak szpanersko, że doczekała się nobilitacji: w sklepach z wyposażeniem wewnątrz można nabyć jej sztuczną wersję. Ale już pomarańczowe jak słońce płatki cukinii są nie do podrobienia, i bardzo dobrze, wyszłaby z tego niezła orgia, bo cukinia ma kwiaty męskie i żeńskie. Na grządkach kwitł także i bób, prawdziwy kwietny elegant, który wystroił się w czarno-białą kamizelkę lekko przydymioną różem.

Jeśli istniało coś takiego jak ręka do roślin, właściciel ogródka miał ich aż dwie.

Jedną do kwitnących, drugą do niekwitnących warzyw.

Smakowały z pewnością wybornie.

Póki co Ryszarda Kociołek obejrzała sobie z ciekawością nie tylko grządki, ale idealnie utrzymane podwórko, szklarnię oraz garaż, po czym otworzyła furkę i zadzwoniła do drzwi. Głodna jak wilk, zastanawiała się, co też pani Daniela poda na podwieczorek i czy będzie to smaczne czy obłędnie smaczne, kiedy drzwi nagle odskoczyły i stanęła w nich...

ZMORA!

– Cześć, kochanie, zapraszam. Wybacz, że cię nie uściskam, ale sama widzisz...

Ryszarda widziała.

I w jednej chwili poczuła, że robi się jej nieswojo.

Pani Daniela, ta miła pani Daniela ze srebrną czupryną i iskrami w oczach, była cała we krwi. Kropelki czerwonej cieczy osiadły na policzkach, bluzce, nie mówiąc o zbryzganym krwią fartuchu i ociekających czerwienią rękach. Ryszarda zauważyła też krew za paznokciami, a jej purpurowe strużki jak dziesiątki rwących rzek biegły do łokci, by stamtąd wpaść do oceanu – kałuży na posadzce.

Krew, wszędzie krew!

Trudno się dziwić, że Ryszarda nie odpowiedziała na powitalny uśmiech pani Utko, a nawet rozważała, czy nie powinna wizyty zakończyć już teraz. Wspomnienie zwłok na drzwiach domku dla gości znowu odżyło.

– Chodź do kuchni, oprawiam królika...

Królika, nie kota!

Ryszarda westchnęła cichutko z ulgą, pomaszerowała za głosem pani Daniela do kuchni, ale okazało się, że tam jest jeszcze gorzej. Miejsce kaźni, tak musiało wyglądać miejsce kaźni. Zlew, blaty, kafelki na ścianach...

– Dobrze się czujesz? – Pani Daniela od razu zauważyła, że Ryszarda pobladła.

Zwłaszcza że nóż w ręku gospodyni, potwornie wielki i błyszczący nóż, leżał w niej tak pewnie.

– Nigdy nie widziałam, jak się oprawia... królika. I w ogóle niczego – wydusiła z siebie, nie mogąc odwrócić wzroku od maleńkiego ciała pokrytego cieniutką siatką żył i mięśni.

– Poczekaj. – Pani Daniela stanęła tyłem do zlewu,

zasłaniając tym samym makabryczny widok. – Muszę dokończyć, a ty w tym czasie przejdź do gabinetu Luka, dobrze? Na biurku leżą gazety, poczytaj sobie chwilę. Zaraz tu posprzątam i cię zawołam. Drzwi na wprost. Trafisz?

W pokoju było zacisznie i chłodno, w sam raz, żeby dojść do siebie.

Zwłaszcza że gabinet nie przypominał żadnego innego gabinetu, w jakim Ryszarda miała okazję się dotąd znaleźć. Przede wszystkim pomieszczenie sprawiało wrażenie świeżego i przestronnego, dzięki połączeniu fioletu i bieli, gdzieniegdzie przełamanych szarością. Białe meble, skórzana grafitowa kanapa, nowoczesne dodatki, których próżno by szukać w Ikei. A fioletowe obrotowe krzesło było tak futurystyczne w kształcie, że Ryszardę aż korciło, żeby sprawdzić, czy jest wygodne.

– Ojej! – Zakręciła się jak na karuzeli, a wizja oprawianego królika odpłynęła gdzieś w dal. – A to co? – Zerknęła do otwartego laptopa.

Wygaszacz ekranu stanowiły przeróżne narzędzia kuchenne, które wirowały wśród pomidorów, oliwek i gałązek ziół. Zabawna rzecz. Myszki wcale nie dotknęła celowo, ale kiedy coś znajduje się po prawej stronie przygotowane, żeby sięgnąć po to prawą ręką...

Ekran zamigotał i Ryszarda przeczytała:

– Lista najbardziej poszukiwanych przestępców w Europie wraz z ich wizerunkami dostępna teraz dla każdego internauty. Znasz kogoś z nich, masz informację na jego temat – anonimowo możesz to zgłosić za pośrednictwem specjalnie przygotowanej przez Europol strony.

Poniżej patrzyły na nią przeróżne męskie gęby, których

raczej nie chciałyby spotkać na żywo.

Co to mogło oznaczać?!

Teraz już chwyciła myszkę, bo w osobnych oknach były otwarte kolejne rewelacje: Mamy umowę o współpracy policji wykraczającą poza standardy UE. Porozumienie w przedmiocie ścigania i karania. Francuscy przestępcy w Polsce...

Zupełnie jakby się przeniosła do biura Hardego, który był zawsze na bieżąco z przepisami i różnymi kryminalnymi nowinkami. Albo jakby oglądała film o przestępcach – może dlatego odruchowo sięgnęła po paluszki, stojące obok, w szklance. Tyle że sięgając, przypadkiem dotknęła biustem klawiatury i nagle na ekranie zaczęły w oszałamiającym tempie pojawiać się coraz to nowe i nowe okna. Potem dla odmiany wszystko zamarło, nie można było niczego uruchomić, choć Ryszarda klikała, w co mogła.

Na domiar złego w głębi domu usłyszała trzaśnięcie drzwi i głos:

– *Maman*, jesteś?

Luk...

Położenie Ryszardy zaczynało być nieciekawie.

Nawet jeśli coś źle zrozumiała i nikt w tym domu nie był ukrywającym się przestępcą – ludzie czytają przecież w Internecie różne rzeczy – komunikat na ekranie nie pozostawiał wątpliwości. Ktoś tu gmerał w cudzym komputerze.

I wtedy w panice wpadła na kolejną tego dnia arcylogiczną myśl.

Skoro popsuła coś biustem...

Naprawi biustem!

Czemu nie spróbować?



Temperatura poszybowała dziś grubo powyżej trzydziestu stopni i chyba trzeba by się urodzić w Afryce, żeby ten ukrop przyjąć z pokorą. W restauracji była oczywiście klimatyzacja, ale Luk buszował rano na targu, a później przepadł na dwie godziny w Piotrze i Pawle. W drodze powrotnej postanowił więc zajrzeć do domu, żeby się odświeżyć i zmienić koszulę.

– *Maman*, jesteś? – zawołał już od progu, choć było oczywiste, że mama jest i zabawia się z królikiem, którego sam jej rano dostarczył.

Na myśl o wieczornej potrawce poczuł napływającą do ust ślinkę.

Maman potrafiła przyrządzić królika najlepiej na świecie, nawet już nie próbował jej doścignąć. Mięso pachniało masłem i tymiankiem, dosłownie rozpadało się pod widelcem, podobnie przyrumienione cebulki i słodkie ziemniaczki. Owszem, w pracy było mnóstwo jedzenia, ale od czasu do czasu lubił wiedzieć, że rodzicielka gotuje coś tylko dla niego.

Ale czy rzeczywiście gotowała dziś tylko dla swojego syna?

Mocno wątpliwe. W przedpokoju dostrzegł parę dziwacznych butów na słomkowym koturnie, co mogło oznaczać tylko jedno.

Towarzystwo.

– Kto tu jest? – zapytał od razu na wstępie, bo w kuchni zastał tylko *maman*. Całą ochlapaną krwią. – *Oh, mon Dieu!*

– Już skończyłam, zaraz sprzątnę – uprzedziła, machając mu na powitanie. – Ciii... Mam gościa. Zaprosiłam na podwieczorek tę intrygującą osóbkę, koleżankę Misi.

– Osupkę? Co to jest osupkę? Ser z góra?

– Tamto to oscypek. A osóбка to pieśczośliwie osoba. Ryszarda – wyszeptała *maman* z zawadiacką miną i puściła do niego oko, co w zestawieniu z krwawą abstrakcją na fartuchu wyglądało raczej upiornie.

– Ta wariata baba?! Tutaj?! W mój dom?!

Jego matka, na co dzień przemiła osoba – naprawdę ją uwielbiał, pod warunkiem, że nie przyjeżdżała na Akacjową codziennie – czasem zbyt wczuwała się w rolę.

Usiłowała go swatać!

Tak jakby sam nie potrafił poznać kobiety, jakby do tego była niezbędna pomoc mamusi...

A otóż potrafił i spotykał wiele kobiet, ale żadna nie umiała go zainteresować sobą na dłużej. W żadnej nie widział tej zaskakującej głębi, w którą chciałoby się spadać i spadać, którą mógłby odkrywać i odkrywać, a zawsze zostałyby coś na później. Potrzebował kobiety z pasją, niejednoznacznej. Z wieloma warstwami, z zakamarkami, z tajemnicą. I najważniejsze – jego wybranka powinna być dobrym człowiekiem.

Oczywiście, nie zaszkodziłoby też, gdyby ten dobry człowiek miał okazały biust i okrągły tyłeczek.

– Nie sfatyguj mnie, nie życzam baby! – zaznaczył groźnie, ale *maman* nie przestawała się uśmiechać.

A nawet uśmiechnęła się pośród zmarszczek jeszcze bardziej figlarnie, odbierając mu tym samym możliwość obrony. Rozbrajał go ten uśmiech, doskonale o tym wiedziała.

Wzruszył ramionami.

– Idź się przywitać – szepnęła. – Biedactwo zasłabło na widok królika. Jest w gabinecie.

– W moim *cabinet*?!

Tu już *maman* przesadziła.

Wysłała wariatkę do jego pokoju!

– Zamknam dom nowy klucza, już nigdy nie wejdiesz tu.

– Pogroził jej palcem i udał się do... garderoby.

Właśnie dlatego przeznaczył sąsiedni pokój na gabinet – w ścianie rozdzielającej pomieszczenia, przy suficie, znajdował się ciąg małych okienek. Pełniły funkcje wentylacyjne, choć wykonane z weneckiego szkła stanowiły również ozdobę. I świetnie nadawały się do tego, żeby sprawdzić, czy ktoś nie nadużywa jego gościnności.

Luk przystawił do ściany składaną drabinkę, zerknął i... wstrzymał oddech.

Wiele już widział, wiele też widział, kiedy inni wiedzieli, że patrzy, ale jeśli ktoś nie wiedział, że jest obserwowany, zachowywał się w miarę naturalnie.

Tyle że ruda wariatka zapamiętała okładała jego klawiaturę...

PIERSIAMI!

Piersi były bardzo ładne, opalone, jędrne, przykryte różowym stanikiem i Luk w sumie pomyślał, że skoro ruda uprawia już cyberseks, bo chyba o to chodziło, mogłaby sobie ten stanik darować. A wtedy on zawitałby do pokoju i wcisnął Caps Locka. Pod wpływem tej upojnej wizji w jego spodenkach zaczęło się budzić życie i już nie miał wątpliwości. Odtąd za każdym razem, kiedy przejedzie palcami po klawiaturze, będzie się czuł, jakby dotykał kobiecej skóry.

Tymczasem w gabinecie doszło do czegoś na kształt finału.

Ruda dyszała coraz szybciej, a w pewnej chwili jęknęła z rozkoszy i krzyknęła:

– TAK!

A wtedy również i jemu nie pozostało nic innego.

Wziął sprawy w swoje ręce.



Zuza została odtrącona.

Nie było jej miło, choć dobrze znała ten mechanizm.

Kiedy cię chcą, własne chcenie nie zawsze jest oczywiste, ale niech cię tylko wyrzucą, zaraz pojawia się w środku przykry znak zapytania, a poczucie własnej wartości, jeśli nie jest tłusciutkie i stabilne, zaczyna się gibać to w jedną, to w drugą stronę. W tych okolicznościach bardzo łatwo pomylić poczucie odrzucenia z poczuciem straty.

Zuzie zakręciło się w głowie od tych wszystkich pocuć, ale jeśli nie chciała zrezygnować z kontroli nad własnym życiem, musiała być wobec siebie krytyczna.

I szczerą.

O co jej tak naprawdę chodziło?

Czy o to, że jej ktoś nie chciał, czy że bez Marchewki, nawet uwikłanego w swoje sprawy i niezbyt często widywanego, czuła się źle? I dlaczego wciąż była dla Pietruszki opryskliwa, dlaczego tak napierała i napierała, dlaczego sprawdzała, ile zostało w tym bladym ciałku cierpliwości?

Odpowiedzi jakoś nie chciały się pojawiać, za to pod wpływem autoterapii Zuza strasznie zgłodniała. Myślenie i głód w jej przypadku nie szły w parze, więc zamiast się

zadręczać, postanowiła pomóc Misi przy obiedzie, który jednak, jak to latem, wcale nie był skomplikowany – sos jagodowy z makaronem. Ale za to jak smakował...

Później Misia zajęła się planowaniem jutrzejszych zabiegów, a Zuzie przypadły w udziale zakupy, co doskonale się składało, była przecież umówiona z Krzemińskim.

Przy furtce natknęła się na pana Tadeusza.

Który trzymał fason, ale mało mu szyi nie urwało, tak lustrował podwórko w poszukiwaniu Misi. Czemu więc nie umilić życia innym, skoro własne było jak tona albo jeszcze gorzej – dwie tony nawozu?

– Panie sąsiedzie, a może byśmy jednak wspólnie naprawili płot? – zapytała, odbębniając część oficjalną, na którą złożyła się między innymi wymiana uśmiechów.

Rozcięta siatka wisiała smętnie, pan Tadeusz jako esteta powinien dać się złapać.

I rzeczywiście.

– Nie wygląda to dobrze, muszę przyznać – stwierdził, kiwając głową.

– My do tej pory nie dysponowałyśmy za bardzo środkami...

– Ale wykluczone! – zaprotestował gorąco, więc Zuza wyszła z założenia, że nie będzie się kłócić z obcym facetem. – Pokryję koszty. Tym bardziej, jeśli nie będzie paniom przeszkadzało, że wzniósłbym ten sam murek, co na reszcie posesji?

Spryciarz!

Zuza przyznała panu Tadeuszowi z negocjacji piątkę, ale przecież jeszcze nie skończyła prowadzić własnych.

– Myślę, że Misia nie będzie miała nic przeciwko. Ale to

już powinien pan ustalić z nią, choćby teraz. Biedaczka siedzi w salonie i strasznie się zamartwia, coś okropnego, a ja muszę lecieć.

– Czemu się zamartwia?!

Mamy cię, gagatku!

– Nie wiem, czy wypada o tym mówić... – Zuza zrobiła minkę, jakby stała w szalecie miejskim bez dwóch złotych przy duszy, za to z potrzebą ciała. – To trochę mało elegancki problem.

Pan Tadeusz napiął mięśnie, jednak nie wypytywał.

Bardzo ładnie z jego brzydkiej strony.

– Chodzi o koński... – Pokazała na rozkopaną grządkę przy bramie.

– Nawóz?

Bingo, bystrzaku!

– Właśnie, chodzi o nawóz. Trzeba go nawieźć, znaczy przywieźć, ale nie mamy czym. Chcemy hodować dynie i pietruszki – dodała tęsknie.

– Pani Zuzo, proszę spojrzeć na mój ogród. – Pan Tadeusz uśmiechnął się z dumą. – Myśli pani, że dlaczego tu wszystko rośnie jak szalone?

– Nawóz?

– Bingo!

– A skąd go pan bierze?

– Zwykle mój ogrodnik przywozi od rolnika, ma swoją przyczepę.

– Ojej! – zawołała głosem Ryszardy: zachwyconym kwileniem łabądka, który odłączył się od mamusi i obadał cały staw pełen zgniłych badyli.

– Widzę, że musimy z panią Misią coś wspólnie ustalić... Zapowie mnie pani?

Zuza zapowiedziała.

Wskoczyła do salonu i starając się być dyskretna, szepnęła:

– Ten twój demencjusz z naprzeciwka właśnie wszedł w gówna. Więc bądź dla niego miła. Idzie tu!

Załatwienie tak przyziemnej kwestii dodało Zuzie wigoru.

Puściła do oszołomionej Misi oko, po czym pognęła na przystanek, jednak pod Silesię dotarła dziesięć minut po czasie. Pan Krzemiński siedział w toyocie jeszcze bardziej najeżony niż zwykle, a jego tłuste włosy sterczały na szyi jak na szarżującym dziku.

Upalne popołudnie zapowiadało upalny wieczór.

– Przepraszam – powiedziała, wsiadając do samochodu z zachęcającym uśmiechem, który miał wzbudzić zaufanie.

– Utknęłam w korku.

Pan Krzemiński zmierzył ją spojrzeniem wypranym z jakichkolwiek emocji.

– To pani.

Pamiętał ją.

Ale trudno nie pamiętać kogoś, kogo się tak bezczelnie oblało.

– Zuzanna Bączek – przedstawiła się, rejestrując, że w samochodzie obrzydliwie śmierdzi tłuszczem. Albo łojem.

– Miło mi. Tak, to ja, chciałabym... Jak by to powiedzieć...

– Dwa tysiące – wyrzucił z siebie Krzemiński, w ogóle nie przejmując się czymś takim jak gra wstępna. Oczy miał zmęczone upałem, posiekane czerwonymi żyłkami, mętne.

– Teraz. Tytułem zaliczki. I dwa tysiące po egzaminie. Pasuje?

Zuzie nie pasowała ani forma, ani to, że nie wszystkie negocjacje przebiegają tak, jak by sobie tego życzyła, ale

nie było wyboru. Pan Krzemiński wyglądał na kolesia, który prędzej by ją związał i wywiózł stąd w bagażniku, niż zszedł z ceny.

Ale nie zamierzała poddać się bez walki.

– A gdyby chodziło o dwa egzaminy? Dla mnie i dla... – wspomniała wesołe oczy pani Utko – przyjaciółki? Bardzo dyskretna osoba, też zdawała kilka razy. Może jakaś promocja?

– Cztery – wycedził Krzemiński, nie spuszczać z Zuzy obojętnego wzroku. – Tysiące. Dzisiaj cztery, po wszystkim kolejne cztery. Jak pani chce źmioki, proszę iść na targ, tam pani dadzą w promocji worek cebuli. Tu jest biznes. A biznes to odpowiedzialność. Żadnych ulg.

Na tak postawione warunki można było tylko przystać lub nie, więc Zuza podała swoje dane oraz dane pani Utko – zostały uwiecznione w grubym granatowym kalendarzu pośród innych nazwisk – i poprosiła o kolejne spotkanie, bo nie zabrała ze sobą gotówki.

– Będę tu jeszcze wieczorem. Dwudziesta? – rzucił.

Zdaje się, że ktoś nie narzekał na brak klientów.

– Dwudziesta. Przywiozę pieniądze.

Krzemiński udał, że nie widzi wyciągniętej na pożegnanie ręki.

Łój.

W aucie śmierdziało łojotokowym zapaleniem skóry.



Ryszarda podejrzewała, że naprawiając komputer biustem, dokonuje nie lada wyczynu, więc po wstępnej fazie wyczerpania poczuła dumę i właśnie wtedy została poproszona do kuchni.

W charakterze gońca wystąpił... Luk.

Staął w drzwiach odziany jedynie w spodenki, z przewieszonym przez tors ręcznikiem, a krople wody błyszczały mu w zmierzwionych włosach. Zdecydowanie wyglądał pociągająco i choć jego twarz nie znalazła się wśród wizerunków najbardziej poszukiwanych bandziorów w Europie, Ryszarda nie traciła nadziei.

Coś było na rzeczy.

A ona, nie wiedzieć czemu, miała do przestępców niesamowitą słabość.

– Co robisz tu? – spytał ostro, wcale nie siląc się, żeby być uprzejmym, i Ryszarda poczuła dreszczyk emocji.

Dopiero teraz uwierzyła w to, co mówił w lokalu: że wczoraj rano wcale za nią nie szedł, że spotkali się w parku przypadkiem i że wcale nie czyhał na jej niewinność, a nawet usiłował ją uchronić od spotkania z dwójką pijaczków. Dopiero teraz uwierzyła, ponieważ Luk wcale nie musiał się uciekać do gwałtów. Kiedy tak na nią patrzył – niby groźnie, a jednak ciepło – i gdyby tak nie przestawał patrzeć...

– Spotkanie mam – wyjaśniła, bo cisza zaczynała się przedłużać, a napięcie można już było kroić nożem.

– Sutka nie masz?

– Mam dwa – odpowiedziała zdziwiona, sięgając w popłochu do piersi i przez chwilę oboje nie bardzo wiedzieli, o czym rozmawiają.

Na dodatek Luk wykonał krok w jej stronę i ten krok znaczył więcej niż słowa, czuła to dokładnie.

– Przyszłam się spotkać z twoją mamą. Miało cię nie być.

– Jestem.

– A będziesz? – spytała szybciej, niż pomyślała.

– Muszę zaraz iść praca. Ale bym chcę... – Tu zabrakło mu słów.

Ryszarda dostrzegła w jego oczach tyle niewypowiedzianych treści, że uśmiechnęła się dziwnie rozczulona. Niestety w tym samym momencie ktoś zapukał do drzwi i całe ich polsko-francuskie porozumienie diabli wzięli.

– Hej! – Do holu wpadła jak pocisk Zuza. Na widok Ryszardy uniosła brwi. – Myślałam, że się nie znosicie, a ty już tutaj? Normalnie rozprzestrzeniasz się jak czarna ospa. Nieważne. – Machnęła ręką. – Luk, możesz mi poświęcić chwilę? Mam sprawę.

– Przyszłam do pani Danieli, zaprosiła mnie na podwieczorek – wyjaśniła Ryszarda, ale oczywiście zaczęło się dziać to, co działo się, kiedy na scenę wkraczała Zuza.

Wszyscy musieli zajmować się tylko nią.

– Tak, Ryszarda do *maman*. – Luk jakby wiedział, o co chodzi.

Objął ją uważnym spojrzeniem, po czym dał Zuzie znak, żeby zaczekała, a sam ruszył z Ryszardą do kuchni, za co była mu wdzięczna. Już przy końcu korytarza nachylił się i wyszeptał jej do ucha zaproszenie na... poobiednią kawę.

Kiedy więc Ryszarda ponownie stanęła przed panią Utko, czuła się jak nowo narodzona.

Nawet nie przypuszczała, ile razy będzie jeszcze musiała przychodzić na świat.

Jednak w kwestii porodów, choćby mentalnych, pani Daniela miała większe doświadczenie, bo widząc nieprzytomny wzrok syna, szybko zajęła się czym innym. W tym przypadku – serwowaniem chrupiących bagietek.

– Przepyszne, kupiłam w LOKAL-u na Oblatów. Zupełnie

jak we Francji – zagadała, kiedy Luk wyszedł, a Ryszarda w końcu otrzeźwiała i zaczęła się bacznie rozglądać.

Kuchnia wyglądała teraz, jakby ją ktoś odmienił.

Nie skurczyła się – była olbrzymia, wręcz dorównywała wielkością salonowi – ale pozbawiona krwawych akcentów nastrojała optymistycznie bielą, drewnem i oszałamiającą ilością światła, gdyż całą zachodnią ścianę stanowił ciąg okien. Wśród nich znajdowały się przeszklone drzwi na taras, skąd wyglądały główki pelargonii mieniących się różem i czerwienią. Kuchenne szafki pachniały żywicą, ponad blatami uśmiechały się krągłymi buziami porozwieszane rondle, rondelki i łyżki, a sześciopalnikowa miedziana kuchenka i dwa piecyki sygnalizowały, że to nie jest zwyczajne miejsce.

To miejsce kultu.

– Bardzo tu ładnie, zupełnie inaczej niż przed... chwilą. – Ryszarda, nie chcąc urazić gospodyni, starannie ważyła słowa.

Pani Utko złożyła usta w przekornym uśmiechu.

– Tak, bez krwi królika nasza kuchnia wygląda całkiem nieźle. Siadaj, proszę. – Wskazała okrągły stoliczek nakryty obrusem w biało-niebieską kratkę, na którym czekała już zastawa i wazonik ze świeżo zerwanymi rumiankami. – Gotowanie jest jak życie. Nie każdy rozumie, że kucharz musi również zabijać.

Nie zabrzmiało to dobrze, Ryszarda w jednej chwili straciła rezon.

– Ale...

– Króliki nie rosną na grządkach – wyjaśniła dobrotliwie pani Daniela, przynosząc do stolika dzbanek z kawą. – Ani kury, podobnie krowy i świnie. To wszystko należy...

– Kupić? – wyrwało się Ryszardzie, a w jej głosie zabrzmiała rozpacz.

– Oczywiście. – Pani Daniela jako bystra rozmówczyni od razu dostrzegła obawy swojego gościa. – Kucharz to przecież nie rzeźnik. Dzisiaj droga od zagrody do potrawy nie jest tak krótka jak dawniej. I całe szczęście! Ale kiedy ktoś wręcza ci świeżutkie...

– Zwłoki?...

– Mięso. Kiedy ktoś wręcza ci świeżutkie mięso – poprawiła cierpliwie mama Luka i w jej głosie nie było nagany, raczej zrozumienie, dlatego Ryszarda znowu odetchnęła – trzeba się z tym zmierzyć. Po prostu. To jedzenie, tyle że w fazie przygotowawczej. Uczono nas tego już w Le Cordon Bleu. To taka akademia kulinarna – dodała wyjaśniająco.

– Czyli pani jest takim masterchefem?

– Jestem po prostu kucharką i kocham to, co robię. A dzisiejszy królik trafił do mnie już po śmierci, ale przyznaję się. Musiałam kiedyś własnoręcznie zabić kurę. A nawet trzy kury. Plus kilka kaczek...

– Ojej!

– Gdyby nie mięso, wciąż siedzielibyśmy na drzewach, z bananem w ręku. I może to nas podawano by jako pieczone.

– Okropne.

– Czemu? Zwykła kolej rzeczy. – Pani Daniela usiadła tylko na chwilę, żeby zaraz zerwać się z miejsca. Wydało się też, do czego służyły miseczki przy talerzach: gospodyni naląła do nich kawy! – We Francji właśnie tak pijemy – zdradziła. – Filiżanka jest zbyt mała, żeby maczać w niej pieczywo. Na spodeczku są świeże konfitury z malin, pod

serwetką schowałam croissanty, a zaraz zrobimy gorącą czekoladę. Masz ochotę?

Pytanie!

Ryszarda zjadłaby konia z kopytami, ale z trudem za tym wszystkim nadażała.

Na początku wizyty była przestraszona i miała pani Daniela trochę za złe, że wita ją w tak makabrycznych okolicznościach, teraz znowu sympatia do mamy Luka skoczyła w górę, chociaż w tym domu działy się dziwne rzeczy. Ale faktem było również, że Ryszarda mało gdzie czuła się tak dobrze jak tutaj. A pani Daniela wcale nie udawała miłej, naprawdę była miła i pozytywnie nastawiona do całego świata, aż Ryszarda jej pozazdrościła.

– Gorąca czekolada, konfitury?! Jak pani sobie z tym wszystkim radzi? – zapytała z podziwem, bo chociaż w domu mogła zwykle liczyć na pomoc Hardego, często czuła taką bezradność, jakby ją ktoś na własne życzenie wrzucił do studni. Głową w dół. – Tyle pani gotuje. I w restauracji, u Luka, pewnie też u siebie?

Pani Daniela w odpowiedzi dmuchnęła w srebrną grzywkę.

– Do tego dochodzi pranie, sprzątanie, zrywanie kwiatów... – Ryszarda spojrzała na rumianki i posmutniała. – Ja nie umiałam, szczerze mówiąc. Za dużo tego było. I ciągle to samo i to samo, oszaleć można.

– Pewnie za dużo myślałaś.

– Nie myślałam – zapewniła żarliwie. – Tylko się strasznie złościłam.

– Na jedno wychodzi. Najgorzej w takiej sytuacji filozofować. – Gospodyni otworzyła czekoladę i czerpiąc radość z towarzyszących czynności trzasków, połamała ją

na kawałki. – Bo widzisz, pracy w domu jest mnóstwo, a liczba filozofów ograniczona, musi ich w końcu zabraknąć. Bez względu na Platona...

– Ja używałam Cifa.

Pani Daniela zakaszłała.

– O czym to ja?... A tak, bez względu na Platona, Cifa czy innego brodatego mądralę, gary same się nie pozmywają. A im więcej przy tym myślimy, że to niesprawiedliwe, że to strata czasu, tym więcej tej niesprawiedliwości i żalu wkładamy do jedzenia, do siania łóżka, do wszystkiego. Po co?! Po co rozlewać truciznę w najbliższym otoczeniu?

– Ale to takie beznadziejne: tylko sprzątać i sprzątać!

– Jak się nie ogarnie rzeczywistości, i to w jej podłym, codziennym wydaniu, nie ogarnie się niczego. Zapewniam cię. To podstawa. I wbrew pozorom ktoś to nieźle wykombinował.

– Tak?

Gospodyni położyła przed Ryszardą czarną kostkę, zachęcając gestem do spróbowania.

– Tak. Bo jak ci źle, trzeba nabrać dystansu, zamiast tylko rozmyślać i rozmyślać. A takie gotowanie – wrzuciła czekoladę do rondelka, wlała mleko, po czym chwyciła za trzepaczkę – nie dość, że jest przyjemne, to jeszcze pozwala oderwać się od problemów. Tak że przyjąłem, że pewne rzeczy TRZEBA zrobić. I tyle. Nie warto przy tym myśleć i strzelać gola do własnej bramki.

– Strzelać gola... – powtórzyła Ryszarda, krążąc już myślami wokół innego tematu. – A właśnie. Spotkało mnie dzisiaj coś bardzo przykrego. Bardzo! Powie mi pani, ale tak szczerze, jak wyglądam?

Pani Daniela oderwała się na chwilę od kuchenki.

– Jak wyglądasz? Ale dzisiaj?

– W ogóle. Jak by pani określiła mój wygląd. Ale tak brutalnie, proszę mnie nie oszczędzać.

– No, jak milion dolarów. Ale – pani Daniela przeprosiła uśmiechem – w pięciocentówkach.

Ryszarda przełknęła zniewagę, a po chwili milczenia skosztowała czekolady. I kiedy po pierwszej ciemnej goryczy odkryła wśród smaków łaskoczącą podniebienie słodycz, poprosiła:

– A umiałyby mi pani pomóc? Tak, żeby ten milion był w jednym papierku?...



Zuza podziękowała w duchu opatrności, że pomimo paskudnego samopoczucia posłuchała wewnętrznego głosu i zrobiła się na bóstwo. Bo kiedy wyszła z Lukiem na ulicę – wolała nie załatwiać swoich ciemnych spraw przy świadkach – stanęła oko w oko z...

Marchewką!

Piotrek wychodził właśnie z ich podwórka i od razu zarejestrował, że Zuza wygląda ślicznie. Poznała to po wyrazie jego twarzy i po wzroku, którym obrzucił sukienkę oraz pantofle, a w tych konkretnych pantoflach wyglądała na dużo wyższą (dlaczego Stwórca nie dał jej wzrostu modelki?!). Ale w oczach swojego osobistego policjancika zobaczyła coś jeszcze.

Coś, czego nie widziała nigdy dotąd.

Zaciętość.

A zaciętość rodzi zaciętość i chociaż w nocy Zuza wyobrażała sobie to spotkanie setki razy – wiedziała, że Marchewka będzie się w końcu czołgał u jej stóp! – teraz

zareagowała odruchowo. Zamiast wyrecytować przygotowaną formułkę o nieporozumieniu, o dialogu, o budowaniu utraconej więzi, burknęła:

– Czego tu?

– Nie rozczarowujesz – odparował, bynajmniej nie wytrącony z równowagi i to już było dla Zuzy zaskakujące. Jej poczciwy Marchewka miał do swojej dziewczyny słabość i nigdy, przenigdy nie zwróciłby się do niej w tak bezczelny sposób. – Jak zwykle trzymasz klasę. Wybacz, ale nie dostosuję się poziomem kultury. Dzień dobry...

Zuza naprawdę zbaraniała.

Czy Marchewkę pogięło?

Wydał lekceważąco usta i teraz dla odmiany wziął na celownik Luka, który stanął w swojej furtce i wbijał w niego mało serdeczne spojrzenie, ale krótkie spodenki – które chyba były nawet majtkami – nie dodawały mu splendoru.

Zuza potrafiła tylko patrzeć, stała pośrodku ulicy jak sparaliżowana.

– Widzę, że nie traciecie z Misią czasu. – Marchewka musiał odnotować jakoś francuskiego torsu, bo również stanął w furtce niczym w narożniku i napiął mięśnie: białe i malutkie, rodem z *Wakacji Mikołajka*. – W salonie kręci się jeden, tu widzę kolejnego. Pan Lancelot! To od lansu... – dodał, niby uprzejmie, ale obłuda kapąła z każdego jego słowa. – A zna pan ten kawał?...

– Pietruszka!

– Zuza. – Luk dał sygnał, żeby się nie wtrącała. – Zostawiaj nas. Chętnie rozmawiam... Lubiam kawały.

– Słyszałaś? Pan Lancelot lubia kawały. Proszę bardzo... Króciutki, żeby nie znużyć, bo nie każdy przyswaja dłuższą

ilość tekstu... Co mówi Francuz po uderzeniu samochodem w drzewo? Nie wiecie, to oczywiste. „Przecież trąbiłem!”

Poza Marchewką nikt się nie roześmiał, ale zaraz do natarcia ruszył Luk.

– Niemiec, Polak i Francuz lata samolot. Francuz daje ręką okno i mówi: „Jesteśmy we *France*. Dotykam wieża Eiffła”. Po chwila Niemiec ręką wyjmuje. „Dotykam mur berliński, jesteśmy w Niemce”. Potem daje ręką za okno Polak. „O, Polska! Zegarek mi podpieprzyli!”

Zuza na widok miny Marchewki zarechotała, ale później już nikomu nie było do śmiechu.

Piotrek dostał szału.

– Ty?! – rzucił pełen wściekłości. – Ty będziesz wyzywał Polaków od złodziei? Przy mnie?!

Gdyby nie błyskawiczna reakcja Zuzy, zapewne doszłoby do rękoczynów – Luk już zwierzał szyki – ale kobieca intuicja kazała jej rzucić się Marchewce w ramiona. I przez upojną chwilę Zuza czuła się, jakby wróciła do domu, jakby szła z tatą na niedzielny spacer, bo te ręce, choć nieduże, w dotyku były ciepłe i gotowe bronić swojej kobiety do ostatniej bladej kropli krwi.

Ale Marchewka zaraz ją od siebie odczepił, tak jak się odczepia brudne i klejące dziecko, więc tylko zdążyła zawołać:

– Piotruś, opanuj się. Jesteś policjantem!

– Już nie. Jestem zawieszony.

– Wisi mu? – Luk zrobił niewinną minkę.

– Panie Trufla... Ostrzegam pana! – ryknął doprowadzony do ostateczności Marchewka, ale Zuza, górując w obcasach nad swoim niedawnym mężczyzną, stanowiła skuteczną zaporę. Wyrwał się więc i na

odchodnym tylko pogroził Lukowi pięścią. – Jeszcze się spotkamy... – zapewnił.

Na Zuzę nawet nie spojrzał.



Misia była dokładnie w jego typie.

Lubił szczupłe, łagodne blondynki, które nie zadawały zbyt wielu pytań. Pan Tadeusz potraktował więc godzinę zaglądania w duże oczy sąsiadki jako bonus.

Od dawna planował tę wizytę, ale potrzebował pretekstu, którego w końcu dostarczyła jej przyjaciółka, Zuza. Wykorzystał zatem splot okoliczności i uciął sobie z Misią bardzo użyteczną pogawędkę.

Od wczorajszego wieczora mówili do siebie po imieniu, więc spotkanie miało charakter przyjacielski, dzięki czemu mógł obejrzeć, jakie zmiany zaszły w środku. Napracowały się, bez dwóch zdań. Ale też mnóstwo zostało jeszcze do zrobienia. Bez męskiej ręki marnie to widział, ukończenie remontu przed zimą w ogóle nie wchodziło w grę, więc jako dobry sąsiad zaoferował pomoc: oddał im do dyspozycji Sławusia, swojego mechanika łamane przez ogrodnika. Oczywiście, żeby gest pozostał gestem, wyznaczył granice tej szczodroliwości.

Dwa dni w tygodniu.

Tyle powinno wystarczyć i Misi, i jemu.

Początkowo nie chciała się zgodzić, wcale nie udawała, ale w końcu ją przekonał. Umowę przypieczętowali kawą (podaną w słoiku!), po czym Tadeusz grzecznie cmoknął sąsiadkę w policzek i pomaszerował do siebie. W przelocie natknął się na jakiś samczy cyrk przy furtce, ale miał ważniejsze sprawy na głowie.

Sławusia zastał w garażu.

– Stało się coś? – Chłopak spojrzał na niego ukradkiem, ale znał już swojego pracodawcę na tyle, żeby wiedzieć, że coś się wydarzyło.

Dobrze, że mógł liczyć przynajmniej na niego.

A jeszcze kilka lat temu Sławuś był zwykłym młodocianym chuliganem, który włamał mu się do auta. Jednak pechowo – zajście zarejestrowała kamera i chłopak od razu został zidentyfikowany przez tak zwane organa ścigania, z którymi zresztą znał się od piętnastego roku życia. I tak wyglądał początek ich znajomości. Bo zobaczył w Sławusiu młodego, ambitnego człowieka, któremu trudno było przeskoczyć własny ogon. W dodatku chłopak miał niesamowitą smykałkę do elektroniki. W pokoju przesłuchań naprawił na jego oczach telefon, i to za pomocą długopisu! Wycofał więc zarzuty i tym samym zyskał lojalnego pracownika.

Sławuś przy całym swoim oddaniu i dyskrecji miał tylko jedną wadę. Był, delikatnie mówiąc, ślamazarny. Wszystko wykonywał dokładnie, rzetelnie, ale powoli.

Bardzo powoli.

– Od jutra będziesz pomagał naszym sąsiadkom przy remoncie – oznajmił Sławusiowi twardym głosem.

Perspektywa chyba nie przypadła mu do gustu – po swoim zmarszczył czoło – ale nic nie powiedział.

Patrzył.

– Zrobisz, co ci każą. Jakieś malowanie, przeróbki i inne takie. Potrafisz, nic wielkiego. Tylko...

– Tylko? – Sławuś poczuł pismo nosem i już się ożywił, co w jego wydaniu polegało mniej więcej na tym, że najpierw obnażył w uśmiechu górne jedyńki, potem ukazał światu

dwójki...

Tadeusz zwykle tracił cierpliwość przy trójkach.

– Tylko że to nie będzie twoje jedyne zadanie.

Nachylił się do Sławusia i długo mu tłumaczył, a Sławus długo przyswajał, ale po godzinie mieli już obgadane najważniejsze szczegóły...



Na popołudniowym niebie roiło się od popiskujących jerzyków i zmianę pogody wyczuwały nie tylko ptaki. W powietrzu coś wisiało. I nie chodziło o latające przy ziemi owady. Raczej o pewnego rodzaju nerwowość, która rodziła się wysoko, w chmurach, gdzie przeskakiwały ładunki elektryczne, gdzie nize i wyże prały się po gębach, chlały, a człowiek za te zakrapiane imprezy słono płacił.

Najczęściej bólem głowy.

– Ale powiedz wszystko po kolei, dokładnie – naciskała Zuza, której policzki płonęły żywym rumieńcem, jak w kreskówkach Disneya. – Co mówił?

Misia, wystawiając twarz na kojące działanie wiatru, nie przestawała się uśmiechać. W ręku trzymała krzyżówkę, prawie niewypełnioną.

– Rozmawialiśmy o Brueglu. Dokładnie o adaptacji filmowej, *Młyn i krzyż* Lecha Majewskiego. Nieprawdopodobne, ale on to oglądał!

– Marchewka?! – Zuza oniemiała.

– Tadeusz...

– Misia, proszę cię, wróć do żywych, bo jesteś obok. Za chwilę zaczniesz ssać długopis. O Marchewkę pytam!

– Jeśli chodzi o Marchewkę, obstawiałabym *Kapitana Żbika*. Albo *Dextera*. Już! – Misia uniosła rękę, dając do

zrozumienia, że się przekomarza. – Ile razy mam mówić to samo? Może ci napiszę? Długopisem?! To były nanosekundy. Marchewka wszedł, przywitał się, poprosił o adres mojego dentysty, bo kiedyś mu wspominałam, że facet jest rewelacyjny. I wyszedł. Nie... Nie rozglądał się po domu – uprzedziła kolejne pytanie.

– Co za jełop, autentyczny jełop. – Zuza nie mogła uwierzyć. – I po co mu dentysta?!

– Po dłuższym namyśle zrezygnowałam z zaglądania Marchewce do jamy ustnej, ale do tej pory żałuję – wygłosiła z przekąsem Misia, tracąc cierpliwość. – Nie wiem... A może w końcu wytłumaczysz temu autentycznemu jełopowi, że zaszła pomyłka? – podsunęła. – Powiedz mu, że ciebie i Luka nic nie łączy. To jakby najprostsze rozwiązanie.

– Tak?! Musiałabyś go słyszeć! Nic by nie dotarło, nic, taki był uruchomiony. Więc postanowiłam czekać, aż mu opadnie.

– Co mu opadnie? – zainteresowała się Ryszarda, która do tej pory leżała cichutko na kocu, licząc w skupieniu oddechy.

Zuza w odpowiedzi wzniosła oczy do nieba i poszła za jej przykładem. Ale nie odnalazła w sobie tej łagodności, która brzmiała w głosie Ryszardy.

– Raz, dwa, trzy...

– Król mityczny. – Misia dla odmiany postanowiła wyłączyć się z rozmowy. Ze stoickim spokojem wróciła do krzyżówki. – Właściciel ogromnej zaniedbanej stajni, którą posprzątał jeden z herosów.

– Wiem! – Ryszarda aż usiadła. – Aug... Aug... Jak to było?... Augmentin!

– Cztery, cztery i połowa... Czy moje problemy was przypadkiem nie nudzą? – Zuza wróciła do tematu, nawet nie starając się ukryć irytacji.

Misia łypnęła na nią okiem i przeczytała kolejne hasło:

– Osobowość chwiejna emocjonalnie, cechująca się wahaniami nastroju, napadami gniewu oraz lękiem przed odrzuceniem... Jakież sugestie?

Ryszarda zapatrzyła się w dal, jakby szukała natchnienia w krzaczkach agrestu.

– Wcześniej nie byłam pewna, a teraz już całkiem nie wiem – powiedziała, wsłuchując się we własną odpowiedź.

Misia z Zuzą jak na komendę spojrzały na nią z rozdziawionymi buziami.

– Chciałam powiedzieć to samo, ale inaczej. Przepraszam... – bąknęła spłoszona. – Pani Daniela mówi, że powinnam mniej paplać, a więcej robić – dodała, wkładając przy okazji Madeja do stojącego przy drzewie pudełka. – I nie będę paplać, chcę tylko o coś spytać, dobrze? Nie chodzi o Marchewkę – zastrzegła.

Jednak Zuza nie zamierzała tak łatwo odpuścić.

– Panie Boże, Baranku Boży... – zaczęła teatralnie, jednak zaraz nadstawiła uszu. – Moje życie osobiste i tak nikogo nie interesuje. Pytaj.

– Gdybyście chciały odebrać pieniądze od państwa, jak byście to zrobiły?...

Rozmowa zmieniła tor na ożywczo intrygujący.

– Czemu akurat od państwa? – zdziwiła się Misia i odruchowo zaczęła... ssać długopis!

Zuza pokręciła głową z udawanym współczuciem.

– Właśnie? – powtórzyła za przyjaciółką, dając jej przy okazji po łapach. – Masz, skoro musisz, posysiaj sobie

roślinkę. – Wręczyła jej zerwaną właśnie koniczynę. – Nawijaj o tym państwie, słuchamy.

– Bo... – Ryszarda zatrzepotała rzęsami niczym naiwna pierwszoklasistka. – Założmy, że państwo wam zabrało. I jedyne wyjście to odebrać. Ale od państwa, nie od obywateli. Od obywateli nie można! – zaznaczyła.

– Ale to i tak pieniądze nas wszystkich. – Misia sprawdziła, czy koniczyna ma cztery listki, jednak nadzieje okazały się płonne, więc zadowolila się i trzema. – Czy wypływają z NFZ-etu, czy z Poczty Polskiej, jaka różnica? I tak do nas wróca.

– Czyli... Trzeba uderzać w instytucje państwowe?

– Tak, zabieraj ludziom miesięczne – zakpiła Zuza, której oddech od własnych problemów najwyraźniej służył.

Tymczasem Ryszarda znowu podążyła wzrokiem do agrestu, a jej myśli musiały się zrobić tak samo kosmate jak jego owoce, bo zmrużyła oczy i z lubością powtórzyła:

– Poczta Polska...



Lekcje stylu.

Zdaje się, że tak będzie można nazwać jej dalszą znajomość z panią Utko.

Ryszarda Kociołek wróciła na Akacjową nieco sfatygowana psychicznie (moc wrażeń!), ale spokojna. Zaczęła wierzyć, że jej życie zdecydowanie zmieni bieg i to ona nada mu nowy kierunek.

Mniej kolorów, mniej dodatków, mniej, wszystkiego mniej.

To się nazywało świadomy umiar.

Po kolacji rozłożyła więc na łóżku swoje rzeczy

i rozpoczęła selekcję, a to z tej przyczyny, że otrzymała od pani Daniela pracę domową: na daną porę roku w szafie miała zostawić tylko piętnaście ubrań! Piętnaście, co za absurdalna liczba. Próbowwała naciągać do osiemnastki, że niby pełnoletniość i tak dalej, ale pani Daniela pozostała niewzruszona. Piętnaście, ni mniej, ni więcej. Dodatkowo Ryszarda musiała również uroczyście obiecać, że na starcie pożegna się z różem w każdej postaci i choć początkowo wydawało się to niemożliwe, po oddzieleniu kilku spódniczek i bluzek oraz po wyrzuceniu do kosza wszystkich różowych pomadek i lakierów do paznokci poczuła...

Zdumiewającą LEKKOŚĆ.

Pani Daniela miała rację. W każdej babskiej garderobie jest całe mnóstwo niepotrzebnych rzeczy: bluzeczek kupionych na święty nigdy, spodni pięć kilogramów przed naszą erą, nie wspominając o ubraniach, których tak naprawdę się nie lubi, ale trudno to przyznać. A cała ta szmatanina zabija kreatywność i nie pozwala oddychać, bo najpiękniejsze ubrania nosi się tylko od wielkiego dzwonu. Tak jakby kobieta nie zasługiwała na codzienne piękno! Oczywiście z tym też można przesadzić i zdaje się, że to właśnie sugerowała pani Daniela.

Ryszarda musiała więc na nowo zacząć rozumieć elegancję.

I upraszczać, upraszczać i jeszcze raz upraszczać.

– Piętnaście! – wykrzyknęła po godzinie bardzo z siebie zadowolona.

Nie zrażał jej fakt, że selekcji przysłużył się komornik i całe mnóstwo ubrań zostało jeszcze na Wiklinowej. Od czegoś trzeba zacząć. A jutro czekała ją najprawdziwsza

randka, na którą chciała już pójść w nowym wcieleniu – rano umówiły się z panią Danielą do fryzjera!

Na myśl o Luku opadła na wersalkę i leżała tak chwilę rozmarzona, kiedy w oknie zobaczyła ciemną głowę Zuzy.

– Mogę?

– Wchodź, zapraszam. – Ledwie zdążyła się podnieść, Zuza była już w środku. – Myślę sobie właśnie o facetach.

– I co wymyśliłaś?

Ryszarda pogłaskała różowy sweterek, którego już nigdy miała nie założyć, i wspomniała panią Utko.

Oprawiającą królika...

– Bo gdyby ich tak porównać, do jedzenia chociażby, to Hardy byłby jak karkówka. Taka z żyłami i przerostami. Marchewka to żeberka. Igła... Może kawałek schabu, co sądzisz? Luk... – Dotknęła z czułością jednego z guziczków. – Połudwica. Delikatna, taka rozpływająca się w ustach. A pan Tadeusz?

Zuza podparła się pod boki.

– *Pan Tadeusz* to jest epopeja, a nie kawał mięsa.

Ale Ryszarda już widziała, że rozmówczyni kruszeje – zaczęły jej drgać usta – więc rozochociona ciągnęła dalej:

– Epopeja? Nie znam, jadłam tylko eskalopki... Ale skoro nie kawał, to może krojone? O, na przykład salami. Pan Tadeusz to salami! – Ucieszyła się, a Zuza parsknęła śmiechem.

Jednak szybko przywołała groźną minę.

– Ty się tu tarzasz w ciuszkach i profanujesz literaturę, o pozeraniu facetów nie wspomnę, a koty gdzie?

– Ojej!

Faktycznie, zupełnie zapomniała o kociakach, ale Pyza nie odstępowała ich na krok, dzięki czemu Ryszarda czuła

się spokojna. Przywołana do rzeczywistości, wybiegła do ogrodu. Maluchy nie odeszły daleko – stały we dwójkę pod gruszą i zadzierały łebki.

– Są! – zawołała z ulgą.

– Wiem, że są – odparła Zuza. – Właśnie wychodziłam i stwierdziłam, że sprawdzę, czy żyjesz. Bo latają samopas.

– Dlaczego miałabym nie żyć? – obruszyła się Ryszarda, ale zaraz porzuciła tę przykrą myśl. Madej ostrzył pazurki o korę. – One chyba chcą się wspiąć? – spytała Zuzę, ponieważ sama nie знаła się zbyt na kotach.

Z radością przyjęła je do domku, ale więcej było w tym dobrych chęci niż znajomości tematu.

– Pyza je nauczy.

– No, nie wiem – zaniepokoiła się Ryszarda. – Przecież Pyza nie jest ich mamą, trzeba coś zrobić. – Kucnęła i chwyciła Madeja za łapki, usiłując zaczepić go pazurkami o korę. – Właż, malutki... Nie umiesz? Dobra! – dodała sobie odwagi i nie zważając na wstrząs w oczach Zuzy, spojrzała z respektem na gruszę, a potem oburącz ją objęła.

– Patrzcie i ucicie się od cioci Ryszardy!

Ale że była w koturnach?

Banał.

Buty nawet nieźle się sprawdzały, bo ich słomiane boki doskonale przylegały do chropowatego pnia. Tyle że sprawdzały się do wysokości mniej więcej metra nad ziemią, później odmówiły obsługi dodatkowych opcji.

– A! – zakrzyknęła Ryszarda i ani się obejrzała, a już siedziała na trawie, masując otarte ręce. – Spadać też trzeba umieć. Zuza, przestań! – rzuciła.

Nie jest miło zobaczyć wycelowaną w siebie kamerę komórki, tym bardziej jeśli jej właścicielka odznacza się

wrodzoną złośliwością.

Teraz dosłownie kwiczała z uciechy.

– Ty jesteś naprawdę gigantka! Nie mogę...

– Po co to kręcisz?

– Muszę, Misia inaczej nie uwierzy. A co dopiero Luk!

– Chyba nie pokażesz tego Lukowi? – Ryszarda zatrzęsła się z oburzenia, ale najwyraźniej o to chodziło.

Zuza zmrużyła oczy niczym Pyza po spałaszowaniu puszki tuńczyka.

– Czyli ostrzysz pazurki na naszego Luka? – bardziej stwierdziła, niż zapytała i Ryszardzie przeszło przez głowę, że rozumie już, co oznacza „podstępna prowokacja”.

Tylko po co Zuza to robiła?

A może powinno się wytrącić z tej sprytnej rączki broń, tak jak uczył Hardy?

– Luk bardzo mi się podoba – oznajmiła więc zgodnie z prawdą i w napięciu czekała na rozwój wypadków. – Ale nie ostrzę. Jeśli będzie mnie chciał...

– Będzie chciał. – Zuza również ją zaskoczyła.

Uśmiechnęła się lekko, ale szczerze, po czym wyciągnęła dłoń, żeby pomóc Ryszardzie wstać.

– Naprawdę?!

– Żartujesz? Pewnie. Chociaż tego nie rozumiem, ale nie moja sprawa – dodała. – W każdym razie patrzy w ciebie jak w kalendarz Playboya. Albo w szkaplerzyk.

– W szkaplo co?

– Zapomnij, to nie na twój umysł. Na mój zresztą też. A filmik pokażę tylko Misi, Luk go nie zobaczy. Obiecuję.

Ryszarda tak bardzo się ucieszyła, że zaproponowała Zuzie część swoich ubrań, niektóre powinny przecież pasować. Rozkładając przed nią w domku coraz to nowe

bluzeczki, zupełnie nie zwróciła uwagi, że Zuza ze zdziwieniem przygląda się czemuś innemu: czarnym legginsom, koszulce i kominiarce, które leżały rzucone na krześle...

– Co to? – Wskazała głową. – Czapka? Latem? To ile zamierzasz tu siedzieć?!

Co za niefart!

Ryszarda w duchu aż jęknęła. Powinna schować swój zestaw włamaniowy od razu po wyjęciu z torebki. Źle, bardzo źle, że Zuza to zobaczyła.

– Czapka? – Gorączkowo szukała odpowiedzi, kiedy jej wzrok padł na golarkę do ubrań, której niedawno używała. Urządzenie ratowało każdy sweterek, każdą wełnianą rzecz i było po prostu nieocenione. – To na narty, zaplątała się przypadkowo, ale przygotowałam sobie do wycicikowania.

Zgodnie z przewidywaniami, Zuza zrobiła wielkie oczy.

– Hę?

– Zobacz. – Ryszarda sięgnęła po golarkę do złudzenia przypominającą kształtem elektryczny depilator, a następnie zademonstrowała różowy sweterek oblepiony od wewnątrz supełkami. – To są ciciki. – Pokazała na wełniane łebki, uśmiechając się przy tym zachęcająco, jakby nimi co najmniej handlowała.

– Ciciki?!

– Ciciki. A to jest ciciker... Tym się cicikuje – tłumaczyła jak dziecku, po czym włączyła urządzenie, które dość głośno burczało, ale w ciągu kilku chwil rozprawiło się z problemem.

Oczywiście tylko na kawałku ubrania, lecz Zuza i tak wpadła w zachwyty.

– O święta Zyto, kapłanko ogniska domowego! Ile cię ominęło, frajerko... Nie wierzę!

– Tak. – Ryszarda pokiwała dumnie głową. – Ciciker. Fantastyczna sprawa. Już nie trzeba wyrzucać swetrów.

– Boże! Czemu to wcześniej nie zaistniało w moim wszechświecie... Mogę pożyczyć? Błagam!

– Nie ma sprawy. Na zdrowie.

Ryszarda nie mogła jednak przewidzieć, że kolejne użycie golarki ze zdrowiem będzie akurat miało najmniej wspólnego.



Luk stanął na wysokości zadania.

Pozwolił jej pojechać do Silesii dostawczakiem – co prawda uzgodnili, że przed parkingiem zamienią się miejscami, bo okolice centrum handlowego patrolowała policja, ale Zuza, siedząc na fotelu kierowcy, jaśniała ze szczęścia, jakby co najmniej miała przejechać pół Polski.

Jednak po wejściu do auta wyszło na jaw, że sąsiad wziął ją nie tylko na przejażdżkę, ale i na rozmowę.

– Zuza... – Luk zrobił poważną minę. – Z twoja warzywa wyszło niedobrze.

– Warzywa? Jakie warzywa?

Zuza chętnie porozmawiałaby o warzywach, owocach a nawet o pieczywie, ale właśnie przekręciła kluczyk i wszystko inne przestało się liczyć.

Liczył się tylko zryw silnika.

A potem zalała ją kakofonia dźwięków: odgłosy pompy, wtryskarki i zaworów. Stuki, puki i rżenia, warkot, szum... Całość zagrała oszłamiająco. Zuza nie zmieniałaby ani jednego tonu, przy takiej muzyce mogły się schować

anielskie pienia czy Trebunie-Tutki. No, jeszcze George Michael dałby radę, Zuza naprawdę go lubiła.

– Pietruszka, Marchewka, nigdy nie wiem – skarżył się Luk.

– I to, i to włoszczyzna, nie zwracaj uwagi – doradziła, ale myślami była zupełnie gdzie indziej. – Co za cudo! Chyba się zakochałam.

Zupełnie jakby dygocząca machina przekazywała część swojej mocy – Zuza czuła, że budzi się w niej jakiś mechaniczny zew, że sama jest pełna śrubek i że jeśli ktoś miałby do niej kiedyś znaleźć klucz, z pewnością byłby to klucz francuski. A kiedy jeszcze pomyślała, że za chwilę zapłaci za prawo jazdy, wzdłuż kręgosłupa przebiegły jej rozkoszne dreszcze i zaczęła się zastanawiać nad własnym środkiem transportu.

Własnym, ciężarowym i pysznie burczącym.

– On jest dobra facet – przyznał uczciwie Luk. – Nie lubiam go, ale jest dobra. Ale ja jestem w nerwa i dam twarzy mu.

– Lepiej dać twarzy niż dać ciała. Będzie dobrze!

– Zuza, wytłumaczaj mu, że ja i ty nic. Żadna ciała.

Ależ ten Luk był uparty.

Za to ulicą Agnieszki jechało się gładziutko i elegancko, sama radość.

– Ja bym mu wytłumaczyła, nawet chętnie, tylko że teraz nie mam czasu.

– Zuza. Proszę cię. Będzie krew inaczej. Nie masz czasu, gadasz. Nie gadaj, tłumaczaj! Bo damy sobie twarzy na śmierć i życie.

– Ale jemu padło na mózg, nie da rady, naprawdę.

– Co to jest jemupadło?! – Luk usiłował przekrzyczeć

własny samochód i jednocześnie pokazał Zuzie wjazd na bazar, o tej godzinie oczywiście pusty, gdzie było jednak dość miejsca, żeby zaparkować. – Zmiana teraz.

Niechętnie, ale posłuchała, a kiedy usiadła w fotelu pasażera, złożyła myśli i w najmniej skomplikowany sposób wyjaśniła:

– Marchewka bardzo się zdenerwował. I nie chce słuchać. Lepiej go na jakiś czas zostawić.

– Ale on macha piersiami po ulica. Do mnie! Trzeba robić coś z tym.

– Pięciami...

– Pięciami. A nie chce słuchać? Ty napisaj list. I wytłumaczaj tam.

List? W sumie pomysł nie był taki zły. Marchewka musiałby przeczytać, a ona przy okazji usystematyzowałaby sobie wszystko na piśmie. Zuza uśmiechnęła się więc do Luka i postanowiła, że przynajmniej spróbuje.

Ale póki co zbliżała się godzina W.

Dwudziesta.

– Wyrzucam cię – oznajmił rozsądnie jej współnik, dając po hamulcach. – Jeżdżę koniec parkinga, czekam.

I kiedy renault z napisem *Fruits de mer* zniknęło za zakrętem, Zuza pojęła, że teraz jest zdana na siebie. Ale pocieszeniem był fakt, że przynajmniej niosła w torebce cztery tysiące złotych, według jej stanu wiedzy – najlepsze narzędzie komunikacyjne.

Toyota Krzemińskiego stała na obrzeżach parkingowych zabudowań, od strony osiedla Dębowe Tarasy, które Zuza lubiła podglądać – podobno mieszkał tam Kupicha – i jej egzaminator już siedział w środku. Widziała tę łojotokową

figurę z daleka. O dziwo paskud nie zerkał nerwowo na boki jak poprzednio i nie cmokał zniecierpliwiony przez zęby. Zdaje się, że spał, bo siedział w fotelu z odchyloną głową, z otwartą gębą, z...

Z nieruchomo patrzącymi oczami!

Jeszcze przed wejściem do auta Zuza zrozumiała, że coś jest nie tak, ale kiedy wsiadła i huknęła głośnym „dzień dobry”, a na powitanie Krzemiński nie odburknął i nie posłał jej wrogiego spojrzenia, zyskała pewność.

– Proszę pana! – Dotknęła ostrożnie ręki, która leżała przy ciele zastanawiająco nieplastyczna, straszliwa. – O, Boże!

Zaczęła więc nim potrząsać, wtedy głowa Krzemińskiego bezwładnie opadła na bok, a z ucha popłynęła cieniutka strużka krwi. Zuza zamarła i z całych sił starała się nie ulec panice. Spokojnie, tylko spokojnie. Krzemiński nie żył, to na pewno, więc przynajmniej odpadała metoda usta usta! Marna pociecha, ale jednak.

Tylko co dalej?!

Zuza rozejrzała się z przerażeniem dookoła, bo w pierwszym odruchu chciała zaalarmować cały świat, ale wtedy, jak przez mgłę, usłyszała własne słowa rzucone w Wewnętrznym Ośrodku Ruchu Drogowego: „Zabiję go, normalnie świniaka zabiję!”.

Czy siedząc w aucie Krzemińskiego, z martwym Krzemińskim, nie była czasem główną podejrzaną o... MORDERSTWO Krzemińskiego?! Tak, o morderstwo! Na trupach znała się mniej więcej tyle, co kaczka na numizmatyce, ale zakrwawiony otwór poniżej szyi na wypadek przy goleniu z pewnością nie wyglądał.

– Ale ze mnie kretynka! – powiedziała do siebie

i zmartwiała. – Kretynka, autentyczna kretynka...

I wtedy przypomniała sobie o Luku.

Tak, zawiadomić Luka, przyprowadzić go tu i coś wspólnie ustalić!

Zuza ułożyła więc Krzemińskiego w pierwotnej pozycji, drżącymi rękami zamknęła mu oczy, wytarła chusteczką krew, żeby nadal wyglądał na faceta, który zdrzemnął się w oczekiwaniu na szalejącą w galerii żonę i nie strzelił sobie przy okazji w łeb, po czym ruszyła do Luka. Wewnątrz gnała na złamanie karku, ale coś jej mówiło, że powinna przemierzyć parking jak gdyby nigdy nic.

Spokojnie, tylko spokojnie.

– Luk! – wykrzyknęła, otwierając drzwi dostawczaka.

Francuz, pochłonięty grą na komórce, drgnął przestraszony.

– Śmierć przeraziłaś!

– Musisz iść ze mną... – Ledwie łąpała powietrze. – Musisz mi pomóc.

– Coś się stoi? – dopytywał, ale ani myślała odpowiadać.

Wszystko w swoim czasie.

– Albo nie. Podjedziemy tam!

– Gdzie?!

– Zaraz zobaczysz.

Zuza konsekwentnie go zbywała, więc chcąc nie chcąc, Luk odpalił renault i kierując się wskazówkami, zaparkował naprzeciwko bordowej toyoty.

Wyglądał na mocno zaniepokojonego.

– Tam jest trup – uprzedziła więc, kiedy wyszli na zewnątrz. – Żebyś się nie przeraził.

– Jaki trup? – Luk sprawiał wrażenie, jakby nagle przestał rozumieć po polsku. – Żywy trup?

– Teraz raczej martwy, ale tak. Prawdziwy trup. To ten egzaminator, Krzemiński...

Musiał uwierzyć, bo wstrzymał oddech i rozejrzał się w popłochu dookoła.

– Niemożliwe! Co opowiadasz? Trup?!

– Bardzo możliwe. Trup, do jasnej, pieprzonej anielki, mówię, że trup!

– I ty go?... – wyszeptał, a jego oczy stawały się coraz większe i większe.

– Zwariowałeś?! Już był nieżywy, kiedy przyszedłem.

– Ale może żywy jest?! Może chociaż trocha żywy...

Już nie czekał na Zuzę, ale zakradł się do auta i spojrzał. Oględziny nie wypadły najlepiej. Ale Luk nie rezygnował. Otworzył drzwi, przezornie ujmując klamkę przez własną koszulę, i zniknął w środku. Zuza w tym czasie udawała, że szuka czegoś w torebce, ponieważ do sąsiedniego samochodu zmierzała właśnie jakaś obładowana zakupami para. Na szczęście byli tak przejęci początkiem letnich wyprzedaży, że na Zuzę nie zwrócili najmniejszej uwagi.

Luk tymczasem zakończył wizję lokalną.

– Cały nieżywy – oznajmił.

– Chodź do auta, musimy porozmawiać – zdecydowała, ciągnąc Francuza za rękę, bo oszołomiony Luk wykonał obrót i chciał wracać do Krzemińskiego.

– Żywy trup – powtarzał. – Zamorderowany. Strzalił mu ktoś do szyja. Jakie nieszczęście...

– Nieszczęście to dopiero będzie. Dla mnie i dla ciebie, a w zasadzie dla twojej mamy.

– *Maman?! – Teraz naprawdę go ruszyło. – Czemu maman? Co ona wspólne z tym?!*

– A pesel i numer seryjny dowodu na przykład wspólne

z tym. Plus imię i nazwisko – wyjaśniła uprzejmie, niemal zgrzytając zębami, gdyż dokładnie takie same dane figurowały w kalendarzu Krzemińskiego pod nazwiskiem Zuzanna Bączek.

A notesu w samochodzie egzaminatora nie zauważyła.

Żeby więc Luk w pełni zrozumiał grozę sytuacji i pojął przyczyny, dla których Zuza nie wezwała organów ścigania, opowiedziała o wczorajszym poranku, kiedy to przy kilkunastu świadkach obwieściła, że pozbawi Krzemińskiego życia.

– Musimy odszukać kalendarz – zakończyła. – Jeśli znajdą trupa – skinęła na toyotę – najbardziej podejrzane będą osoby z dzisiaj. Nie chcę nic mówić, ale mama i ja jesteśmy na samym dole listy.

– Jeśli znajdą trupa – powtórzył bez zająknięcia Luk. – A jeśli nie znajdą? – podsunął przejęty, a Zuza w zdumieniu musiała łapać szczękę.

Myślała dokładnie o tym samym!

– W sumie... Może nie powinni znaleźć, prawda? Albo... Jeśli znajdą, ale później? Co im szkodzi, Krzemiński od tego nie ożyje, a tak by było najlepiej. Bo ja bym nie umiała pokroić człowieka – zapewniła.

– Co pokroić?!

– Nie co, ale kogo. No, pokroić. Głowa i gruczoły łojowe osobno...

– Łojowe?

– A biodro, ręka i noga też luzem – rozpędzała się coraz bardziej. No, żeby był problem z identyfikacją. I żeby to rozrzucić, ale nie na Śląsku, oczywiście. Głowa w Gdańsku, ręka w Zakopanem. Ale nie, daj spokój...

– Nie kroić, nie zakopywać, wykluczamy! – zaperzył się

Luk, który wziął chyba słowa Zuzy na poważnie.

– W każdym razie Krzemińskiego nie powinni znaleźć dzisiaj – zakończyła.

– Nie, dzisiaj nie znaleźć – zgodził się Luk i opuścił szybę. Było upiornie duszno.

– Tylko on nie może drzemać tu na widoku – zauważyła przytomnie po chwili Zuza. – A ty masz z tyłu chłodnię. I nie znam się na ustaleniach godziny śmierci, ale jak mięso leży w lodówce, to pewne procesy...

Luk złapał się za głowę.

– Dżem widoku? Mięso?!

– Robimy tak. – Zuza już ochłonęła, ktoś tu musi zachować przytomność umysłu. – Idziemy szukać kalendarza. Potem ładujemy Krzemińskiego do chłodni i kupujemy w Silesii domestosa. Musimy wyczyścić auto, żeby nie została po nas żadna próbka DNA. I najważniejsze. Modlimy się, po polsku, rumuńsku czy francusku, obojętne, żeby tu nie było żadnej kamery. Kumasz?

– Kum... Kum... Kumam.



Po spotkaniu z pieprzonym francuskim bereciarzem Piotrek Marchewka długo nie potrafił dojść do siebie. Już chyba wolałby usłyszeć, że Zuza go nie kocha, nigdy nie kochała i nie będzie kochać.

Czy jakoś tak.

Nie był dzieckiem, doskonale wiedział, że czasy wierności aż po grób przebrzmiały wraz z epoką Gorbaczowa (dziś te legendy opowiadano tylko w Radiu Maryja i na innych ambonach), a potem nastał Internet i odtąd pewne kanały

komunikacji stały się tak samo dostępne jak Żywiec Zdrój w plastikowych butelkach. Strzyknie cię w kroku, co za problem, wystarczy się zalogować. Różnorakich portali jest cała masa, byle tylko mieć sztywne łącze.

Łącze sztywne, za to kręgosłup może być miękki.

Piotrek Marchewka liczył się ze zdradą, dzisiaj chyba każdy powinien się z tym liczyć, ale żeby po dwóch latach związku?!

Świat jednak zmierza ku zagładzie.

Wojna, tylko wojna przenicowałaby tę zgniliznę moralną i ustawiła na nowo hierarchię. Nie byłoby wtedy tylu pretensji, roszczeń i arogancji, nie byłoby w ludziach przeświadczenia, że wszystko im się należy, że wszystko jest w zasięgu ręki, nawet cudze. Zwłaszcza cudze. CUDZOŁÓSTWO, co za genialne słowo!

Cudzo-łóstwo.

Niby bliskie rybołówstwa, a jeszcze bardziej cuchnące.

Marchewka był zły jak siedem diabłów, tym bardziej że nie mógł tej wściekłości wypłukać z siebie alkoholem, choć uczciwie próbował. W efekcie łeb mu pękał nie tylko na myśl o zdradzie Zuzy, ale i od tupotu białych mew, który słyszał pod czaszką od samego rana. Potem lekko otrzeźwiła go akcja pod sądem, ale po wizycie na Akacyjowej...

Szkoda gadać.

Oczywiście mogli iść z Igłą do byle jakiego dentysty, ale chodziło o jedynekę. Dentysta nie mógł być byle jaki, musiał być najlepszy. Najlepszy dentysta dla najlepszego kumpla. I koniec. A że Marchewka musiał się w tym celu pofatygować do Misi... Zbieg okoliczności. Oczywiście miał nadzieję, że nie zobaczy Zuzy, że już nigdy przenigdy nie

spojrzy w jej ohydne błękitne oczy, że nie rozbroi go nadąsaną minką, która jest przecież tak irytująca, a jednocześnie słodka i kobieca...

Wył z tęsknoty jak zbity pies.

Taka była główniana prawda.

Mógłby dostawać taki cios w serce każdego dnia i każdego dnia tęskniłby tak samo.

Żeby więc już nie myśleć, bo od myślenia flaki skręcały mu się w ósemki, odwiózł Igłę do lekarza na Chorzowską, a potem postanowił iść do kina i obejrzeć jakieś solidne mordobicie. Podjechał na parking pod Silesia City Center i kto właśnie wsiadał do dostawczego renault?

Pan Sufleciarz we własnej osobie!

Marchewka wzniósł oczy do nieba i podziękował Najwyższemu, ale dar Opatrzności należało uszanować – jeśli chciał dokopać zabojadowi, powinien się spieszyć. Samochód już ruszył, a dzieliła ich spora odległość. Co tam odległość. Usiądzie mu na ogonie i z pewnością coś się znajdzie, żeby Pan Rendez-Vous zapłacił za swoją nikczemność wieloma, wieloma punktami karnymi.

Bo przecież miłość nie ma ceny...



Musieli zmienić ustalenia.

Auto Krzemińskiego, choćby wyczyszczone w środku na błysk, ale pozostawione nocą na pustym parkingu, z pewnością zwróciłoby uwagę ochrony, a do tego nie mogli dopuścić. Starając się więc zachowywać naturalnie, Zuza z Lukiem najpierw skoczyli do Tesco po chemię, a potem wybrali właściwy moment i przenieśli egzaminatora do chłodni. Nawet nie był ciężki. Z zewnątrz wyglądało to,

jakby pomagali znajomemu, który trochę więcej wypił, a może nawet zasłabł? W każdym razie Zuza stwierdziła, że spokojnie mogliby wypełnić ofiarami morderstw cały samochód, a i tak nikt nie ruszyłby palcem. Błogosławiona znieczulica!

Potem wrócili do toyoty, gdzie zaczęli wszystko na nowo analizować.

– Pierwszego raz mówię jak Polak. Masakra! – wyznał Luk, który zawsze był ciekaw, dlaczego w Polsce nadużywa się tego określenia.

Pot zrosił mu czubek nosa.

– Masakra – zgodziła się Zuza, która dopiero teraz zauważyła, że w aucie od strony pasażera jest wszędzie pełno drobniutkich kropelek krwi. Zupełnie jakby ktoś użył czerwonego sprayu, którym przy okazji ozdobił jej sukienkę!

– Gdzie kalendarza? – Luk w końcu ochłonął i przeszedł do konkretów.

Właśnie, gdzie kalendarz?

Zuza rozejrzała się po samochodzie, zerknęła nawet na tylne siedzenie, ale niczego nie zauważyła.

– Trzymał na kolanach, zapisał, a potem... Chyba wsadził tu. – Pokazała na skrytkę.

Luk zajrzał do środka, ale oprócz puszki coli, zgniecionej gazety i kilku rozmiękłych batoników, niczego tam nie znaleźli. Podobnie w kieszeniach i schowkach z tyłu.

– Zajrzam bagażnik – oznajmił Francuz, ale i w bagażniku nie było po notesie choćby śladu.

Fatalnie.

– To jest jak dowód morderstwa – powiedziała ponuro Zuza. – I dowód uczestniczenia w handlu prawem jazdy.

Mamy z *maman* przekopane.

– Może pojechał dom, zostawił na obiad?

Brzmiało prawdopodobnie, Zuza się ożywiła.

– Mogło tak być. Od szesnastej do dwudziestej trochę czasu było. Tu na pewno nie ma – westchnęła zmartwiona.

– Róbmy coś, za długo tak siedzimy!

– Mieszka gdzieś Krzemiński? – Luk zadał zasadnicze pytanie.

– Raczej. Poczekaj, w spodniach musi mieć dokumenty! Ale ja mu ręki do spodni nie włożę – zastrzegła pośpiesznie.

– Moja ręka, jego spodnie: *never!* – wytłumaczyła na wszelki wypadek jeszcze raz.

– Idę, idę. – Luk zrozumiał bezbłędnie już za pierwszym razem.

Wrócił z portfelem, który nie zdążył jeszcze ostygnąć. Niewiarygodne, ale skóra w środku była trochę ciepła!

– To jest tłuste. – Zuza ledwie pohamowała wstręt, bo Luk od razu przekazał portfel wraz z kluczami w jej ręce. Teraz mu je pośpiesznie oddała. – Masz, ty szukaj.

Francuz bez trudu odnalazł dowód.

– Skowrinsk... – próbował odczytać nazwę ulicy.

– Skowrońskiego? – podpowiedziała Zuza. – Katowice?

– Tak. Skowrońskiego dziewięć i ...ście.

– No, proszę. Tam mieszka moja koleżanka. Pod szóstką. Jedziemy!

– Do koleżanka? – Luk jakby celowo nie chciał zrozumieć.

– Do Krzemińskiego, gołąbku francuski. Mamy klucze...

– Nie!

– Tak. A wiesz, co to jest kuchnia więzienna? Chcesz to zafundować mamusi?

– Zuza!

– Tylko sprawdzimy. Może mieszka sam?

– A toyota?

– Po auto wrócimy, to znaczy wrócisz, wyczyścisz wszystko w środku i zaparkujesz przy jakimś osiedlu. – Wskazała na stacyjkę, przy której dyndał klucz. Ale Luk nie był zachwycony. – Co?

– Wyciszysz?...

– No tak. Krew, pot i szwedzkie scyzoryki w porządku, a do ściery kobieta? – mruknęła. – Dobra, widzę, że we Francji też nie przepracowaliście równouprawnienia... Wrócimy razem, ale wisisz mi naleśniki w sosie pomarańczowym.

– Wszystko dla ciebie – zapewnił.

– Silesię zamykają teoretycznie o dwudziestej pierwszej, ale tu działa kino i klub fitness – kontynuowała. – Tak że mamy sporo czasu. Skoczymy na Skowrońskiego, a potem spokojnie zdążymy wrócić.

Po chwili siedzieli już w aucie Luka, który ruszył i pokazał z obawą na chłodnię, bo zbliżali się właśnie do ronda.

– A nie kociołuje on tam?

– Że się tam nie kotłuje? Nie przewraca i tak dalej?

– Nie przewraca?

– Przewrócić to się może pieszy na czerwonym, jak ma pecha, a nie trup w lodówce. No, chyba że leży w grobie. Przewracać się w grobie, tak można powiedzieć, ale to metafora.

– Czyli nie? – zapytał dla pewności raz jeszcze.

I wtedy Zuza spojrzała w tylne lusterko.

Bardzo chciała nie wierzyć własnym oczom, ale własne oczy rzadko ją zawodziły.

– Marchewka! – wrzasnęła więc zszokowana.

Luk także przeraził się nie na żarty.

– Twoja włoszczy... Mężczyzna? Gdzie?! – Wychylił głowę, ale już dotarli do Chorzowskiej, gdzie włączyli się w strumień samochodów, a że Chorzowska była główną arterią miasta, zwykle mało kto potrafił tu wcisnąć choćby szpilkę.

Stanęli więc na światłach przy Żelaznej i Zuza stwierdziła, że to ostatni moment.

– Zmiana teraz – zarządziła tonem nieznoszącym sprzeciwu, a Luk osłupiał.

– Jaka zmiana?!

– Za nami jedzie Marchewka, myślisz, że cię nie widzi? Już, zamieniamy się miejscami, ja poprowadzę!

– Nie moga! – zaprotestował.

Ale czy Zuza nie wiedziała, jak postępować z rozhisteryzowanymi cudzoziemcami?...

– Moga! I musza. Już, zmiana, bo nie zdążymy! Znam Marchewkę, wiem, jak jeździ. Ty go nie zgubisz, a jak nas zatrzyma, przekopie nawet apteczkę i zbada klimę na obecność pneumokoków, zapewniam cię.

– Pneumo...

– Nic! – Zuza podniosła rękę w kategorię kategorycznym geście. – Nieważne. Zmiana!

– On wie Krzemiński?!

– Nie mam pojęcia. Zmiana, młotku! – użyła ostatecznego argumentu.

I choć Luk z pewnością lepiej znał słowo „tłuczek”, na „młotek” zareagował równie żywiołowo. Przez chwilę w kabinie kotłowały się dwie pary rąk i nóg, ale kiedy światło przeskoczyło na zielone, Zuza odnotowała na swoim

koncie osobisty sukces.

Znowu przejęła kierownicę.

I teraz wszystko zależało od jej umiejętności i od jej PAZURA.

Z przejęcia aż się oblizwała.

– Gazu! – zakrzyknęła bojowo, po czym wcisnęła klakson i nie ustąpiła.

Tak długo i natarczywie trąbiła i tak parła do przodu, że auta zaczęły się zjeżdżać na bok, zupełnie jakby robiły miejsce dla karetki pogotowia. Na szczęście zaskoczenie trwało krótko i już nikt nie mógł powtórzyć tego numeru po niej.

Marchewka został w tyle!

Rozpędzona Zuza znalazła się na kolejnym skrzyżowaniu, z którego dotarła w okolice Spodka, a na rondzie odbiła w prawo. Aleja Korfantego. Dobrze wiedziała, że nie powinna się przedwcześnie upajać zwycięstwem. Marchewka może i przestrzegał przepisów, ale był jak czkawka – wracał i połknięcie łyżeczki cukru niczego nie zmieniło.

– Trzymaj się – ostrzegła Luka, bo znowu stanęli na światłach, ale tym razem ani myślała jechać śladem innych pojazdów.

– Olé!

Tak się bierze Marchewkę za natkę.

Zuza nabrała powietrza, sprawdziła, czy nie nadjeżdża tramwaj, po czym... skrzyła w lewo i z wyczuciem wjechała kołami w szyny tramwajowe niczym w prowadnice. Po kilku metrach zaparkowała.

Ludziom na przystanku omal nie urwało głów.

– Wyciągamy trupa! – rzuciła komendę, a Luk był już tak

oszołomiony, że zrezygnował z zadawania pytań.

Grzecznie wyskoczył na zewnątrz i otworzył drzwi, aż z chłodni poleciała w rozgrzane powietrze chmura pary. Zuza starała się nie myśleć, że właśnie brodzi w trupich odorach, że na twarzy osiada jej łupież i łój, a scenę ogląda masa katowiczian, którzy przyszli wieczorem na Rynek.

Teraz myślała tylko o jednym – Krzemińskiego należało przenieść.

I to szybko.

– Tam. – Pokazała na ławeczkę pod palmą, a przerażony Luk ujął ciało pod ramię. Zuza pomogła mu z drugiej strony. – Sadzamy gnojka, będę pilnować, żeby go nikt nie macał. Ty pędź, odciągnij Marchewkę. Tylko wróc po... nas.



Pani Stasia była osobą przed sześćdziesiątką, ale ciekawości świata i pasji miała w sobie w ilościach odwrotnie proporcjonalnych do piętnastolatka z pokolenia Y, który zwiedzał Kraków za pomocą Street View.

Miałaby siedzieć wieczorem w domu i patrzeć w czajnik elektryczny?

Wolała napięcie innego rodzaju.

Przede wszystkim nigdy się nie nudziła i była mistrzynią spędzania wolnego czasu. A czas był dla niej niezwykle ważną materią, lubiła ją muskać, gładzić, wykorzystywać co do centymetra. I nie potrzebowała do tego asystentek. Jeśli chciała jechać do Sławkowa, żeby zjeść w Austerii pierogi z bobem, nie szukała psiapsiółki jednej, drugiej i dziesiątej. Po prostu jechała! Mogło lać, wiać i gradać, ale jeśli pani Stasia zaplanowała dzień, nie było przebaczenia. Miałaby czekać na cztery słoneczne miesiące, a resztę roku

przesiedzieć w dużym pokoju?!

Świat odplącał jej takim samym entuzjazmem.

Spotykała uśmiechniętych i życzliwych ludzi, trafiała na świetne wystawy, cieszyła ją każda zabytkowa uliczka, którą szła, zadzierając z fascynacją głowę. A co najważniejsze – pani Stanisława mieszkała w wyjątkowym mieście. Nie było ciekawe w sposób oczywisty, jak choćby Nysa, gdzie się wychowała. Żadnych schematów z banalną Starówką, żadnych przewidywalności. Katowice odsłaniały swoje sekrety powoli, ale im więcej się ich poznawało, tym bardziej nie chciało się ich zdradzać.

Taki Rynek na przykład.

Wciąż sztucznie podtrzymywany przy życiu, krojony – a jednak przyciągał.

Efekt operacji na otwartym sercu był taki, że pacjent nie tylko przeżył, ale nigdy nie czuł się lepiej, podobnie odwiedzający. Po ostatniej generalnej przebudowie wizyt na Rynku było jeszcze więcej, a nocą miasto wręcz rozkwitało.

Jak po wszczępieniu najlepszych bajpasów.

Pani Stasia wiedziała więc, gdzie spędzi dzisiejszy wieczór. Na placu przed teatrem, oczywiście, że na placu, gdzie zawsze coś się działo, a nad odsłoniętą przy Rynku rzeką widniał pomarańczowo-różowy neon. Układał się w kulisty napis wywołujący uczucia o tak samo ciepłej barwie: ZACHÓD SŁOŃCA. A jeśli komuś wciąż było zimno, mógł usiąść na ławeczce pod najprawdziwszą palmą. Zdarzało się, że komuś pod nią odbijało.

Tak jak teraz.

Najpierw na szyny tramwajowe wjechał dostawczak z napisem *Fruits de mer*, a potem wysypała się z niego

podchmielona brygada – jeden ledwie powłóczył nogami. Rzucili biedaka na ławeczkę, kobieta stanęła obok, jakaś taka roztrzęsiona, a potem kierowca chyba uciekł, bo pognął do samochodu i czym prędzej odjechał.

Może dziewczyna potrzebowała pomocy?

Poruszenie na przystanku już opadło, świadkowie sceny zajęli się sobą i cieszyli stygnącym upałem. Katowice również mogły chwilę odsapnąć. Po dniu pełnym wrażeń zakładały kusząco nogę na nogę, zerkając przy tym na srebrzysty księżyc, który miał w nosie lampy i światła, sam był jak wielki neon: WSCHÓD KSIEŻYCA.

– Dobry wieczór, przepraszam, czy wszystko w porządku?

– zapytała uprzejmie pani Stasia, podchodząc do ławeczki i zgłaszając tym samym, że są na świecie ludzie, którym nie jest wszystko jedno.

Kobieta drgnęła zaskoczona.

– Słucham?

Była drobna, krucha, ale patrząc na nią z bliska, pani Stasia od razu zrozumiała, że jest z tych, co spadają na cztery łapy. I jeszcze podpierają się ogonem. Chyba niepotrzebnie zagadała.

– Może pani w czymś pomóc? Ten pan jest chyba... zalany w trupa. Da sobie pani radę?

– Dobry wieczór! – przywitała się nieco spłoszona brunetka, ale w jej oczach eksplodował autentyczny uśmiech. – Widzi pani, jaki świniak?! – Wymierzyła mężczyźnie kuksańca, który był jednak solidny, bo facet przechylił się w przeciwną stronę, a potem zaczął w zwolnionym tempie opadać.

I... czy pani Stanisławie się zdawało, czy nad pijakiem unosiła się jakby delikatna mgiełka?!

– Proszę uważać! – krzyknęła ostrzegawczo.

Kobieta wykazała się refleksem: podtrzymała swojego towarzysza i poprawiła na miejscu. Ale też od razu zauważyła wzrok swojej rozmówczynie.

– Tak, dobrze pani widzi – rozwiąła jej wątpliwości. – On tak ma, kiedy jest sfrustrowany. Kłopoty w pracy. Wtedy musi się upodlić. Wpada w ciąg i pije kilka dni z rzędu, traci przytomność i wtedy cała ta złość z niego paruje. Jakieś zjawisko fizyczne podobno. Taka właściwość organizmu, kiedyś chcieli go nawet przebadać na uniwersytecie.

– O tak, sfrustrowany. – Pani Stasia pokiwała głową, ponieważ w swoim życiu wielokrotnie bywała bezradna.

Ale dziwnym trafem sytuacje podbramkowe sprawiały, że mobilizowała się jeszcze bardziej. Nie umiała więc przy tej okazji opanować małego chichotu.

– Przepraszam, nie śmieję się z pani – zastrzegła od razu. – Ale tak sobie myślę, że ciągle coś. Dzisiaj frustracja, jutro demencja...

– A ja również bardzo przepraszam – przerwał im starszy pan w kapelusiku, który siedział na sąsiedniej ławeczce i z zadowoleniem popijał przez słomkę sok. Przysłuchiwał się ich wymianie zdań, oczy błyszczały mu pod rondem jak dwa meteory i było w nich tyle humoru, że wyrabiał normę za połowę zgromadzonych na Rynku katowiczian. – A menopauza?!

Proszę, dialog publiczny.

Pani Stasia aż poprawiła z radości okulary.

– Proszę pana, menopauza nie przeszkadza kobiecie ugotować zupy, zrobić prania czy przypilnować wnuków. Ale niech tylko ktoś spróbuje wyłączyć telewizor panu

z katarem...

Nie, nie warto siedzieć samej w domu.

Neon z napisem ZACHÓD SŁOŃCA nie przestawał świecić, sfrustrowany pijaczyna został ponownie zawleczony do dostawczego samochodu przez swoich przyjaciół, a pan w kapelusiku miał na imię Konrad i jeśli chodziło o napięcie, katowickie powietrze osiągnęło właśnie wartość maksymalną.



Ulica Skowrońskiego biegła naprzeciw Domu Studenta „Parnas”, który należał do Akademii Muzycznej, i patrząc na gromadkę studentów oblepiających wejście, odnosiło się wrażenie, że nazwa nie była przypadkowa. Młodzież wychodowana na chemii i antybiotykach przypominała dorodne hiszpańskie truskawki – Zuza jednym krótkim spojrzeniem naliczyła co najmniej dwóch Apollinów, a Luka z pewnością natchnęłaby niejedna z tutejszych muz.

Choć było już ciemnawo, oboje stwierdzili, że to wyborne miejsce na parking; lepiej nie wchodzić ewentualnej żonie Krzemińskiego w oczy.

Po incydencie pod palmą jeszcze nie zdążyli złapać oddechu, a już czekało ich kolejne zadanie. Luk opowiedział Zuzie ze szczegółami, jaki musiał stoczyć z Marchewką bój, dopóki nie przypomniał sobie, że rozjuszony policjant jest przecież zawieszony i nie ma prawa przeszukiwać auta, do czego oczywiście zabrał się ochoczo tuż po zatrzymaniu na ulicy Mickiewicza.

– Nie rozmawiasz z nim, nie wyjaśniasz, będę perfekcyjny polski mówić – zakończył aluzją, ale Zuzę zajmowało już co innego.

Mieszkanie egzaminatora.

– Zostawmy Marchewkę, dobrze? Porozmawiam z nim, tylko nie teraz. Niech do siebie dojdzie... Ciekawe, czy tam jest domofon – zastanawiała się, mimo że dzisiejszego wieczora miała już dość wrażeń i marzyła, żeby wrócić na Akacjową. – Bo jak trzeba będzie pukać do drzwi, to nie wiem. Nikt z jego rodziny nie powinien nas zobaczyć.

– Propozycja jaka? – Luk przyjrzał się najpierw studentkom, a potem przeniósł spojrzenie na bloki po drugiej stronie jezdni.

Też wyglądały nieźle.

Budynki były kilkupiętrowe, forma nie przygniatała betonadą, a w dodatku niedaleko stąd znajdowała się Dolina Trzech Stawów. Ale i tak woleli osiedle Tysiąclecia, skąpane w zieleni i położone z dala od centrum.

– Bierzemy na wszelki wypadek klucze i szukamy numeru – zdecydowała Zuza, sięgając po torebkę. – Jeśli będzie domofon, dzwonimy. Nie musimy nic mówić, jak ktoś odbierze, i tak wiadomo, że dupa.

– Nie wierza, że robimy... – marudził Luk, ale na wszelki wypadek wydobyl z bocznej kieszeni dwie pary roboczych rękawic, zamknął samochód i już gonił Zuzę, która w międzyczasie zdążyła zagadać przechodzącego przez ulicę młodzieńca.

– Numer dziewięć? A, to przy knajpie – stwierdził korpulentny blondyn. – Musicie obejść blok i skręcić w podwórko. Druga albo trzecia klatka.

Wszystko się zgadzało.

Uwzględniając wskazówki, najpierw trafili na mały lokal wtopiony w blokowe zabudowania, a później stanęli na wąskim placu zamkniętym budynkiem w kształcie litery L.

Po czym oboje naraz stwierdzili, że wolą otwarte przestrzenie. Więcej powietrza, mniej patrzących zewsząd sąsiadów.

Dziewiątka była pośrodku.

– Krzemiński – powiedziała Zuza przyciszonym głosem, ale zaraz zreflektowała się, że w Europie chroniącej dane nie trzeba mieć nazwiska, wystarczy numer. – Gdzie zadzwonić? Nie pamiętam – wyszeptała.

Luk sięgnął roztrzęsionymi rękami do kieszeni, a następnie podsunął Zuzie pod nos dowód.

Wymienili się spojrzeniami.

– Dzwonię – oznajmiła, słysząc, że serce wali jej jak szalone.

W maszynerii zaterkotało, ale ze ściany nie wyskoczył policjant, nie rozwyły się syreny alarmowe i nie zostali przyłapani na gorącym uczynku.

Trwała cisza.

Zuza znowu spróbowała, z podobnym efektem.

– Nikogo w domu – stwierdził Luk, jednak takim głosem, jakby ani myślał wchodzić na górę. – Dobrze chcemy?

– Teraz to już chyba za późno na takie pytania. – Daj klucze.

Intuicyjnie z pęku żelastwa wybrała wąski i spłaszczony egzemplarz, który okazał się tym właściwym.

Byli coraz bliżej.

Mieszkanie Krzemińskiego znajdowało się na pierwszym piętrze – brązowe odrapane drzwi i wysłużona wycieraczka komunikowały, że nie dotarli do Wersalu, gdzie czekają darmowe wejściówki. O wstęp musieli zadbać sami.

Luk przywarł pytającym wzrokiem do Zuzy, która westchnęła, porażona męską inicjatywą, a wtedy Francuz

doznał jakiegoś objawienia.

– Idziesz góra, czekać – wydał komendę. – Dzwoniam i uciekam.

– Jak to?

– Ty góra, ja dół.

– Nie no, oczywiście, że góra, zdecydowanie góra, ale...

Po chwili zrozumiała. Luk zamierzał się upewnić, czy mieszkanie jest rzeczywiście puste. Czekala więc przyczajona piętro wyżej, gdy tymczasem na dole najpierw zabrzmiał dzwonek, a potem pojawił się Luk, który wbiegł po schodach najciszej jak tylko się dało. Ze zdenerwowania dyszał, ale pokazał palcem, żeby nie zdradzili się żadnym dźwiękiem.

Bez obaw.

Na piętrze zapachniało smażoną rybą i zapach, pomimo że zawierał nuty spalenizny, szarpnął Zuza od środka. Stała jak skamieniała. Co prawda wołała rybę z piekarnika – łosoś pieczony z masłem i koperkiem, czysta poezja! – ale ssanie w okolicy żołądka uruchamiało w niej jakiś przedziwny system powiązań, który kończył się bólem głowy i mdłościami. Przypalona czy nie, gdyby taka rybka wpadła do układu pokarmowego, jej układ pokarmowy byłby teraz całkiem zadowolony, a nie doprowadzany na skraj rozpacz.

Ale przecież Krzemiński musiał mieć w domu coś do jedzenia!

Zuza dała więc Lukowi sygnał i zaraz zeszli pod drzwi, gdzie powtórzyła się historia z dobieraniem kluczy. Po dwóch minutach mogli jednak zakrzyknąć: „Sezanie, otwórz się!”, a Sezam stanął przed nimi otworem.

Tyle że z otworu uderzył ich wyrafinowany smród.

Na szczęście mieszkanie zalewała ciemność.

– Owce hodowlował? – Luk załamał się zapachowo już w progu, aż trzeba go było przywołać do porządku i czym prędzej zamknąć drzwi. I tak mieli szczęście, że jak do tej pory nie spotkali nikogo z sąsiadów. – Nie ruszaj wszystkie – przestrzegł, nie bardzo wiedzieć przed czym. – Palce ciśnie, znaki. Rękawice damy.

Zuza usiłowała coś zrozumieć.

– Mnie palce nie cisną. Ale rękawice się przydadzą, nie zostawimy odcisków... A, odciski palców!

– Refleksa masz. Ciii... – Zamilkł, łapiąc ją za ramię, bo gdzieś w głębi usłyszeli dźwięk.

Coś jakby zaskrzypiało.

Podjeżrane skrzypnięcie w obcym mieszkaniu tonącym w mroku nie należy do najprzyjemniejszych dźwięków, o nie, trudno je nawet z czymkolwiek porównać. Zuza w każdym razie poczuła, że włosy stają jej dęba, i postanowiła, że nigdy, przenigdy nie powtórzy tego numeru. Już chyba wolałaby trafić o północy na cmentarz. Przynajmniej miałyby pewność, że nikt jej tam nie skrzywdzi, przecież żaden nieboszczyk...

Dlaczego wciąż myślała o nieboszczykach?!

I czemu ten cuchnący starymi skarpetami przedpokój skojarzył się jej ze średniowieczną kryptą?...

Trudno opisać ulgę Zuzy, ale kiedy po chwili poczuła przy nodze coś miękkiego i usłyszała miauczenie kota, nic nie mogło jej powstrzymać – po omacku odszukała kontakt. Korytarz i przyczajoną w kącie postać Luka zalało mętne światło.

– Kitek – zakwiliła na widok ślicznego rudzielca, który wcale się nie bał, ale chyba nabrał nadziei na kolację, bo

nie przestawał jej adorować.

I stało się też jasne, że ohydny zapach musiał mieć związek z czworonogiem. W otwartych drzwiach łazienki Zuza dostrzegła kuwetę – niestety, w fatalnym stanie. Wcale jej to nie zdziwiło, Krzemiński nie należał do czyścioszków. Biedny kot. Miał tu, nomen omen, przesrane...

– Chodź, poszukamy jedzenia. – Zuza od razu rzuciła się do kuchni, ale Luk przypomniał jej o rękawicach.

I nie tylko o nich.

– My nie do kota tutaj – okazał zniecierpliwienie. – Tam w parkingu trup czeka. Kalendarza szukaszmy.

Miał rację, oczywiście, tyle że Zuzie kiszki grały już nie tylko Mendelssohna, ale rumbę i oberka jednocześnie. A co szkodziło, żeby szukając kociej karmy, rozejrzała się przy okazji za przysmakiem dla ludzi? Mogła być nawet konserwa. Zresztą na nic innego w kuchni egzaminatora nie liczyła.

– Moment, dam mu tylko coś na ząb. Szukaj, zaraz ci pomogę.

– Rękawica! – upomniał Luk, po czym wszedł do największego z pokoi.

Zrezygnował z włączania światła – lampa przy drzwiach wejściowych, choć mdła, wystarczała, żeby rozróżnić przedmioty; w końcu kalendarz nie był rozmiarów wykałaczki. Zuza poszła za jego przykładem. Wyteęzała wzrok w poszukiwaniu karmy, otworzyła po ciemku nawet kilka szafek, ale natknęła się jedynie na miseczkę z napisem „Edek”. Lodówka była puściutka, jeśli nie liczyć kolonii pleśni w jakimś słoiku oraz butelki odgazowanej coli. Czym chata bogata...

– Ty jesteś Edziu, tak? – zagadła do kociaka, który niemrawo odmiauknął w odpowiedzi. Usiadł na baczność, przechylając głowę. Wzrok miał jednak przejmująco smutny. – Chyba nie masz pani, co? Żadna kobieta nie doprowadziłaby lodówki do takiego stanu... Ale co z tobą będzie? Bo my zaraz musimy iść. – Przejęła się.

Kot był co prawda wychudzony, ruda sierść kłębiła się na nim zamiast błyszczeć i lśnić, ale Edek miał w sobie potencjał. Patrzył na Zuzę wielkimi oczami i, niestety, czary zaczęły działać; Zuza poczuła, że mięknie.

Tym bardziej że o jedzeniu mogli we dwójkę zapomnieć.

– Twój pan chciał mnie skasować na kilka tysięcy, a nie kupił ci nawet marnego whiskasa. Nic dziwnego, że źle skończył – stwierdziła. – Poczekaj, znajdziemy kalendarz i pogadam z tamtym facetem. – Pokazała na Luka, który zmienił właśnie pomieszczenie.

Nie miał najweselszej miny.

Już zamierzała do niego dołączyć, kiedy nagle znieruchomiała w miejscu, ponieważ...

Zaskrzypiały otwierane drzwi!

Zuza zwątpiła.

A jeśli kobiety są jak bakterie i za pożywkę wystarczy im zwykła, pospolicie występująca w przyrodzie desperacja? Wtedy w tym kwitnącym brudem grajdołku mogłaby królować jakaś dama, która, podobnie jak Krzemiński, miałaby daleko do mydła i postępu cywilizacji.

Taka Krzemińska wraca właśnie z pracy i kogo zastaje w mieszkaniu łaszącego się do jej kota? Dziwne. Jeśli jednak drzwi otwiera pani domu, gdzie okrzyk radości witający męża? Czemu ktoś wszedł bardzo ostrożnie, tak ostrożnie, że prawie nie było go słyszać, choć Zuza

doskonale wyczuwała za ścianą czyjąś obecność...

Z nerwów zapomniała o Luku, przylgnęła do szafek i starała się oddychać jak leniwiec: rzadko i powoli. Gdyby nie światło w korytarzu, może mieliby szanse, ale światło było jak komunikat. Ten ktoś dobrze o tym wiedział.

I czekał.

Niestety, żołądek Zuzy nie zamierzał czekać ani minuty dłużej. Wygłodzony, chłostany stresem, wyprodukował z siebie tak przejmujący burk, że Zuza bardzo chciała wierzyć, że ten odrażający odgłos dobywa się z lodówki, a nie z jej subtelnego wnętrza, ale nadzieje były próżne. Przy drugim, jeszcze głośniejszym burknięciu, już nie miała wątpliwości, podobnie intruz w przedpokoju. Co jej pozostało? Idealny byłby tasaczek albo tłuczek do ziemniaków, ale Krzemiński widocznie uznał, że ogień do ewolucji wystarczył; wyjątek zrobił dla sztuców – na blacie leżała brudna łyżka. Zuza, chcąc nie chcąc, postawiła więc na swoją torebkę. Jak wydobyła ciciker Ryszardy, nie potrafiła powiedzieć, ale faktem jest, że kiedy zza ściany wyprysnął jakiś zakamuflowany typek, wydarzyły się dwie rzeczy jednocześnie.

A w zasadzie trzy.

Kręcący się przy jej nogach Edek nagle cały się zwarł i wystrzelił do przedpokoju jak prychająca ognista kula, a Zuza wyciągnęła przed siebie rękę, po czym odblokowała przycisk. W powietrzu aż błysnęły iskry, a może to tylko wyobraźnia Zuzy, która dla lepszego efektu wykrzyknęła:

– Paralizator, to jest paralizator!

Nie zdążyła jednak ocenić, czy blef odniósł skutek, bo w przedpokoju znalazł się Luk i nie pytając, co się dzieje i o co chodzi, strzelił zamaskowanemu typkowi w żołądek.

Zuza zobaczyła tylko śmigającą roboczą rękawicę. Jedną, a potem drugą. Później nie było już na nic czasu – wyskoczyli z mieszkania i zbiegli po schodach na łeb na szyję. O mało nie roznieśli przy tym Edka, który siedział skulony przy drzwiach wyjściowych i niemiłosiernie miauczał.

W ten oto sposób w życiu Zuzy pojawił się kolejny osobnik płci męskiej.

Edward.



Lekkość, Ryszarda Kociołek po generalnych porządkach w szafie czuła lekkość.

Tyle że punkt ciężkości jakby wciąż znajdował się w rzuconym na podłogę sweterku i zgodnie z prawami fizyki przypominał o grawitacji – po pierwszym ożywieniu przyszła mała chandra. W końcu szata zdobi człowieka i wszystkie te ciuszki były bliskie nie tylko jej ciału, ale i duszy, a z niektórymi łączyły Ryszardę naprawdę ciepłe wspomnienia, jak choćby z tym różowym sweterkiem, który miała na sobie, kiedy poznała Hardego.

A gdyby tak...

Gdyby tak urządzić garderobiany wieczorek pożegnalny?

Nowej Ryszardy z Dawną Ryszardą?

Dzień zmierzał ku końcowi, kociaki spały na łóżku w rozbrajających pozach, ale ona wcale nie czuła się senna. Pewnie przez to powietrze. Wpadało z ogrodu wraz z cykaniami świerszczy, buzując zapachem niczym kieliszek różowego wina, i zamiast kołysać do snu, uderzało do głowy.

A w życiu bywa różnie, ale jedno jest pewne – jak się robi

mało, robi się jeszcze mniej, a kiedy robi się dużo, robi się jeszcze więcej. Kiedy Hardy poszedł siedzieć, usiadła i Ryszarda; na laurach. Wcześniej, prowadząc firmę, potrafiła tak zaplanować czas, że wystarczało go jeszcze na szkicowanie projektów, dbanie o ukochanego i zakupy w galeriach. A teraz co? Przed przybyciem na Akacjową Ryszarda nie umiała sobie znaleźć miejsca, nic jej nie cieszyło, najczęściej snuła się po domu w piżamie i poza prowadzeniem bloga o modzie nie robiła niczego pożytecznego.

Dzisiejszy dzień był więc dowodem, że można.

Skoro przebudziła się z odrętwienia, dobrowolnie nie zamierzała znowu w nie popaść.

Powiedzmy sobie szczerze – Poczta Polska również dobrowolnie nie wspomocze jej konkretną kwotą, a sama kominiarka jako narzędzie perswazji nie wystarczy. Poza tym po wczorajszym upiornym wieczorze Misi potrzebowała broni, powiedziała to wprost, a Misi należała się wdzięczność. Summa summarum, dziś wieczorem Ryszarda postanowiła być kobietą czynu.

Najpierw poleżała kwadransik z nogami w górze (zakrzepica odzywała się najczęściej pod koniec dnia), a potem z czułością przywdziała sweterek i spódniczkę w różową kratkę. Do tego wskoczyła w fioletowe kłapeczki i poczuła się, jakby szła na ostateczną letnią wyprzedaż.

Ceny i szczęki w dół!

Przed wyjściem przełożyła śpiące kotki do pudełka i zniosła Misi, która w oczekiwaniu na Zuzę oglądała coś na laptopie.

– Nudzi mi się, pojeżdżę sobie po mieście – zakomunikowała Ryszarda.

– Okej, a nie wiesz, gdzie jest Zuza? – spytała Misia. – Mówiła coś o spacerze, ale już jest późno.

– Nie, Zuza nie lubi się tłumaczyć.

Misia odłożyła laptopa i zatrzymała zdumiony wzrok na spódnicy, ale przecież spódniczka pamiętała jeszcze Ryszardę z liceum, więc po tylu latach zakrywania wdzięków chyba należało uczcić jej odejście.

– Wychodzisz? – upewniła się Misia, która była dziwnie rozkojarzona. – Mnie się Zuza też nie tłumaczy. Podobnie Igła. W ogóle nie mam z nim kontaktu.

– Może materiał mu się zmęczył.

– To znaczy?

– Hardy ciągle siedział przed telewizorem, jak go coś gryzło.

Misia wyprostowała się na kanapie.

– Igła ma problemy?

– Nie wiem. Ale skoro się nie odzywa, a do tej pory się odzywał...

– Może ty do niego zadzwonisz?!

Ryszarda poprawiła ażurkowe rajstopki.

– Yyy... Mogę, jasne. Tylko on będzie wiedział, że to podstęp.

– To co ja mam robić?! Może mu się coś stało?!

– Gdyby się coś stało, Marchewka by zadzwonił. Więc się nie stało. Może materiał mu się zmęczył – powtórzyła.

Misia wyglądała na zrozpaczoną.

– Wiesz, ile mnie kosztuje, żeby do niego nie pojechać?... Dlaczego on mi to robi?!

Naprawdę chciała powiedzieć coś mądrego, coś, co sprawiłoby, że Misia przestałaby się zadrećcać, ale im więcej nad tym myślała, tym większą czuła pustkę.

– Co ma wisieć, nie utonie – bąknęła więc, starając się brzmieć pokrępiąco. – Zostawiam kotki, nie chcę, żeby spały same. Musisz się czymś zająć. Wiem, bezradność jest okropna – dodała. – I jeszcze im więcej żebrzesz, tym mniej dostajesz. Ale nie można żebrać, po zebraniu mam w środku takie paskudne uczucie...

– Niesmak – oświeciła ją Misia z ponurą miną.

– O, dobrze to powiedziałaś. Mam niesmak.

– Ale przecież dzwoniłam tylko dwa razy! I wysłałam jednego SMS-a.

– I dobrze. Jesteś jego dziewczyną, dlaczego miałabyś nie dzwonić? Tylko... nie wydzwaniał. Wszystko się wyjaśni – zapewniła. – Zawsze się wyjaśnia.

– Ale nie tak, jak byśmy chcieli... Czy ty czasem cierpisz?
– zapytała spontanicznie Misia.

Czy cierpi?!

– Ojej... No, pewnie. Jak każdy.

– I... co wtedy?

– Płaczę, boli mnie brzuch...

– Ale jak sobie radzisz?

– Nooo... – Ryszarda przestąpiła z nogi na nogę, filozofia nie była jej mocną stroną. – Myślę sobie wtedy, że cierpienie jest jak katar. Nieleczony trwa tydzień, leczony siedem dni. A potem mija. Tak samo z cierpieniem. Wiem, że minie. Na pewno. I jeszcze sobie wtedy myślę, że jest góra i dół. To też pomaga.

– Tak? – Misia bardzo się zainteresowała i to zainteresowanie dodało Ryszardzie odwagi.

– I ta góra i dół jest we wszystkim. We wszyściusieńkim. I musi się przeplatać, chociaż czasem się przedłuża jedno albo drugie. Jest cierpienie i szczęście. Smutek i radość,

dobro i zło, praca i lenistwo i tak dalej. I te dwie rzeczy niby się wykluczają, ale jedno bez drugiego nie ma sensu. Musi być cierpienie, po prostu. I zło, i smutek...

– Dokładnie!

– Bo jak pracowałam, bardzo chciałam mieć wolne, potem już nienawidziłam pracować u Hardego... A kiedy nie było pracy i miałam dużo czasu – pociągnęła nosem – też było źle.

– Tak, to się podobno nazywa równowaga. – Misia zmrużyła w zamyśleniu oczy, ale po chwili spojrzała tak serdecznie, że Ryszarda poczuła wokół serca kojące ciepło.

– Wiesz, że myślimy bardzo podobnie? Tylko na chwilę o tym wszystkim zapomniałam. Dziękuję.

– Za co?! – wykrzyknęła zdumiona, ale do salonu wmaszerowała zaspana Pyza i Ryszarda mogła już zakończyć tę dziwną rozmowę.

Misia pogłaskała posapującego przez sen Madeja, położyła rękę na jego opadającym i wznoszącym się brzuchu, a na jej twarzy na dobre zagościł szeroki uśmiech. Ryszarda wsiadła więc do samochodu równie uradowana, bo nie dość, że zupełnie nieznanym sposobem pocieszyła Misię, to czekała ją kolejna nocna atrakcja.

Włamanie do własnego domu.

Ale czy to w ogóle można nazwać włamaniem?

Kiedy pakowała rano rzeczy, wpadło jej do głowy, że byłoby dobrze móc tam wrócić i jeszcze zabrać to i owo. Choćby indiańskie kozaczki. Przecież komornik nie musiał o tym wiedzieć. I kiedy bezduszny urzędnik stracił ją na chwilę z oczu, Ryszarda nie tylko zapakowała do bagażnika maszynę do szycia, ale pobiegła do piwnicy, a następnie otworzyła okno i przezornie włożyła do zamka kawałek

zwiniętej gazety. Przynajmniej tyle. Mimo to dziwnie było tu wracać samej nocą i dziwnie było zakradać się do domu, w którym zostawiła kawałek życia. Ale kiedy kończy się jeden kawałek, na talerzu pojawia się drugi. A drugi kawałek wyglądał całkiem apetycznie. Kiedy więc Ryszarda pomyślała o jutrzejszym dniu, pozbyła się wszelkich wyrzutów sumienia.

Musiała wejść do garażu.

Auto zaparkowała w sąsiedniej uliczce – nie podejrzewała co prawda, że komornika oprócz plomb stać na kamery, ale strzeżonego pan Bóg strzeże. Tego również nauczyła się od Hardego: na wszelki wypadek. Zatem na wszelki wypadek pokonała ogrodzenie od tyłu domu (rozdzierając przy okazji rajstopki) i na wszelki wypadek nie włączyła światła, kiedy przecisnęła się przez okno. Zresztą, światło nie było jej potrzebne. Do schowka w garażu trafiłaby z zamkniętymi oczami. Wystarczyło odsunąć szafki pełne narzędzi i innych gruchotów.

Garaż pachniał benzyną, bardzo to lubiła. Tak samo jak lubiła BMW Hardego, zajmujące niemal całe pomieszczenie. Wielki, czarny chrabąszcz. Ciekawe, jak długo będzie tu stał i w czyje trafi ręce.

A w czyje ręce trafi... ona?

Nie, nie i jeszcze raz nie. Nie powinna się teraz rozdrabniać i zajmować głupotami, powinna się skupić. Schowek na broń. Tam znajdzie potrzebne pistolety a także ślepe naboje w srebrnym pudełeczku z napisem Winchester. Ryszarda przywołała się więc do porządku i mając niejasne przeczucie, że czas ją goni, zaparła się kłapkami w posadzkę, próbując przesunąć meble. Poszło łatwo. Hardy zamontował pod całym systemem maleńkie,

niewidoczne z zewnątrz kółka, szafki zbytnio się nie opierały, a kod do zamka pozostał ten sam. Rok urodzenia Hardego. Ryszarda przewrotnie pomyślała, że data jego śmierci również powinna zostać w jakiś sposób upamiętniona, po czym pchnęła ukryte drzwi.

U góry błysnęły uruchamiane fotokomórką światelka i została jej chwila do namysłu, bo pomieszczenie miało kształt kilkumetrowego korytarza wyłożonego specjalnymi szafkami. Tyle że po trzech minutach elektronicznie sterowane drzwi same się zatrzaśniały i biada temu, kto tu utknął – zamek znajdował się tylko na zewnątrz.

Ryszarda więc nie wybrzydzała.

Najpierw rzuciła się do naboju, później chwyciła trzy pierwsze z brzegu spluwy i, choć zrezygnowała z kałasznikowa, poczuła się jak Lara Croft. Drzwi trzasnęły, meble wróciły na miejsce, a wtedy spokojnie stanęła w rozkroku, jeden z pistoletów zatknęła za spódniczkę, a dwa uniosła do góry. Odbicie w BMW, niby niewyraźne i niemrawe, jednak mówiło swoje: była z niej niezła petarda.

Dźwięk otwieranego garażu wystrzelił więc w głowie Ryszardy niczym seria eksplozji. Przeraziła się śmiertelnie, skoczyła na schody, a stamtąd do piwnicy. Jednak przed ucieczką powstrzymał ją... znajomy głos!

– Zaplombujesz jak należy. – Usłyszała polecenie i stwierdziła, że to jeden z ich pracowników.

Niejaki Lary. Wielki umięśniony facet, jednak niezbyt rozgarnięty, więc przestała się bać i ukryta za ścianą nadstawiła uszu.

Po chwili drzwi garażu opadły z lekkim szumem, a w środku rozległo się kliknięcie otwieranego samochodu.

– To będzie zdziwko, co? – Lary zaśmiał się tubalnie. – Gdzie pan Hardy?... Właśnie odjechał swoją furą.

– Fura, skóra i komóra – zawtórował mu jakiś drugi, którego Ryszarda nie potrafiła rozpoznać po głosie, ale nic dziwnego, wokół Hardego kręciła się cała świta. – Fura jest, komórkę zaraz otworzymy, a skóra?

– Nie bój nic. Będzie i skóra. Owieczka raz dwa wyciągnie kopyta. I jeszcze został nam do odstrzału jeden baran. Musimy się spieszyć, ruszaj się.

O czym on bredził?

Jaka owca, jaki baran?!

– Dobra, otwieraj bagażnik, ładujemy. Pamiętaj, że mamy trzy minuty? Będziemy nosić na raty...

Ryszarda odczekała jeszcze kwadrans, ale kumple Hardego na widok broni przerzucili się na tematy mordobicia, a że nie ciekawiły jej ani kalibry, ani milimetry, ani tym bardziej wzorki z ludzkich szczątków – panowie wymieniali się wspomnieniami – postanowiła zakończyć wizytę. Przez całą drogę nie umiała się jednak pozbyć męczącego uczucia niepokoju, dlatego nie wróciła od razu na Akacjową, ale bez konkretnego celu krążyła po okolicy.

Dlaczego Hardy miałby odjechać własną furą, skoro siedział w areszcie? I jeszcze ta broń... O schowku wiedzieli tylko najbliżsi współpracownicy, a ci podzielili los szefa.

A może Hardy planował ucieczkę?!

Myśl pośrodku tej wietrznej nocy była tak porażająca, że Ryszarda przy kolejnej stacji benzynowej zjechała na parking i pomaszerowała po kawę, do której zamówiła wielkie czekoladowe ciacho. Wgryzła się w nie od razu po wyjściu na zewnątrz. Już po pierwszym kęsie poczuła się

lepiej, ale drugi niemal stanął jej w gardle, bo tuż obok wyhamował samochód. W środku siedział żujący gumę jełop, który opuścił szybę, obrzucił ją oblesnym wzrokiem, po czym spytał:

– Sto pięćdziesiąt wystarczy?...

Tak, wieczorek pożegnalny spełnił swoje zadanie.

Ryszarda Kociołek postanowiła dozgonnie rozstać się z różem.



Misia nie mogła się o niczym dowiedzieć.

Absolutnie.

Zuza dołożyła więc wszelkich starań, by przekonać do pomysłu Luka.

– Nowa tajemnica?! – Złapał się za głowę, a wtedy podirytowana Zuza stwierdziła, że Luk najlepiej rymuje się z „tłuk”. – Mylam się.

– Ale co ci się może mylić? To ciągle jedna i ta sama sprawa. Samochodowa – przekonywała, pokazując wymownie palcem na chłodnię, ale już miała serdecznie dość. Wszystkiego. – Nie mówiłeś Misi, że mogę jeździć twoim samochodem, więc nie mówisz, że mamy w samochodzie trupa. Proste.

– Nie proste, trupa nie proste.

– To co, może pojedziemy na policję?!

– Nie, żadna policja! – W końcu zaczął mówić jak człowiek i Zuza odetchnęła.

Ale...

Dlaczego nie policja, może właśnie policja!

Jednak pomysł, na jaki właśnie wpadła, był tak diabelsko przewrotny, że wymagał gruntownego przemyślenia, a na

myślenie nie miała teraz w ogóle siły. Żeby nie spalić projektu, Zuza postanowiła do jutra trzymać język za zębami, co nie było trudne, bo padała ze zmęczenia i chciała jak najszybciej trafić do łóżka.

Po koszmarnej finale u Krzemińskiego wrócili z Lukiem pod Silesię, skąd odjechali dwoma samochodami: Zuza prowadziła renault, jej współnik przesiadł się do auta egzaminatora. Ze względów praktycznych na porzucenie toyoty wybrali zaludnione osiedle Witosy, gdzie zacierali ślady domostosem przez kolejne pół godziny. Na Akacjową wrócili więc wyczerpani i... woniejący chemią domową. Zapach zdecydowanie nie przypadł do gustu Edkowi – schował się za fotelem, skąd żadne z nich nie potrafiło go wydobyć.

– Na razie Krzemiński dojrzewa w lodówce. – Zuza na zakończenie chciała podsumować sytuację. – Krzywda mu się nie dzieje... To znaczy czeka w chłodni, będzie trudniej stwierdzić godzinę i datę zgonu. Jutro coś wymyślę.

– Obiecujesz?

– Obiecuję. Ale Misi ani słowa, inaczej nas zamorduje. A mnie w szczególności.

– Dobrze. Nie słowa... Jesteśmy bez kalendarza. Wrócić będziemy tam?

– Na Skowrońskiego?! – Zuza nie wierzyła. – Nie masz dosyć?

– Dostyć bardzo mam. Ale nie mam kalendarza z imię, nazwisko twoje i *maman*. Martwię się.

– Ale przecież szukałeś w obu pokojach, a w kuchni go na pewno nie było.

– W pokoje też, ale może był inne miejsce.

– Może w kibelku? – zakpiła. – Ja tam nie wrócę –

postawiła sprawę jasno, po czym z obawą zerknęła za fotel. A jeśli po powrocie na Skowrońskiego okazałoby się, że Edek jednak miał panią?... – Widziałeś tam jakieś babskie drobiazgi? Biżuterię, poduszki...

– Mężczyzna śpi bez poduszki? Tylko kobiety? – Luk na szczęście odzyskał poczucie humoru, i błysnął uśmiechem, co Zuzę nieco pocieszyło.

– Wiesz, co mam na myśli. Ozdoby, duperanse...

– Wiem, nic z kobietami nie widziałem. Dom jak singiel. Surowe i dużo bałagana.

– Myślisz, że mieszkał sam? – spytała z nadzieją.

– Myślisz. Kot sierota.

Uśmiechnęła się, bo zza fotela błysnęły czyjeś oczynicznym dwa odblaskowe światełka.

– A może kalendarz zabrał morderca? I niepotrzebnie się martwimy? Przecież nie zanieś go na komisariat.

– Na Skowroński? – Luk zaczął masować rękę. – Morderca był? I ja go po żołądek?

– Tak mi się wydaje. Ginie egzaminator, nie możemy znaleźć jego kalendarza – wyliczyła. – Więc pewnie ktoś go wykolegował z biznesu. Na przykład wspólnik – dodała dla jasności.

– Wspólnik?

– Musiał mieć wspólnika. I to niejednego. W pojedynkę się takich przekrętów nie robi.

Przy słowie „przekręty” w oczach Luka pojawiło się pytanie i Zuzę stwierdziła, że Francuz nigdy nie pojmie Polaka. Niestety, wciąż bliżej im było do ściany wschodniej...

– Krzemiński miał kolegów i razem handlowali egzaminami – spróbowała inaczej.

– Nie pojedyńka, rozumiem. A po co morderca do domu?

– Cholera wie, pewnie przyszedł po coś, co naprowadziłoby na jego ślad. Co by go zdemaskowało. Widziałeś jego twarz?

Luk wyteżył pamięć.

– Żadna twarza, czarna ubrania i głowa.

– A, właśnie. – Zuza się wzdrygnęła. – Musimy wyrzucić wszystko, w czym dzisiaj byliśmy. Buty i majtki też – dodała bezlitośnie. – I rękawice. Wynieść gdzieś na śmietnik, ale poza Akacją. Albo spalić. To samo z dowodem i kluczami Krzemińskiego. Żadnych śladów.

– Wyrzucić – zgodził się Luk, jednak bez zapału, więc Zuza na pożegnanie wyciągnęła rękę.

– Dawaj fanty, ja się tym zajmę. I pamiętaj, tajemnica – przestrzegła. – A teraz pomóż mi wyciągnąć Edka...

Rudzielec poddał się po odsunięciu fotela, ale z Misią mogło nie pójść tak łatwo. Jeśli przyjaciółka miała pozostać nieświadoma pewnych faktów, Zuza za nic nie mogła pokazać się w takim stanie: z dowodami winy i cudzym kotem w ręku oraz w sukience à la sen rzeźnika. Idealnie byłoby zakraść się na górę, przebrać, zostawić kota i dopiero wtedy symulować powrót. Tak też postanowiła zrobić, ale zapomniała o pewnym drobnym szczególe.

Drobny szczegół miał postać skomplikowanego systemu sznurkowo-puszkowego, a kiedy niedoszła przestępczyni z rozmachem otworzyła furtkę...

Wpadła jak mucha w sieć.



Nagły łomot i metaliczne pobrzękiwanie postawiłyby na nogi umarłego, a co dopiero czekającą na powrót przyjaciółki Misię. Słyszając na spokojnej ulicy tak nieprawdopodobny jazgot, najpierw poderwała się z łóżka przerażona, a dopiero potem połączyła fakty.

Alarm!

Złapała więc to, co miała pod ręką, a był to, nomen omen, pistolet do mezoterapii MESO-PRI, bo zanim zapadła w drzemkę, przygotowywała się do jutrzejszych zabiegów i czytała instrukcję obsługi, po czym pognąła z tym kosmicznym sprzętem na dół. Niczym rycerz Jedi uchwyciła pistolet oburącz i lustrując teren, wyjrzała ostrożnie przez kuchenne okno. I wtedy zobaczyła trzepocącą w sieci Zuzę, która po cichu przeklinała na czym świat stoi.

Czym prędzej ruszyła więc na pomoc.

Uwolnienie przyjaciółki z kłębow sznurka zabrało cały kwadrans i dopiero kiedy instalacja z powrotem zawisła na ogrodzeniu, Misia odkryła, że Zuza wygląda... przerażająco. Już nawet nie chodziło o strój – jej sukienka bardziej przypominała derkę, w którą ktoś zawinął martwego psa, niż element garderoby – ale w oczach Zuzy było coś takiego...

– Co się stało, umarł ktoś? – zadała niewinne pytanie, a wtedy Zuza usiadła z rozpędu tam, gdzie stała, czyli pod krzakiem agrestu.

– Kota mam – obwieściła, spuściwszy ramiona.

Misia dawno nie widziała jej takiej zrezygnowanej, zaczynała się bać.

– To jakby od dawna wiadomo... Krew?! – Schyliła się i przyjrzała z bliska sukience. – Nie mów, że to krew. Uspokój mnie, powiedz, że to jakaś farba, keczup, cokolwiek...

Zuza zapadła się w sobie jeszcze bardziej.

– Krew jest prawdziwa, kot też – wydukała. – Ma na imię Edek i jego pan występuje w charakterze trupa. Trzymamy go w samochodzie Luka, w chłodni. Już nie mam siły niczego ukrywać... A kot właśnie zwiął – dodała smętnie.

Misia poczuła się całkiem skołowana.

Przez chwilę usiłowała zrozumieć, jak martwy kot może uciec, ale ponowne spojrzenie na sukienkę i na sponiewieraną Zuzę pozbawiło ją złudzeń. Tyle że w obecnym stanie ducha nie potrafiła przyswoić żadnej dodatkowej informacji. Wieczorna rozmowa z Ryszardą pomogła jej, owszem, ale na około pół godziny. Później znowu zaczęła się zamartwiać. Myślała o remoncie, o Igle, a potem znowu o Igle i o Igle...

– Trup. I kot – powtórzyła za Zuzą. Jednak nie przypuszczała, że informację należało odbierać dosłownie, dlatego zachowała spokój. – Na razie nie bardzo rozumiem, ale... Czy nie jesteś przypadkiem głodna? Bo ja bym ugotowała coś lekkiego, może kaszę jaglaną? Jest noc, wiem, ale wcześniej był upał i nie miałam apetytu. A Luk przyniósł kilka serów do spróbowania...

Zuza rozważała propozycję, ale tylko przez kilka sekund.

Życie zawsze wygra ze śmiercią.

– Sery? To lepsze od łóżka... A mamy jeszcze chardonnay?

– Nawet dwie butelki.

– Dobra, pod trupa będą w sam raz – stwierdziła, po

czym stanęła na nogi i wskazała gruszę przy domku dla gości. – Tam się ukrył. Mój kot, Edek. Ale za cholere nie namówisz mnie, żebym za nim weszła.

– Edek?

– Tak było napisane na miseczce, więc pewności nie mam, ale Krzemiński mimo wszystko chyba je z talerza.

– Czekaaj, Krzemiński? Gdzieś już to nazwisko słyszałam.

– Misia zaczęła szukać w odmętach pamięci.

– Egzaminator prawa jazdy. Baran i chamidło. Choć nie powinno się źle mówić o nieboszczykach...

Oczywiście, że egzaminator! Misia ucieszyła się, że jednak nie cierpi na sklerozę, ale zaraz entuzjazm w niej opadł. Dlaczego egzaminator, który wczoraj oblał jej przyjaciółkę, miałby dzisiaj nie żyć?

– O nieboszczykach?... Czy ty znowu się w coś wpackowałaś?

Zuza obciągnęła wygniecioną sukienkę.

– Wcale nie zamierzałam się pakować – zapewniła. – Możliwe, że po egzaminie zdarzyło mi się powiedzieć przy świadkach, że go zabiję...

– Zuza!

– I... ktoś mnie po prostu wyręczył. Tyle że prawdopodobnie byłam jedną z ostatnich osób, które widziały go żywego, więc scenariusz zdarzeń lekutko się komplikuje... Bo znalazłam jego zwłoki. W aucie, na parkingu pod Silesią.

Misia zmartwiała.

I stwierdziła, że co jak co, ale przy takich wiadomościach nie można poddać się panice.

– Idziemy do kuchni, a ty opowiadaj – zdecydowała.

Zuza zaczerpnęła więc tchu, po czym beznamiętnym

głosem wyznała swoje winy. I tak Misia dowiedziała się, że jej najlepsza przyjaciółka od dawna w tajemnicy łamała prawo, jeżdżąc po ulicach bez prawa jazdy, mało tego – w swoim zwyrodniałym umyśle zaplanowała kolejne szaleństwo i przestępcza machina poszła w ruch. Martwy Krzemiński był w tej historii wisienką na torcie.

Tyle że... czuła się oszukana.

– Czemu nic nie mówisz? – spytała na zakończenie Zuza.

Misia wsypała kaszę do garnka i skupiła się na jej płukaniu. Zimna woda, wypłukać, odlać. I tak pięć czy sześć razy. Tak, kasza jaglana miała w sobie sporo goryczy...

– Wiem, jestem podłą świnią. – Zuza uderzyła w wysokie tony. – Ale ty lubisz boczek – broniła się nieudolnie – poza tym wszystko wygadałabyś swojemu Igle. Latasz do niego z każdą bzdurą, a co dopiero z czymś takim...

– Naprawdę? – Misi zrobiło się przykro, w odstawkę poszedł nawet trup. – Właśnie tak o mnie myślisz?

– Nie myślę, tak po prostu jest – powiedziała cicho Zuza i Misia musiała się zastanowić.

Może przyjaciółka miała rację, może za bardzo zrosła się z Iglą? Ale Iglą pachniał piernikami, potrafił na nią patrzeć jak na obraz w Luwrze i działał tak, że chciało się z nim zrastać, zbliżać, stapiać...

I dlaczego w ogóle trzeba się kontrolować, skoro Iglą był miłością jej życia?!

– Czy ty z Marchewką też robiłaś takie sztuczne ruchy? – zapytała z emfazą.

Zuza wybałuszyła oczy.

– Moment... Otwórz w nowej karcie, celebryj płukanie kaszy i powiedz to samo, ale inaczej, jak mawia nasza

Ryszarda. Nasza! – Ugryzła się w język. – Ruchy? Jakie ruchy?

– Czy też się nad wszystkim zastanawiasz i ciągle czaisz? – dopytywała przejęta Misia. – Żeby sobie nie pomyślał, żeby pomyślał, żeby, żeby, żeby... – powtórzyła zirytowana. – Ciągle mam napięcie!

– A ja mam na kolanie – palnęła z rozpędu Zuza, ale zaraz przybrała poważną minę. – Już mi z głodu zasysa nawet pęcherz moczowy – rzuciła i w poszukiwaniu serów otworzyła lodówkę. Widząc kawałek złocistego krążka, uśmiechnęła się z lubością. – O, Dżiugas! Ale to chyba nie od Luka? – Zerknęła pytająco na przyjaciółkę. – Już, wracam do tematu... Czy się zastanawiam? Obawiam się, że u nas jest... Było odwrotnie. To chyba Pietruszka za dużo myśli i kombinuje... Ował... Tylko nie wiem, po co.

– A może czas z tym skończyć? – Misię poraziła naraz ożywcza myśl. – Jesteśmy dorośli, to znaczy teoretycznie, jeśli chodzi o uczucia, każdy jest jak dziecko.

– Ale jak skończyć? Tak na amen? – Zuza domagała się szczegółów, jednak Misia była w jakimś transie.

– Daruję ci te wszystkie podłe tajemnice – ciągnęła z ogniem w oczach. – Daruję ci spiskowanie za moimi plecami z Lukiem, przełknę nawet trupa...

– Ale? – Zuza wyczuła szóstym zmysłem, że zaraz padną warunki.

I nie pomyliła się.

– Ale zadzwonisz do Igły.

– Ja?! – zaprotestowała. – Masz powikłania po grypie? Dziecinada, normalnie dziecinada...

Misia wcale nie czuła się zbita z tropu.

– Ode mnie nie odbiera, więc zadzwonimy od ciebie.

Przywitasz się, a potem przekazesz mi słuchawkę. I się z nim rozmówię, bo już mam dosyć. Albo do niego pojedę. – Odstawiła garnek z kaszą, więc Zuza zrozumiała, że to nie przelewki.

Poza tym patrzyła na kaszę coraz bardziej łakomym wzrokiem.

– Igła dalej nie odbiera? – wyraziła zdumienie.

Misia jednak przestała się już dziwić.

Na dnie duszy ciągle miała idiotyczną nadzieję, jednak doświadczenie podpowiadało jej, że jeśli facet milczy, z reguły nie oznacza to romantycznej pauzy. Prędzej tragiczny koniec.

– Poproszę o inny zestaw pytań.

– Czyli nie odbiera – podsumowała Zuza, po czym spróbowała kolejnego z serów i ze smakiem wyrecytowała: pokochała go miłością ciejącą, a on zrobił z niej krowę. Ładne, co?... Tylko że to nie pasuje do Igły – zastrzegła pospiesznie, widząc, że Misia traci cierpliwość. – Taka złota myśl.

Srebrna czy złota, Misie interesowało tylko jedno.

– Zadzwonisz?

Zuza nie była zachwycona, jednak wyciągnęła komórkę.

– Dobra, w sumie podkrećmy kaloryfery – zdecydowała. – Bo co to niby jest za związek? Klatka schodowa nie związek. Ani nie zmarzniesz, ani się nie zagrzejesz. Bez sensu. Dzwonię, odwracamy bieg historii...



Artyści Uśmiechu.

Nazwa przychodni dawała nadzieję na ludzki wygląd – twarzy, nie portfela – jednak Igła po dwóch godzinach na

fotelu dentystycznym nie bardzo mógł mówić, dlatego napisał do Marchewki SMS-a (bez jednego uśmiechu). Informacja była lakoniczna, ale komisarz wiedział, że jeśli kumpel pisze „Przyjeżdżaj”, należy rzucić nawet mistrzostwa Europy w Piłce Nożnej. Poza tym nie chciał już pić do lustra, a po znieczuleniu pewne płyny wchodzą do organizmu inaczej, więc obstawiał, że Igła nie pogardzi piwkiem. Tudzież dwoma.

Dla pewności kupił więc kilka sztuk i zaopatrzonej w procenty dotarł na Mariacką, gdzie Igła wynajmował kawalerkę. Mieszkanie znajdowało się nad znanym katowickim lokalem Lorneta z Meduzą i zmieszany Marchewka stwierdził, że nazwa zobowiązuje. Może powinien zajrzeć do Igły z flaszką?

Przyjaciół na widok piwa uniósł się jednak z radości w powietrze, warga Igły wręcz przeciwnie. Spuchnięta i nabrzmięta opadła w dół, podobnie jak dolna połowa jego twarzy. Na szczęście jednak okazało się, że ząb nie był wybity, po prostu się złamał. Niemal przy dziąśle, ale udało się go odbudować. Jedyne minus było takie, że Igła na skutek opuchlizny nie mówił zbyt wyraźnie, a na skutek końskiej dawki znieczulenia, które wciąż trzymało, po prostu bełkotał.

– ycie mi lafujef... – wydukał, a Marchewka na chwilę zaniemówił. – Fo?!

– Nic. Wyglądasz, jakbyś się zderzył z czołgiem – palnął, a potem naszła go refleksja, że jeśli już wplątywać swoją mikrą osobę do kwiecistych porównań (w końcu był sprawcą), lepiej wybrać pojazd nieco większych rozmiarów.

Tir?

Ale to by się Igle nie spodobało.

– Chcesz piwko? – Sięgnął więc po szklanki, które już czekały przygotowane na stole, a wtedy Igła na chwilę zapomniał o bólu i zębie.

– Lej! – zakrzyknął ochoczo, po czym się zreflektował. Spojrzał na Marchewkę niemal ze strachem. – Nie, lefiej wyfiję z fufelki...

– Jak ząb? – zapytał dla formalności komisarz. – Dobra, nic nie mów, widzę...

Pytanie dotyczyło nieprzyjemnego tematu, ale Marchewka nie zamierzał chować głowy w piasek. Przed sądem go trochę poniosło, owszem, jednak poczuwał się do odpowiedzialności. Dlatego teraz wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów i położył przed Igłą.

– Fo to?

– Rekompensata.

– Fsaf se w duse – wymamotał Igła, marszcząc w złości czoło. – To jes najlefsa fekomfesata. – Pokazał na piwo, nie zaszczycając banknotów ani jednym spojrzeniem, i Marchewka westchnął.

Uparty osioł.

Ale honorowy.

Stuknął się więc z przyjacielem piwkiem, upił łapczywie kilka łyków, po czym przeszedł do konkretów.

– Co się dzieje?

Igła w odpowiedzi zaprosił Marchewkę przed laptopa i zaprezentował fotografię przysłaną z laboratorium, którą wykonano na podstawie nocnych nagrań z kamerek na Akacjowej. Zdjęcie oczywiście było fatalnej jakości, ale jeśli dobrze przyjrzeć się sylwetce...

– To on! – Marchewka był pewny swego.

– Nify tak. Ale jak fafse na nafranie... – Igła jeszcze raz

puścił film. – Fy fachfyfnie? Chosi mięfko jak kofieta. –
Cmoknął.

– Jak kobieta?! – Piotrek Marchewka wzruszył ramionami. – Ale to facet, co z tego, że chodzi jak baba? Tacy są najgorsi. Czujność uśpiona, a na przykład odpicowany Tadeusz Zawadzki pakuje się twojej Misi do salonu. Nóżka przy nóżce, fiku-miku na patyku i kawka w słoiku...

– Na fafyku?! – Igłę aż wyprostowało.

– Nie, bez przesady, nic wielkiego nie było, po prostu rozmawiali – próbował bagatelizować, bo Igła wyraźnie się nastroszył. Jednak wbrew sobie komisarz dopuścił do głosu ukrytą w nim małą złośliwość. – Ale wiesz... Zawsze możesz z Misią zerwać. To tak jak z kotem. Takie zwierzę. – Puścił do przyjaciela oko. – Jak go zamkniesz w domu, chce na zewnątrz. Ale spróbuj gadzinę wyrzucić na dwór...

Igła ponuro milczał, tylko mordercze spojrzenie, jakim go obrzucił, zdradzało, że doskonale pamięta ich niedawną rozmowę.

– Juf nif nie fęc fłyfec o kofach – uciał, popijając łyk piwa.
– I o Fisi tef.

Oczywiście, Igła nie chciał słyszeć, ale pod czaszką aż mu wrzało od kłębiących się myśli. Marchewka znał to z własnego doświadczenia. Paskudna sprawa.

– Dzwoniłeś do niej?

– Nie. – Igła znowu dorwał laptopa i z niewzruszoną miną jak na faceta z wiszącą do ziemi wargą, oznajmił: – Ona fonila. Nie fodefrałem.

– Czyli nie wie i czeka?

– I fak nie fogę mófić. Niech fofmawia z tym fofusiem...

Jeśli nie istniało coś takiego jak telepatia, Piotrek

Marchewka był gotowy na zawsze oddać odznakę. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że komórka Igły zagrała melodyjkę z *Czterech pancernych i psa*, a na wyświetlaczu pojawiły się tylko cztery litery, ale dla Marchewki te cztery litery znaczyły więcej niż cały polski alfabet. A nawet cyrylica.

ZUZA!

Igła zerknął.

– O, kufdę... Otfief. – Wcisnął w przerażeniu Marchewce do ręki telefon. – To Fisia.

– Przecież to Zuza! – zaprotestował, zonglując komórką.

– Nie, to Fisia. Ufófiły fię. Fisia fyśli, fe otfioreę. Móf ty!

Cóż miał robić?

Marchewka zebrał siły, po czym odebrał telefon, starając się brzmieć uprzejmie. Po prostu wytłumaczy Misi, że doszło do wypadku, że Igła na razie nie może rozmawiać na skutek wiszącej wargi... To znaczy na skutek odniesionych ran na ciele i umyśle.

– Cześć, jak miło, że dzwonisz – zaczął, ale po chwili serce mu zamarło, bo w słuchawce usłyszał...

ZUZE!

I niestety znowu cały wszechświat zawirował, a nogi Marchewki zrobiły się miękkie jak po wypiciu wszystkich zapasów alkoholu w lokalu piętro niżej.

– O... – Zuza nie powiedziała nic więcej, lecz ucho Marchewki wychwyciło tę niesamowitą mieszankę zaskoczenia, ulgi i radości.

Cisza zaczynała się jednak krępująco przedłużać.

I kiedy tak się przedłużała i przedłużała, Marchewka stwierdził, że wytrzyma. Bo czyż nie należały mu się zwyczajne słowa wyjaśnienia?

Zamiast tego usłyszał:

– A tak w ogóle, dlaczego powiedziałeś, że nie pójdziesz na urlop tacierzyński?

– Ja tak powiedziałem?!

– Kiedy rozmawialiśmy o dzieciach... Ewentualnych oczywiście – dodała pospiesznie. – I wtedy oznajmiłeś, że nie ma mowy. Dokładnie takim głosem. – Zaczęła go przedrzeźniać: – Urlop tacierzyński? Co za głupota! Nie ma mowy...

Marchewka zastanawiał się w takich chwilach – a Zuza zawsze potrafiła go zaskoczyć – czy smyra go w wątrobie czy w śledzionie. Tej ostatniej nie umiał zbytnio umiejscowić, ale może smyrało go we wszystkich narządach naraz?

Podobnie czuł się podczas wspinaczki na Rysy.

– Podtrzymuję – rzucił twardo, jednak czym prędzej zaczął tłumaczyć: – Nie o to chodzi, że nie zamierzam ci... nie zamierzałem pomagać. To jest oczywiste. Mogę karmić, przewijać i tak dalej. To nie jest żaden dyshonor, tylko pomoc. Ale pomoc a etat to różnica.

– Czyli co?! – Zuza już zamierzała ruszyć do ataku, więc ją ubiegł.

– Czyli jestem ojcem, a ty matką. I nie mów o równouprawnieniu, bo w równouprawnieniu nie chodzi o to, żeby facet biegał w szpilkach – wytoczył odważnie argument, ale stwierdził, że rozmowa przez telefon gwarantuje mu bezpieczeństwo, dlatego ciągnął dalej: – Różnimy się. I to jest dobre. Życie to różnorodność, impulsy i zmiany, a nie zlane wszystko w jedną masę. Jest kobieta i jest mężczyzna. Rolą matki jest się opiekować dzieckiem, a rolą mężczyzny jest się opiekować rodziną. Jak mam cię

chronić, skoro chcesz, żebym się trząśł nad każdą kupką?!

– Kupki akurat są bardzo ważne! – Zuza obstawała przy swoim, chociaż jakby z mniejszym zapałem.

– Tak? A lekarz? Pediatra. Też jest ważny?

– No raczej...

– A kto na niego zarobi? Ty?

– Skoro mężczyzna idzie na urlop tacierzyński, to chyba po to, żeby kobieta mogła pracować?!

– Tak? A pięćdziesiąt telefonów w trakcie pracy? Znam cię... I tu wracamy do naszej różnicy. Mężczyzna potrafi złapać dystans. Ma do wykonania konkretne zadanie i traci z oczu całą resztę. Ma w nosie telefony i ból brzuszka. Działa. Pracuje. WALCZY! A nie ciągle myśli o dziecku...

Igła pokazał mu uniesiony w górę kciuk, ale Zuza tylko ciężko westchnęła.

– Halo? – sprawdził, czy się nie rozłączyła.

– Jestem.

– Czemu się o to kłócimy? – próbował łagodzić. – Przecież ostatnio tak źle mówiłaś o dzieciach...

– Bo mi podciąłeś skrzydła i wyrzuciłeś z gniazda pisklęta.

– Przecież tłumaczę... – znowu usiłował ją przekonać, a wtedy Zuza powiedziała coś, co go zmroziło:

– Dobrze, chyba rozumiem. Powiedzmy, że chwilowo straciłam zapał do rozmnażania. Ale kiedy pomyślę o Edku, zaczynam rozumieć, że mogłabym mieć syna, chociaż to głupie...

– Edek?... A więc grupa adoratorów rośnie? – Zaśmiał się, może odrobinę zbyt złośliwie. – Gratuluję. Szkoda tylko, że Pan Bibelot poszedł tak szybko w odstawkę, nieźle się zapowiadał... Po co w ogóle do mnie dzwonisz?! –

Ostatecznie się zirytował.

– Nie dzwonię do ciebie, knypku nizinny, tylko do twojego kolegi – wycedziła. – Ale łudziłam się, że otrzeźwiałeś. Bardzo dobrze, że sobie porozmawialiśmy. Przynajmniej wiem, że chcesz słuchać tylko siebie. *Finito!*

– *Adieu!*

Tak, niedociśnienie to była przeszłość.

W towarzystwie Zuzy wrzały w nim wszystkie soki, całe szczęście, że nie był zagrożony chorobą wieńcową.

– Fo fo byo? – Igła starał się ukryć uśmiech, jednak oczy go zdradzały.

– Fo fył foch – Marchewka pozwolił sobie na lekką ironię.

– Dobra, nie gadamy o kotach, Misi i o... Zuzie. Na poprawę humoru opowiem ci, jak pogoniłem kota... Jak przetrzepałem auto Francuzika.

Ledwie zdążył przywołać upojne chwile, telefon znowu się rozdzwonił. Tyle że zamiast starego szlagieru usłyszeli skoczne pikanie służbowej komórki.

Marchewka odebrał.

– No, witanko, Piotruś – usłyszał głos swojego kumpla z wydziału, niejakiego Kuby, zwanego... Rozpruwaczem. Co było o tyle mylące, że Kuba był jednym z bardziej przyzwoitych śledczych, jakich Marchewka znał. I szanował, zdaje się, że z wzajemnością. – Słuuuchaj... Głupia sprawa, bo Przepiórek przekazała nam śledztwo i pomyślałem, że może najpierw zadzwonię do ciebie...

– Co jest? – zaniepokoił się.

– Zuzanna Bączek to twoja panna? – zapytał grzecznie Kuba, ponieważ pytania o życie osobiste zawsze były ryzykowne.

– Można tak powiedzieć – rzucił ostrożnie Marchewka,

ale w środku poczuł bolesny skurcz. – Czemu?

– Bo... Podprowadziła nam zwłoki.

– Jakie zwłoki?! Co ty mówisz?

– Obserwowaliśmy jednego gościa, z którym się dzisiaj spotkała. Potem koleś nam się urwał, więc profilaktycznie pojechaliśmy za nią. I spotkali się ponownie, tyle że już było po wszystkim. Facet nie żył.

Rysy, zdecydowanie Marchewka czuł się, jak po wspinaczce na najwyższy szczyt Polski. Tylko dlaczego nie mógł się pozbyć wrażenia, że ktoś chciał go stąd zepchnąć? Odruchowo przełączył więc na głośnik, żeby rozmowę mógł słyszeć również Igła.

– Ale Zuza chyba go nie...

– Nie, skąd! Tak źle nie jest. – Kuba, nie wiedzieć czemu, cicho się zaśmiał i Marchewka po doznanej uldze zaczął pospiesznie analizować sytuację. Sprawca musiał być nieznan, inaczej Kuba by do niego nie dzwonił. – Przecież spędziliśmy pół wieczora na Akacyjowej, ma alibi. Zdaje się, że też to możesz potwierdzić. Widzieliśmy waszą rozmowę na ulicy. Twoją, pani Zuzy i... pana Luka.

– Stary – Marchewka uderzył w poufałe tony – wielkie dzięki za info. Ale... Może w raporcie... – zasugerował nieśmiało.

Kuba nie zawiódł.

– Za kogo mnie masz? Się wie. Trup siedzi w lodówce, w samochodzie Francuza, a pani Bączek jak na razie wyświadcza nam przysługę, bo szczerze mówiąc, zwłoki i tak czekałyby na swoją kolej. Mamy do sekcji całe tłumy sztywniaków.

– Czyli wy tam siedzicie? – Marchewkę uderzyła pewna myśl.

– Na Akacjowej? Całodobowo – zapewnił.

– Hm... Kubuś, jutro zapraszam na zimnego browarka. Wszystko szczegółowo obgadamy, zwłaszcza ciekawi mnie, jaką rolę w tej szopce z trupem odgrywa Francuz, ale już teraz mam prośbę. A gdybyś tak, po starej znajomości... Gdybyś ustalił, kim dla Zuzy jest niejaki Edward?...



Kasza jaglana wcale się tak łatwo nie poddaje.

I faktycznie trzeba trochę wprawy, żeby przyrządzić ją umiejętnie i ze smakiem. Ale Misia potrafiła. Złote kulki ugotowała na sypko, nie były jednak twarde, zaledwie lekko chrupiące, na koniec dodała zarumienione masło i uduszoną na niewielkiej ilości oleju czerwoną paprykę z dymką. Całość wymieszała z zieloną pietruszką oraz posypała startym na wiórki Dżiugasem. Oczywiście tajemnicą były przyprawy, a zwłaszcza odrobina cukru.

– Marnujemy się – stwierdziła Zuza, wyjadając z talerza resztki. – Może powinniśmy otworzyć knajpę? To jest genialne. Niewyszukane, sycące, że już nie wspomnę, jak cholernie zdrowe. I odkwasza organizm. Ja po rozmowie z Pietruszką mam megazakwaszony. Dosłownie polewał mnie kwasem, niziołek jeden. Kurdupel przemądrzały... Nagle specjalista od równouprawnienia się znalazł!

– Tylko co z Iglą? Ciągle nic? – Misia była niepokieszona, choć po kaszy i kilku łykach chardonnay zaczynała się czuć lepiej. Ale tylko odrobinę. Może za mało zjadła?

W każdym razie trudno być szczupłą, skoro jedzenie tak dobrze robi człowiekowi na duszę.

– Słyszałaś. O Igle w ogóle nie było mowy. Za to padły inne, obrzydliwe słowa!

– Zuza, daj żyć. – Misia czuła znużenie. – I sobie, i innym. Marchewka mądrze mówi.

– Wiem, że mądrze. – Zuza odstawiła talerz, po czym spojrzała na pogrążony w ciemności ogród, bo siedziały na tarasie opatulone kocami.

O ileż tu było lepiej niż w mieście! Drzewa trzeszczały, w powietrzu wyczuwało się wilgoć, a niebo, choć granatowe jak buteleczka atramentu, całe było zasnuwane chmurami. Ciekawe jak smakowałyby lody o smaku czerwcowej nocy? Bo skoro w Szczecinie wykombinowali smak paprykarza...

Szykowała się zmiana pogody.

– To czemu nie odpuszczisz? – spytała spokojnie Misia.

Zuza poprawiła ustawioną na sankach świeczkę i znowu przyjrzała się badawczo gruszy, skąd co jakiś czas dochodziło żalosne pomiaukiwanie. Edek wzgardził nawet tuńczykiem, ale nie przestawał obwieszczać wszem i wobec, że odsiadka na drzewie średnio mu się podoba. Oczywiście odgłosy zaalarmowały Pyzę – usiadła na skraju tarasu i w napięciu nadstawiała uszu.

– Chyba się denerwuje – oceniła Zuza. – Może człowiek też tak ma? Że jest zwierzęciem terytorialnym? Ja na przykład nie mogłabym być z facetem non stop. Tak jak ty byłaś z Iglą. Ohyda...

– Ale jak kogoś kochasz, chyba chcesz być blisko?

– Jak zmieniasz bieliznę również?!

– Zuza...

– Daję ci tym wyrazistym przykładem do zrozumienia, że przesadzałaś. I facetowi się ułało. Oni potrzebują wiatru pod beretem i przestrzeni. Hasania za dzikiem, za przestępcami, cokolwiek. A nie tylko ciągłego niu niu. Porzygać się można...

Teraz dla odmiany w dal zapatrzyła się Misia.

Nie widziała Igły zaledwie jeden dzień, a wszystko zaczynało wyglądać inaczej. Może jednak chodziło o dystans? Jak się idzie i idzie, noga za nogą, widzi się tylko to, co przed nami. Ale jak się wejdzie na górę, zaraz przestawia się optyka i można zobaczyć ogół.

Interesujące.

– Ty jesteś męska. – Misia powiedziała coś, co w pierwszym momencie zabrzmiało dziwnie, ale po dłuższym zastanowieniu Zuza musiała się z nią zgodzić. – Nie jeśli chodzi o wygląd...

– Hy, hy...

– Ale w środku. Może to dla mnie okazja, żeby zrozumieć Igłę? – spytała bardziej siebie niż przyjaciółkę i upiła łyżeczek wina. – Mniem.

– Winko pierwsza klasa – potwierdziła z lubością Zuza. – Męska! A może konkretna?

Misia jeszcze bardziej wtuliła się w koc, jakby chciała zapomnieć o całym zimnym świecie.

– Ale też po kobiecemu falująca – dodała. – Trochę histeryczna...

– Te! A może porozmawiamy o tobie?!

– Niestety, nie jestem tak ciekawą osobą jak ty.

Zuza zarechotała.

– Pan Tadeusz ma chyba odmienne zdanie?

– Pan Tadeusz... – powtórzyła w zamyśleniu Misia i odruchowo zerknęła na sąsiednią posesję, zadbaną i wychuchaną, aż miło. Wszystkie okna były jednak ciemne. – Świetnie nam się rozmawia.

– O, to już coś!

– Płaszczyzny intelektualne nam się zgrywają, fakt, ale

przecież wiadomo, że tak naprawdę ważniejsze są czyny. Bo gadanie, fajnie, ale wszystko wychodzi przy wspólnym działaniu.

– Zdaje się, że wspólnie ogarnęliście temat... końskiego nawozu – zauważyła z szelmowskim uśmiechem Zuza. Bardzo chciała, żeby Misia przestała się zamartwiać Iglą. – Więc działanie macie raczej za sobą.

– Właśnie niekoniecznie. – Misia widziała sprawę inaczej. – Po prostu oddał nam do dyspozycji swojego pracownika. Przewiezie nawóz około południa i rozrzuci, nie musimy się niczym martwić. Niejaki Sławuś, tak mi przynajmniej został przedstawiony. Wspominałam, będziemy go tu mieć do pomocy dwa dni w tygodniu.

– Rewelacja. Czyli, jeśli facet sam nie chce się babrać w zwierzęcych odchodach – zamruczała Zuza, oglądając zroszony od zimnego wina kieliszek – to zostaje skreślony?

– Jak zwykle spłaszczasz – ofuknęła ją Misia.

– Moja babcia spłaszczala, ale jej zawsze odrastało.

– Jaka babcia, taka wnuczka... Ludzie muszą umieć wspólnie działać – podjęła przerwany wątek Misia. – I tyle. A na razie wspólnego działania nie widzę.

– No, dobrze, a działania zawodowe? – Zuzę interesowało już coś innego. – Rozmawialiście o jego pracy? Pani Halinka plotkowała o jakimś Excelu, ale ogólnie. On jest tam prezesem czy czymś? I o co w ogóle chodzi? O komputery?

– Nie mam pojęcia. Nie chciałam wypytywać, on też nie pyta o pracę.

– To może ja go pociągnę za język?

Misia posłała jej oburzone spojrzenie.

Jakoś nie widziała potrzeby, żeby do swojej znajomości

wprowadzać czyjeś standardy, nawet jeśli to były standardy Zuzy. A ZWŁASZCZA standardy Zuzy.

– Dobra, język zostawię tobie. – Zachichotała, jak to ona. Z lekką złośliwością. – A powiedz... Pan Tadeusz mówi ci po imieniu?

– Przecież nie po nazwisku!

– Bo po tym się poznaje, czy w jego świecie istniejesz – zdradziła Zuza i przywołała Pyzę, która otarła się o jej nogi.

– W sensie? – Misia zbystrzała.

– Pietruszka mówi, że faceci działają zadaniowo i nie zaprzatają sobie głowy duperelami. Coś w tym chyba jest – stwierdziła z ociąganiem. – Imiona? Ale! Który by to spamiętał? Te wszystkie kochania, skarby, myszki... Są właśnie po to, żeby im się nie myliło z własną kobietą. Facet pamięta markę samochodu, imię mamusi i swojej żony. I ewentualnie psa. Nic poza tym. I jeśli zaczyna ci mówić po imieniu, znaczy, że jesteś dla niego ważna. Bankowo.

– Ciekawe. – Misia uśmiechnęła się do własnych myśli, a dotyczyły one pewnego dryblasa z brodą. – Igła często używa mojego imienia, uważa, że jest urocze. Tylko... – zawiesiła głos. – Po co używać czyjegoś imienia, skoro w rozmowie uczestniczą tylko dwie osoby? Chyba wiadomo, do kogo się mówi?

Proszę, jak inteligentna rozmowa może ożywić atmosferę.

Zuza z Misią wybuchnęły głośnym śmiechem, żadna z nich nie była już śpiąca.

– He he, ale jak taki sobie powtórzy, ma większą pewność. – Zuza poczuła, że kręci jej się w głowie, jednak naląła im po kolejnym kieliszku. – Złota zasada, mówię ci.

Nazwie cię, istnieje. Jesteś kochaniem, a nie jest z tobą blisko, znaczy: dupiarz. Sama prawda.

– Postaram się pamiętać. – Misia wciąż chichotała. – Nie, na razie Tadek zwraca się do mnie z szacunkiem, ale chyba... bezosobowo. Tyle że rozmawialiśmy raptem dwa razy.

Zuza niemal się zakrztusiła.

– Tadek? – wypowiedziała imię sąsiada takim tonem, jakby mówiła o zapaleniu prostaty. – Tadzio – spróbowała inaczej (nieostrożność nasieniowodów?), ale wciąż była niezadowolona. – Jeszcze gorzej. Tadeuszek? Tadzinek?! Skrzywdzili go tatuś z mamusią, oj skrzywdzili... Z takim imieniem koleś może się realizować tylko w polityce. Albo w oświacie. Mógłby spróbować w Bibliotece Śląskiej, na pewno by go przyjęli, nie sądzisz? Czytelnia Zbiorów Specjalnych...

– Przestań, nasz sąsiad jest w porządku. Będziemy mieć elegancki murek. – Misia pokazała przed siebie ręką i wtedy Zuza pomyślała o nieuniknionym.

Jeśli „nasz sąsiad” jest tak metodyczny, jak można by się spodziewać, ten cholerny murek może tu wyrosnąć w ciągu tygodnia. A przecież Zuza powinna pozbyć się portfela i kluczy Krzemińskiego. Nie mogła ich po prostu wyrzucić. Rozważała spalenie, rozpuszczenie w kwasie albo wysłanie na Księżyc, ale kto wie, co się jeszcze wydarzy. Może lepiej by było, gdyby tymczasowo ukryła rzeczy? Jednak z dala od domu, to najważniejsze.

– Mam pewien pomysł. A nawet dwa – zasugerowała niby lekko, ale już wydobyła się z koca, gotowa, żeby działać. – Bo Krzemiński leży w chłodni, ale Luk się boi, że mu tam rozsieję jakąś trupią bakterię... W końcu przewozi

samochodem żywność.

Misia od razu spoważniała.

– Już myślałam, że mi się upiecze – westchnęła. – Że nie będziemy rozmawiać o tym nieszczęsnym człowieku. Kto go mógł zabić? Jesteś pewna, że nie umarł na zawał albo na coś innego?

– Nie zrobiłam zdjęcia jego profilu, ale wyobraź sobie otwór po kuli... W szyi. To nie jest wizytówka choroby wieńcowej. – Zuza pozbawiła przyjaciółkę złudzeń.

Ona również ociągała się z rozmową o nieżyjącym Krzemińskim, siedziało im się tak miło, jednak nieuchronnie nadchodził nowy dzień i coś należało postanowić.

– I naprawdę byliście z Lukiem w jego mieszkaniu? Nocą?
– Misia nie mogła uwierzyć.

Kiedy poznała Iglę, Zuza namawiała ją do przeróżnych bezceństw, na koncie miały nawet włamanie, oczywiście w słusznej sprawie, jednak to było lata świetlne temu. Później zaczęła rozumieć łamanie prawa inaczej, możliwe, że pod wpływem Iglę.

Możliwe także, że w ogóle się zmieniła...

– Przy zachowaniu środków ostrożności – zastrzegła Zuza. – Najpierw sprawdziliśmy, czy tam na pewno nikogo nie ma. Tyle że zabójca wpadł na ten sam pomysł... Jeśli to był zabójca, ale kto inny by się tam zakradał?

Misię aż przeszedł dreszcz.

– I co z tym kalendarzem? – zapytała. – Krzemiński wpisał do niego twoje nazwisko?

– I pani Danieli – uściśliła dla porządku przyjaciółka.

– Jak to? Ona też w tym bierze udział?! Przecież to jest poważna kobieta!

– A myślisz, że dlaczego Luk wchodził do cudzego mieszkania? – rzuciła Zuza, a jej mina mówiła, że doskonale zna zasady rządzące światem. – Bo jest taki uczynny? Owszem, ale przede wszystkim chodzi o jego matkę. Przecież mówiłam ci, że też kilka razy próbowała zdawać... Nawet spotkałyśmy się kiedyś na egzaminie.

– Prawda – przytaknęła Misia, jednak jej niepokój, zamiast maleć, przybierał coraz większe rozmiary. – I we dwójkę stwierdziłyście, że kupicie sobie dokument państwowy? – Pokręciła głową. – Tak po prostu?

– Ona nic nie wie. To Luk stwierdził, że mamę podłączy. I dlatego poczuwa się do winy. Wiesz, jaki mamy wymiar sprawiedliwości – sapnęła Zuza. – „Potraktujcie to jako okrutny żart”. Tacy są skuteczni. A jak mają czarno na białym, że taka i taka widziała się z denatem być może jako ostatnia, to dowód jak nic. Podniosę im statystyki i pójdę siedzieć za morderstwo. Gdybym faktycznie ukatrupiła Krzemińskiego, a przy okazji połowę miasta, wtedy byłyby szanse na wolność. A tak mam przekichane...

Żeby nie patrzeć czarno w przyszłość, Zuza mocniej ujęła kieliszek. Jednak spędzenie całego życia za kratkami było dla niej taką abstrakcją, że w głębi duszy nie traktowała tej ewentualności poważnie. Uda się. Na pewno się uda. Mało to ludzi uznaje się za zaginionych?

– Czysty Orwell... Albo Kafka. Nie wiem, może powinniśmy rozejrzeć się za adwokatem? – Misia postanowiła podejść do tematu praktycznie, ale Zuza uważała inaczej.

– Sklejać będziemy, jak się coś stłucze – oznajmiła stanowczo. – A póki co trzeba się pozbyć dokumentów Krzemińskiego. I kluczy. Myślałam, żeby to gdzieś

schować. Na razie, żeby mieć pod ręką, gdyby coś się działo.

– Co na przykład?!

– A skąd mam wiedzieć? Nigdy nie zacierałam śladów morderstwa, o które mogę być podejrzana. Może mi coś odbije i jednak wrócę po ten kalendarz? Jeśli morderca go nie zabrał. I tak się zastanawiam... – zawiesiła głos, pokazując na siatkę, a przy okazji przyglądając się bielejącemu pośród mroku budynkowi. – Skoro tu ma stać murek, a Pan Tadeusz ma nieużywany piec ogrodowy...

Misia zmarszczyła brwi i również zerknęła na posesję.

– Chcesz mu podłożyć?!...

– Właśnie. – Zuza strzeliła w nią oskarżycielko palcem, a Pyza miauknęła.

Po chwili zawtórował jej ukryty na gruszy Edek i Misia dziwnym sposobem poczuła się przegłosowana.

– Co: właśnie?

– Tego się obawiałam. Że będziesz rzucać kłody i zgrywać praworządną panienkę. Przecież nie wsadzam naszego sąsiada za kratki – uniosła się Zuza. – Po prostu potrzebuję przechować coś w neutralnym miejscu. U niego na pewno nie będą robić przeszukania.

– A u nas będą?! – przestraszyła się Misia, która co prawda wysłuchała całej historii, ale już zaczynały jej się mieszać fakty. Chyba nie powinna więcej pić. – Przecież mówiłaś, że nikt nic nie wie. Że byliście z Lukiem dyskretni.

– A wiesz, jak nie wiesz? Trzeba myśleć tak, jakby obserwowało nas pół komisariatu.

Misia podciągnęła koc pod szyję i odwróciła się w kierunku ogrodu.

Trudno wyobrazić sobie spokojniejszą ulicę niż Akacjowa o pierwszej w nocy – przy ścianie największego parku w Europie stało kilka zabudowań, każde chronione przez firmę ochroniarską – a mimo idealnej ciszy, alarmu na płocie, mimo domu pełnego kotów i przyjaciółek, Misia wciąż nie potrafiła się pozbyć uczucia niepokoju.

– Nie wiem czemu, ale tak właśnie się czuję. Jakby ktoś na mnie patrzył.

Zuza wzięła to za dobrą monetę.

– I bardzo dobrze. Dlatego teraz mnie zasłonisz kocem i będziesz udawać, że namawiasz Edka, żeby zszedł na dół, a ja załatwię resztę.

– Ale później to stamtąd zabierzesz? – upewniła się.

Po złożeniu przez Zuzę solennej obietnicy Misia stała się współniczką małego wykroczenia. Wzniosły kolejny toast, po czym Zuza pobiegła po torebkę, a następnie przemknęła niepostrzeżenie na sąsiednie podwórko. Nie było jej zaledwie kilka minut, które Misia wykorzystała na rozmowę z pniem gruszy, a kiedy po chwili wróciła... znowu dołożyła do pieca.

– Szafa gra – oznajmiła, lekko dysząc. – Wytarłam wszystko dokładnie z moich paluchów i położyłam u góry. Tam w środku jest taki gzymsik...

– A jak Tadek zorganizuje grilla? – Misia zaczynała się łamać.

– Ile razy organizował, odkąd tu mieszkasz? Właśnie. Zero dodać zero. Przynajmniej dokumenty i klucze mamy załatwione – rzuciła z ulgą. – Sukienkę pocięłam na kawałki i spuściłam w toalecie.

– W mojej toalecie? – Misia wyglądała, jakby miała się zaraz rozplakać.

Siłą wyobraźni ujrzała krew Krzemińskiego, pełną bakterii i wirusów, która oblepia rury i powoduje wybuch epidemii. Czy będzie potrafiła korzystać z łazienki i o tym nie myśleć? Mocno wątpliwe. I czemu chardonnay nagle zaczęło przypominać w smaku siki?

Spojrzała zmieszana na przyjaciółkę, ale próżno było szukać u Zuzy wsparcia.

– A co, w kibelku można spuszczać z siłą wodospadu tylko aromatyczne zioła? – zakpiła, jakby doskonale wiedziała, co trapi przyjaciółkę. – Teraz trup. Musi zniknąć. I to tak, żeby nikt go szybko nie znalazł. Teoretycznie najlepiej sprawdza się rozczłonkowanie...

Misia nie wierzyła w to, co słyszy.

– Roz...

– Dokładnie.

– Przecież rozmawiamy o człowieku! To nie kurczak na wagę.

Zuza zgadzała się z nią w stu procentach i nie widziała powodu do wzburzenia. Przecież tylko rozmawiały. Owiewał je wiaterek, wino wciąż było zimne, nie rozumiała więc, dlaczego Misia tak się ekscytuje.

– Powiedziałam teoretycznie – uściśliła lodowato, bo zaczęło jej się udzielać.

Czarnowidztwo, to się nazywa czarnowidztwo.

Nie żeby widziała nad zwłokami Krzemińskiego migoczącą tęczę, ale sytuacja była nadzwyczajna. Po prostu usiłowała znaleźć najlepsze rozwiązanie. Tymczasem Misia nadawała na tej samej, bolesnej częstotliwości:

– On ma jakąś rodzinę, krewnych. Nie pomyślałaś, że moralnie należy im się pogrzeb? – dopytywała z przejęciem i Zuza uznała, że przyjaciółka posunęła się o kieliszek za

daleko. Znała ten płaczliwy ton. – To straszne, tak straszne czekać w zawieszeniu. Kiedy nie wiesz, czy twój Igła żyje!

– Gdyby nie żył, Pietruszka nie witałby się ze mną tak wesolutko. A wracając do trupa... Wszystko przemyślałam i uwzględniłam rodzinę. Ale opowiem ci jutro, teraz najwyższa pora iść spać. To był długi dzień.

Gdyby Zuzie bardzo zależało, mogłaby wziąć udział w kolejnych wydarzeniach, ale kiedy wreszcie wskoczyła do łóżka, kiedy z rozkoszą owinęła się chłodną kołdrą, nie potrafiła sobie wyobrazić, że rusza choćby małym palcem.

Zasnęła błyskawicznie.

W chwilę potem obudził ją blaszany łomot.

– To Ryszarda! – Usłyszała jak przez mgłę dobiegający zza ściany głos Misi, po czym uspokojona znowu zapadła w sen.

Śniło jej się, że Pietruszka skacze z wielkiej góry.

A na jego koszulce widnieje napis: „Rysy mam tylko na psychice”.



Ryszarda nie pamiętała, czy kiedykolwiek spało jej się tak źle jak dzisiaj.

Obudziła się cała połamana i zmarznięta – w nocy, nie wiedzieć czemu, poczuła zapach ulatniającego się gazu. Po omacku otworzyła więc na oścież wszystkie okna, a że wróciła późno i wciąż żyła spotkaniem z Lukiem i lekcjami stylu, jakie zaczęła pobierać, dosłownie zważyło ją z nóg. Tymczasem na zewnątrz temperatura spadła do dwunastu stopni! Tyle wskazywał termometr w telefonie, ale bez względu na wskazania, Ryszarda obudziła się nad ranem z tęym bólem głowy, czując w dodatku, jakby miały jej za

chwilę zamarznąć wszystkie żyły. W sumie lepiej, zakrzepica męczyła ją najbardziej w upały, więc przyjęła chłodek z zadowoleniem. Ale dopiero kiedy napiła się gorącej herbaty i połknęła tabletkę na ból głowy.

W domku nie było osobnej kuchni, znajdował się tu zaledwie mikroskopijny aneks z kuchenką gazową i czajnikiem elektrycznym, ale Ryszarda sobie radziła. Do czerstwego rogalika otworzyła słoiczek dżemu morelowego, który dostała od Misi, włączyła w telefonie radio i zasiadła do śniadania.

Piękne to były chwile.

Mimo że w domku brakowało telewizora.

Tylko...

Ryszarda podeszła do okna i wsłuchiwała się w ogród.

Gdzieś tam od dobrych kilku chwil przeraźliwie miauczał kot! Zaraz pomyślała o zostawionych na noc u Misi kociakach, ale Madej i Gryzolda nawet we dwójkę nie robiły takiego hałasu. Pyza również nie należała do szczególnie miaukliwych stworzeń, więc skąd te dźwięki?

Ryszarda Kociołek pospiesznie narzuciła na siebie dres, po czym wyszła do ogrodu. Już w progu chlusnęło w nią mokre powietrze – na dworze siąpił drobny i upierdliwy deszczyk – więc wróciła po meliski, cudnej urody gumowe czółenka ozdobione słodkim sercem. Bo jeśli już brodzić w trawie, to jednak nie w domowych klapkach. Upraszczać, oczywiście, że upraszczać, zamiast serduszek i puszków powinna pewnie pomyśleć o sznurze pereł albo broszce, ale czy musi wyglądać jak Beata Szydło akurat skoro świt?

Na gruszy siedział kot.

Siedział wysoko, wśród gałęzi i chyba bardzo chciał zejść,

ale najwyraźniej nie potrafił. Był lekko przemoczony, jednak po wyschnięciu musiał mieć imponująco rude kolor. Nastroszył ogon i przyglądał się Ryszardzie z wyrazem podejrzliwości w żółtozielonych ślepiach.

– Ty chyba jesteś tatusiem tych dwóch maluchów, co? – zastanowiła się na głos, a potem stwierdziła, że coś tu jest nie tak. Przecież ojciec Madeja i Gryzoldy, pary zwyczajnych dachowców, nie mógł być fajtłapą niepotrafiącym łązić po drzewach.

Chyba że przeżył szok po śmierci żony.

Tak czy inaczej, zwierzakowi należało pomóc. Instruktaż schodzenia z drzewa, jaki Ryszarda przekazała kotu (ze zwierzętami trzeba rozmawiać!), bynajmniej do niego nie przemówił, ale dziwnym trafem nie czuła w sobie zapału, żeby powtarzać lekcję praktyczną. Butki, w których wczoraj wchodziła po drzewie, miały zdarte całe boki! Nie siląc się na wielkie rozmyślenia, Ryszarda podstawiała pod gruszę drabinę i to było to. Kiedy schowała się w domku, rudzielec odczekał chwilę, po czym zeskoczył po szczeblach, czmychnął pod ścianę, a potem myk – i znalazł się w środku. Na kryjówkę wybrał, jakżeby inaczej, przestrzeń pod łóżkiem, do którego prowadziły teraz wilgotne ślady.

Ryszarda nie znosiła brudu, więc czym prędzej chwyciła za ścierkę. I tak przy okazji sprzątania dokonała odkrycia.

Cała podłoga od drzwi wejściowych do łazienki była przez kogoś zdeptana!

W pierwszej chwili poważnie się przestraszyła, jednak zaraz pomyślała o znalezionym w nocy na parapecie cicikerze i uznała, że to pewnie Zuza przyszła go zwrócić pod jej nieobecność. Uspokojona zrobiła porządek, a kiedy podłoga przestała już przypominać klepisko w stajence

betlejemskiej, stwierdziła, że wypadaloby rozpocząć dzień dobrym uczynkiem – w ogrodzie na sznurkach wisiało czyjeś pranie i mokło w najlepsze.

O śladach zapomniała.



Zuza obudziła się wcześniej rano z niejasnym odczuciem, że coś się zmieniło.

I faktycznie, zmiana zaszła nie tylko na zewnątrz – za oknem monotonnie siąpił deszcz, wygrywając na parapecie jakiś pościelowy kawałek – ale i w niej. I nie chodziło o trupa, ale o życie. Jak najbardziej o życie.

W pokoju było szarawo, może nawet ponuro, ale po fali upałów szary staje się na jakiś czas kolorem o zupełnie innym wymiarze, czego Zuza właśnie doświadczała. Od czubka głowy po palce stóp wypełniała ją czysta radość. Miała ochotę wyskoczyć z łóżka i pobiec do parku, spacerować w deszczu, skoczyć na rurkę z kremem, która zmoczona przypominałaby w smaku rozmiękły papier, cokolwiek.

Marchewka chciał być ojcem i na pewno by jej pomagał.

Owszem, na zakończenie rozmowy telefonicznej znowu doszło między nimi do zwarcia, ale najgorzej, kiedy w związku nie ma energii. Pomiedzy nią a Marchewką było jej całkiem sporo, musiała gdzieś znajdować ujście, dlatego czasem ich ponosiło. Może więc napisanie do Marchewki listu będzie aktem dobrej woli? Wiadomym znakiem, że policjancikowi przebacza.

Tylko jak zacząć?

Czynnik ludzki, największego natchnienia dostarcza czynnik ludzki.

– Misia! – zawołała do ściany, jednak nikt jej nie odpowiedział, dlatego sięgnęła po telefon.

Leżał na komodzie, tuż przy łóżku, bo przecież w każdej chwili mógł zadzwonić ktoś bardzo skruszony.

– Cześć, jest tak rześko, że biegam w parku – usłyszała na powitanie głos przyjaciółki, lekko drżący, ale w końcu szczęśliwy. Ruch zawsze dobrze jej robił. – Zaraz będę z powrotem. A ty?

– Ja już jestem z powrotem.

– Robisz poranną kawę? – zasugerowała znacząco.

– A jak myślisz? Raczej ślę pozdrowienia z barłogu... Jak ja kocham to łóżko – dodała zaraz, żeby Misia jej źle nie zrozumiała, po czym z rozkoszą się przeciągnęła. Tak, energii miała dzisiaj aż nadto, szkoda, że takie dni nie zdarzały się co dzień. – A właśnie. Tobie seksualnie to wszystko wystarcza?

Misia wyhamowała, wręcz było słychać, że włącza ręczny.

– Ale co mi wystarcza?! – spytała oszołomiona, choć pytanie było jak najbardziej naturalne.

Chyba że dla kogoś seks jest tematem tabu i Zuza powinna myśleć o nabyciu tabliczki z napisem UWAGA, którą wyciągałaby za każdym razem, pytając o coś intymnego. Ale, do licha, Misia była jej przyjaciółką i nie musiała poprzedzać pytań grzecznościowym wstępem. Tabliczki, z wyjątkiem czekolady, tym bardziej odpadały.

– No, z Igłą.

– Co za hardkor z rana, naprawdę... Poczekaj, muszę złapać oddech.

– Wykluwam jajko. – Zuza miała potrzebę podzielenia się swoimi wewnętrznymi frustracjami. – A Marchewki nie ma. Teraz, kiedy go najbardziej potrzebuję. I mi się kłębią

chuci... Z nim... Czy ty w ogóle masz orgazm? – spytała naraz z innej beczki. – Bo ja mam czasem dwa.

– To wystaw na Allegro – odpowiedziała błyskawicznie Misia i obie parsknęły śmiechem. – Zuza, jeśli mocno się nudzisz, a słyszę, że chyba tak, zejdź na dół. Proszę cię, a nawet błagam, wyszłam z domu bez śniadania. Kawa, WYSTARCZY kawa... Zaraz zrobię pancakesy, zjemy z truskawkami.

Pancakesy przesądziły sprawę.

Zuza wydobyła się z pościeli.

– Zaraz zejdę – obiecała. – Właśnie myślę nad listem do Marchewki. Wyjaśnię mu wszystko na piśmie, zaniosę na pocztę i będzie musiał przeczytać. Bez awantur. To chyba dobry pomysł, jak ktoś nie chce słuchać. Co sądzisz?

– Bardzo dobry pomysł. I w ogóle szkoda, że ludzie już do siebie nie piszą.

– Zaczęłabym tak... *Nie jesteś co prawda Księciem z Bajki, ale...*

– Tak i jeszcze mu napisz, że jak opracowywali w siedzibie miar i wag wzorzec metra, myśleli właśnie o nim. Bez przesady. – Głos Misi nabrał kategorycznego brzmienia. – Chcesz go wkurzyć na samym wstępie?

– Ale! – zaakcentowała Zuza. – Tam jest „ale”. Trochę miodu zamierzam podlać, przecież to się musi na czymś trzymać. Tylko dlaczego kurdupel ma już na początku myśleć, że się czołgam?

– Oj, z czołganiem miałabyś jednak problem. Chociaż węże...

– Sssłucham?

– Nic, nic. Nie słuchaj, tylko złaż. Jestem przy furtce. À propos, słyszałaś w nocy alarm?

– Coś tam słyszałam. A co?

– Ryszarda wracała późno i chyba powtórzyła twój wyczyn.

– Sama wracała? – zaciekawiała się Zuza. – Ostatnio przykleiła się do Luka, spryčiuła. Jest skuteczniejsza od ośmiorniczki i super glue razem wziętych.

– Niech się klei do kogo chce, nie moja sprawa – ucięła Misia, która z zasady nie lubiła plotkować. – Telepało puszkami, sznurek też jest cały poplątany. Złaź! – Okrzyk zabrzmiał już na dole, więc Zuza odłożyła telefon i pomaszerowała do łazienki.

Po kwadransie znalazła się w kuchni gotowa do działań kulinarnych.

Misia też była odświeżona, krzątała się wesoło, topiąc w rondelku masło i wypełniając dom smakowitymi zapachami.

– O, widzę, że jesteś w formie – zauważyła Zuza i spytała wzrokiem, co ma robić.

Misia, wesoła jak skowronek, założyła jej przez głowę fartuch w brokuły, który jeszcze niedawno zakrywał popiersie Ryszardy, ale co tam.

Najwyżej się go upaprze.

– Roztrzep w misce jajko – padła komenda. – Wsyp niecałe półtorej szklanki mąki, potem po połowie szklanki mleka i maślanki... Igła wysłał w nocy SMS-a. – Z najważniejszym Misia czekała na koniec.

– Widzisz!

Roztrzepane jajko zaczęło przypominać bąblujące żółte gluty, więc wylądowały w nim pozostałe składniki. Zuza lubiła gotować, podeszła zatem do zadania metodycznie. Najpierw mąka, potem mleko i maślanka, po co brudzić

tysiące naczyń.

– „Nawał pracy. Nie martw się, dam znać”. Tylko dwa zdania, ale mi lepiej.

Zuza łypnęła na Misię i zastanowiła się, czy powinna jej psuć nastrój. Ostatecznie ugryzła się w język, choć wiadomość brzmiała podejrzanie. Przecież Igła zwykle miał nawał pracy i jakoś to Misi nie martwiło, przynajmniej jeśli brać pod uwagę względy bezpieczeństwa, bo względy osobiste – tak, względy osobiste na nieobecności Igły cierpiały, o czym Misia nie zapominała go za każdym razem informować.

– I teraz cukier puder? – Zuza stwierdziła, że masa jest już gładka.

– Tak. Dwie spore łyżki. Plus dwie szczypty soli i łyżeczka proszku do pieczenia. Jak wymieszasz, dodamy masło, nie musi być zimne.

Pancakesy smażyło się na patelni bez tłuszczu, Misia ustawiła więc odpowiedni płomień – ani mały ani średni – i czekając na przekazanie jej ciasta, zerknęła w przelocie na minę Zuzy.

Niestety mina Zuzy była wymowna.

– Słucham, nie krępuj się. Przecież widzę, że myślisz coś brzydkiego. – Nie dała się zwieść.

Zuza oddała jej miskę, a sama nastawiła kawę i przygotowała talerze. Dżem morelowy i truskawki już czekały na stole. Podobnie jak bukietik jaśminu w słoiku po sosie słodko-kwaśnym Pudliszek.

– Nic – rzuciła krótko, a wtedy Misia ostatecznie pozbyła się złudzeń.

– Skoro nic, znaczy wszystko.

– „Nawał pracy. Nie martw się, dam znać”? – powtórzyła

prześmiewczo Zuza. – Odkąd to się zamartwiasz, kiedy Igła ma nawał pracy? Nawał to jest u nich norma. Poza tym nigdy cię o żadnym nawale nie uprzedzał.

Misia wyłożyła z westchnieniem na patelnię trzy placuszki i wyjrzała przez okno.

– Wiem. Ale ważne, że napisał... Może zawołamy na śniadanie Ryszardę?

– Dobra! – Zuza uniosła ręce. – Też się nie wtrącam, macie swoje systemy... Ryszardę? Mój żołądek jest w porządku, nie potrzebuję środków przeczyszczających – zaparła się, ale zabójcze spojrzenie Misi zrobiło swoje. – Dobra, i tak chciałam sprawdzić, co z Edkiem. Zaraz tam pójde, tylko najpierw omówmy trupa.

– Aha? – rzuciła Misia niby zachęcająco, ale pod tym słodkim tonem kryła się kpina.

– Bo zaraz mamy transport nawozu, potem panią Beatkę, musimy coś ustalić.

– O trupie? Przy śniadaniu?

Zuza nie widziała przeciwwskazań.

– Ja będę mówić, ty nie musisz.

– Wielkie mi pocieszenie.

– Poza tym to jest higieniczny trup – pozwoliła sobie zauważyć Zuza.

Podeszła do kuchenki, gdzie na palniku pykała już przywieziona z Zielonego Zaułka kawiarka. Jak to dobrze, kawa rozpuszczalna to było grube nieporozumienie; kawa musi smakować kawą.

– Tak? A jak bardzo higieniczny? – chciała wiedzieć Misia.

– Siedzi w zimnie i wcale się nie rozkłada. Nie śmierdzi. I właśnie o to chodzi. On musi pozostać świeży. – Zuza

postawiła przed Misią kawę, a do kompletu podała brązowy cukier. – Coś jeszcze?

– Poproszę masło. Wiórki masła na placuszku plus truskawki i cynamon... – zamruczała. – Ale nie kupiłam cynamonu.

– Cynamon ma silne właściwości odkażające – powiedziała Zuza w zamyśleniu, a w jej oczach zaczęło się rodzić szaleństwo. – I to jest to! Obtoczmy go w cynamonie! Że też wcześniej na to nie wpadłam.

Misia odłożyła nóż.

– Co proszę, słucham bardzo, przepraszam?

– Ha! – Zuza szalała. Chlusnęła do kawy śmietanki, sypnęła z rozmachem cukru i zamieszała, aż w słoiku pojawił się pływający wirek. Sama przy tym o mało nie zaczęła płaszać. – Słuchaj, proszę cię bardzo, nie przepraszaj. Bo sprawa jest taka... Nie będziemy go w ogóle kroić – zapewniła, smarując placuszek masłem. – Krzemińskiego. Żadnego krojenia, babrania się w krwi i limfie. Nie ma mowy. My go podrzucimy policjantom! – zakończyła z triumfem, czekając na oklaski.

Misia rzuciła się pilnować kolejnej partii placuszków, ale jakoś nie mogła ochłonąć.

– A konkretnie o co chodzi?

– Jest tak... – Zuza z zaangażowaniem podjęła opowieść.

– Rodzina faktycznie powinna go pochować, żeby nie pałętał się po zaświatach jako pokutująca dusza czy inne zombi.

– Jaka ty jesteś uprzejma...

– I my też będziemy miały czyste sumienie. Ale z drugiej strony Krzemiński nie może się za szybko znaleźć, bo wtedy będzie trudniej policji wszystko pochytać. I może

wtedy nie dojdą do mnie.

– Tak? I co dalej?

– Zatem musimy go ukryć w dobrym miejscu. – Zuza wyszczerzyła zęby i wpakowała do ust ostatni kawałek placuszka. Przymknęła z lubością oczy. – Poezja miłosna!

– A co to dobre miejsce ma wspólnego z policjantami? Z policjantami?! – Do Misi jakby właśnie teraz dotarło. – Ale chyba nie z naszymi?

– No, wiesz...

– Z naszymi?!

– Miejsce urzędowania Marchewki i Igły mamy chyba obcykane? Kamery, portiernię... – wyliczała Zuza.

Przychodziły tam tyle razy, że faktycznie czuły się na komendzie jak u siebie, Misia nie mogła zaprzeczyć.

– Ale, ale...

– Ciągłe mi przerywasz. Mogę dokończyć?... Jak się podrzuci trupa na komendę, to chyba tam go nie będą szukać? A jak go przypadkiem znajdą...

– Dojdą po rozkładzie – rzuciła Misia, ponownie zapraszając do stołu. Kolejna porcja placuszków była już gotowa. – Albo raczej po smrodzie.

– Właśnie nie dojdą, bo Krzemińskiego spreparujemy!

– Spreparujemy? No tak, przecież to jasne. Spreparujemy. Oczywiście oczywistość... A jak się preparuje Krzemińskich? – spytała uprzejmie.

– Cynamonem.

– Cynamonem... – Uniosła brwi.

Zuza już cała płonęła.

Płonęły jej policzki, błyszczały włosy, a nos świecił jak mała, podręczna latarka.

– Najpierw go lekko roztopimy, żeby się zrobił lepki. –

Pospiesznie oblizwała usta. – Potem obtoczmy w cynamonie i owiniemy folią budowlaną. Wieloma warstwami, wieloma... Wszystko szczelnie oklejmy taśmą, żeby do środka nie dostało się powietrze, a jeśli nawet, cynamon zabije każde paskudztwo. Gwarantowane. Możemy też dołożyć kurkumy, ona jest na zemstę faraona.

– O, i jeszcze zemsta faraona? Jak miło!

– To jakby grypa żołądkowa, której dostajesz na przykład w Egipcie – wyjaśniła Zuza.

– Wiem, co to jest zemsta faraona. – Misia przestała udawać. – Ale przechodzisz samą siebie. Co to w ogóle ma być?!

Zuza poczuła się, jakby dostała policzek. To ona wymyśla różne świetne pomysły, wznosi się na szczyty dyplomacji, a w zamian otrzymuje tylko krytykę?

– Nie chcesz się przyłączyć, w porządku. Poradzę sobie sama – powiedziała, patrząc w przestrzeń, po czym wróciła do jedzenia. – Rozumiem, że jak się wyprzedza epokę, niektórzy wymiękają... Powiem tylko, że to najlepsze, absolutnie najlepsze rozwiązanie. Bo nawet jak Krzemińskiego znajdą, nabiorą wody w usta.

Misia nałożyła na talerzyk złocistego dżemu, pachniał obłądnie.

– A to dlaczego?

– Pomyśl... – Zuza sapnęła jak lokomotywa, która znowu nabiera rozpędu, żeby dojechać chociaż do Włoszczowej. – Znamy komendę jak własną kieszeń. Podrzucamy Krzemińskiego na przykład do piwnicy, a tam jest w cholere gratów i nikt tego nie sprząta. Krzemiński jako mumia leży tam długo, bardzo długo, a kiedy znajdują trupa w swoim centrum dowodzenia, wychodzą na kogo?...

Wzrok Misi wyraźnie komunikował, że w końcu doceniła geniusz swojej przyjaciółki, jednak na głos nie padły żadne słowa uznania.

Dobre i to.

– Tak – ciągnęła więc z szatańskim uśmiechem Zuza. – Wychodzą na idiotów i mamałygi. Trup na komendzie wojewódzkiej! I jak sądzisz, sprawa trafia do mediów?

Misia pokręciła w podziwie głową.

– Ty jak coś wymyślisz... Strach się bać.

– Prawda? – Zuza popiła ze smakiem kawy. – Ukręca sprawie łeb. Jak nic, ukręca...



Mindfulness.

Uważna obecność.

Dobrze, skoro inni ćwiczyli umysł, mogła i ona. Bo skoro reszta gnała do przodu, a Ryszarda Kociołek stała i stała w miejscu jak ta grusza przy domku, czy w efekcie się jednak nie cofała? Coś w tym musiało być, poza tym instynktownie czuła, że prawdziwa zmiana nie może polegać tylko na wyrzuceniu różowej spódniczki. Róże i błękity, serduszka, miniaturowe torebki, w których mieściły się tylko klucze i portfel, wszystko to musiała wyrzucić nie tylko z szafy, ale i ze swojej głowy.

I musiała umeblować tę głowę inaczej.

„Inaczej” jednak wciąż znaczyło mniej więcej tyle, co fizyka kwantowa i te jakieś skwarki. Co to było, nie miała pojęcia. Jednak czuła przymus, żeby skoczyć w pustkę – tak wielki, że mogła tylko zamknąć oczy i postawić wszystko na jedną kartę.

Białą kartę.

Bardzo się bała; bała się, że nowa Ryszarda będzie dziwną Ryszardą, że jej wcale nie polubi, a co gorsza, może nie polubią jej również inni. I zostanie sama, samiuśka. Pod wpływem tych rozmyślań w domku zrobiło się smutno i pusto. Myślała, że zaraz wybuchnie płaczem, i wtedy postanowiła słuchać swojego wewnętrznego głosu.

A wewnętrzny głos przemawiał cierpliwie.

Od czegoś trzeba zacząć.

Jeśli przeobrazi się w jakiegoś kloca bez klasy albo stanie się elegancką statuą bez seksapilu à la Angela Merkel, wtedy pomyśli. Zawsze zostaną jej projekty. Kolory ożyją w kreacjach, będzie nimi зараżać świat, będzie tworzyć, inspirować. Sama umrze gdzieś na uboczu, maleńka, smutna i szara jak rozdeptana w spizarce mysz.

Mindfulness.

Nie wolno się poddawać.

Teraz na przykład powinna uważnie nie powinnieć, ale cieszyć się, że zrobiła coś dobrego i uratowała ubrania Misi. Walczyła z cicikami prawie dwie godziny, w efekcie czego była prawie zadowolona. Bo odwdzięczenie się Misi za jej dobre serce Ryszarda wzięła sobie za punkt honoru. Co prawda nie do końca się udało, ponieważ kilka bluzeczek... Ale to wszystko przez materiał. Za bardzo się poddawał i czasem następował zgrzyt – ciciker go wciągał. Powstawała wtedy maleńka dziurka, ale dziurki wystarczyło zaszyć, nie będzie ich nawet widać.

Poza tym, czy w myśl zasady mindfulness nie powinna się czasem...

Cieszyć dziurką?



Edka nie było na drzewie, nie było go również na podwórku, w szopie, w garażu, nigdzie go nie było. Zuza obeszła nawet ulicę i podpytała sąsiadów, wszystko na nic.

Przepadł.

Tłumacząc sobie w duchu, że to tylko głupi dachowiec, z którym nie zdążyła się zżyć, że nie powinna się czuć odpowiedzialna, bo przecież nie wyгнаła go nocą z domu (sam z niego uciekł), wróciła pod domek dla gości. Trudno. Widocznie żywe stworzenia nie są jej pisane. Kupi sobie jakąś ohydłą drewnianą figurkę kota, postawi w przedpokoju i będzie straszyć gości.

Już w progu poczuła zapach gazu, ale spod łóżka spojrzały czyjeś świecące ślepia i na chwilę wszystko inne przestało się liczyć.

– Edek?! – zawołała z uczuciem, patrząc pytająco na Ryszardę. – Znalazłaś Edka!

Przykucnęła, jednak gwałtowny ruch spowodował, że kot czmychnął pod ścianę.

Biedactwo, nie będzie go dodatkowo stresować.

– Siedział na gruszy – poinformowała anemicznie Ryszarda.

Była blada, miała podkrążone oczy i teoretycznie nie powinno to Zuzy interesować, ale miała już dość kłopotów z jednym trupem...

– Czyli że co? – próbowała jakoś zagadać, ale przebić się przez tony betonu nie było łatwo.

– Które?

– Wyglądasz jak blondynka w białym samochodzie.

– Ale ja mam niebieski...

Zuza usiadła.

– Chyba się zewrę i napiszę słownik – rzuciła tonem

męczennicy. – Albo instrukcję obsługi Ryszardy Kociołek. Po chińsku... Mówię, że jesteś biała jak dupa młynarza. Dobrze się czujesz?

Ryszardzie chyba naprawdę musiało coś dolegać, bo nie spojrzała wzrokiem schwytej we wnyki sarenki, ale wzruszyła ramionami i również przysiadła na łóżku, tyle że z drugiej strony. Mimo to były całkiem blisko siebie i dopiero teraz Zuza mogła się jej przyjrzeć. Bez makijażu, bez idiotycznie przysmalonych brwi i wyszminkowanych ust Ryszarda wyglądała całkiem ładnie.

– Chyba tak – odpowiedziała niemrawo.

Tylko skąd brał się ten zapach?...

– Co tu tak wali gazem? – spytała Zuza, sprawdzając przy okazji, czy Edek nie zmienił zdania. Ale nie, siedział przyklejony do podłogi i ani myślał wyjść. Za to przy łóżku stał talerzyk z mlekiem, w którym pływała kocia sierść. – Jadł coś?

– Trudno stwierdzić. Przy mnie nie jadł, ale mleka chyba ubyło.

– A gaz?

– Jak wstałam, wydawało mi się, że czuję. Ale teraz nie wiem.

Zuza rozejrzała się niespokojnie po domku. Tu kąty również zasnuwała szarówka, choć blade światło usiłowało walczyć i wpaść do środka. Wraz z nim do pokoju wpraszało się wilgotne powietrze, a skoro zapach gazu był mimo to wyczuwalny, znaczy, musiała być jakaś nieszczelność.

– Rusz kopytka, idziemy. – Podeszła do zwłok na łóżku i szarpnęła je za rękę.

Ręka Ryszardy była nad wyraz delikatna, niepokojąco

chłodna.

– Chyba się położę.

– Chyba do grobu. Do łóżka wykluczone, gaz wycieka, musimy stąd iść i wezwać jakiegoś specjalistę. – Zuza nie przyjmowała odmowy. – Poza tym Misia zrobiła królewskie śniadanie, jesteś zaproszona.

– Bardzo chce mi się spać – protestowała Ryszarda, która na wieść o śniadaniu na chwilę zbystrzała, jednak po chwili znowu straciła zapal.

– Jak ktoś się włóczy po nocach... I jeszcze zniszczyłaś alarm. – Zuza nie umiała się powstrzymać od małego przytyku. – Yyy, ja też wlażłam, ale poprawiłam. Rączki mi nie odpadły.

– W nic nie wlażłam – zapewniła beznamiętnym tonem Ryszarda, a Zuza miała co prawda podstawy, żeby wątpić w jej poczytalność, jednak jeśli ktoś potrafi się zająć kotem...

– Zaraz, ustalmy pewne fakty. Nie uruchomiłaś w nocy naszego alarmu? Z puszek.

– Nie. Nie był zawieszony.

To już Zużę poważnie zaniepokoiło.

– Jesteś pewna? Pewna, pewna?

– Najpewniejsza, najpewniejsza – odpowiedziała niemrawo Ryszarda, lecz w podobnym tonie. – Mam dla Misi niespodziankę – dodała z nadzieją, jednak Zuza nie okazała zainteresowania.

– Dobra, bierz, co tam potrzebujesz, i idziemy. Musimy zrobić naradę. Tylko co z Edkiem? – zmartwiła się na odchodnym. – Nie zostawimy go przecież w tych oparach?

Stwierdziwszy jednak, że koty posiadają instynkt, a drzwi i okna są otwarte, Zuza z Ryszardą pomaszerowały

w stronę Misi, która machała do nich z tarasu.

Deszcz zmienił się z kapuśniaczku w mokrą, podstępłą mgłę.

– Pani Beata nie nacieszy się dzisiaj ogrodem – stwierdziła zawiedzionym głosem Misia, wpuszczając je do środka. Zmarszczyła przy tym brwi. – Dziwnie pachniecie...

– Gazem? – odpowiedziała Zuza.

Do salonu wkroczyła Pyza, a za nią jak po sznurku dwójka maluchów. Wszystkie trzy wystawiły nosy, ale zapach najwyraźniej je zniechęcił, bo odwróciły się na pięcie i z godnością poszły do kuchni.

– Gazem. Ale dlaczego? – wyraziła zdumienie Misia, która wystawiła głowę na zewnątrz tylko na chwilę, a jednak w jej jasnych włosach świeciły drobniutkie krople deszczu. – Kawa czy herbata? – zapytała mimochodem, idąc za kotami.

W kuchni leciały Złote Przeboje, paliła się mała lampka kontaktowa w kształcie imbryka i w ogóle pachniało tu ciepłem domowego ogniska po całości. Misia nie zapłaciła za luksusy, po prostu uruchomiła własną kreatywność. Nie było jej stać na nowe meble? Żaden problem. Było ją stać na uchwyty z literami. W szafce, gdzie litery składały się w AM, trzymała produkty spożywcze, pod PC wylądowały leki, płyty i laptop.

I tak dalej.

– Chyba znowu strzelę sobie małą czarną – zdecydowała Zuza, łapiąc za kawiarzkę.

Ryszarda również wybrała kawę.

– To ja też poproszę – pisnęła.

I słusznie.

– Postawi cię na nogi. Zobacz, jak ona wygląda – Zuza zwróciła się do Misi. – W domku ulatnia się gaz. I chyba leciał całą noc, dobrze, że były otwarte okna. W nocy też? – zapytała.

– Otwarte? – upewniła się Ryszarda. – Tak, w nocy też otwarte. Żadnego nie zamkłam.

– Nie co?... – Zuza już otworzyła usta, ale komentarz gramatyczny stanął jej w gardle, bo Ryszarda nawet się nie zająknęła.

– Ale rano bolała mnie głowa, jeszcze trochę mi się kręci.

Misia postawiła przed nią słoik z wodą.

– Proszę, tylko popijaj małymi łykami. Trzeba to z ciebie wypłukać. Gaz... – powtórzyła zmartwiona. – I co teraz? Pogotowie gazowe?

– Ale po co pogotowie? – zapytała Zuza, która chwilowo porzuciła Ryszardę, za to wsadziła nos do pudełka z kawą.

– A pan Tadeusz? W cholerę ma tam pracowników, myślisz, że z każdą usterką biega po specjalistach?

Pomysł brzmiał sensownie.

Misia spojrzała na zegarek, na którym powoli dochodziła jedenasta.

– Czy tam coś nie wybuchnie? – Zerknęła z obawą przez okno.

– Jakby miało wybuchnąć, już by dawno wybuchło. – Zuza była spokojna. – Usiądź, poprawimy śniadanie branczykiem, nakarmimy Ryszardę i polecisz do swojego tetryka. Na pewno coś poradzi.

– Jeśli jest w domu – zauważyła przytomnie Misia i znowu lewitowała w kierunku okna. – Widzę auto! – obwieściła.

– I bardzo dobrze. Siadaj i się uspokój. Jak pobiegiesz

tam taka zadyszana... Odpadną mu czerwone druty od okularów.

– To są oprawki. – Misia postawiła przed Ryszardą talerz z pancakesami. – Proszę, jedz, tylko nie są już gorące.

Ryszardzie jednak nic nie przeszkadzało.

Nałożyła sobie placuszków, spojrzała tęsknie na pykającą kawiarke i postanowiła otworzyć pojemnik ze śmietaną. Ale zrobiła to tak nieudolnie, że po chwili syknęła z bólu, a na obrus upadła kropla krwi.

– Przepraszam – przestraszyła się, odnotowując, że Zuza przewierca ją właśnie wzrokiem.

– Nic się nie stało – rzuciła w imieniu Misi, ale jej mina mówiła co innego.

– Bo tak patrzysz...

– Bo do tej pory myślałam, że płynie w tobie błękitna krew... – Zuza nie wyglądała jednak na rozczarowaną. Bardziej na zadowoloną z żartu. – Co?

Misia trzasnęła szafką i podała Ryszardzie plaster.

– Nic. Stresujesz dziewczynę...

Jednak Ryszarda nie wyglądała na zestresowaną. Placuszki, mimo że zimne, smakowały rewelacyjnie, dżem również. Poza tym uwaga o błękitnej krwi spowodowała, że zaczęła zastanawiać się nad koligacjami rodzinnymi.

– Moja mama pochodzi z Galii – wyjaśniła Zuzie z dumą, jednak odpowiedź mocno ją skonfundowała, ponieważ Zuza nabrała łyżeczką dżemu i oznajmiła:

– To jak Asterix i Obelix. Fajowo masz... A flaga? Niebieski, biały i czerwony, a pośrodku dojarka?

– Ale czemu niebieski, biały i czerwony? Galia to był chyba zabór niemiecki – zaprotestowała Ryszarda, oklejając palec.

– Chyba Galicja? – Misia wyłączyła ogień pod kawiarką, po czym nalała im do słoików czarnego płynu. – Zuza uwielbia się droczyć...

– Tak, wiem. Kto się lubi, ten się czubi. – Ryszarda posłała Misi uśmiech, jednak bez znaku firmowego, czyli szminki na siekaczach, i Zuza stwierdziła, że zaczyna za tym tęsknić.

Zafalowały jej usta, jednak pozostała niewzruszona.

– Czy możemy zmienić temat? – spytała tylko. – Choćby na kulturę i sztukę?

– Bardzo chętnie. – Ryszarda już była gotowa. – Zrobiłam porządki w szafie. I zaraz idę do fryzjera.

– Kultura i sztuka – mruknęła Zuza pod nosem, a w jej głosie był podziw zmieszany z niedowierzaniem. – Normalnie zaraz się zacznę rozwijać...

– I wycikowałam Misi ubrania.

– Jakie ubrania?!

– Wyci... co?!

Misia z Zuzą zakrzyknęły jednocześnie, więc Ryszarda poprawiła się w miejscu ożywiona. Sięgnęła do reklamówki, którą do tej pory trzymała przy krześle, i z miną pokazującego sztuczkę magika... wyciągnęła beżową, kaszmirową bluzkę.

– Moja ulubiona – ucieszyła się Misia. Kiedy jednak odebrała ją z rąk Ryszardy, z uciechy zostały osmalone szczątki.

Bluzka miała przy szwach kilka małych dziurek.

Niedużych, ale jeśli ktoś chciałby zrozumieć wagę zdarzenia, powinien wyobrazić sobie kilka dziurek w kabinie samolotu. Jak by nie patrzeć, katastrofa. Tym bardziej że Ryszarda wyciągnęła również malinowy golfik,

potem zieloną bluzkę z dekoltem... Misia pożałowała, że akurat teraz robiła pranie zimowych rzeczy, ale od czego są przeprowadzki!

– Golarka do ubrań. – Zuza pokiwała ze współczuciem głową. – Musisz uszczęśliwiać ludzi na siłę? – warknęła do Ryszardy, która powoli zaczęła się kurczyć na krzeselku.

Misia patrzyła na swoje rzeczy naprawdę zmartwiona.

A Ryszarda doskonale wiedziała, co znaczy więź z kaszmiem 100%.

– Nie chciałam... Ja... zapłacę, odkupię... – zaczęła się plątać, a broda drgała jej coraz bardziej.

Widząc szczerą skruchę, Misia odłożyła bluzkę i otrzeźwiała. Tego jej Zuza zawsze zazdrościła.

Jak można tak ludziom w sekundzie wybaczać?

– Trudno, stało się – powiedziała nieco smutnym głosem, ale spróbowała się uśmiechnąć i Zuza podjęła decyzję, że zdjęcie Misi opatrzy w komórce napisem „Moja bohaterka”.

– Jest mi przykro, bo bardzo te ubrania lubiłam, ale... To tylko ubrania, będę mieć pretekst, żeby kupić nowe – zakończyła już całkiem normalnie, więc nastąpiło to, co zwykle następuje, kiedy jedna rozemocjonowana baba prosi o wybaczenie drugą. Dużo mniej rozemocjonowaną oraz zbyt dobrze wychowaną, żeby strzelić focha.

Uściski, dużo uścisków.

Ryszarda dosłownie rzuciła się na Misię, więc Zuza chwyciła szczotkę do zamiatania i przyjęła pozycję obronną. Dopiero to poskutkowało.

– Poza tym muszę walczyć z szeroko pojętym konsumpcjonizmem – dodała Misia, puszczając do Ryszardy oko, po czym sprzątnęła ze stołu brudne talerze, a postawiła nowe.

Pośrodku znalazła się również miseczka malin.

– Z konsumpcjonizmem? Za dużo zjadłam? – Ryszarda drgnęła.

Zuza również.

– Chyba z wąsko pojętym będziesz walczyć – rzuciła do Misi z przekąsem. – Jeśli w ogóle pojętym... Dobra, może nie wchodzimy głębiej w kulturę i sztukę, bo jest coraz gorzej. Ryszarda nie złapała się w alarm. – Ostatnie słowa wypowiedziała już głośno, a Misia zrobiła wielkie oczy.

– Jak to?! A poplątany sznurek i puszki?...

– Ale to nie ja – zapewniła Ryszarda, wyciągając owinięty palec na znak przysięgi.

– To kto?!

– Nie wiem, ale gdybym to ja, to bym chyba wiedziała...
Więc nie ja. Na pewno, na pewno.

Zuza z Misią spojrzały po sobie z zastanowieniem.

Znowu wybryk „chuligana”?

– Drzwi i okna były zamknięte na cztery spusty, zresztą żadnych śladów włamania nie zauważyłam – stwierdziła Misia, patrząc niespokojnie na Ryszardę. – Po nocy z martwym kotem sprawdzam rano cały dom. A jak u ciebie?

Ryszarda już miała gotową odpowiedź, ale w pamięci błysnęły jej wycierane z podłogi ślady i całkiem straciła rezon.

Czy to możliwe, że ktoś się do niej zakradł?!

– Myślę nad śladami – powiadomiła.

– Rysich pazurów? – Zuza bez względu na okoliczności zawsze potrafiła znaleźć odpowiednie skojarzenie.

– Człowieczych. Na mojej podłodze obok śladów kota.

– To znaczy? – Misia domagała się szczegółów, więc

Ryszarda opowiedziała o wczesnym poranku, kiedy znalazła Edka.

Nie brzmiało to dobrze.

– Bardzo źle – oceniła Zuza, znowu wymieniając z Misią porozumiewawcze spojrzenie, tym razem ciężkie od troski.

– I te ślady prowadziły do łazienki?

– Od drzwi wejściowych do łazienki i z powrotem... Ale co z łazienką? Po co ktoś... – Ryszarda nie dokończyła, bo wreszcie pomyślała to, co od kilku chwil chodziło po głowach Misi i Zuzy. – Gaz? Ktoś wszedł, żeby ODKREĆCIĆ gaz?!

– A widzisz inne wytłumaczenie? – Misia zgadzała się z przyjaciółką, choć Ryszarda siedziała na krześle zdruzgotana.

Rozglądała się wkoło, jakby ktoś rzucił jej w te łzawe oczy, że *Ukryta prawda* to zwykła ustawka, więc Zuza walnęła ją pokrzepiająco w plecy. Poza tym odkryła w Ryszardzie jakąś obrzydliwą bezbronność, a wcale nie chciała zacząć jej lubić.

– Nie pozwolimy, żebyś poszła jak owca na rzeź. Nic się nie martw. A swoją drogą, musiałaś nieźle komuś nadepnąć na odcisk...

– Owca?! – Ryszarda zastrzygła w rozpaczy uszami. A były szpiczaste i porośnięte ledwie widocznym, białym puszkciem. – Ale dlaczego akurat owca?!



Pani Daniela Utko wiedziała swoje.

Ryszarda miała wielkie serce, a jej syn, na szczęście, nie gustował w zołzach.

Oczywiście jeśli chodziło o poważną relację, bo

w przelotnych znajomościach było mu wszystko jedno, jak to mężczyźnie. Byle tylko mieć prezerwatywę. Zresztą osobiście wpoila mu tę zasadę. Kobiety pchały się do niego drzwiami i oknami i ruchem w slipkach należało jakoś zarządzać. Kłykciny kończyste były pryszczem w porównaniu z przymusowym ojcostwem, a tego pani Daniela bała się jak ognia. Dlatego poświęciła sporo czasu, żeby z młodego Francuza (seks był w jego ojczyźnie czymś naturalnym, porównywalnym do wspólnego zjedzenia bagietki) zrobić Francuza świadomego.

Teoretycznie się powiodło, kręgosłup Luka trzymał się w miarę prosto, choć czasem zdarzała się skolioza i go ponosiło. Ale trudno się dziwić, po ojcu miał w sobie chłopcę wdzięk, na co reagowała większość kobiet.

Natomiast jedno udało się pani Danieli synowi zaszczepić. Jeśli chodziło o prawdziwy związek, Luk przede wszystkim ustalał, czy kandydatka jest dobrym człowiekiem. Oczywiście kiedy już sobie popatrzył na całą resztę i ta reszta budziła jego żywiołową reakcję. I coś pani Danieli mówiło, że w przypadku Ryszardy żywiołowe reakcje również wchodziły w grę. A przecież przy tej intymnej energetyce nikt nie mógł majstrować. Albo było przyciąganie, albo go nie było. Oczywiście mężczyźni byli tak skonstruowani, że przyciąganie czuli niemal zawsze, potencjalnie, ale pociąg potencjalny jest dobry na jeden raz, może dwa razy, a pociąg do konkretnej osoby to zupełnie insza inszość.

Na czymś takim już można budować.

A przynajmniej myśleć o projekcie.

Bo niestety nic nie było proste, pozostawała zgodność wartości, porozumienie intelektualne, emocjonalne

i mnóstwo, mnóstwo innych drobiazgów, które czasem grały, a czasem, mimo że zostały spełnione wszystkie warunki, nie chciały się ze sobą złożyć w żadną zgodną melodię.

Właśnie, gdyby porównać Ryszardę do melodii, pani Daniela obstawiałaby oberka.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że oberek to nie walc wiedeński i lepszy szczery, wiejski dźwięk niż wyuczone staccato, jednak gdyby tego oberka zagrać mniej skocznie? Nie chciała przerabiać Ryszardy na swoją modłę. Po co? W swojej naiwnej szczerości była rozbrajająca, a nawet urocza, ale i... zakompleksiona. I te kompleksy budziły największy niepokój pani Danieli, bo jedno jest pewne – jesteśmy jedynymi osobami, z którymi zostaniemy na całe życie. I najlepiej mieć w sobie sprzymierzeńca.

Z wrogiem w środku żyje się bardzo, bardzo źle.

Na szczęście wszystkiego można się nauczyć, nawet jeśli zaczyna się tylko od ubioru.

Dlatego kiedy pani Daniela zapukała do domu Misi i drzwi otworzyła jej Ryszarda spowita w gościnnie wiszący w kroku dres, nie omieszkała zwrócić jej uwagi. Tak, jak się umawiały: nie pchała się ze swoimi radami, została o nie poproszona. A dres nosi się we Francji jedynie na siłownię albo do biegania. W Polsce przeciwnie, dresów używa się do zabijania kobiecości prawie w każdym domu.

Ryszarda grzecznie się przywitała, komentarz dotyczący stroju przyjęła z refleksyjnym uśmiechem i już chciała zaprosić panią Danielę do środka, kiedy na podjeździe obok dostrzegła sąsiada z bródką. Elegancki pan wyszedł z bramy, wymachując skórzaną teczką, i widząc wpatrzoną w niego z napięciem Ryszardę, zamarł.

– Panie Tadeuszu, u nas zaraz wybuchnie gaz!

Informacja była elektryzująca i pani Daniela również się przejęła.

Tym bardziej że już przy furtce rozpoznała znajomy zapach.

– Ale gdzie?! – Sąsiada po pierwszym unieruchomieniu przyniosło od razu pod drzwi.

– U was w domu? – zawtórowała pani Daniela.

– W domku. Tam, gdzie mieszkam – pospieszyła z wyjaśnieniami Ryszarda z miną uciekinierki z Bośni.

– A Misia gdzie? – Pan Tadeusz, niczym rasowy samiec alfa, już wszedł w rolę obrońcy stada i próbował ustalić szczegóły.

Nerwowo poprawił zwilżone deszczem włosy, ale nie zapomniał o dobrych manierach i przywitał się. Po pospiesznej wymianie grzeczności wparował jednak do salonu. Pani Daniela i Ryszarda podekscytowane ruszyły za nim.

– Tadek! – Misia na jego widok zeskoczyła z fotela kosmetycznego, pani Danieli nie umknął jednak błysk jej jasnych oczu. Choć była w nich również niepewność.

– Witaj o poranku. – W powitalnym tonie sąsiada wyczuwało się prawdziwe napięcie. – Pani Ryszarda straszy mnie gazem. Że niby zaraz wybuchnie... Macie kłopot z instalacją?

Oczy wszystkich skierowały się na Ryszardę, a dres między jej nogami ułożył się w falujący spadochron.

– Ulatnia się już całą noc. Miałyśmy włamanie...

Pan Tadeusz przywarł wzrokiem do Misi, która bardzo starała się opanować, ale była szczerze zmartwiona.

– To prawda.

– I jedno, i drugie – dodała Zuza, która wyszła z kuchni i powiedziała gościom „dzień dobry”. – Ktoś włamał się w nocy do domku i odkręcił gaz. Nie wiadomo, może Ryszarda też go wkurzała...

Wyraz twarzy sąsiada wskazywał, że jest wstrząśnięty, i pani Daniela poczuła do niego sympatię, tym bardziej że nie zamierzał tracić czasu na rozmowy, ale przeszedł do działania. Porzucił teczkę i pobiegł do domku. Oczywiście, w kobiecej asyście.

– Tylko pod łóżkiem jest kot, proszę go nie przestraszyć – uprzedziła Zuza, po czym stanęła w pobliżu, chcąc chronić zwierzę.

Tymczasem sąsiad już był w łazience.

– To skubaniec! – zawołał, ale nic nie mogły zobaczyć, pomieszczenie było rozmiarów klatki dla chomika. – Muszę całkiem zakręcić gaz, bo chyba piecyk jest uszkodzony – poinformował.

Jego tułów wciąż tkwił wewnątrz, jednak po takich słowach można było nabrać otuchy.

– Czyli wszystko w porządku? – spytała Misia, która usiłowała zaglądać panu Tadeuszowi przez ramię.

– Już! Gaz zakręcony...

Sąsiad wynurzył się z łazienki, a jego nienaganna fryzura wyglądała wreszcie na lekko zwichrzoną. Zdecydowanie ten nieład dodawał mu uroku, tak jak plamy na koszuli, które udowodniały, że Tadeusz Zawadzki to nie figura woskowa. Zbyt sterylni faceci są podejrzani. Misia również musiała mieć podobne przemyślenia, bo wyraz jej oczu mówił, że wyobraża sobie właśnie inne sytuacje, sprzyjające nieładom męskiej fryzury, lecz zaraz przywołała się do porządku.

– Bardzo dziękuję – rzuciła z wdzięcznością, a następnie

zaprosiła wybawcę na kawę.

– Niestety, czekają na mnie w pracy – przeprosił, jednak jakby celowo zwlekał z odejściem. – Jestem zmartwiony i czuję się trochę odpowiedzialny, oczywiście jako sąsiad... O jakim włamaniu mówiła pani Zuza? – zakończył pytaniem.

– Zainstalowałyśmy na furtce system alarmowy. – Zuza chrząknęła. – I w nocy zawył... Myślałyśmy, że uruchomiła go Ryszarda. Ale nie... I niedawno poczułyśmy gaz, a w domku były ślady na podłodze.

– Nie zamykacie na noc drzwi?! – oburzył się pan Tadeusz.

– Nooo... – wydukała Ryszarda, pociągając za sznurek spodni, ale spadochron tym razem się nie otworzył. – Przecież Misia była w domu. Nie wiedziałam, że tu ktoś może wejść, nie przypuszczałam...

– Pani Ryszardo, tak nie można! – zagrzemiał sąsiad, po czym zaraz zorientował się, że zbyt wchodzi w rolę. – Powinna pani zamykać drzwi. Okna również. I najlepiej pomyślcie o dodatkowym alarmie.

Słowa sąsiada nie zdążyły przebrzmieć, kiedy na ulicę wtoczył się rozklekotany ford, a za nim przyczepa. Właściciel samochodu wystawił przez szybę swoją płaską, nakrapianą piegami twarz i obwieścił przybycie dźwiękiem klaksonu.

W powietrzu zawibrował nowy składnik zapachowy.

– Świeża dostawa łąjna – powiadomiła z uciechą Zuza, a pan Tadeusz skoczył do bramy niczym gospodarz, ale na widok zawartości przyczepy jakby się zawahał.

Szykowało się kolejne zamieszanie, więc pani Daniela postanowiła przejąć stery, przynajmniej jeśli chodziło o jej

misję, nie wpadła tu przecież z kurtuazyjną wizytą. Przeprosiła zgromadzonych i udała się z Ryszardą do domku, gdzie następny kwadrans spędziła na ważnej naradzie.

Narada dotyczyła stroju na randkę...



Samochód z nawozem został na prośbę Misi zaparkowany w głębi podwórka, ponieważ niedługo miała przyjść pani Beata ze swoją latoroślą, która nie powinna być narażona na przykre doznania zapachowe. Tym bardziej że Sławuś – rostry blondyn z piegowatą twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu – zabrał się do tematu nad wyraz sumiennie i nic nie wskazywało, że szybko skończy.

Najpierw wysiadł z auta i kontemplował odległość przyczepy od grządki, potem podrapał się po brodzie, wyliczył coś w myślach i zanim wyciągnął pierwiastek z metra dwadzieścia i podzielił przez średnicę koła, upłynęło następnych dziesięć minut.

– Chłopak zaraz zacznie strugać łopatę z drzewa jaśminu – zauważyła Zuza, która od jakiegoś czasu obserwowała go z napięciem przez kuchenne okno. – Na co mu zejda trzy godziny... Słuchaj, a może on ma Heinego–Medina?

Misia oparła się o Zuzę i również wyjrzała.

Zaczęły jej drgać kąciki ust.

– Ale za to nie wygląda na cwaniaka – próbowała myśleć pozytywnie.

– Wiem! Pracuje w ogródku, może ugryzł go kleszcz? Kleszczowe zapalenie mózgu, taka jednostka chorobowa...

– Co się czepiasz, chłopak jest dokładny. Tadek na pewno nie zatrudniłby jakiegoś lewusa. – Tego była pewna.

– I ten prawus ma niby naprawić piecyk gazowy? – powątpiewała Zuza. – W sumie niech naprawia, będziemy mieć Ryszardę z głowy...

– To może zaniosę mu coś do jedzenia? – Misia już była gotowa startować do garów, ale Zuza z oburzeniem ją powstrzymała.

Jak można nie rozumieć, że robotnik to osobny gatunek człowieka?! Beznamiętne spojrzenia i kontrola jakości, ewentualnie zimna dyskusja, nic podgrzewanego – tak należało prowadzić z nimi rozmowę. Inaczej się taki rozbestwi i przestanie pracować.

Wyjątki, niestety, należały do rzadkości, choć na pewno się zdarzały. Tylko czy w tym przypadku? Zuza wątpiła.

– Zwariowałaś?! – zakrzyknęła. – Daj robotnikowi palec, a będziesz robić własną ręką. W życiu! Styki mu się poprzestawiają z pracy na dom i jesteśmy ugotowane. Żadne koryto, bo się tu nam zagnieździ do emerytury.

– Czyli już nikogo nie można traktować po ludzku?

Misia kompletnie takiego podejścia nie podzielała, przecież jak się traktuje drugą osobę z szacunkiem, osoba oddaje tym samym, dobro się pomnaża, wraca... Na pewno wraca.

– A skąd pewność, że to człowiek, a nie świnia? – zapytała Zuza, łypiąc podejrzliwie do ogrodu. – Z tego to jest niezły zółw i już masz odpowiedź. Żółwie to gady, żadne po ludzku. Trzeba szykować bat. I rozżarzone żelazo. Niezłe kukułcze jajo nam twój Tadzio podrzucił.

– Zaczekajmy...

– Zdaje się, że właśnie będziemy czekać, i to długo... Po jednym bobku będzie przerzuczał, zobaczysz! – wieszczyła Zuza ze złą miną. – A jeśli chodzi o gaz, Ryszarda będzie

miała ciepłą wodę dopiero za trzy tygodnie i złapie grzybicę. Potem oczywiście zarazi nas, bo gdzie będzie korzystać z łazienki?

Misia spróbowała zobaczyć oczami wyobraźni najbliższą przyszłość, która po wczorajszym SMS-ie od Igły nie wyglądała jednak już tak źle.

– Ale grzybica jest chyba związana z nadmiarem wody – sprostowała beztrąsko. – Nie wiem czemu, ale kiedy mówiłaś Ryszardzie o nadeptaniu na odcisk...

– Też zauważyłaś? – Zuza porzuciła Sławusia. – Aż jej się śrubki poluzowały. Ona coś wie, mówię ci. Widziałam ten szok w oczach. Może to Hardy chce ją wykończyć? Bo kto? – snuła przypuszczenia.

Przecież obie doskonale wiedziały, że jeśli chodzi o męską dumę, były małżonek Misi jest szczególnie przewrażliwiony. Swojego czasu zastanawiały się nawet, czy Igła jako jego następca będzie bezpieczny, ale Hardy trafił do aresztu, poza tym absorbował go rozwód i histeryzująca Ryszarda. Tylko że teraz sytuacja uległa zasadniczej zmianie.

Został bez narzeczonej, w dodatku wokół Ryszardy zaczął chyba krążyć Luk.

– Ale czemu miałby ją zabijać? – Dla Misi pewne sprawy były jednak niepojęte.

I chyba mimo wszystko nie chciała źle myśleć o mężczyźnie, z którym spędziła kilka lat życia. Co prawda ten mężczyzna prowadził życie podwójne, jednak w pojedynczości dotyczącej Misi zdarzały się i dobre chwile, nie mogła ich tak po prostu przekreślić, bo tym samym przekreśliłaby siebie.

– A bierzesz pod uwagę, że to może być już inny Henio? –

spytała rzeczowym tonem Zuza. – Dwa lata w areszcie jednak odciska ślad. Już zanim tam trafił, był z niego łajdak przez duże „ła”. Członkowie MENS-y go jednak na Mikołowskiej nie otaczają, środowisko ma wielki wpływ.

– Ale zabić?! – powtórzyła wąpiąco Misia.

– Ryszarda go rzuciła. Może kocha ją na śmierć i życie? Są tacy zboczeńcy. Nie chce być z nim, nie będzie jej na świecie wcale. Da dam! Ja bym jej chętnie skrzyła kark, tak że go trochę rozumiem...

– Nie wierzę. Może po prostu chciał ją przestraszyć?

– Przestraszyć gazem? – Zuza zaśmiała się obłudnie. – Aha... Dobrze. A ja jestem rumuńska prostytutka, która oddaje się za talon na trabanta.

Rumuńska prostytutka szczerze je rozbawiła, zwłaszcza intrygująca była ilość trabantów w jej posiadaniu, jednak Misia po chwili znowu zaczęła głośno analizować swoją wersję zdarzeń.

Hardy w roli mordercy kobiet jej nie pasował i już!

– A martwy kot na drzwiach domku? – próbowała przekonywać. – To też musiała być jego sprawka. I ewidentnie chodziło o ostrzeżenie. Ryszardy, która przecież chwilę wcześniej z nim zerwała.

– Jeśli ktoś daje ostrzeżenie, to chyba nie po to, żeby potem dać drugie, trzecie i dziesiąte? – Zuza obstawała przy swoim. – Załóżmy, że to Hardy faktycznie kazał jakimś swoim przydupasom obedrzeć ze skóry kota i powiesić na domku dla gości jako przestrożę... Co by było nawet logiczne. Więc skoro ostrzeżenie nie zadziało, bo kretynka nie skumała i jeszcze zaczęła romansować...

Niestety, scenariusz Zuzy brzmiał prawdopodobnie. Misia westchnęła i żeby jakoś rozświecić ten ciemny poranek,

otworzyła lodówkę.

– Gdzie są sery? – rzuciła przez ramię do Zuzy, która przecież zajadała się w nocy Dżiugasem. – Te od Luka. Dojrzewające i z pleśnią...

– A nie ma ich tam? Druga półka od góry.

Serów nie było jednak ani na drugiej półce, ani w warzywniku, ani nigdzie. Ciekawa sprawa. Może je gdzieś wyniosły i zostawiły? W wirze dyskusji każdy może zapomnieć o Bożym świecie, a ostatnio tyle się działo...

– Nie zostały czasem na sankach? – przestraszyła się Zuza i pobiegła do drzwi tarasowych, ale zobaczyła ich prowizoryczny stolik moknący w deszczu. Pusty. – Nie ma – stwierdziła z ulgą po powrocie do kuchni. – Czyli co? Może zesłaś w nocy na dół i je...

– Bez przesady. – Misia poczuła, że jej honor został splamiony. Lubiła podjadać, ale takie wysoki nie były normą, płaski brzuch zawdzięczała żelaznej dyscyplinie. – A może to ten włamywacz? – Tknęła ją myśl, która raczej była pozbawiona podstaw, bo dokładnie sprawdziła dzisiaj cały dom, i to dwa razy. Przed wyjściem do parku i po powrocie.

– Zeżarł nasze sery?! – Zuza zrobiła takie oczy, jakby jej ktoś właśnie powiedział, że ryby lubią miód.

Tajemnica nie została jednak rozwiązana, mimo że z ogniem w oczach przetrząsnęły zaraz każde pomieszczenie, z rozpędu zajrzały nawet do schowka pod schodami, co podyktowała im raczej desperacja niż logika, ale co tam. Efekt działań był taki, że serów co prawda nie znalazły, za to Misi wpadły w ręce zagubione paczuszki z nasionami – leżały na strychu, upchnięte w starych kaloszach. A tyle się ich naszukała.

– W końcu! – Uśmiechnęła się uradowana i potrząsnęła torebkami. – Zasadzimy aksamitki. Takie pomarańczowe, śmierdzące pomnikiem, bo zawsze obsadzają nimi miejskie klomby.

– Aksamitki znam, no co ty. – Zuza również dorwała się do nasion. Ją szczególnie cieszyły nasturcje; pączki tych kwiatów można zbierać i przyrządzać jak kapary. – Bardzo lubię. Korzonki aksamitek wydzielają jakieś substancje i jeśli obsadzisz nimi warzywa, robale ich nie tkną. A widzisz!

– Co? – Misia zamarła w bezruchu, a Zuza skoczyła do telefonu.

– Robale. Czyli trup, musimy przygotować ciało! – zakrzyknęła ożywiona. – Jeśli mamy dzisiaj podrzucić Krzemińskiego na komendę, trzeba dzwonić do Luka.

– Jakie dzisiaj?

Zuza wspominała, że sprawa zwłok egzaminatora jest pilna, ale tempo zdarzeń Misię przerażało. Owszem, rozmowy o podrzuceniu trupa policji na upartego może i były zabawne, ale co innego mówić, a co innego robić. Z równym powodzeniem mogła sobie wyobrazić swój wieczorny występ w operze paryskiej.

– Dzisiaj Polska gra z Niemcami – wyjaśniła przejęta Zuza. – Mistrzostwa Europy w Piłce Nożnej. Jak nie dzisiaj, to kiedy? Wszyscy faceci w tym kraju będą od dwudziestej pierwszej siedzieć przyklejeni do telewizora. Idealne warunki!

Rzeczywiście, wieczorem Polska będzie wyłączona z obiegu.

– A Luk co na to? – Misia jeszcze miała nadzieję.

– Zaraz mu powiem. A przy okazji... Myślałaś o jakimś

terminie naszej parapytówki?

– Teraz, kiedy mamy perspektywy finansowe, możemy myśleć – zgodziła się Misia, zerkając na zegarek, bo za chwilę miały nadejść ich klientki. – Sobota? Tyle że to pojutrze. Zdamy? I czy to nie głupio tak na ostatnią chwilę zapraszać ludzi?

– Jakich ludzi? – zaciekawiała się Zuza. – Chyba miało być kameralnie? Ja, ty, Luk, Igła i Pie... Marchewka.

– I Ryszarda.

– Ryszardy nie liczę, sama się wprosi. Jeśli wcześniej nie umrze porażona prądem czy coś...

– Nawet tak głupio nie żartuj. – Misia miała poczucie humoru, ale Zuza uwielbiała przesadzać. Tylko że myśli stwarzały rzeczywistość, nie należało o tym zapominać.

– W porządku. – Zuza wzniosła oczy do nieba. – Jeśli umrze porażona prądem czy czymś, w końcu trzeba myśleć pozytywnie... Jakich chcesz jeszcze ludzi?

Cała Zuza.

Czarny humor w białej odświeżce.

Na szczęście Misia wiedziała, że pod tą chropowatą skorupą skrywa się zupełnie inna osoba. Zuza nie była jednoznaczna, tak myśleli tylko ci, którzy byli zbyt leniwi, żeby zaglądać pod powierzchnię.

– Już wystarczy gości – zapewniła, ale zaraz przyszedł jej do głowy pan Tadeusz.

Tylko...

Jeśli Igła pojawi się na przyjęciu, ze spotkania obu panów mogły wyniknąć rozmaite komplikacje, a tego Misia za wszelką cenę chciała uniknąć. Nie, będą siedzieć cichutko w domu, w sąsiedztwie nikt nie musi wiedzieć, że urządzają kolację.

– Swoich możesz spokojnie zapraszać w ostatniej chwili. – Zuza nie widziała problemu. – Się nie przejmą, a jak ktoś nie będzie mógł, przełożymy. W takim razie dzwonię do Luka i go spytam – zawiadomiła. – O której początek imprezy?

Dobre pytanie.

Tylko że we Francji była cała historia z aperitifami i innymi takimi.

– Nie wiem. Jakie są francuskie reguły?

Zuza się zafrasowała, pomyślała dokładnie o tym samym – o czyhających przeszkodach. Ale szybko znalazła wyjście z sytuacji.

– Uwielbiam ich kuchnię, chylę czoła i tak dalej, ale jak wejdziemy w klimaty Luka, w dodatku kucharza, na sto procent damy plamę. A może po prostu wyprawimy ucztę europejską? Z małym francuskim akcentem na cześć naszego żabojada. Te żaby czy ślimaki... Jak myślisz? Poza tym on kocha pierogi. Czemu ich nie podać?

Mały akcent nie był zły, nawet będzie ładnie z ich strony, jednak wyprawienie całego przyjęcia na francuską modłę Misie przerażało. Co innego pierogi. I inne dobra. Mogły na przykład zrobić krem z buraków z grzankami, a jako danie główne, oprócz pierogów, podać naleśniki z białym serem w sosie szpinakowym.

Na myśl o jedzeniu Misia poweselała.

– Z małym akcentem będzie rewelacyjnie – oświadczyła i zaczęła szukać w myślach odpowiedniego deseru.

Zuza tymczasem wybrała numer Luka.

– *Hello*. Tu Polska, jest tam kto? – zaczęła żartobliwie.

– Zuza! – krzyknął w odpowiedzi Luk i już było miło.

Niestety, musiała zmienić ton.

– Obiecałam, że coś wymyślę z tym mięsem w lodówce, i wymyśliłam – zaczęła metaforycznie, bo jednak do niedawna była w związku z policjantem i wiedziała, że o pewnych rzeczach nie mówi się przez telefon.

– Mięsa?

– Wielki kawał mięsa. Z włosami... – dodała sugestywnie.

– A, mięso?! No mam w lodówce dużo.

– Żeby to mięso zużyć...

– Suszyć?! Ale jak suszyć? Gdzie?!

Spojrzała wymownie na Misię, ale nie traciła cierpliwości. Luki w znajomości języka Luka... Proszę, jak się składało. Luki w... Luka! Zabawne.

– Masz wyciągnąć mięso z lodówki – wyjaśniła inaczej. – Rozumiesz?

– Teraz?!

– Jakie teraz? Wieczorem. Wyciągnij mięso z lodówki o dziewiętnastej i przełóż do wanny.

– Do... moja wanny?!

– A czyja jest lodówka?

– Zuza, czekasz. Wyciągać mięso – powtórzył. – Dobrze... I do łazienka?

– Tak.

– Pysznicować?

I jak tu pozostać poważną?

– Nie. Tylko włożyć do wanny, niech rozmięknie. Niech się stanie miękkie – rzuciła wzniosłe, ale zaraz usłyszała swoje słowa i parsknęła tłumionym śmiechem.

Misia, podsłuchująca z boku, razem z nią.

Luk chwilowo zamilkł i analizując w duchu rozmowę, usiłował coś z niej pojąć.

– Na miękko? – zadał finalne pytanie i na tym stanęło.

– Właśnie tak. Na miękko. Wyjąć mięso o dziewiętnastej. O dwudziestej przyjdziemy i będziemy panierować.

Tu już mu całkiem zabiła klina.

Bo terminy kulinarne rozumiał doskonale.

– Kotlety? – zapytał z lękiem.

– Nie mielimy. W jednym kawałku obtaczamy mieszanką ziół, a potem nacieramy oliwą. I będziemy potrzebować cynamonu. Dużo cynamonu, ale widziałam u ciebie w restauracji całe plastikowe wiadro. Możesz je zabrać na Akacjową?

– Zuza... – W głosie Luka zabrzmiała lekka panika.

– Spokojnie, wszystko będzie dobrze... Yyy... Natarte przyprawami mięso wkładamy do woreczka foliowego... – podjęła.

– Wiesz, co mówisz? – przerwał jej.

– Wieszam doskonale... Wiem... Luk, ufasz mi?

W słuchawce rozległa się przykra cisza, a Misia przejechała palcem po gardle i wywaliła z uciechą język.

– Czasami tak, czasami wahany jestem – powiedział ostrożnie. – Ty bardzo oryginalna jesteś.

– Dziękuję. Zatem wracając do naszych kulinariów... W sobotę urządzamy uroczystą kolację...

– I w woreczka do soboty? – Luk upewnił się, czy dobrze zrozumiał. – W wannie?

– A nie, to już co innego. W woreczku tylko dzisiaj i dzisiaj mięso przewieziemy, rezerwuj wieczór. A w sobotę zapraszamy na parapetówkę.

– Parapetówka? Polska wódka taka?...



Hardy na wieść o przebiegu nocnych wydarzeń dostał

furii.

Ale musiał się opanować, po korytarzu kursowali strażnicy, miał więc tylko chwilę.

– Gaz?! – syknął w niedowierzaniu.

– Źle? – W głosie Larego zabrzmiała tak rozbijająca bezmyślność, że Hardy aż schował za plecy rękę, żeby nie walnąć nią w ścianę. – Nie chciałem bezpośrednio, żeby przed akcją nie było smrodu...

Smrodu!

– Mielicie tylko zostawić znak, kretynie. Zanim weźmiemy się za Francuza. Żeby wiedziała! – grzmiał. – Żeby wiedziała, komu to wszystko zawdzięcza. I żeby cierpiała – dodał z zaciętością. – Ją mielicie zostawić w spokoju!

– Ale szefie... Szef powiedział... – bronił się Lary i Hardego olśniło.

Do kretynów należy mówić konkretami, a nie metaforycznie.

Sam był sobie winien. Na szczęście Rysi nic się nie stało, pewnie przez te otwarte okna – wiedział o nich, ponieważ Lary zajrzał na Akacjową z samego rana, żeby sprawdzić, jak poszło.

Ale po takich rewelacjach trudno się było uspokoić.

– Morda! – zakrzyknął i Lary pospiesznie zamilkł. – Wróćcie tam dzisiaj w nocy. I będzie tak...



Było dobrze.

To znaczy w miarę dobrze. Ryszarda już od dawna chciała coś zrobić z fryzurą, ale jej pochodząca z Galicji, nie z Galii, rodzicielka miała przebłycki geniuszu i zawsze powtarzała córce, że jeśli jest dobrze, lepiej przy tym nie kombinować, bo będzie gorzej. Więc Ryszarda kombinowała umiarkowanie, jak choćby wtedy, kiedy ufarbowała włosy na czarno, ale szybko okazało się, że wcześniejsze dobrze było lepsze, wróciła zatem do punktu wyjścia. Po drodze przydarzyła się jej również umiarkowana kombinacja z blondem, jednak tym razem nieporozumienie było tak druzgocących rozmiarów, że w końcu złożyła broń.

Rude wcale nie jest wredne, co za pomysł.

Raz na kilka miesięcy więc swoje rudości ubarwiała, ale ogólnie od dwóch lat nosiła taką samą fryzurę. Kiedy dotarły na Wawelską, do fryzjerki pani Utko, Ryszarda ze zdumienia przetarła oczy. Po pierwsze fryzjerka dobrała jej farbę, uwzględniając takie elementy jak kolor brwi czy skóry (wcale się przy tym nie spieszyła), potem była przyjemna godzina spędzona na rozmaitych kosmetycznych rytuałach, a w końcu – pani Asia zaproponowała jej prostą fryzurę z grzywką. Najpierw przeciwoczyły ją na sztucznych włosach, a kiedy okazało się, że Ryszarda wygląda jak milion dolarów... w jednym papierku, fryzjerka chwyciła za nożyczki i już nie było odwrotu.

Wyszła więc z salonu zupełnie odmieniona, co podkreślała również garderoba, bo założyła beżowy płaszczyk i kolorową apaszkę, a wtedy odświeżone rudości (z nutką orzecha włoskiego) sprawiły, że błyszczała! Była

wniebowzięta, tym bardziej że rano pani Daniela zdradziła jej również zasady doboru kolorów – znała je, oczywiście, ale o ileż smaczniej było eksperymentować. Eksperymenty jednak postanowiła chwilowo zakończyć. Zaprosiłaby mamę Luka na dziękczynną kawę, tyle że w popłochu przypomniła sobie o pani Beatce. Weszła więc jeszcze tylko do Świata Kuchni, gdzie kupiła prześliczny zestaw obiadowy w niezapominajki, i zatachała pudło do auta. W pasmanterii na rogu zdążyła dobrać szeroką, błękitną wstążkę w groszki – do niezapominajek będzie pasować jak ulał – po czym pognąła do Chorzowa.

Miny Zuzy i Misi warte były ścięcia nie tylko włosów, ale i głowy.

Zuza jej nie poznała!

– Wyglądasz jak... jak człowiek – orzekła w końcu, a pani Beatka z córką przywitały ją tak serdecznie, że Ryszarda poczuła się, jakby odnalazła zaginioną rodzinę.

A przecież na dworze lał strugami deszcz, było ciemnawo, a jej prawdziwa rodzina mieszkała w Siemianowicach Śląskich i nic nie wskazywało na to, że się Ryszardy wyrzeka. Dziwne.

Jakby się na nowo narodziła.

Wnętrze, od zawsze słyszała, że nie tylko szata zdoła człowieka, ale i wnętrze, i to by się mniej więcej zgadzało. Ale też zawsze tłuczono jej do głowy, że jak będzie się dobrze uczyć, jak będzie grzeczna, to... No właśnie nie wiadomo co. W odległej przyszłości miała ją spotkać jakaś nagroda, ale szczegółów nikt nie podawał. Niestety, jak na złość nauka szła jej opornie (z wyjątkiem plastyki i matematyki), ale Ryszarda nie szczędziła wysiłków, bojąc się zawieść najbliższych. Całymi dniami ślęczała nad

książkami, wkuwała, a w efekcie... zbierała same trójki. Tymczasem niektóre atrakcyjne koleżanki uczyły się tyle, co na lekcji, i oczywiście los wynagradzał je najlepszymi ocenami. Więc w szkole średniej się zbuntowała. Jeśli nie szła jej nauka, przynajmniej będzie wyglądać!

Tyle że problem leżał pośrodku.

Człowiek ma wewnątrz i zewnątrz i nie powinien zaniedbywać żadnego z tych elementów.

Ta prawda eksplodowała w Ryszardzie z taką jasnością, że miała ochotę przygarnąć do łona cały świat. Wstąpił w nią taki wizg, taka energia, że postanowiła uczcić swoją metamorfozę... szklaneczką deszczówki. Wszak była w firmie Misi i Zuzy konsultantką nie tylko w sprawach wizerunku, ale zdaje się, że miała pomagać w sporządzaniu esencji roślinnych. Dlatego wskoczyła w świeży fartuszek (dziewczyny zostawiły go dla niej w salonie!) i wystawiła na taras pięć pustych słoików.

W międzyczasie poszła do auta po pudło, obwiązała je kokardą, a następnie zagotowała zebraną wodę – musiała dolać kranówki, ale liczył się pomysł. Zaparzyła zielonej herbaty, wrzuciła do środka kwiaty jaśminu. Ślicznie. Później, wiedzioną jakimś instynktem, obtoczyła wilgotne kwiatki w cukrze pudrze, posypała wiórkami kokosowymi, ułożyła na talerzyku i zaniósła do pokoju. Pani Beatka i jej córka siedziały właśnie pod lampą z maseczkami na twarzy, ale nie było przeciwwskazań, żeby je na chwilę porwać do salonu, na mały poczęstunek. Na widok nakrycia – Ryszarda nabyła w Świecie Kuchni również serwetki z motywem ziół – wszystkie westchnęły. Tylko prezent...

Misia rozpakowała pudło, ujęła w dłonie jeden z talerzy i zabrakło jej tchu.

– Musiałaś wydać fortunę! – powiedziała jakby z wyrzutem.

Zuza patrzyła.

To na zestaw obiadowy, to na Misię, to na Ryszardę.

I nic nie mówiła!

– Ale... – zaczęła Ryszarda, jednak nie wypadało mówić przy klientkach, że to za ich krwawicę. – Myślałam, że się wam spodoba. Bardzo za wszystko dziękuję. I... Te słoiki są słodkie – stwierdziła, popatrując z ukosa na szkło – ale możemy już pić z filiżanek.

Zuza ujęła kubeczek ozdobiony gałązką niebieskich kwiatków, ważyła go przez chwilę w dłoni, a potem ułożyła usta w ciup i w końcu zdobyła się na komentarz:

– Są przepiękne.

Misia uśmiechnęła się od ucha do ucha, ale nadal w jej oczach czało się...

Wahanie?

Za to pani Beatka nie miała wątpliwości.

– Cudo! – orzekła. – Sama bym takie chciała.

Po zabiegach kosmetycznych Ryszarda miała sporo pracy. Uwijała się przy projektach, szukała odpowiedniego wykroju na ślubne bołerko, drapowała przyniesiony przez panią Beatkę materiał, a w międzyczasie zdejmowała miarę na suknię, w której klientka chciała wystąpić na poprawinach. I tak dalej, i tak dalej... Co chwilę biegała przy tym między domkiem a pokojem kosmetycznym (w domku śmierdziało rozrzucanym opodał nawozem!), ale była przeszcześliwa. W każdym razie czekały ją zarwane noce, jednak do przyszłego tygodnia powinna zdążyć.

Kuchenka gazowa jeszcze nie działała, więc niczego nie mogła ugotować. I dobrze, z podekscytowania wcale nie

czuła się głodna.

Za to Edek owszem.

Kiedy Ryszarda weszła do domku po skończonej pracy, kot leżał na łóżku i ani drgnął. Ożywił się, dopiero kiedy nasypała do miseczki karmy (po drodze zajechała również do zoologicznego), która tak mu smakowała, że na koniec oblizał z zadowoleniem wąsy. Później wskoczył na parapet, skąd z fascynacją śledził każdy ruch pracującego na grządce chłopaka – blondyn miał ruchy powolne, niemal kocie.

– Mogę? – Do domku zastukała Misia, która przyniosła Ryszardzie obiad.

W pomieszczeniu zapachniało gotowanym kalafiemem.

Pychota!

Edek od razu zanurkował pod łóżko, ale kiedy zrozumiał, że nic mu nie zagraża, wystawił na zewnątrz różowy nos, a potem znowu ostrożnie opuścił kryjówkę.

– Jest śliczny – oceniła z uczuciem Misia, kiedy Ryszarda podziękowała za posiłek. – Nie ma za co... – zawiesiła głos, stawiając na stole talerz. Talerz w gałązki niezapominajek.

– Bardzo mnie zaskoczyłaś tym prezentem. Nie spodziewałam się...

– Mam nadzieję, że to było miłe zaskoczenie?

Misia wyglądała na wzruszoną.

I zawstydzoną jednocześnie.

– Oczywiście, tylko... Tylko to dużo kosztowało. Rozglądałam się ostatnio za naczyniami, wiem, jakie są ceny kompletów. Musiałaś wydać cały swój zarobek!

Dla Ryszardy kwestie finansowe, przynajmniej te najbardziej palące, wreszcie przestały stanowić problem. Pani Beatka i jej córka (dzięki Bogu, istniała jeszcze

babcia!) stwarzały swoimi rozmiarami tak wielkie krawieckie nadzieje, że Ryszarda wierzyła, że jeśli się postara, w najbliższym czasie nie powinna narzekać na brak pieniędzy. Co prawda kokosów z tego nie będzie, ZUS wciąż wisiał nad jej życiem jak czarna burzowa chmura, ale powinno być dobrze.

A na pewno lepiej.

– Chciałam kupić coś naprawdę ładnego – bąknęła.

– I udało się – zapewniła Misia. – Tylko powinnaś myśleć o sobie.

– Tylko o sobie?

Misia na chwilę zamilkła, spojrzała Ryszardzie, nagle poważnej, w oczy i nie próbowała więcej przekonywać.

– O sobie trzeba myśleć – zgodziła się więc Ryszarda. – Ale jak się myśli tylko o sobie, dookoła nikt nie zostaje. A mnie tu... dobrze. Z wami. Naprawdę.

– Nam z tobą również. Mam na myśli nie tylko siebie, ale i Zuzę, tylko ona inaczej wyraża uczucia. – Misia cmoknęła ją w policzek, uśmiechnęła się serdecznie, a potem spojrzała na okno i westchnęła. – Nasz nowy pomocnik. Jak skończy, zabezpieczymy grządkę folią, żeby nie śmierdziało, ale na noc, niestety... trzeba będzie odkrywać, to nasza strefa bezpieczeństwa.

– Myślisz, że znowu tu ktoś wejdzie? – Ryszarda wypowiedziała na głos swoje obawy i posmutniała. – Nieproszony?

– Hm... Może wolisz się przenieść do nas?

Ryszarda rozważała taką ewentualność, ale już nie czuła strachu, jedynie lekką obawę, poza tym polubiła swój domek. Łóżko było duże i się w nim wysypiała, meble pachniały drewnem i, co trudne do wyjaśnienia, tutaj, na

szesnastu metrach kwadratowych, mieszkało się jej o wiele lepiej, niż kiedy miała do dyspozycji jacuzzi, saunę i kilka pokoiów!

– Dziękuję, ale do wczoraj byłam całkiem niepewna, ale teraz już jestem zdecydowana, zostanę tutaj. I będę was bronić – obiecała.

Ale Misia puściła tę obietnicę mimo uszu.

Posłała Ryszardzie kolejny uśmiech, po czym wyszła na zewnątrz i zagadała do pracownika, który niedawno znowu pojawił się pod bramą, bo w końcu przestało padać. Ustaliła z nim jakieś szczegóły dotyczące montażu kontaktów czy gniazdek i pognęła do domu.

Ryszarda zjadła więc ze smakiem kalafiora, popiła gorącą herbatą, a potem również usiłowała dojść do porozumienia z siłą roboczą. Chciała wiedzieć, czy powinna zostawić klucz, ale zagadany o szczegóły rosły chłopak stanął wpatrzony w nią pośrodku grządki, aż kalosze ugrzęzły mu w lepkim nawozie i... spróbował się zachęcająco uśmiechnąć – zdaje się, że miała z tym związek jej nowa fryzura.

Ryszarda zobaczyła najpierw jego gigantyczne jedyńki, po chwili w zwolnionym tempie odsłoniły się tak samo wielkie dwójki, rozmiaru trójek już nie odnotowała, ponieważ na Akacjową zajechał samochód Luka. Całe szczęście! Chłopak z taką samą werwą zamknął buzię i wyjąkał, że dzisiaj z gazem nie zdąży.

Ale nie zdążyła również Ryszarda.

Zaplanowała sobie małe wejście smoka, przecież nie pokaże się Lukowi ot tak sobie. Na specjalną okazję musi być specjalna oprawa. Wybrały z panią Danielą strój, a wciąż biegła w fartuszkach! Oczywiście, faceci kochają

fartuszki, jakżeby inaczej, ale dziś wolała nie robić za pokojówkę, pielęgniarkę czy kogo tam jeszcze. Dziś miała być damą. Miała zachwycać, emanować elegancją i subtelnym seksapilem. I nie mógł być to znoszony Zień (dowiedziała się, że w czerwonym wygląda agresywnie).

Uciekła więc pospiesznie do domku, napisała Lukowi SMS-a, że będzie gotowa za dwadzieścia minut, po czym roztrzęsionymi rękoma poprawiła makijaż – różowy kolor na ustach zastąpił ciepły beż – i wskoczyła w sukienkę. Narzuciła na nią skórzaną kurtkę, do tego szpilki, torebka i była gotowa. Tyle że nogi trzęsły się jej jak dwie rozgotowane parówki.

Ale niepotrzebnie się stresowała.

Stojący przy ogrodzeniu Luk na widok Ryszardy powiedział coś do siebie po francusku i zagwizdał, chłopak na grządce wybałuszył oczy, po czym znowu zanurkował w łąnie, a z kuchni machały do niej rozentuzjasmowane Zuza z Misią. Czyli małe trzęsienie ziemi zaliczone. Jedyne minus był taki, że pani Daniela stanowczo obstawała przy zmianie perfum, a nawet odebrała jej przemocą dotychczasowe i Ryszarda pachniała jedynie balsamem do ciała dla niemowlaków. Nie roztaczała żadnej zapachowej mgiełki i podobno mgiełki to nie było to. Subtelność, przede wszystkim pieprzona subtelność...

– Wyglądasza... Boginia! – Wyraz oczu Luka niewiele różnił się od pomieszania zmysłów wypisanych na twarzy blondyna z łopata, ale ten komplement akurat zabrzmiał jak symfonia. Może nawet jak symfonia smaków, bo stojący przy furtce Luk nie trzymał w ręku żadnego ogrodniczego narzędzia, ale... paterę.

Z kloszem.

Pod nim pyszniła się śnieżnobiała beza skąpana w krwistych owocach. Chyba. Klosz powoli zachodził parą, więc pewnie przysmak został dopiero co wyjęty z pieca.

– Zrobiłem dla ciebie – oznajmił najśłodszy z kucharzy, kiedy go już uruchomiło z miejsca. Cały był ożywiony, przyglądał się jej z łobuzerskim uśmiechem. – Tylko szybko jedzenie...

Ryszarda postąpiła kilka kroczków, jakby miała się już rzucić i pałaszować przyrządzone dobra tu, na ulicy, ale Luk znowu się zatrzymał i zerknął niepewnie na swoje renault.

– To auto nie dla kobieta na kawa – stwierdził, usiłując coś szybko wymyślić, bo jego osobisty samochód stał pod restauracją. – Może pojedę tobą?

Zachichotała.

– Ojej, ale jesteś zabawny... Pojedziemy moim, możesz prowadzić?

Tak oto za stery swojego wozu (a może nawet życia) Ryszarda wpuściła mężczyznę, który, zdaje się, miał już konkretny plan. Wręczył jej paterę, a sam ruszył z Akacjowej z piskiem opon.

Miły to był widok. Jego opalone ręce na kierownicy. Ryszarda lubiła dłonie i zawsze się im przyglądała – jeśli nie zyskiwały aprobaty, w ogóle nie mogło być mowy o kontaktach trzeciego stopnia. Te konkretne były średnich rozmiarów, pokrywał je złotawy zarost, a przedmiotów dotykały miękko, ale pewnie.

Ich wygląd napełniał otuchą.

– Dobrze prowadzisz. – Kierowcy należał się komplement, styl jazdy zdradza przecieź osobowość.

Luk prowadził samochód w sposób wyważony, a nawet

ostrożny, wcale nie starał się nikomu imponować, co paradoksalnie przyniosło odwrotny skutek.

– Nie wszystkiego wygląda jakie jest – odpowiedział z tajemniczym uśmiechem, a wtedy Ryszarda poczuła się jak dziewczyna Bonda.

Tajemnice to również było coś i zaraz wspomniała podejrzane w jego komputerze strony. Ścigani kryminaliści, lista zwyrodnialców, paragrafy, wyroki. Aż się spociła, przecież te przestępcze ręce mogły w każdej chwili powędrować do jej sukienki, mogły dotknąć skóry... W dodatku beza upojnie pachniała palonym cukrem i truskawkami.

Luk nadal się uśmiechał, choć zdawkowo, popatrywał na nią z boku, zawieszał wzrok to na jej nowej fryzurze, to na... bezie albo piersiach, trudno ocenić, ale po chwili zajechali pod restaurację i trzeba było wrócić do rzeczywistości.

– Zabrze gdzie indziej cię kiedyś, obiecuję – zaczął się tłumaczyć. – Ale tu najlepsza kawa w Śląsk. Najlepsza!

Ryszarda nie protestowała. Jeśli pominąć wstydlawy incydent, którego była uczestniczką, a który rozegrał się właśnie tutaj, nie miała lokalowi nic do zarzucenia. Podobał jej się i wystrój, i menu. Z przyjemnością więc zawitała tu z powrotem.

– A jak się nazywa twoja restauracja? – spytała, wystawiając z auta seksownie nóżkę, jakby czekała na czerwony dywan. – Nigdzie nie widzę szyldu.

– Jeszcze nie zdecydowałem. – Luk skoczył chyżo, gotów tę nóżkę postawić choćby na swych schylonych plecach, co Ryszarda odnotowała z niejakim rozrzewnieniem i powzięła decyzję.

Ten!

W ogóle nie była zainteresowana mdłymi znajomościami. Jeśli mężczyzna na jej widok nie głupiał, oznaczało to tylko jedno: nie zgłupieje nigdy. I nie ma się co łudzić, po latach będzie tylko coraz bardziej mądrzał. A tu chodziło o szal, i to konkretnie na JEJ punkcie. Na punkcie Ryszardy Kociołek, a nie na punkcie rudej sztuki.

Niespodziankom nie było końca.

Kiedy weszli do środka (na drzwiach wisiała karteczka: „NIECZYNNE – REZERWACJA LOKALU”) okazało się, że są jedynymi gośćmi. Zaraz zaczęli skakać przy nich kelnerzy, na stół wjechało wino ze szczepu primitivo, a Luk z każdym kieliszkiem wcale nie prymitywniał – z kieliszkiem Ryszardy, sam jedynie zmoczył usta. Rozmawiali o Francji, o tym, że Polacy wszystko rozgotowują, że jedzą pospiesznie, nie przestrzegają zasad...

Pięknie opowiadał, mogła go słuchać godzinami.

Poza tym w sali było nad wyraz elegancko, co potęgowały lampy i świece, a wykrochmalone i uprasowane obrusy przywodziły na myśl skojarzenie ze ślubnym namiotem. Sztuce lśniły, w kieliszkach odbijały się tysiące małych światełek, a deszcz na zewnątrz również dbał o nastrój. Znowu szemrał albo bębnił w parapet, jakby zapewniał, że pośród tej pogodowej zawieruchy restauracja jest jedynym pewnym schronieniem. Brakowało tylko ognia w kominku, co zaraz zostało naprawione i usłyszeli przyjemny trzask płonącego drewna. W czerwcu!

Wyjątkowe chwile.

Ryszarda czuła się podjęta niczym szwedzka królowa, co ją nawet lekko peszyło, ale kiedy wypić drugą kawę

(podano do tego wyborny likier porzeczkowy), Luk na chwilę zniknął w kuchni, a wtedy ona stwierdziła, że zapłaci. A przynajmniej spróbuje. Taki mały test finansowy, wiadoma rzecz.

Podeszła do kontuaru i wyciągnęła kartę.

– Płatność zbliżeniowa – oznajmiła, czując jednak za sobą czyjaś obecność.

Ta obecność oznaczała zapach mięty i łaskoczący szyć oddech.

Przyjemnie łaskoczący.

– Zbliżeniowa? – zapytał znacząco Luk. – Nie kasowaj – rzucił do barmana, ale już było za późno. Na czytniku coś się pokazało i padł werdykt:

– Transakcja bez pokrycia.

Spojrzeli więc na siebie i wybuchnęli śmiechem.

– Pieniądze i seks zawsze para – stwierdził Luk, puszczając do niej oko, po czym zaproponował przejażdżkę.

– Do parka na spacer w deszcza niedobrze. Musza kupić cynamon, gdzieś poszło wiadro.

– Wiadro? – nie zrozumiała.

– Duże tu kupujemy. Nie deka. Paleta, wiadra, zgrzewaki...

– Zgrzewki? Aaa... Kupujecie w hurtowni? I zginęło wiadro cynamonu? – upewniła się.

– Mama dużo szaleć. Energia, pomysły... Wszystko przestawia. Nie ma wiadro. Nie ma dzisiaj *maman*. – Rozłożył ręce. – Musza cynamon mieć.

– To może zadzwoń do mamy, zapytaj – doradziła najprostsze rozwiązanie.

Luk zaczął się dziwnie wykręcać.

– Dzwonię później, teraz jestem tu, z kobieta – zakończył

i pociągnął ją do auta. Tak, ciągnąć, gwałcić, upokarzać... – Kupia cynamon, potem co chcesz. Może być? Szybko kupia, na Dąba skoczemy. Dużo sklepów.

– To może pojedziemy do hurtowni?

Znowu ta mina, jakby Luk postanowił zmierzyć ekierką Spodek.

– Hurtownia duże korki, całe Katowice. Dąb. Szybko i dużo sklepa zrobimy.

– I będziesz kupował po torebeczce?

Pokiwał głową i Ryszarda w końcu zyskała pewność, bo nie taszczyła już przed sobą patery. Luk popatrywał na jej biust. Ale nie robił tego nachalnie. Po prostu. Jakby nosiła koszulkę z napisem: „Panie Boże, spraw, żeby się nie gapił na cyki”. – Tak, tak – wymruczał.

Chce po torebeczce, Ryszarda nie widziała problemu. Włożyła kurtkę, poprawiła włosy, wszystkim ładnie podziękowała i była gotowa do drogi. Luk prowadził. Nie ujechali daleko, zaledwie na Dębową, gdzie zaparkowali przy Żabce. Właśnie tam doszło do małych perturbacji związanych z pasami. Ryszarda nie mogła się wyswobodzić, Luk ruszył uwieszonej na pomoc, ciała się zetknęły, usta dziwnym trafem również. Zetknięcia były najwyższej próby i Ryszarda zaczęła się zastanawiać, jak to jest z francuskimi kochankami.

Może to nie mit?

Francuski kochanek tymczasem zniknął z obłędem w oczach w spożywczym, a Ryszarda przypomniała sobie, że Misia poprosiła ją o wysłanie listu adresowanego do Piotra Marchewki – gdyby przypadkiem przechodziła obok poczty. Akurat nie przechodziła, ale mogła, poczta znajdowała się zaraz za Żabką, na rogu. Zamknęła więc

auto i drobnymi kroczkami ruszyła przed siebie. Na pewno zdąży przed powrotem Luka, który od razu uprzedził, że pewnie obleci pół ulicy, bo tego cynamonu potrzebował sporo.

Poczta była malutka, kiszkowata.

Okienko znajdowało się na końcu pomieszczenia – było przeszkloną klatką, w której siedziała dziewczyna młodsza od Ryszardy, ze znudzoną miną, przeliczając właśnie dzienny utarg i na ten widok...

Ryszardzie przeskoczyły w umyśle jakieś szufladki, których istnienia nawet nie podejrzewała. Taki mały, szybki klik. Przecież chciała uregulować sytuację z ZUS-em, z Zakładem Utylizacji Społeczeństwa, który to zakład nie dał jej szansy, który zmienił jej życie w koszmar. Nie wiedzieć skąd, miała zdobyć obłądne pieniądze, inaczej czekało ją więzienie albo apartament w hotelu Pod Mostem, gdzie ilość gwiazdek liczono gołym okiem i pod gołym niebem. Nikt nie znał litości, nikt nie pytał, czy będzie miała za co jeść.

Tymczasem papierki za oknem szeleściły, a dziewczyna obrzuciła ją na dzień dobry zniechęconym spojrzeniem – zbliżała się dziewiętnasta. I wtedy Ryszarda uśmiechnęła się promiennie, zakupiła znaczek (o wysłaniu listu na śmierć zapomniała), po czym wróciła galopem do samochodu. Do samochodu, w którym wozila zestaw włamaniowy. Po tym, jak Zuza zauważyła w domku kominiarkę, Ryszarda wołała nie ryzykować i schowała rzeczy do bagażnika.

Szybko wydobyła reklamówkę i wskoczyła na tylne siedzenie, a potem zerkając co chwilę w boczne lusterko (sprawdzała, czy nie nadchodzi Luk), błyskawicznie się

przebrała. Legginsy, koszulka, trampki... Jeszcze tylko upięła włosy w koczek, przejechała ubrania rolką do czyszczenia, żeby nie został na niej żaden włos, i wyciągnęła spod siedzenia torbę z pistoletami zabranymi z Wiklinowej. Założyła rękawiczki, chwyciła czapkę i jeszcze pomachała przez okno Lukowi, który krążył po Dębie jak satelita.

To, co nastąpiło później, pamiętała jak przez mgłę.

Może popchnęło ją do tego primitivo? A może złudne przekonanie, że skoro była na randce z przestępcą, sama mogła dokonać przestępstwa? W każdym razie nie było się nad czym zastanawiać, bo im więcej się człowiek zastanawia, tym mniej robi. Gdyby szczegółowo planowała, rozważała rozmaite scenariusze, na pewno coś by poszło nie tak.

Więc rzuciła się na żywioł.

Nabrała powietrza, jak przed skokiem do wody, po czym wyprysnęła z auta i pobiegła do placówki Poczty Polskiej. Za drzwiami założyła kominiarękę, kiedy więc dziewczę za okienkiem uniosło wzrok, zobaczyło wycelowaną w siebie lufę pistoletu.

– Forsa! Ale już. A tylko naciśnij jakiś guziczek...

Dziewczyna zmieniła się w rzeźbę.

Z granitu albo z czegoś równie długotrwale powiązanego z wiecznością.

– Głucha jesteś? – ponagliła ją.

W końcu!

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy, była blada jak ściana. Ryszarda widziała w jej oczach nie tylko przerażenie, ale i galop myśli. Szkolona przez Hardego przestępczyni zdawała więc sobie sprawę, że ma mało

czasu. I kiedy wreszcie poczuła pod dłońmi upragnione banknoty, gdzieś z boku usłyszała głos:

– Przepraszam bardzo, a moja emerytura?

Przy stoliku siedziała wysuszone babinka w berecie z antenką (jak mogła jej nie zauważyć?!) i wbrew zasadzie „Made in Poland” wysyłała w kosmos tyle dobroduszości, tyle optymizmu, że Ryszardzie opadły ręce.



Całkiem przepadł.

Wiedział to już przed furtką, kiedy ją zobaczył.

Ryszarda wyglądała zjawiskowo.

Oczywiście niektóre kobiety naturalnie posiadały taką właściwość, że potrafiły się pomiędzy obiadem a kolacją przeobrazić z kuchty domowej w zjawiskowego motyla, ale tu chodziło o coś więcej. Z Ryszardy biło wewnętrzne światło, uśmiechała się do niego każdą swoją częścią, każdym włoskiem i kiedy uściskał ją na dzień dobry – niezbyt mocno, bo przecież niósł bezę – przeszedł go metafizyczny dreszcz. Jak na faceta, miał całkiem dobrą kobiecą intuicję, co zawdzięczał mamie, i czasami ta intuicja się odzywała. Tak jak teraz, kiedy mówiła mu, że Ryszarda zagości w jego życiu na dłużej. Podobało mu się zwłaszcza to, że niczego nie grała. Nie starała się udawać mądrzejszej, miłszej, bardziej błyskotliwej. Była szczerą. I bardzo w tej szczerości zabawna.

Więc przyrządził na jej cześć swój popisowy deser.

Tylko że potem zaczęły się schody.

Najpierw dał plamę z samochodem, ale to dlatego, że się spieszył i nie pomyślał – zostawił auto pod restauracją, a nie mógł przecież zabrać kobiety na randkę

dostawczakiem, w którym na dodatek woził trupa! Ryszarda jednak zaproponowała swój środek lokomocji i problem się rozwiązał. Tyle że później było wspaniale – potrafili ze sobą rozmawiać! – a jeszcze później okazało się, że zginęło wiadro z cynamonem. Nikt nie wiedział, gdzie jest, więc pewnie zabrała je *maman*, której często zdarzało się wziąć do domu to i owo, a potem przywieźć następnego dnia (może robiła ciasto z jabłkami). W każdym razie wolał do niej nie dzwonić, bo zaczęłyby się pytania. W hurtowni również nie zamierzał się pojawiać, zakupy były przecież rejestrowane, po co nadstawiać głowę.

Koniec końców, wylądowali na Dębie. Zamierzał skoczyć do Żabki, ale tu dostał jedynie dziesięć paczek przyprawy. Wiedział, że cynamon hamuje rozwój bakterii, i pewnie o to Zuzie chodziło. Co zamierzała zrobić z ciałem, pozostawało zagadką, ale czuł wielką ulgę na myśl, że w jego renault zapanuje znowu swojski chłodek, w którym nie będzie zajeżdżało trupem. Odpukać! Na razie zapach drastycznie się nie pogorszył, jednak tak bliska obecność śmierci wcale go nie cieszyła.

Po co się w ogóle w to pakował?!

Kobiety i ich tajemnice...

Odwiedził jeszcze dwa najbliższe sklepy, w których nabył dodatkowo tymianek i oregano (również zabijają bakterie), i stwierdził, że powinno wystarczyć. Wracając, dla świętego spokoju ponownie zajrzał do Żabki, dokupił kurkumy, po czym dziarskim krokiem pomaszerował do auta.

Drzwi zastał zamknięte.

A im bardziej zaglądał do środka, tym bardziej jego oblubienicy tam nie było.

Rozejrzał się lekko zaniepokojony, jeszcze bez złych

przeczuć, w końcu Ryszarda była kobietą i mogła na przykład zajrzeć do któregoś ze sklepów, ale oprócz nadbiegającego od strony poczty dziwadła w czerni, nikogo nie dostrzegł. Już teraz na ulicach zaczęło się robić pusto, mistrzostwa Europy w piłce nożnej, wiadomo.

– Wskakuj! – Stwór w kominiarce wyciągnął rękę z kluczykami, kliknął pilotem, po czym dopadł samochodu.

Tylko dlaczego krzyczał głosem Ryszardy?!

– Luk, do samochodu! Jedziemy!

Kiedy zrozumiał, że ukryte wśród kominiarki śliczne oczy należą do... NIEJ, upuścił z wrażenia zakupy.

– Szybko! – poganiała już ze środka, więc chwycił reklamówki i wskoczył za kierownicę.

W głowie kołatało mu tylko jedno pytanie – DLACZEGO?! – ale bał się je wypowiedzieć na głos.

– Jedziemy Chorzowską! I ruszaj powoli, jak gdyby nigdy nic...

Szybko, wolno, to w końcu jak?!

Ryszarda ściągnęła kominiarkę, a jej ogniste włosy rozsypały się pośród czerni. Sapała. Zza spodni wyciągnęła plik banknotów, pomachała nimi triumfalnie i oznajmiła:

– Zrobiłam to! Zrobiłam... Zawalczyłam o swoje. Choć tyle – dodała na koniec przeraźliwie smutno, po czym wybuchnęła równie rzewnym, jak niespodziewanym płaczem.

Luk najpierw się przeraził, a potem poczuł, że siedzi za kierownicą nie jak na szpilkach, ale jak na rozżarzonych węglach.

I jeśli natychmiast czegoś nie ustalą, odparzy sobie klejnoty.

– Co zrabiała? Co to jest?! – Nerwy zaczęły mu puszczać,

bo szedł na randkę z rudowłosym zjawiskiem, a obok siedziała chyba... rudowłosa włamywaczka. – Dobrze, nie mówię nic. – Wyciągnął rękę i spróbował ją pocieszyć, a wtedy Ryszarda przyłgnęła do jego ramienia, które zaczęło ociekać płynami, ale wcale mu z tą wilgocią nie było źle. Stwierdził nawet, że mógłby tak brodzić w wodzie, z Ryszardą w bikini, śliską, ciepłą... – Jedziemy do domu. *Oh, mon Dieu!* Szalone Polki, szalone!

– Ja... Ja... – Pochlipywała, cała drżąc, i zrozumiał, że chodzi o jakiś jej osobisty dramat, którego zakończenie właśnie oglądał. – Chciałam uczciwie, prosiłam... Ale dochodziła siódma, nikogo nie było, obadałam teren... I odebrałam od instytucji państwoweeeej!

Zaraz, która godzina?!

Luk ze stresu zapadł się w fotel. Powinien wyjąć ciało o dziewiętnastej! I zdaje się, że powinien również prowadzić tak, żeby go nie zatrzymała policja, tymczasem zdenerwowany gnał na złamanie karku.

Spokój, tylko spokój może ich uratować.

Skręcił w ulicę Złotą, przejechał kawałek, a potem gwałtownie przycisnął hamulec.

– Co się dzieje? – Ryszarda uniosła mokrą od łez twarz.

– „Uwaga, piesi!”. – Przeczytał napis na tablicy. – Uważać na koty nie, ale na piesy? – mruknął zdumiony. – Nic, jest dobrze. Taki kraj, Indie uważaj na krowy. Płakaj sobie... Nie, nie płakaj. – Z nerwów nie wiedział już, co mówi.

Rudowłosa uwolniła jego rękę, za to przytuliła się mocniej do boku, ale wyczuwał, że nawet wśród pochlipywań stara się go nie przygniatać.

Była mięciutka.

Nie jak kaczuska – jak stado nieopierzonych kaczuszek wykąpanych w coccolino.

Sam zaczął mięknąć.

– Co ty robiłaś? – Pogłaskał ją po policzku, wzruszony bliskością, jaka się między nimi wytworzyła. Nie było żadnych barier, czas również jakby ich nie dotyczył, a od Ryszardy biegł strumień dobrej energii i trafiał prosto w niego. Niespotykane. – W domu opowiadasz, tak?

– Wszystko opowiem, naprawdę. – Uniosła się znowu. – Ale obiecaj mi jedno...

– Tak?

– Że nikomu nie powiesz.

– Zgadywam. Tajamnica?...



Sławuś przed obiadem był mniej więcej w połowie pracy, ale Misia pilnie potrzebowała, żeby jej naprawił gniazdko w kuchni i wymienił włączniki. Więc stwierdził, że nadszedł czas na przerwę. Najpierw poszedł coś zjeść, potem zastukał do drzwi i ugrzązł na dole, dlatego Misia z Zuzą zainstalowały się w sypialni, piętro wyżej.

Ale Zuza nie przestawała nasłuchiwać.

– Skąd wiesz, że go nie porazi prąd? – spytała, uchylając drzwi. – Albo że nie rozpieprzy jakiegoś okolicznego transformatora?

– Jeszcze raz powtarzam. Tadeusz nie przysłałby nam partacza. Korzystajmy, bo ostatnio nic tu prawie nie robimy...

Rozejrzała się po pokoju, który został co prawda pospiesznie odświeżony, można w nim było spać i nie bać się koszmarów, ale Misia nie o takiej sypialni marzyła.

Bardzo chciała mieć romantyczne białe meble, tapetę w kwiatuszki, zasłony, obrazy i dużo, dużo innych rzeczy, ale póki co godziła się na estetyczną surowość.

Nie od razu Rzym zbudowano.

Czy tam Kraków.

– Przewali się akcja z trupem i się weźmiemy – obiecała Zuza. – A ze strony pana Tadzia naprawdę miło. Troszczy się. I w ogóle, widziałas, jak się tym gazem przejął?

Sąsiad rzeczywiście wyglądał na poruszonego i od razu zadziałał.

Co się chwali.

– Bo to przyzwoity facet. – Misi zrobiło się ciepło na duchu. – W ogóle mamy szczęście do ludzi. Ryszarda...

Zuza na dźwięk swojego ulubionego imienia opadła na stojący pod oknem fotel. Filizankę w niezapominajki wciąż ścisnęła w dłoni.

– Powiem ci... że ją źle oceniłam – wyznała z lekkim oporem.

Nie lubiła przyznawać się do porażek, ale jeśli doszła do wniosku, że się myliła, cóż, nie pozostawało nic innego. Jednak czy z tej okazji miała zadać w trąbę? Albo napisać do Teleexpressu i zawiadomić pół Polski?

– Z Ryszardą jest jak z tobą – stwierdziła Misia, układając się na poduszkach. – Pierwsze wrażenie jest tak silne, że trudno nie przykleić łątki. A ludziom szkoda czasu, żeby zgłębiać tajniki osobowości.

– Tyle jej nadokuczałam – rzuciła Zuza, uciekając spojrzeniem za okno, gdzie jeszcze przed chwilą widziały odstawioną Ryszardę w towarzystwie również wyelegantowanego Luka.

Pozornie w ogóle do siebie nie pasowali, ale Luk był

w swoją towarzyszkę tak wpatrzony, że Zuza aż westchnęła.

Czy Marchewka na jej widok wciąż dostawał małego rozumu?

A może mu już przeszło?

– Właśnie. Obrażałaś, dopiekałaś, a Ryszarda oddała nam całą swoją kasę – podsumowała Misia. – Trochę się z tym źle czułam, ale skoro dostajesz coś od serca... Trzeba docenić. Ryszarda ma charakter. A ty o swoim podłym charakterze już nie myśl – doradziła z uśmiechem, widząc, że mina przyjaciółki coraz bardziej rzednie. – Nie ma się co taplać w poczuciu winy. Wyciągnij wnioski i do przodu... Napisałaś list?

Zuza po wyjściu pani Beatki napisała trzy listy i z każdego była tak samo niezadowolona. W końcu stwierdziła, że pocztówka będzie lepsza, a że w całym remontowym zamieszaniu nie miała żadnej pod ręką, użyła białego kartonika z rajstop i popełniła zenujący *hand made*. Przynajmniej będzie wyjątkowo. Namalowała rycerza – a właściwie rycerzyka – na białym koniu, który potyka się o... żabę. Rycerzyk miał lekkie wodogłowie, za to gigantyczny miecz.

– Coś tam napisałam, o parapetówce również. O innych sprawach jest krótko i treściwie. Jeśli nie uwierzy, trudno. Włożyłam do koperty i dałam Ryszardzie, żeby wysłała po drodze.

– Ja też wysłałam SMS-a – wyznała Misia, która przecież obiecała, że się do Igły nie odezwie, ale jak inaczej miałby się dowiedzieć o przyjęciu? – I też krótkiego i treściwego. Zobaczmy, co z tego wyniknie... A jeśli chodzi o naszą parapetówkę...

– No?

– Wypadałoby już robić zakupy. Mamy tylko jutrzejszy dzień.

Zuza od razu nabrała energii.

– Jeśli o mnie chodzi, mogę nawet zaraz.

– Tylko najpierw chciałam coś z tobą obgadać – rzuciła z ociąganiem Misia. – Bo myślałam też o zakupach... ubraniowych.

– W końcu! – ucieszyła się Zuza, która uważała, że Misia jest atrakcyjna, lecz zaniedbana. – Ostatnio chodzisz tylko w roboczych gaciach. A Igła patrzył... I męski zapach mu zdychał i zdychał.

Misia się zamyśliła.

Faktem jest, że ostatnio zaprzętał jej głowę jedynie dom, ale przecież w życiu są różne etapy. Ma cały czas wyglądać jak gwiazda filmowa? Co za absurd. Jednak coraz częściej czuła się ze sobą źle. Może potrzebowała odmiany, tak jak Ryszarda?

– Mam co prawda wycici...

– Wycicikowane – weszła jej w słowo Zuza.

– Wycicikowane ciepłe bluzki – powtórzyła ze śmiechem.

– Ale na razie ich nie potrzebuję i zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam...

– Powinnaś – rozwiała jej wątpliwości Zuza, która również zaczęła się uśmiechać, z tym że jej uśmiech był daleki od tego z portretu Mona Lisy.

Jeśli natomiast Leonardo malowałby rekiny, Zuza śmiało mogła robić za modelkę.

– A gdyby tak wystąpić na imprezie w jakimś szalowym stroju? – Misia wyobraziła sobie oczy Igły. Bardzo chciała znowu zobaczyć w nich to przyjemne napięcie, z jakim ją

czasem lustrował. – Nie mówię, że w ekscentrycznym, ale...

– Kobieta nie powinna chodzić w jednym i tym samym worze – oznajmiła stanowczo Zuza. – Igła doskonale zna twoją szafę.

– To źle?

– Nie o to chodzi. Po prostu każdy potrzebuje odmiany, choćby ze względów higienicznych. Raz na jakiś czas przyda się nowy impuls. Każdemu. Nie mówię, że masz co drugi dzień biegać do H&M...

– Wolę Reserved.

– Nieważne. Trzeba sobie sprawiać radość, a że przy okazji będzie miał radochę i Igła...

– Dobrze. – Misia podjęła decyzję, choć pomyślała, że żadna szafa nie jest z gumy i jeśli w szafie regularnie rzeczy przybywa, może należałoby dla równowagi coś z niej wyrzucić. – To poszukamy nowej piżamki, a stara pójdzie do kosza.

Zuza miała rację, w ferworze walki nie można zapominać, że jest się kobietą. Sprzętów w domu było aż nadto, po co być jednym z nich. Ale na pewno nie zamierzała przesadnie szaleć.

– A! – zakrzyknęła przyjaciółka i Misia już się przestraszyła, bo Zuza była gotowa bez pytania zgłosić ją do programu *Sablewskiej sposób na modę*. – Widzisz, musimy pamiętać o rękawiczkach.

– W zestawie z piżamką?

– W zestawie z Krzemińskim. Nie możemy zostawić na nim odcisków palców.

– Na człowieku? – powątpiewała Misia. – W dodatku nieżywym?

– A pasek od spodni? Dotkniesz przez przypadek i pozamiatane. Rękawiczki chirurgiczne obowiązkowo, dla Luka też. Kupimy w aptece. Plus kilka sztuk szerokiej taśmy klejącej. Folię budowlaną mamy?

– Całe trzy rulony, leżą w garażu.

– Czyli mniej więcej jesteśmy przygotowane – stwierdziła z zadowoleniem Zuza. – To co? Jedziemy do Silesii. Zakupy na sobotnią kolację i odnowa w duchu odzieżowym...



Ząb go już nie bolał.

Choć trudno stwierdzić, gdzie kończył się ból zęba, a zaczynał ból szczęki – ta Iglę rwała jak diabli. Wciąż była nieco spuchnięta, jednak przynajmniej mógł mówić jak człowiek.

Bolało go za to serce.

Po całości.

I tu nie musiał się zastanawiać, ból był związany z Misią. Ciągnęło go do niej i odpychało jednocześnie, co nie było takie złe, bo jakaś polaryzacja w uczuciach musi być, inaczej nie ma ruchu. A brak ruchu oznacza tylko jedno. Śmierć.

Ciągnęło go z wiadomych powodów, kochał ją szalenie, natomiast naoglądał się różnych historii. Wystarczy wspomnieć choćby jego rodziców. Żarli się ze sobą całe życie, ale dopóki w domu były dzieci – on i siostra – trzymali wspólny front i zgodnie wyżywali się na nich. Taki mieli system i już. Tragedia zaczęła się z nadejściem emerytury, kiedy gniazdo opustoszało. Najpierw dochodziło do drobnych niesnasek, potem do awantur o byle drobiazg, a w finale każdy zamieszkał w osobnym pokoju. Rzecz

jasna życie towarzyskie zastąpił im telewizor, oboje ślali sobie też mordercze spojrzenia nad pomidorówką. Pełna paranoja w M-3. Nic dodać, nic ująć.

A może on nie chciał tak żyć?

Obowiązku nie miał, dokonywał wyborów, ale jego ostatni związek przebiegał bardzo podobnie. Skończyło się, kiedy podsłuchał rozmowę swojej byłej z koleżanką, która głosem wyroczni delfickiej przytoczyła nad garem rosołu największą ze swoich złotych myśli: „Chłop powinien wszystko zreć i wszystkiego nie wiedzieć”. Kiedy się więc wysilił i jednak dowiedział, nie był jej już w stanie dotknąć. Zresztą i tak by się skończyło, po kilku latach romantyczność zwyczajnie zdechła, żyli jak rodzeństwo, a własnej siostry jednak nie ma się ochoty konsumować.

Więc Igła sobie wymyślił, że wspólne mieszkanie to jednak nie najlepszy patent.

Dopóki Misia nie kupiła domu, jakoś się udawało, po prostu żyli ze sobą, ale w osobnych mieszkaniach. Zakres wolności może i był znikomy, ale był – mógł rzucić na własną podłogę spodnie. I była ta rozkoszna świadomość, że nie są związani na śmierć i życie, że nie nosi na czole pieczętki: „Zakontraktowany. Mój ci on, nie muszę się starać”.

Ale Misia się starała, czasem nawet za bardzo.

Teraz na przykład dzięki jej staraniom czuł się jak grający w szachy, który usłyszał: „Szach i mat”.

Tadeusz Zawadzki...

Nie, Misia taka nie była. Kochała go. Po prostu zaistniały pewne okoliczności przyrody, a okoliczności przyrody mają to do siebie, że są zmienne. Tadeusz Zawadzki był jak ta mżawka za oknem: męcząca, dokuczliwa, ale jednak...

przelotna.

Tak oto rozmyślając, Igła natknął się przypadkiem na ogłoszenie na OLX, gdzie de facto szukał słuchawek: „Sprzedam działkę budowlaną. Chorzów, Akacjowa...”. Nie wierzył! Z boku pokazał się telefon, więc nie zwlekał. Po krótkiej rozmowie z właścicielem ustalił kilka faktów, jeszcze raz obejrzał posesję na Google Maps (działka znajdowała się dokładnie z boku domu Misi i naprzeciw chaty Zawadzkiego), po czym stwierdził, że gdyby jednak dostał kredyt albo mógł liczyć na pomoc siostry, tym genialnym posunięciem rozwaliliby cały system.

Miał sobie darować?



Luk już wcześniej tak zaparkował renault, żeby nie musiał wlec sztywnego Krzemińskiego przez pół podwórka. Łudził się, że wystawi go z lodówki tuż przy tylnym wejściu do domu, które było niewidoczne od strony ulicy, i że nie będzie przy tym żadnych komplikacji.

W swoim scenariuszu nie przewidział jednak gościa.

I to nie było jakiego.

Ryszarda była tak wzburzona, że należało ją pocieszać. Mocno pocieszać. I długo. Roztaczać opiekę, tulić, a przede wszystkim usiłować ją pomiędzy tym wszystkim zrozumieć, bo historia, jaką właśnie opowiedziała – krwiożerczy ZUS plus narzeczony bandyta! – zrobiła na Luku tak piorunujące wrażenie, że oprzytomniał dopiero po kwadransie.

– Zostawasz tu – powiedział do Ryszardy, którą celowo zaprosił na górę, chcąc sobie w ten sposób zapewnić swobodny dostęp do łazienki. – Ugotuję niespodziewanka

w kuchnia.

– Może ugotujemy razem? – Ryszarda pociągnęła nosem, już pełna życia, a nawet patrząca wkoło przytomnie, znacznie przytomniej niż przed chwilą, kiedy to zapewniał ją pocałunkami, że były narzeczony łotr i morderca to żaden problem. Żaden!... – Mam dużo pomysłów. Ale prostych, proste są najlepsze. Na przykład sfareczki ze szmalczykiem.

Luk długo analizował nazwę dania, ale uznał, że musi chodzić o coś z kuchni śląskiej.

– Ugotowana będzie teraz ja. Ty nie. Pół godzina?

– Ojej, to dużo czasu... – Nie potrafiła ukryć żalu. – Może mi pokażesz?

O mało nie parsknął śmiechem.

– Szczymaj się – zaproponował, ale chyba użył złego słowa, bo tym razem zaśmiała się Ryszarda.

– Szczym? – spytała z hultajską miną i stwierdził, że coraz bardziej ją lubi.

Tyle że teraz z kolei on niczego nie zrozumiał, w odpowiedzi więc uniósł brwi.

– Mam wytrzymać? – odgadła.

Uwielbiał inteligentne kobiety!

Pocałował ją więc jeszcze raz, pobiegł na dół po białe wino, orzechy, oliwki oraz babskie gazety, które przynosiła *maman*, a potem usiłował złapać dwie sroki za ogon: musiał w pół godziny uporać się z trupem i przygotować kolację.

Przezornie zaczął od kurczaka, do którego natchnęły go zakupione przyprawy, przecież do *ailes de poulet aux épices* – aromatycznych skrzydełek kurczaka – potrzebował właśnie między innymi cynamonu i kurkumy. Wymieszał

je w foliowej torebce z mąką, solą, pieprzem cayenne, sproszkowanym imbirem oraz czarnym pieprzem, po czym wrzucił do środka skrzydełka i potrząsnął. Doskonale. Piec już się nagrzewał, więc mógł skoczyć po zwłoki.

Niestety, Krzemiński w postaci zamrożonej tuszy nie chciał współpracować.

Był paskudnie ciężki i nieporęczny. W dodatku od przenikliwego chłodu rozboleły Luka ręce. Pobiegł więc po rękawice kuchenne (samochodowe dziś rano wyrzucił!) i tak zastały go Misia z Zuzą, które na szczęście nie użyły domofonu, ale zakradły się konspiracyjnie na podwórko, ponieważ brama była otwarta.

Zuza już chciała się z nim głośno witać, więc ją uprzedził.

– Ryszarda góruje – wyszeptał, pokazując rękawicą na dach i Misia z Zuzą zadarły głowy.

– Po co tam wlaźła? – domagała się odpowiedzi Zuza, na szczęście szeptem. – I czemu jej nie spławiłeś?

– W domu jest. Cała trzęsała. Poszłem...

– Poszedłem – poprawiła odruchowo, ale Misia ją upomniała.

Zdaje się, że była w szampańskim humorze.

– Nie przeszkadzaj. Poszł, bo może miał krócej – perswadowała. – Poszedłem to by było, jakby miał kawał...

– Może i tak. A może się zaraził od Ryszardy – wyraziła przypuszczenie Zuza i to już Luka zaniepokoiło.

– Zaraził? Choroba jakaś? Czemu zaraził i Ryszarda?

Jeśli coś groziło Ryszardzie, chciał wiedzieć!

– Nie, spokojnie, nie chodzi o syfilis – uspokajała Zuza, ale jej uśmiech wydał się Lukowi podejrzany. – Mówimy o języku.

– Co z języku? Coś w języku ma?!

- Jak się człowiek nie obróci, wszędzie wenerologia...
- Zuza! – przemówił kategorycznie. – Ryszarda zdrowa?
- Ale że umysłowo? Umysłowo... – zaczęła z wahaniem, ale w końcu do rozmowy włączyła się Misia.
- Wszystko w porządku – zapewniła i dopiero teraz odetchnął. – Nieporozumienie językowe.
- A, pomyłek w języku!
- W języku – potwierdziła Misia, przyglądając się rękawicom. – Coś gotujesz? Umawialiśmy się na dwudziestą.

Na dwudziestą!

Przez moment zastanawiał się, co odpowiedzieć, ale naraz poraziła go myśl, że Zuza nie przyszła sama. Przecież zobowiązała go do tajemnicy przed Misią! Dlaczego te kobiety robiły z nim, co chciały?!

– Zostawacie tu. – Nie było czasu na obszerne wyjaśnienia. Po prostu uznał, że koniec z podchodami. – Wsadzam mięso do piekarnika – zapowiedział groźnie i już chciał pędzić do kuchni, kiedy Zuza złapała go za rękę.

– Do jakiego piekarnika? Mięso...

– Skrzydełka. Kurczak. Trup w lodówka.

Piekarnik i lodówka w kuchennym zestawieniu nieco zaciemniły obraz, więc wyjaśnił, że jeszcze nie zdążył wyciągnąć Krzemińskiego z auta.

Zuza nie była zadowolona.

– Roztopi się po drodze... Fatalnie.

– Możemy zrobić dziurę w folii, od dołu, i na miejscu spuścić wodę. A potem zakleimy. – Misia znalazła rozwiązanie, jednak Luk wciąż nie rozumiał, więc machnął ręką. Niech sobie kobiety ustalą co ważniejsze szczegóły, on musiał wsadzić skrzydełka do pieca i zajrzeć do

Ryszardy.

Stanął w sypialni lekko zadyszany, ale szczęśliwy i zdaje się, że pachnący przyprawami, co doskonale się składało. Rudowłosa wyciągnęła do niego ręce jak po ulubiony smakołyk, niebiosą się otworzyły...

– Muszę cię na chwilę przeprosić – usłyszał, kiedy już rozwiązał zagadkę kodu nieśmiertelności (zapięcie stanika!), a Ryszarda, ku jego zaskoczeniu, usiłowała się wyplątać z objęć. – Poczekasz?

Czy poczeka?! Będzie czekał aż do śmierci...

A właśnie!

– Długo czekać? – spytał, bo jednak Zuza z Misią pewnie miały na dole problem.

– Pięć minut, muszę do łazienki – wyjaśniła wstydliwie.

– Tu łazienka, na górze ty. Ja do łazienki w parter. Pięć minut. Dobra?

Ustaliwszy okoliczności tête-à-tête, pognał z powrotem na dół i stwierdził, że jeszcze kilka takich rundek, a padnie na zawał. Tym bardziej że na podwórku nikogo nie było i nieźle się przestraszył. Dopiero dźwięki dochodzące z renault zasygnalizowały, że jego współpracownicy są w środku.

Ostrożnie otworzył drzwi...

– My już działamy – zawiadomiła Zuza ubrana w jego puchową kurtkę, którą samowolnie wyciągnęła z szafy, ale po co się czepiać szczegółów. Misia stała w polarze *maman* i wsypywała przyprawy do porcelanowej salaterki, którą przywiózł z Chin.

Dookoła ich postaci unosiły się, niczym aureole, delikatne mgiełki z pary.

– Stwierdziłyśmy, że nie ma sensu go przenosić, skoro nie jest rozmrożony – objaśniła Misia. – I tak pojedziemy

twoim autem. Panierujemy, a potem będziemy go zawijać. Przepraszamy za kurtkę i polar, ale bardzo tu zimno...

– Na zdrowie – rzucił grzecznościową formułkę i nie bardzo wiedział, co dalej.

Ryszarda stygła!

– Idź, my tu jeszcze potrzebujemy około dwudziestu minut – zdecydowała Zuza i mimo że zaczynał już marznąć, miał ją ochotę gorąco uściskać. – Albo pół godziny.

– Boże, jak zimno. – Misia zadrżała i zaczęła posypywać ziołami egzaminatora, który leżał już na podłodze, przygotowany do owinięcia folią. Luk zyskał tym samym pewność, że logistycznie do eliminacji trupów te dwie nadawały się jak nikt. Pełen profesjonalizm. – Zuza ma rację, idź. Gdzie kucharek sześć...

Jakich kucharek?!

Złapał się za głowę i wyskoczył na zewnątrz.

Nie chciał teraz niczego analizować, teraz chciał zupełnie innej aktywności i postanowił, że nie przeszkodzi mu w tym nawet martwy Krzemiński!

– Pół godziny, pół godziny – powtarzał jak zakłęcie i kiedy sprawdził kurczaka, a potem pomyślał o Ryszardzie, zrobiło mu się tak gorąco, jakby stał w grudniu pod budką z napisem FAST FOOD.

A może SEX SHOP?

Nieważne, musiał być szybki!

Wbiegł w podskokach na górę i... Zamierzał otworzyć drzwi, kiedy zerknął do środka, bo były lekko uchylone. Ryszarda, rudowłosa Ryszarda, zmysłowa i seksowna, przetaczała się po łóżku w dziwnych pozach. Już jego serce zalała czułość (ćwiczyła?!), kiedy zaraz zrozumiał, że coś

jest nie tak. Pozy nie wyglądały na pozycje. A właściwie jej ciało wyginało się, ponieważ usiłowała... ściągnąć rajstopy! Które przylegały do tych ślicznych nóg jak przyspawane.

Zapukał.

Kiedy wszedł, jego bogini siedziała spłoszona na dywaniku, w połowie tylko wyglądając zza łóżka, a na jej twarzy gościł nerwowy, nieporadny uśmiech.

I wtedy Luk się domyślił.

Kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, również nie pojmował – leżała na polanie, z nogami wycelowanymi w niebo i była w tym jakaś mistyka, jakieś immanentne połączenie z kosmosem. A potem zerwała się z miejsca, chwyciła za... No, właśnie, do dziś nie bardzo wiedział, do czego służył ten tajemniczy przyrząd, ale jeśli to było to, co podejrzewał, nawet poczuł ulgę.

– Żyławasz się? – spytał najczulszym głosem, żeby wiedziała, że ma w nim wsparcie, że nie musi niczego ukrywać. – Żyła masz pękła? Chora?

Ryszarda opuściła oczy.

– Widziałeś?

– Karate i... to na nogi. Co to jest? Nie majtki, nie skarpeta...

– Rajstopy. To są specjalne medyczne rajstopy uciskowe, tak się nazywają. Na zakrzepicę – wyznała z ciężkim sercem i wbiła w niego spłoszone spojrzenie, jakby przeproszała, że czar prysł. – Nie umiem ściągnąć, jak mam spuchnięte nogi. A dzisiaj chodziłam w szpilkach, stresowałam się...

– Każda żyła, każda uściskowa rajstopa w porządku – zapewnił, posyłając jej krzepiący uśmiech, po czym usiadł na łóżku. – Widziałem filma o choroba żyłowa. Twoje nogi

śliczna. I buzia, i...

Tak, we dwoje można nie tylko przenosić góry, ale i ściągać rajstopy.

Zwłaszcza rajstopy.

A potem sukienkę, koszulkę...



Marchewka się nie poddawał.

Mimo że zawieszony, od rana analizował całą zgromadzoną w sprawie dokumentację (wcześniej przezornie ją sfotografował), wydzwaniał do znajomych i z tego wszystkiego wynikło mu jedno: Zuza musiała się jakimś cudem wplątać w sam środek rozpracowywanej przez nich afery. Nie bez znaczenia pozostawał fakt, że mieszkała dokładnie na tej samej ulicy, co podejrzany, znała go, ale z pewnością przyczynił się do tego również jej, delikatnie mówiąc, nieprzewidywalny charakter.

Ale żeby porywać zwłoki?!

Niestety, komórka Kuby milczała.

Może nie całkiem, bo około południa kumpel wysłał mu SMS-a: „Edward to kot”, ale na szczegółowe wyjaśnienia Marchewka nie mógł liczyć. Dobre i tyle.

Kot.

Nie facet.

Żeby nie oszaleć z bezradności, postanowił zadzwonić do Igły.

– Jak tam? – zagadał i miał na myśli ząb, ale Igła mówił już jak człowiek, więc domyślił się że rekonwalescencja przebiegała pomyślnie.

– Bywało lepiej, ale nie jest gorzej – padła odpowiedź. Nieco enigmatyczna. I nie chodziło o treść, Igła nie lubił się

rozgadywać przez telefon, ale coś w głosie kumpla Marchewkę zastanowiło.

– Czyli?...

– Czyli jak dobrze pójdzie, zostanę posiadaczem ziemskim.

– Aha – potwierdził bardziej dla podtrzymania rozmowy, wciąż nic nie rozumiał, ale nie zamierzał naciskać.

– Masz chwilkę? – spytał nieoczekiwanie Igła.

– Mam nawet kilka chwilek.

– Za dwadzieścia minut? U ciebie?

Igła pojawił się nie tylko z rewelacją dotyczącą zakupu działki na Akacjowej, ale i strzelił w Marchewkę nazwiskiem.

– Michał Krzemiński, egzaminator w Wewnętrznym Ośrodku Ruchu Drogowego. To on został zabity. Nieoficjalnie. Oficjalnie figuruje jako zaginiony. Nie stawiał się w pracy, nie ma z nim kontaktu.

– Wiedziałem! – Marchewka aż podskoczył w miejscu. – To on egzaminował Zuzę.

Igła przytaknął.

– Ostatni sygnał z komórki chłopaki namierzyli przy Silesii. I mają nagrania z kamer parkingowych. Nie wszystko widać dokładnie, bo różne auta zasłaniały. Ale Zuza jest poza podejrzeniami.

– Widziałeś? – zapytał złakniony Marchewka.

– Nagrania? Nie. Mówię, co mówili.

– Skąd ona bierze te pomysły?! – Komisarz sapnął z niedowierzaniem i zobaczył w myślach kruchą brunetkę o błękitnych oczach. Ten trzepot rzęs i słodka minka, jakże były mylące... – Założę się, że chciała kupić prawko! Bo jak inaczej? Już przy siódmym razie się odgrażała... Musiałem

jej wybijać z głowy.

– Nie potwierdzam, nie zaprzeczam, ale się zgadzam – spuentował Igła. – Dostałeś SMS-a?

– Dostałem.

– Czyli wiesz?

– O kocie?

– O parapetówie.

– O jakiej parapetówie?!

Igła nie tracił czasu na tłumaczenia. Wyciągnął telefon i Marchewka przeczytał zaproszenie Misi, na które Igła odpisał tylko jednym słowem: „Będę”.

– Wspaniale – skomentował Marchewka i opadł na krzesło. – Czyli mnie całkiem skreśliła.

– Nie dostałeś?

– Nie.

Pocieszanie jakoś nie leżało w ich zwyczaju, więc zamiast siedzieć i gapić się w ścianę – tudzież w telewizor, gdzie niebawem miał lecieć mecz – podjęli szybką decyzję. Rozgrywka Polska–Niemcy ważna sprawa. Ale gol do własnej bramki jeszcze ważniejsza. Skoro Kuba nie odbierał, może należało mu złożyć wizytę?

Na Akacyjowej.



Ryszardzie zdarzało się, że kiedy czekała na prawdziwie wielki dzień, tworzyła w głowie jego szczegółowy przebieg, radośnie się przygotowywała, a potem odliczała dni, wielki dzień nadchodził i... kończył się spektakularną klapą. Albo przynajmniej rozczarowaniem.

Dlatego z tym konkretnym czwartkiem nie łączyła zbyt wielkich nadziei.

To znaczy nadzieje łączyła, debiutowała w nowej roli, co by z niej była za kobieta, gdyby nie łączyła. Ale coraz częściej starała się nadmiernie nie emocjonować. Tak było również i dzisiaj.

Starala się mniej więcej do obiadu.

Potem najwspanialszy mężczyzna na świecie upiekl SPECJALNIE DLA NIEJ bezę i Ryszarda w najróżowszych snach nie przypuszczała, że tak ją zetnie z nóg. Z uwielbienia. Garbaty nos Luka zabawnie rozjeżdżał się w uśmiechu na boki, policzki również, a jego oczy miały najpiękniejszy lazurowy odcień, jaki kiedykolwiek widziała. W dodatku migotały w nich srebrne plamki.

Poza tym Francuz był mądry i szanował kobiety; inaczej niż Hardy, który co prawda do Ryszardy odnosił się dobrze, ale już inne przedstawicielki płci pięknej traktował ze zmienną sympatią. To był zły znak i szkoda, że go zignorowała. Ale już więcej nie popełni takiego błędu. Trzeba ich umieć obserwować. Dzisiaj na przykład zauważyła, że Luk z takim samym szacunkiem odnosi się do niej, jak i do kelnerów, a to przecież znaczące.

I tak oto czwartek, który miał być co najwyżej ważnym czwartkiem, stał się w życiu Ryszardy Kociołek czwartkiem granicznym. Odtąd dzieliła czas na przed czwartkiem starej ery i po czwartku nowej ery. A to dlatego że zrozumiała, że nigdy z żadnym mężczyzną nie łączyła jej głębsza więź. Nie przeżyła niczego silniejszego od tego przemożnego poczucia bliskości, które pojawiło się znikąd, nad którym nie trzeba się było zastanawiać, które było naturalne. Po prostu naturalne i dobre. Przy Luku w Ryszardzie odzywała się jej najlepsza część.

Jeśli nie liczyć napadu na Poczta Polska.

Co ją do tego podkusiło, nie starała się nawet zrozumieć; może frustracja, może napięcie, w jakim do niedawna żyła? Ale skoro podjęła decyzję, że sobie poradzi, nie mogła się cofnąć. Nerwy puściły jej dopiero wtedy, gdy spojrzała w oczy staruszki, która była tak niepozorna, że złała się ze ścianą i stołem, a w której oczach można było... Tu Ryszarda się wahała, nie знаła zbyt wielu wzniosłych słów, ale faktem jest, że dawno nie widziała w czyichś oczach tyle zgody na biedę. I tyle radości, mimo że starsza pani miała na sobie wytarty i pocerowany płaszcz.

Dlatego coś w niej pękło.

Na szczęście był Luk.

Mogła mu wszystko opowiedzieć, a on rozumiał.

Potem przeszli na mniej werbalne sposoby komunikacji i wtedy już w ogóle zapało jej dech. Tak musiało być w raj. Niestety, kiedy pomyślała o niebiańskiej krainie, naturalną kolejną rzeczy odezwało się i piekło, bo gdy Ryszarda zrozumiała, jak wiele dał jej los, przeraziła się, że zaraz to straci.

Owca i baran...

Czy nie tak wyraził się Lary? „Owieczka raz dwa wyciągnie kopyta. I jeszcze został do odstrzału jeden baran”. Hardy działał błyskawicznie. Dlatego ona również nie powinna tracić czasu. Najchętniej wtuliłaby się w Luka i przespała tak całą noc, ale najpierw musiała zadbać, żeby po nocy przyszła kolejna. I kolejna. Żeby spędzili ze sobą jeszcze wiele spokojnych i bezpiecznych nocy. Kiedy więc rozkosze przebrzmiały, ucałowała Luka namiętnie, założyła przy jego pomocy rajstopy (jak wspaniale dzielić z kimś zakrzepicę!) i obdarowana nieco przypieczonymi skrzydełkami kurczaka, popędziła... jak na skrzydłach do

siebie.

Okna i drzwi u dziewczyn zastała zamknięte, czym wcale się nie zmartwiła, bo dziś wieczorem nie zamierzała siedzieć w domu. Jednak szybko okazało się, że Ryszarda Kociołek i jej nowy mężczyzna mają bardzo podobne plany.

I nie tylko oni.

Pierwsze zdziwienie poczuła, widząc w odjeżdżającym dostawczaku Zuzę i Misię! Czego zupełnie nie potrafiła wytłumaczyć – przecież kiedy wróciła do domku, Misi już nie było. A Luk wyjechał z podwórka dosłownie w kilka minut po tym, jak odprowadził ją do furtki.

Czy tu nie działo się czasem coś podejrzanego?!

O nie, już nikt jej nie zrobi w balona!

Ryszarda z prędkością tornada dopadła samochodu i pognała najpierw Akacjową, a potem w górę, Wschodnią. Na skrzyżowaniu przeżyła mały dylemat, ale wiedziona szóstym zmysłem skrzyła w Siemianowicką. Przy drodze do restauracji znowu się zawahała, przecież Luk wspomniał, że jeszcze dzisiaj wróci do pracy, ale coś mówiło Ryszardzie, że powinna jechać Bytkowską, na Dąb.

I to był strzał w dziesiątkę.

Zobaczyła ich w oddali, aż zaśmiała się w duchu, a potem już tylko chciało jej się płakać, bo jak budować związek, skoro tuż po wyjściu z łóżka siedzi facetowi na ogonie? Ale z drugiej strony, ohydny żabojad ją oszukał! Może Francuzi tak mają? Może te trójkąty, czworoboki to u nich normalka?

Dobrze, w takim razie ona, Ryszarda Kociołek, powie, co sądzi o tej odrażającej geometrii!

Ale im dłużej jechała za Lukiem, tym jej zdziwienie rosło, ponieważ wycieczka coraz bardziej zaczynała się pokrywać

z trasą, jaką Ryszarda wytyczyła sobie na dzisiejszy wieczór. Z Chorzowskiej skierowali się na Bracką, później wjechali w Bocheńskiego i dobili do autostrady. Potem już pozostał skręt we Francuską, a stamtąd było zaledwie kilkadziesiąt metrów do celu Ryszardy – Komendy Wojewódzkiej Policji w Katowicach.



Kuba zaszył się tam, gdzie Igła z Marchewką poprzednio – przy kamienicy na Wschodniej. Do wieczora wspierały go dwa inne wozy, ale przed dwudziestą wszyscy zwinęli się do domów, na mecz. Na widok Marchewki nadzwyczajnie się więc ucieszył. Z Igłą wymienił koleżeński uścisk dłoni i zaprosił ich do środka.

– Sam na polu bitwy? – Marchewka od pierwszych słów skierował rozmowę na konkretne tory, nie przyszedł tu przecież, żeby rozmawiać o pogodzie.

– Człowieku, za nic stąd nie pójdę – zapierał się rękami i nogami, wskazując na laptopa, na którym miał... podgląd na całą Akację.

Widocznie oni głaskali Przepiórek nie pod ten włos, co trzeba.

– Nieźle – ocenił Igła, śląc Marchewce znaczące spojrzenie.

– A te kamerki na rozdzielni wasze? – zapytał mimochodem Kuba, ale wcale nie oczekiwał odpowiedzi. Za to jego uśmiech mówił, że o kamerkach nikt się nie dowie, zwłaszcza pani prokurator. – Słuchajcie, takich agentek jak wasze panny to ze świecą szukać! – rzucił zafascynowany. – Opad szczęki.

– Jak by to powiedzieć... – zacukał się Marchewka. –

Dziękujemy.

Igła chrząknął, a Kuba pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Co tu się wyprawia... Lepsze niż *Moda na sukces* – zarechotał. – Dużo lepsze. Szczęściarze z was, widzieć coś takiego na żywo... A jeszcze uczestniczyć?! – Poklepał komisarza po ramieniu i Marchewka czułby się chyba podobnie, gdyby miał sukę i otrzymał komplement: „Dobra sunia, waleczna aż miło. Zagryzła trzy osoby”.

– Taaa... A na jakim jesteście etapie? – spytał.

– Wszystko powoli się zazębia. – Kuba porzucił entuzjastyczny ton. – Ale przyjęliśmy zasadę „przeczekać”. Na razie oficjalnie nie występujemy, kładziemy uszy po sobie. Żadnych przesłuchań, za to sporo podsłuchań. – Pokazał na aparaturę.

– Słusznie – docenił taktykę Igła, a Marchewce zaraz coś przyszło do głowy, wręcz na czole pokazała mu się migocąca błyskawica, ale Kuba od razu ją dostrzegł.

– Wybacz, stary, ale później sobie posłuchasz – uprzedził przepraszająco. – Mogę ci tylko powiedzieć, że twoja Zuza jest jak ta lilija...

– Ale...

– No, właśnie, jest jedno ale... – Kuba wszedł mu w słowo. – Wszystko się kręci dookoła niej. Nie wiem czemu, ale fakt pozostaje faktem. Dlatego pozwalamy jej... działać. Trup pod palmą, musiałbyś to widzieć! – Znowu ten błysk w oczach. – O! – zakrzyknął, bo z furtki Francuza wyszła Ryszarda i zaraz zaczął się ruch.

Ledwie Ryszarda zniknęła w domku dla gości, z bramy wyjechało znane Marchewce renault, a obok kierowcy zasiadały Misia z Zuzą. Widzieli je co prawda krótko, ale zarówno Igła, jak i Marchewka stwierdzili, że dziewczyny

przypominają bałwany. Zdaje się, że były w kurtkach. Latem?!

– Dokąd ich niesie?

– Zaraz się przekonamy – powiedział z ożywieniem Kuba i wskoczył na fotel kierowcy.

Ruszyli.

Na wysokości Bocheńskiego zorientowali się, że mają towarzystwo.

– Jedzie za nami Ryszarda – poinformował Igła, nie odrywając wzroku od wstecznego lusterka.

– Ha, ona też jest niezła! – ocenił Kuba. – Narzeczona Hardego...

– Hardy siedzi. – Igła z Marchewką zareagowali tak samo.

– Może też powinna dostać stałą asystę. Ale i tak nie mam ludzi... – dokończył z żalem policjant i skupił się na drodze.

Zjechali właśnie z autostrady, kiedy dotarło do nich, że renault zamierza zaparkować pod komendą. Na parkingu otoczonym od tyłu szpalerem drzew. Dość zastanawiająca lokalizacja...

– Co jest? – Kuba z przejęcia dostał chrypki.

– Nie możesz posłuchać? – zasugerował Marchewka, równie zdenerwowany.

Igła też wyciągał szyję w stronę instrumentów.

– Wojtek pojechał na mecz, nie chcę mu tam grzebać – rozwiał ich nadzieje Kuba. – Poza tym nie mamy ucha w samochodzie. To by było piękne, mieć wszędzie pluskwy. Ale tak pięknie nie jest...

– Czyli macie tylko jakieś fragmenty? – dopytywał rozczarowany komisarz.

– Niektóre wystarczą – zapewnił Kuba, ale miał na myśli zgoła inne rozmowy niż Marchewka. – Nic się nie przejmuj. Jak się niektórym puści ich teksty, rury będą miękkie. Już się nie mogę doczekać...

– Ale co one wyprawiają?! I czemu tutaj?! – Marchewka szalał.

Igła próbował go ujarzmić wzrokiem, ale komisarz nie życzył sobie w tym momencie żadnych kontaktów wzrokowych. Z nikim!

– Pomyślmy. – Kuba również usiłował nie tracić głowy. Dlatego w trakcie jazdy jego koledzy poznali całą historię związaną ze zwłokami Krzemińskiego. – Jak sądzę, mamy tu trupa w lodówce i komendę policji...

– Chcą oddać?!

Kuba potarmosił swoją nastroszoną czuprynę.

– Żartujesz? – włączył się Igła, który nie uważał się za optymistę.

Był raczej realistą, z opcją pozytywnego postrzegania rzeczywistości.

– O, i to jest dobry trop! – Kuba dzięki Igle w końcu ustalił coś pewnego. – Nie możemy myśleć utartymi schematami. Obawiam się, że wasze panie nie idą na łatwiznę. – Zaśmiał się, ale spojrzał na Marchewkę. – Na pewno nie chcą oddać. Na tysiąc procent. Pani Zuza pewnie sądzi, że może być podejrzana o morderstwo...

Marchewka aż cały ścierpł, bo uzmysłowił sobie, że ostatnio Zuzie nie pomagał. A musiało być jej ciężko. I faktycznie nie pozwolił jej niczego wyjaśnić, zapieklił się w swoich podejrzeniach, uwikłał w domysłach, a przecież nie chciał słuchać tylko siebie. Chciał słuchać Zuzy.

Jego niewesołe rozważania przerwał Igła.

Od pewnego czasu nie odrywał wzroku od renault, zaciskał w zamyśleniu usta, a w tym momencie roześmiał się na całe gardło. Rechotał szczerze i długo, w końcu otrzeźwiał, przetarł oczy i oznajmił zdumionym kolegom:

– Skubane! One go chcą nam podrzucić...



Jurek Kulebiak ważył ponad sto kilogramów.

I chociaż nie wyglądał na grubasa – był po prostu dobrze zbudowany – żyło mu się gorzej niż kilka lat temu. Poruszał się wolno, często odczuwał zmęczenie, co chwilę łapał go katar, a ostatnio na widok wyników badań, lekarz postraszył go cukrzycą. Nadciśnienie tętnicze i podwyższony cholesterol stwierdzono u niego trzy lata temu.

A ledwie przekroczył czterdziestkę!

Nie brzmiało to wszystko optymistycznie, tym bardziej że miał na utrzymaniu rodzinę. Żonę i dwójkę dzieci. Co zrobią, jeśli go zabraknie? Cukrzyca to nie żarty. Jego ojciec zmarł na cukrzycę. To znaczy zmarł z powodu niewydolności nerek, ale nerki rozwaliała właśnie ona. I to cukrzyca spowodowała, że ojciec ośleplł.

Podstępny słodki zabójca.

Dlatego Jurek Kulebiak postanowił całkowicie zmienić swój sposób odżywiania.

Przede wszystkim zrezygnował z mięsa, co było trudne, ponieważ mięso kochał. Mógłby je jeść na śniadanie, obiad, kolację, a na deser najchętniej przegryzłby frankfuterkę. Przez pierwszy tydzień chodził więc jak struty, a na widok marchewki i ogórka go cofało. Wszędzie widział mięso, wszędzie czuł jego obezwładniający zapach. Żeby nie

zwariować, ustalił, że mięsem będzie się cieszył tylko w czwartki. Tłusty czwartek. No, może nie tłusty, nie można przesadzać, ale dziś żona ugotowała mu na parze kurczaka, do osobnego pojemnika nałożyła całe mnóstwo sałatki colesław (żadnych ziemniaków, stosował dietę rozłączną!) i Jurek właśnie się tym raczył.

Przyjemność była podwójna, bo w malutkim telewizorze, jaki stał w budce strażniczej, transmitowano mecz. Brakowało tylko piwka, ale nie można mieć wszystkiego. Rozkoszne chwile przerwał jednak służbowy telefon.

– Panie Jureczku, mam do pana słówko. – W telefonie usłyszał Kubę Prucza i odsunął talerz.

– Tak jest!

– Przeprowadzamy mały eksperyment i byłbym wdzięczny za pomoc...

– Słucham, panie inspektorze. – Poprawił się w miejscu i przyciszył telewizor, ale nie odrywał spojrzenia od ekranu.

– Jakby pan tak otworzył kilka okien w piwnicy...

– Teraz?

– W przerwie meczu. – Prucz zaśmiał się wyrozumiale i Jurek poczuł do niego jeszcze większą sympatię. – I w ogóle jakby pan był dziś wieczorem ślepy i głuchy. A już najlepiej, gdyby pan, powiedzmy... Na kwadrans zszedł z posterunku.

– Też w przerwie meczu?

– A może pan oglądać na komórce?

– Mam tableta – oświadczył dumnie strażnik.

– To w takim razie dam znać. Zapewne jak się trochę bardziej ściemni. Dobrze. Panie Jurku...

– Tak?

– I proszę się niczemu nie dziwić. Wszystko pod kontrolą...



Siedzieli w tej ciasnej kabinie już pół godziny!

Zaparkowali auto przy drzewach, tyłem do ściany krzaków i przezornie wystawili zwłoki na zewnątrz, gdzie mogły odtajać (Misia zrobiła na dole dziurkę, przez którą schodziła woda). Ukryty pośród roślinności Krzemiński wyglądał jak nieforemny pakunek, nic więcej. Poza tym zaczynało się robić ciemno.

W końcu!

Plusem oczekiwania, aż świat spowiją egipskie ciemności, było to, że Zuza z Misią wyjaśniły Lukowi cały plan. Długo nad nim myślał, ale w końcu wyraził umiarkowaną aprobatę, jednak nie potrafił się powstrzymać, co chwilę wzdychał i rzucał komentarze o temperamencie Polek.

– Gotowi? – Zuza zerknęła na wyświetlacz, gdzie sprawdziła godzinę, po czym jeszcze raz porozumiała się wzrokiem ze swoimi współnikami i powtórzyła to, co już ustalili. – Ja zagaduję strażnika – poprawiła bluzkę – a w oczekiwaniu i niepostrzeżenie wnosicie trupa. Potem wchodzę na obiekt, że niby umówiłam się tu z Marchewką, i działały...

– Ale on jest cholernie ciężki. – Misia już wysiadła z samochodu.

Luk i Zuza za nią.

– Ciekawe. W lodówce miał pusto – zdziwiła się Zuza.

– Zaglądałaś mu do lodówki?

– Kalendarza my szykali – wyjaśnił Luk, usiłując objąć lodowatego Krzemińskiego od tyłu. – Tusza duża –

stwierdził. – Będzie problema z... niespostrzeżenie.

– Niepostrzeżenie.

– Kalendarza w lodówce? – Misia wciąż nie potrafiła zrozumieć.

– Kalendarza szukaliśmy w całym domu, ale byłam głodna. Edek też. – Zuza uznała, że jest usprawiedliwiona.

– A w lodówce krajobraz norweski. Przestrzeń i wiatr się telepał. Więc nie wiem, od czego on tyle waży – sapnęła, usiłując wziąć ciało za nogi. – Rzeczywiście! Jak waleń... Może wyżerał Edkowi karmę? – Tknięta nagłą myślą, zachichotała.

Całe towarzystwo wraz z nią.

I w ogóle, im bliżej finału, tym było im weselej.

– Na karmie dla kotów by się taki ciężki nie wyhodował.

– Misia pokręciła nosem, czego jednak nie było widać, w tej części parkingu było już prawie ciemno. – W karmach jest popiół.

– Piół? Co to? – chciał wiedzieć Luk, bo wszystko, co dotyczyło jedzenia, choćby dla zwierząt, budziło jego szczere zainteresowanie.

– Popiół?! – Zuza już trzęsła się od śmiechu, możliwe, że nieco histerycznego, ale kiedy wyobraziła sobie, że Misia tłumaczy Lukowi definicję popiołu, ciągnąc po ziemi zwłoki...

– Już nic nie mówię – zastrzegła przyjaciółka. – Co mu tak może w środku ważyć? – zaczęła się na nowo zastanawiać.

Wśród chichotów.

– Kiszka! – zabłysnął Luk, który ku swojemu zdziwieniu również dobrze się bawił. A terminy masarskie miał opanowane.

– Ślepa – dodała radośnie Zuza. – Nic nie widać!

Misia przywołała się do porządku i oznajmiła niby poważnym głosem:

– Wątroba jest największym organem.

– À propos organu... – zaczęła Zuza, ale Luk po prostu zatkał jej usta. – Fuj! – zaraz zaprotestowała, czując na wargach talk z rękawiczki chirurgicznej. – Ja tylko chciałam powiedzieć, że jest jeszcze śledziona.

– Śledziona? – powtórzył Luk. – Ciii... Słyszecie?

Ale Luk nie żartował.

Złapał Zuzę za rękę i wyszeptał:

– Za samochód siedzi ktoś... Śledzi nas.

– Śledziona! – zaśmiewała się Misia, która w ciemności nie widziała poruszenia swoich towarzyszy.

– Zajdę od tyłu, rozmawiaj z Misią. – Zuza po wydaniu komendy Lukowi cicho okrążyła renault, później pokonała jeszcze odległość dwóch samochodów, obeszła je i...

Staneła oko w oko z tylną częścią Ryszardy Kociołek.

– Bu! – zakrzyknęła jej nad uchem.

– Ojej! – Ryszarda chyba złapała się za serce, ale tego Zuza nie potrafiła w ciemności ocenić. – Zuza?!

– Nie, pani premier rządu. Co ty wyprawiasz? Jechałaś za nami?! – natarła.

Jeszcze im tu trzeba było Ryszardy!

– Jak ktoś kłamie, nie można tego ignorować!

– Kobieto, stoisz na parkingu i bredzisz...

– A ty co tu robisz? – Ryszarda pozwoliła sobie zadać kłopotliwe pytanie. – Co robisz z Lukiem?

– Z Lukiem? Prowadzę pogawędkę towarzyską. O podrobach.

Ale Ryszarda nie pozwoliła się zwieść słówkami.

Poruszyła biustem, jakby tym samym zamierzała ruszyć świat z posad, i przeszła do czynów. Po chwili stała już przed Lukiem, domagając się odpowiedzi na kłopotliwe pytania.

Misia z Zużą dla odmiany zamilkły.

– Powiedz jej o trupie, bo nie da nam żyć – rzuciła tylko Zuza. – Ale się streszczaj, zaraz się całkiem rozpuści.

Po dziesięciu minutach w kabinie dostawczaka doszło do porozumienia. Porozumienie przybrałoby z pewnością inną formę wyrazu, ale czas płynął. Zuza zapukała więc znacząco w drzwi, a z renault wyfrunęła para gołąbków.

I trzeba było zmienić plan.

– Ryszarda, będziesz naszym planem B – oznajmiła Zuza.

– A nie mogę być C? – zapytała z żalem miłośniczka francuskich kucharzy, poprawiając figlarnie ramiączko biustonosza.

– Duże B. Lepiej? W każdym razie siedzisz w krzakach i trzymasz rękę na pulsie.

– Ja mam pulsa – ogłosił radośnie Luk, zupełnie nie zwracając uwagi na nikogo poza Ryszardą i żeby z tym skończyć, Zuza podjęła kroki.

Odciągnęła Ryszardę na stronę.

– Ogarnijcie się – przywołała gołąbki do porządku, bo właśnie wpadła na kolejny, rewelacyjny pomysł. Wyciągnęła z samochodu ułożony na siedzeniach koc. – Aha! Może walniemy Krzemińskiego na to i będziemy ciągnąć? O rany! – Zamarła.

– Co?!

– Strażnik wyszedł. – Zuza przyłgnęła wzrokiem do sporego faceta, który zamknął właśnie budkę i począł do centrum dowodzenia. – Zaczynamy!



Niebo, mimo że czarne, zaczęło się przejaśniać.

Księżyc wisiał nisko, był rozarty po brzegach, jakby spowijała go mgła, a kształtem przypominał niewydarzone białe jajko. Świat był nawilgocony, pachnący ziemią i zbutwiałymi roślinami.

Oraz... końskim nawozem.

Tak, zapach nawozu wkomponowywał się w ten nocny klimat mocno naturalnie.

– A alarm? – Misia już chciała otwierać furtkę, ale w ostatniej chwili się cofnęła.

Wracały właśnie do domu po akcji z trupem, po co wszystkich budzić. Dlatego Zuza rozejrzała się, dla pewności pomogła sobie metodą organoleptyczną, ale na ogrodzeniu nic nie wisiało.

– Ostatnia wychodziła Ryszarda. Nie zawiesiła.

Misia z zadowoleniem odnotowała, że przyjaciółka darowała sobie kąśliwą uwagę o ich nowej współlokatorce, ale też dziś w nocy doszło do czegoś, co można by nazwać próbą ognia.

Akcja pozbycia się ciała Krzemińskiego przebiegła nad podziw sprawnie.

Przeciągnęli go na kocu pod budynek, gdzie okazało się, że sprzątaczkі musiały robić wietrzenie magazynu. Obydwa okna rupieciarni stały otworem, więc nie można było takiej okazji przepuścić. Zapakowali ciało do środka, tu również nie napotkali żadnych przeszkód, nie trafili na żadnego pracownika. Zuza upchnęła egzaminatora na końcu wąskiego korytarza, gdzie posadzili go między ścianą a szafą. Przystawili z Lukiem jedną z półek, którą potem

zasypali kartonami i wszelkim innym dobrem: na kupkę trafiły chemikalia, gazety, jakieś butelki i stary monitor od komputera. Samo odrzucenie tego szmelcu musiałoby zająć sporo czasu, więc rosły szanse, że zwłoki tu przezimują.

Gorzej było z odwrotem.

Siedzieli w ukryciu dobrych dziesięć minut i już rozważali różne opcje, kiedy w fazę realizacji wszedł plan duże B.

Do budki strażnika zbliżyła się rozbujanym krokiem... Ryszarda!

Grzecznie się przywitała, zaczęła trzepotać rzęsami i biustem – niekoniecznie w takiej kolejności – więc nie czekając, co z tego wyniknie, skoczyli przez trawnik, przez ulicę do zaparkowanych pod ogrodzeniem samochodów, a tam już pod osłoną drzew pokonali płot.

– Tłumaczę panu, że przyszłam złożyć zeznania – słyszeli Ryszardę bardzo wyraźnie, celowo starała się mówić głośno. – Jeden z aresztantów planuje ucieczkę... Nazywam się Ryszarda Kociołek i mam informacje z pierwszej ręki.

Fenomenalne posunięcie.

Pełni uznania wskoczyli do samochodu i tu nastąpiła krótka narada, bo trzeba było rozstrzygnąć: zwiewać czy czekać. Jednak Ryszarda i tak przyjechała własnym środkiem transportu, a składanie zeznań musiało trwać. Dlatego Luk wysłał Ryszardzie SMS-a, obiecał na nią zaczekać u Misi i Zuzy i pognał na Akacjową.

– Woni tu... – ocenił, kiedy już zaparkował auto na swoim podwórku i przeszedł przez ogród.

– Woń natury. – Misia skończyła właśnie walkę z zamkiem, ale w przedpokoju czekała ich niespodzianka.

– A gdzie światło? – spytała zdumiona Zuza, próbując

odszukać włącznik, który jednak nie działał.

Kiedy natomiast włączało się światło w kuchni, działało, owszem, z tym że w salonie!

Misia ściągnęła buty i już zamierzała zająć się rozwiązaniem problemu, kiedy na podłodze dostrzegła list do Marchewki. Podniosła go (Ryszarda pewnie wsunęła kopertę pod drzwiami), położyła na komodzie, po czym dołączyła do Luka i Zuzy. Niestety, ona również nie знаła się na elektryce, podobnie jak... Sławuś.

– To jest jakiś niewydarzony głąb – piekliła się Zuza. – Miał tylko naprawić kontakt. W kuchni!

– Jutro poprawi – próbowała uspokajać Misia, ale i ona nie wyglądała na zachwyconą.

– Kopie prąd, nie dotykam. – Luk bardzo się zmartwił, jednak także nie umiał pomóc.

– Ale czajnik działa – oznajmiła z ulgą Zuza, która już odkręcała wodę. – Nie wiem, jak wy, ale ja zjem konia z kopytami. Koń... – rzuciła filozoficznie, pociągnęła nosem, po czym zmieniła decyzję. – Już chyba wolę świnie. Może dlatego, że nie mam bliższego kontaktu z jej odchodami.

– Możemy ugotować fasolkę szparagową. – Od tematów związanych z elektrycznością Misia wolała tematy kulinarne. – Po takich przeżyciach trzeba się jakoś pokrzepić...

– Nie znajdą go? – upewnił się Luk i najchętniej poszedłby do kuchni, do Misi, ale sam nie lubił, kiedy ktoś myszkował w jego królestwie.

Ale Misia zaraz go zawołała, rozstawiła w kuchni świeczki i zrobiło się przyjemnie.

– W Polsce? Coś ty! – Zuza stała twardo na ojczystej

ziemi. – W Polsce każdy szuka, ale swojego. W tym magazynie zrobią porządek za trzy lata, jak im zaczną brakować miejsca. A i tak łatwiej przeznaczyć na magazyn nowe pomieszczenie niż sprzątnąć stare.

– Naprawdę? – Luk usiłował się nie dziwić, co jednak mu nie wychodziło.

– Naprawdę – potwierdziła Misia, wyjmując z lodówki fasolkę. – Zobaczcie! – zawołała uradowana, bo do kuchni po cichu wszedł rudy kot.

Usiadł w progu i przez chwilę im się przyglądał. Potem chyba uznał, że są bandą nudziarzy, gdyż nagle ziewnął, wachlując imponujących rozmiarów wąsami.

– Edek! – Zuza popadła w euforię i ledwie się powstrzymała, żeby go nie porwać w ramiona, ale doskonale znała kocie zasady: będę chciał pieszczot, dam znać. – Jak on tu wszedł?

– Otworzyłam okno w salonie – wyjaśniła Misia, zerkając za drzwi.

– Ale jak mu się udało wyjść z domku? Ryszarda na pewno zamknęła.

Zagadka jednak nie była trudna do rozwiązania.

– Przecież tam na strychu jest jakaś dziura – przypomniała Misia, zastanawiając się, co na nowego mieszkańca powie Pyza i maluchy.

Na kocie wdzięki pozostał odporny jedynie Luk.

– Moga telewizor? – zapytał. – Dziennika oglądać? Czy nie mówi coś policja...

Zuza uznała, że szkoda czasu.

Gdyby znaleziono ciało, i to w takim tempie, w akcie kapitulacji przystałaby do wyznawców Latającego Potwora Spaghetti. Ale skoro Luk się upierał, przyniosła laptopa

i włączyła TVP3 Katowice. Jeśli chcieli informacji z regionu, trafili pod właściwy adres.

Już klikała w zakładkę Aktualności, kiedy jej uwagę przyciągnął nagłówek: ZŁODZIEJKA O ZŁOTYM SERCU.

Co za licho?

Wiedziona ciekawością otworzyła okienko podglądu i... przeżyła wstrząs.

– Pomocy! O, ja cież pierniczę, nie wierzę... Ryszarda!

– Gdzie?!

Zaalarmowani jej okrzykiem Luk i Misia znaleźli się tuż obok i wspólnie obejrzel relację.

– Czy można kraść, ale myśleć o innych? – zapytał aksamitnym głosem prowadzący. – Okazuje się, że tak, i o tym precedensie grzmia dzisiaj wszystkie media. W godzinach wieczornych w dzielnicy Dąb w Katowicach doszło do napadu na urząd pocztowy. Sprawczynią była... kobieta.

Tu obraz zaczął mrugać i śnieżyć, a na ekranie pokazała się zamaskowana postać w kominiarce, która wymachiwała do urzędniczki... pistoletem! Nagranie trwało półtorej minuty, było raczej niewyraźne, ale w chwilę potem ukazała się fotografia, którą Zuza widziała na początku: wyszczerzonej w uśmiechu i odstawionej Ryszardy przed okienkiem pocztowym. Szczerze mówiąc, nie wyglądała zbyt inteligentnie, zresztą zdjęcie również nie powalało jakością.

– Policja uważa, że to prawdziwa twarz podejrzaney, ponieważ właśnie ta osoba pojawiła się na poczcie kilka chwil przed napadem. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że sprawczyni nie zauważyła, że oprócz niej w pomieszczeniu znajduje się ktoś jeszcze...

W tym momencie kamera najechała na twarz starszej pani – poranej zmarszczkami, zmęczonej. Kobieta spojrzała przenikliwie na dziennikarza, ale nie chciała rozmawiać. Odwróciła się, powiedziała cicho „Przepraszam” i chybotliwym krokiem ruszyła przed siebie, trzymając się brzegu chodnika.

– Pani Kazimiera przyszła na pocztę po odbiór swojej emerytury i będąc świadkiem dramatycznych wydarzeń, nie straciła głowy. Upomniała się o swoje. I tu dochodzimy do pointy tego niecodziennego zdarzenia, gdyż złodziejka, niczym Janosik w spódnicy, oddała staruszce pieniądze. I to z nawiązką. Tego dnia z placówki Poczty Polskiej zginęło dwanaście tysięcy złotych. Policja prosi o kontakt osoby mogące przyczynić się do ujęcia podejrzanej...

– Może to ktoś inny? – Misia pierwsza przerwała milczenie i patrzyła na przemian to na Luka, to na Zużę. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. – Tak głupio się uśmiecha, że to jej zmienia twarz. Wygląda jak... nie Ryszarda. W dodatku ta nowa fryzura... Jeszcze się nie przyzwyczaiałam. I wszystko niewyraźne.

– I całe szczęście! – Zuza uważała tę okoliczność za wyjątkowo pomyślną. – Ale to ona. Na pewno ona! Poznam to durne, naiwne spojrzenie wszędzie... – Spuściła z tonu, zerkając na Luka, który bladł coraz bardziej. – W każdym razie, mogli ją pokazać nawet w samej czapce. I tak bym nie miała wątpliwości.

– Ale dlaczego to zrobiła? Prawdziwy napad?... – Misia bezradnie kręciła głową. – I ten pistolet...

W ogóle nie kojarzyła Ryszardy z przemocą.

Jak na ironię, zahaczyła właśnie wzrokiem o filizankę z motywem niezapominajek.

– A pamiętasz, co mówiła? – Zuza uprzejmie wspomniała niedaleką przeszłość. – Składzik z pistoletami Hardego. Się wziął i został. I nawet ją zachęcałaś, żeby tam pójść i zabrać. Żebyśmy się miały czym bronić.

– Ja?!

– A ja?! Ja też... – dodała po chwili samokrytycznie Zuza.

– Boże, ale jesteśmy kretynki nad kretynkami! – zreflektowała się. – Ciemnoty śląskie prekambryjskie. A o Sławusiu mówię, że niewydarzony...

– Ale co?!

– Przecież ona podpytywała! Ryszarda... Coś o odbieraniu pieniędzy od państwa, pamiętasz?

Pamięć Misi pracowała jednak dzisiaj na zwolnionych obrotach.

– Nie wiem, może.

– Śmiałam się, że jak chce odbierać od państwa, powinna kraść ludziom miesięczne.

– A! – Misia wreszcie skojarzyła, ale to nadal nie tłumaczyło...

Chociaż właśnie tłumaczyło!

– ZUS! – wyrzuciła z siebie tylko jedno słowo, ale wszystko stało się jasne.

Zuza stanęła skamieniała pośrodku kuchni.

– ZUS – powtórzyła cichym głosem. – Przecież wciąż wisi nad nią dług... Zupełnie wywietrzało mi z głowy, a ona już nic nie mówiła. Zresztą, po co miała mówić, skoro widziała, że my też cienko przedziemy.

– Więc postanowiła sobie radzić sama – powiedziała gorzko Misia i poczuła się jeszcze gorzej. – Straszne z nas sobki.

– Okropne... – W tej chwili Zuza spojrzała na

skurczonego na krześle Luka i ją tknęło. – Ty!

– Nic nie zrobiłem, przysięgam – zaczął nagle płynnie mówić po polsku, poza tym od początku rozmowy nie patrzył im w oczy, milczał...

– Ty coś wiesz!

Luk nie potrafił jednak przekonująco kłamać, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. Wobec kobiecej przewagi liczebnej uległ. Zresztą wieczór nie należał do zwyczajnych. Skoro w powietrzu i wszechświecie latały odkrywane tajemnice, postanowił rozprawić się i z tą. Ostatnią. Ryszarda dowiedziała się o trupie, więc może nie miałyby nic przeciwko, gdyby zdradził szczegóły dotyczące poczty.

– Dobrze, wiem... – poddał się wreszcie. – Na Poczta Polska będzie. Tylko o ZUS-a pierwsze – zastrzegł. – Bo była Ryszarda w ZUS-a prosić. I tam świnia mężczyzna...

Opowieść trwała dosyć długo, przerywały ją liczne pytania, ale kiedy Luk skończył, oburzenie Misi i Zuzy sięgnęło zenitu. Już nie przeżywały poczty, ale gruboskórność dyrektora ZUS-u. Podłego wieprza, chama i przeniwiercy. Ryszarda ubierała się dość egzotycznie, fakt, co wcale nie znaczyło, że trzeba ją było traktować jak tancerkę go-go.

Solidarność kobieca przybrała dość nieoczekiwany kształt.

Zuza, która była pierwsza, żeby krytykować zarówno wygląd, jak i sposób bycia Ryszardy, wpadła w taką złość, że trudno ją było uspokoić. Miotła wyzwiskami, biegała z rozwianym włosiem od stołu do czajnika i w końcu coś postanowiła.

– Tak być nie będzie! – zagrzmiała. – Urzędnik państwowy i takie buractwo?! To ja mu zrobię wygnanie

z raj, jesień średniowiecza i... Czwarte powstanie śląskie w jednym!

– Co to jest te wszystkie te? – dopytywał z lękiem Luk, który najchętniej uciekłby do siebie, ale obiecał Ryszardzie czułe powitanie. Większość życia spędził otoczony kobietami, ale te tutaj to były nadkobiety, takich kobiet się bał, mogły go wessać, wyssać i jeszcze nie wiadomo co.

Misia również przeczuwała, że nie jest dobrze.

– Obawiam się, że dyrektor ZUS-u będzie musiał nanieść zmiany w swoim CV... – powiedziała, obserwując Zużę, która toczyła wkoło rozjuszonym spojrzeniem.

Potem jednak nastąpiło to, czego najbardziej się obawiała.

Zuza usiadła na krześle, a jej twarz przybrała nagle wyraz granitowego spokoju.

– Michalina, Luk... – zaczęła. – Wobec powyższych faktów, jestem zmuszona zastosować specjalne środki perswazji. Społeczeństwo należy uczyć. Każdy, absolutnie każdy musi się w swoim życiu określić. Ja wybrałam jasną stronę mocy.

– Jasnej nocy? – usiłował nadażyć Luk, ale nikt nie spieszył z wyjaśnieniami.

– Ten człowiek powinien dostać nauczkę – podjęła Zuza. – I osobiście jestem gotowa unieść karzącą rękę sprawiedliwości. Zastosujemy metodę... strzykawkową – przekazała swoją decyzję niczym ordynator zespołowi lekarzy.

Tylko czy pacjent nie był już martwy?...

Misia jęknęła.

– Nie...

– Tak.

– Co to jest szczykawkowa? – Luk nie ustawał, aż Misia

dała znak, że potem wszystko objaśni.

– Z takimi kmiotkami nie można się cackać. – Zuza nie przyjmowała żadnego sprzeciwu. – On musi przeżyć WSTRZĄS. Tylko wstrząs może takiego człowieka skłonić do refleksji.

– Ale chyba nie chcesz mu uświadomić, że wstrząsasZ ZUS-em z powodu Ryszardy? – przestraszyła się Misia. – Bo wtedy Ryszarda będzie mieć przekopane. Dołożą jej Poczta Polską i dostanie pokój na Mikołowskiej, obok Hardego.

– Za kogo ty mnie masz? – zapytała lodowatym tonem Zuza. – Na tym polega zemsta. Zimna. Nikt nie będzie wiedział, kto za tym stoi. Będziemy jak duchy...

Luk miał już dosyć.

Było późno, brał dziś udział w upychaniu trupa na komendzie policji, był kierowcą złodziejki i aktualnie słuchał jakiegoś metaforycznego bajdurzenia. Czy nikt się z nim nie liczył?

Wstał.

– Co będzie?! – spytał twardo. – Mówicie czy wychodzić mam? Szczykawki, duszy...

– Duchy – poprawiała odruchowo Misia i również zerwała się z miejsca. – Siadaj, proszę. To może teraz ja? – zaproponowała, a Zuza uprzejmie skinęła głową.

– Przetłumacz z polskiego na ich, po co nam męskie histerie...

– Czasem zdarza się, że wszystkie środki porozumienia zawodzą, a ktoś nie zna litości – zaczęła Zuza, ale na twarzy Luka gościło wciąż to samo znużenie. – Inaczej... Ktoś cię krzywdzi i ma za nic twoje uczucia. Co robisz?

– Dawam twarza.

– Leje po mordzie – wtrąciła Zuza, ale Misia czuła, że świetnie sobie radzi.

– Czyli wybierasz działanie?

– Robiam coś. Tak, obrona.

– W Polsce jest tak, że nikt nie może decydować o swojej przyszłości. Nie możesz pójść do pracodawcy i powiedzieć, żeby ZUS nie odciągał składek, i to niemałych, że chcesz sam.

– Co: sam?

– Że chcesz sam zadbać o swoją emeryturę.

– Ale Ryszarda nie w emerytura. – Luk zaczynał się gubić i Misia uznała, że faktycznie cudzoziemcowi trudno to wszystko ogarnąć. Może niepotrzebnie usiłowała nakreślić szerszy kontekst. Zresztą, kiedy sama się w to zagłębiała, również czuła rosnącą wściekłość.

– Polacy to sprytny naród – zaczęła więc z innej beczki.

– O, tak...

– I dlatego muszą sobie radzić. Dyrektor potraktował Ryszardę paskudnie.

– Bardzo! – zgodził się Luk.

– I dlatego my weźmiemy strzykawki, napełnimy je czymś bardzo cuchnącym...

– Okropnie cuchnącym – podkreśliła Zuza.

– ...i złożymy w ZUS-ie wizytę.

– Co to szczykawki? – Luk powtarzał jak mantrę, więc Misia podeszła do szuflady i zaprezentowała narzędzie zbrodni. Dokładnie to, którym karmiła Gryzoldę i Madeja.

– Aaa... Wciskać coś smrodne?

– Można na przykład wystawić na słońce jajka w woreczku – zapaliła się Zuza. – Całe. Ale woreczek musi być szczelnie zamknięty, bo nie wytrzyma, tak cuchnie.

Poczekasz, zrobi się jajeczna zbukowa zupa...

Misia na samą myśl zamknęła oczy, a Zuza już z ekscytacją kontynuowała:

– I wtedy bierzesz strzykawkę z cienką igłą, nabierasz tego magicznego eliksiru i maszerujesz do instytucji, w której cię źle potraktowano. Aplikujesz porcyjki... Na przykład między framugi, w szczeliny ścian, w kanapy, meble, krzeselka. W takie miejsca, skąd tego zapachu nikt nie usunie...

– *Oh, mon Dieu!* – Luk otworzył z wrażenia usta. – Chcecia robić to?! Brawo, brawo! – krzyknął po chwili zawieszenia, a Misia z Zuzą uznały, że oto odezwał się w nim duch francuskiej rewolucji. – A Ryszarda?

– Pytasz, czy ją wtajemniczymy? – zastanowiła się Misia i spojrzała na przyjaciółkę. – No, nie wiem. I tak ma dosyć zmartwień. Poza tym, jak się rozpęta afera, na pierwszy ogień pójda dłużnicy. Na pewno będą ją przesłuchiwać... Koziół ofiarny zawsze musi być.

Zuza w zupełności się z nią zgadzała.

– Nie mówimy. Lepiej nie. Po co ma się wygadać? Za szczerą jest...

– Tylko... – Misia wybiegła myślami jeszcze bardziej do przodu. – Smród smrodem, ale żeby nie było smrodu w papierach, mam pewną propozycję.

– Znowa? – Luk wypuścił powietrze.

– Sprzedamy dwa najdroższe urządzenia – rzuciła z mocą, zerkając na drzwi salonu, gdzie wciąż stały przywiezione z Feminy sprzęty. – I tak się ruszyło, zarobimy na nowe – zaczęła przekonywać, ale Zuza już uśmiechała się od ucha do ucha.

W końcu jakieś konstruktywne rozwiązanie.

– Genialna myśl!

– A ja? – Luk nie pozwolił, żeby go ignorowano. I to w takiej sprawie. – Jaka długa Ryszarda?

– Będzie z metr siedemdziesiąt. – Zuza zachichotała. – A w ZUS-ie ma do oddania coś około trzystu tysięcy. Tak że jeśli szłaby drogą napadów na Poczta Polską... Kiepsko.

– Płaca też ja. – Luk nie chciał już nic słyszeć o poczcie. – Razem płacama i Ryszarda wolna. Umowa stoja?



Ryszarda wróciła z komendy dopiero o pierwszej w nocy.

Potwornie zmęczona.

Poszła jeszcze do dziewczyn pożegnać się z Lukiem (czekał!), ale potem była już w stanie tylko wziąć kąpiel. Oczywiście ciepła woda wciąż pozostawała w sferze marzeń, a u Misi jeszcze się świeciło, więc wskoczyła w piżamkę, włożyła kapcie z puszką, zabrała przybory toaletowe i ruszyła z powrotem przez ogród.

– Przepraszam, że tak późno... – zaczęła, kiedy Misia jej otworzyła, już w szlafroku.

– Nic nie szkodzi, przed chwilą jeszcze zawieszałam alarm, a teraz... Układam życie uczuciowe Zuzy – dodała z poczuciem winy i pomachała komórką. – Wchodź. Chcesz do łazienki?

– Tak, z przyjemnością bym się wykąpała. A raczej zagrzała... Układasz? Czyli jest przewrócone?

Misia zaśmiała się dźwięcznie, ale w jej uśmiechu pobrzmiwała troska.

– Może nawet wywrócone, i to do góry nogami. Tak samo zresztą jak moje... Ale jeśli mogę pomóc Zuzie i zaprosić Marchewkę...

– Nie wysłałam listu – przypomniała sobie Ryszarda, bo to mogło być ważne.

– Tak, znalazłam go pod drzwiami.

– Wsunęłam. Przepraszam, ale na poczcie... – zawahała się. – Na poczcie było... Zastrasza... Zamieszanie. Duże zamieszanie. I duża kolejka.

– Nic nie szkodzi. – Misia zaprosiła ją gestem do kuchni, gdzie paliło się kilka świec. – Dlatego nie zamierzam się mocno wtrącać. Po prostu piszę Marchewce, żeby zajrzał rano na kawę. I dam mu list. A, i zapraszam go na sobotę, na parapetówkę. Ciebie również, rzecz jasna.

– Mnie?! – Ryszarda ogromnie się ucieszyła, uwielbiała wszelkie imprezy.

– Przyjęcie bez ciebie? W ogóle nie ma mowy!

– A... będzie Luk? – spytała z ociąganiem. Misia mogła to odebrać jako sugestię, a przecież lista gości była jej prywatną sprawą.

– Będzie Luk – potwierdziła z uśmiechem gospodyni i pstryknęła czajnik. – Chcesz gorącej herbaty?

– W sumie poproszę. Ojej, przyjęcie, jak wspaniale! – Ryszarda zaczęła na nowo przeżywać. Ale coś wciąż mąciło jej radość. – Czy mogę u was skorzystać z Internetu? U mnie jest słaby sygnał.

– Oczywiście. Tu masz laptopa. – Wskazała na stół. – A herbaty są w szafce z literami AM – dodała, jej komórka piknęła, potwierdzając wysłanie wiadomości i Misia uznała, że dzień dobiegł końca. Zasłużyła na odpoczynek. – To ja się kładę. Poradzisz sobie?

– Poradzę.

– Gdybyś była głodna, korzystaj z lodówki, nie krępuj się. Coś tam zawsze znajdziesz. Poleciałabym sery, ale...

Ryszarda zdmuchnęła z piżamy niewidoczny pyłek.

– Takie stare, popsute i spleśniałe? – zapytała lekko ożywiona, bo przecież nie wypadało się chlubić dobrym uczynkiem.

Misia przekrzywiła głowę.

– Można tak powiedzieć. Długo dojrzewały.

– Tak myślałam, że musiały długo leżeć. Wyrzuciłam.

– Aha... No, nic, dobranoc. – Posłała jej ostatni uśmiech, nieco już zmęczony, westchnęła i powlokła się na górę.

Tymczasem Ryszarda postanowiła zamknąć pewne sprawy, zrzucić z serca rozliczne kamienie i więcej do tego nie wracać. Życie chwilą wydawało jej się nęcące, na pewno, z tym że nie można udawać, że przeszłości nie ma. I że się nie liczy. Przeszłość zawsze będzie, jest w nas zapisana, ale co innego się w niej taplać i ciągle rozdrapywać rany, a co innego przemyśleć, wyciągnąć wnioski i iść do przodu, wiedząc, że przeszłość nas wzbogaca. Ryszarda swoje wnioski wyciągnęła.

Podczas wizyty na poczcie.

Nie wiedziała, kim była staruszka, ale czasem tak jest, że na nasze życie wpływają zupełnie nieznanymi ludźmi. I kiedy spojrzała w te pełne szczerości poblakłe oczy, zrozumiała, że nie może robić tego, co robił Hardy. Nie może iść na łatwiznę i kroczyć drogą przestępstwa. Bo stanie się zepsutą do cna, brzydką i zagubioną istotą.

Dlatego ten przełomowy czwartek postanowiła zakończyć aktem skruchy.

Wpisała w wyszukiwarkę hasło „spowiedź elektroniczna” i weszła w pierwszy lepszy link.

Spowiedź on-line!

O to jej właśnie chodziło.

Strona była nieskomplikowana, prawie pusta. Do odhaczenia pozostawało tylko kilka formułek. Rewelacja. Ryszarda zaparzyła sobie herbaty malinowej, usiadła wygodnie na krześle, po czym spróbowała się skoncentrować, wszak wyznanie win to poważna sprawa.

– Radio Ma... – przeczytała, siorbiąc gorącą herbatkę. – Katolicki Głos w Twoim Domu. Uważnie przeczytaj pytania i szczerze odpowiedz... Czy przeprowadziłeś rachunek sumienia?

Tak, z rachunkami Ryszarda sobie radziła!

– Czy żałowałaś za grzechy?... No, raczej!... Czy odmówiłaś zadaną wcześniej pokutę?... Hm. – Zamyśliła się.– Tak. Pana Boga obraziłem następującymi grzechami...

Na ekranie migotał biały prostokąt, zachęcający, żeby go wypełnić.

Ryszarda wypełniła:

– Napad na Poczta Polska, dwanaście tysięcy złotych. Brutto.

Przed grzesznicą już niemal otworzyły się bramy raj, już Ryszarda słyszała skrzypienie starych, bogato zdobionych drzwi i widziała pełną mądrości twarz świętego Piotra. Jeszcze tylko jedno pytanie:

– Czy masz się zamiar poprawić?

Ryszarda miała zamiar, w związku z czym potwierdziła spowiedź odpowiednim przyciskiem. Od razu wyświetliła się informacja:

Komunikat ze strony www.ojciec-dyrektor.de:

Aby przejść do ostatecznego rozgrzeszenia, uważnie sprawdź, czy to, co wpisałeś, jest zgodne z Prawdą

Najwyższą[2].

Prawda Najwyższa...

Ryszarda poprawiła z wahaniem grzywkę, jednak się nie zrażała.

Czytała dalej.

Czy potwierdzasz dane: Ryszarda Kociołek

Rachunek sumienia: tak

Żal za grzechy: tak

Ostatnia pokuta: odmówiona

Twoje grzechy: Napad na Pocztę Polską, dwanaście tysięcy złotych. Brutto.

Nadzieja poprawy: duża

Jeśli jesteś gotowy, to wciśnij OK i rozpocznij połączenie z Bogiem.

Połączenie z Bogiem?

Zaskoczona uniosła brwi. Oczywiście, że chciała połączenia z Bogiem. Kliknęła OK. Przycisk działał cuda, bo zaraz wyskoczyło kilka brązowych krzyży, a na dole pojawił się kolejny napełniający nadzieją komunikat: „Trwa łączenie z Bogiem – proszę czekać”. Potem nastąpił... transfer grzechów. A jeszcze później Ryszarda przeczytała coś, co ją poważnie zastanowiło:

Pokuta to dzieło naprawy porządku przez przyłgnięcie do prawdy, przez rozpoznanie zniszczenia i żal nad nim. Jako pokutę za grzechy zadaję Ci oprócz odmówienia 3 Zdrowaś Maria

DOBROWOLNĄ WPLATĘ 25 ZŁOTYCH

NA KONTO BANKOWE NA RZECZ RADIO MARYJA

*ORAZ COMIESIĘCZNE WSPOMOŻENIE RM
W KWOCIE 5 ZŁOTYCH*

PŁATNE DO 5-TEGO KAŻDEGO MIESIĄCA.

Pobierz [\[3\]](#) formularz wpłat!

W razie nie uiszczenia opłat pokutnych spowiedź jest nieważna!

Do następnego rachunku sumienia dolicz kolejny grzech ciężki!

Jeśli chcesz uzyskać rabat w wysokości 25% – wyślij grzechy e-mailem!

grzechy@radiomaryja.pl

Za każdego nowego grzesznika do Spowiedzi Online – odpust na miesięczną dobrowolną wpłatę!

Hm...

Ryszarda miała nad czym myśleć i może poświęciłaby tym rozważaniom więcej czasu, ale jeszcze zamierzała wziąć kąpiel. Połączenia z Bogiem chyba nie czuła, tym bardziej że kliknięcie w formularz wpłat nic nie dało, wyskoczył błąd.

Błąd?

Popełniła błąd?

Już chciała znaleźć numer konta w sieci, kiedy, ot tak, dla fantazji, przeszła całą procedurę od nowa, ale w okienko grzechu wpisała: „szybki numer z Francuzem”. Prawda Najwyższa, łączenie z Bogiem, transfer grzechów... Wszystko się zgadzało. Rozochociona wróciła więc do okienka raz jeszcze i wpisała: „Pocałujcie mnie w dupę”. I znowu. Najwyższa Prawda, łączenie z Bogiem, transfer grzechów...

Czy nie można stracić zapału?!

Człowiek chce wyznać grzechy, a ktoś sobie robi jaja, naprawdę...

Rozeźlona zamknęła komputer, umyła filiżankę i już chciała biec pod prysznic, kiedy w przelocie zerknęła na ogród. I zabrakło jej tchu. Przez bramę, tuż przy grzędce, ktoś się gramolił! Nie było dokładnie widać szczegółów postaci, ale na bramie wisiał ludzki kształt. Na pewno ludzki i na pewno męski.

Ryszarda poczuła, że w kapciuszkach z puszką drżą jej nogi, że serce łupie jej w piersiach tak, jakby miało za chwilę zamilknąć, ale przecież wysłannicy Hardego podnieśli właśnie rękę na jej nowe życie!

Niech sobie pęka choćby płyta tektoniczna.

Ale Ryszarda będzie twarda.

Wymknęła się z domu na paluszkach i pognęła do samochodu. Stał pod gruszą, otwarty, bo przed pójściem do łóżka zamierzała wyciągnąć zestaw włamaniowy i zakopać gdzieś w ogrodzie. Przyczajona otworzyła zatem drzwi, a później drżącymi rękami sięgnęła pod fotel.

Kiedy poczuła w dłoni chłodny przedmiot, coś się w niej obudziło.

Coś drapieżnego, silnego, może nawet pręgowanego albo w cętki?

W każdym razie strach jej już nie paraliżował.

Rozstawiła nogi, zaparła się kapciuszkami w trawnik, uniosła pistolet i...

WYSTRZELIŁA!

Raz, drugi, trzeci...

W domku rozległ się łomot przewracanych sprzętów, a po chwili wypadł z niego napastnik. Spanikowany obrzucił ją błyskawicznym spojrzeniem, a widząc, że furтка jest

zablokowana, pognął do bramy.

Czwarty, piąty...

W powietrzu śmigały komary, ogród pęczniał od deszczu, a koński nawóz...

Ihaaa, dawał kopa.

Ryszarda się nie poddała i już szykowała pościg, ale usłyszała za sobą podejrzany trzask, na początku cichy, potem coraz głośniejszy, a potem poczuła na plecach i nogach dziwne ciepło. Kiedy zerknęła do tyłu, zapomniała o wszystkim.

Płonął dom Luka...

Mogli ją trucć gazem, gwałcić, mogli rozetrzeć domek w puch, teraz liczyło się tylko jedno.

Jej mężczyzna.

Z głębi ogrodu biegly już zaalarmowane strzałami Misia z Zuzą, przy Akacjowej zaczęły się zapalać światła, ale Ryszarda nie czekała. Wrzeszcząc na całą ulicę, runęła naprzód. Przez furtkę. Jedną, drugą... Niestety, drzwi domu zastała zamknięte, więc w rozpaczyc zaczęła w nie walić pięściami.

– Obudź się, obudź! – powtarzała, łkając, a kiedy dom pozostawał cichy, kiedy z jego wnętrza zaczął buchać czarny dym, Ryszarda podbiegła do najbliższego okna i stłukła je, biorąc zamach pistoletem.

– Luuuk! – wrzeszczała na całe gardło.

Połykając łzy, już była gotowa pokonać najeżone szkłem okno, kiedy z tyłu chwyciły ją czyjeś ręce. Niezbyt duże, ale silne. I chociaż nie mogła ich widzieć, wiedziała, że są opalone, pokryte złotym zarostem.

– Jestem! Już, dobrze. Nic nie dzieje. Nie płakaj...



Zuza w życiu nie widziała szczęśliwszego pogorzańca.

Luk tak płonął uczuciem, że można by podejrzewać, że sam zaprószył ogień.

Ale nie, strażacy, którzy w kwadrans przybyli na miejsce, przebąkiwali coś o podpaleniu, co Zuza z Misią wiedziały od samego początku. Hardy. Jednak zemsta mu się nie udała. Dom Luka wciąż stał. Spłonęła tylko część dołu, na upartego można by tam nadal mieszkać, gdyby nie trudny do zniesienia smród spalenizny.

Pożar ugaszono nadspodziewanie szybko.

W kilka chwil po tym, jak Ryszarda z siłą syreny alarmowej postawiła na nogi pół dzielnicy, z domów zaczęli wybiegać przejęci sąsiedzi. Dołączyło do nich również trzech obcych facetów, którzy nadbiegli z dołu Akacyjowej i rzucili się w płomień niczym nieustraszeni ninja. I to oni pomogli najbardziej. Co robili w środku, trudno powiedzieć, jednak kiedy przyjechali strażacy, sytuacja była mniej więcej opanowana. Później Ryszarda próbowała ich odszukać, napić herbatą, podziękować, ale jakby się rozplynęli.

Dziwna sprawa.

Luk oczywiście wprowadził się do domku dla gości.

Śniadanie zjedli wszyscy razem, w kuchni, bo na zewnątrz, choć było ciepło i słonecznie, z trudem dało się wytrzymać: na zmianę zajeżdżało nawozem albo spalenizną. Po omówieniu pożaru Luk z Ryszardą uciekli do siebie, a Zuza z Misią posprzątały i wreszcie miały chwilę spokoju.

Choć nie do końca.

W furtce stanął Sławuś i popatrując na osmolony dom

Luka, zaczął się drapać po głowie. Potem zerknął na malowniczo rozkopaną w nocy przez włamywacza grządkę i całkiem zbaraniał.

– Myślałaś, żeby pierdyknąć w ogrodzie jakąś rzeźbę? – zagadła Zuza, przyglądając się z ukrycia Sławusiowi.

– To by nie było głupie – podchwyciła Misia, która kończyła właśnie myć filiżanki. – Ale żadnych krasnali. Podobają mi się rzeźby kobiet. Takie raczej greckie, nagie, wiesz...

– A może być facet?

– Nagi? – rozochociła się.

– W brudnych gaciach i gumofilcach... Raczej nie Apollo.

– Gdzie?! Aaa, Sławuś! – Misia podeszła do okna, wycierając ręce. – Biedny...

– Biedne to zaraz będziemy my. – Zuza oderwała się od oglądanego widoku. – Nie pozwólmy mu grzebać w nawozie, bo upaprze całą kuchnię. Niech zacznie od kontaktów, panie Boże miej nas w opiece...

Sławuś został jednak w porę przechwycony, Misia dała mu szczegółowe wskazówki, po czym ruszyła na górę, do Zuzy.

Na korytarzu natknęła się na Edka i Pyzę.

Koty siedziały naprzeciw siebie, jednak w dwóch różnych końcach pomieszczenia, i groźnie prychały. Pyza nawet syczała. Wyglądała jak szara poduszka ze sztucznej sierści, tak bardzo się nastroszyła. Ale Misia postanowiła nie ingerować. Koty też ludzie. Niech sobie skaczą do oczu, ich prawo. W końcu wspólne mieszkanie to naprawdę problem.

Zuza siedziała na fotelu w towarzystwie Madeja i Gryzoldy i zastanawiała się właśnie nad Tadeuszem.

– A nie zdziwiło cię, że w nocy wszyscy wybiegli z domów,

a Tadzio nic? A padły strzały, syreny strażackie wyły...

Owszem, Misia zastanawiała się nad tym cały poranek.

Ale czy ktoś miał obowiązek zrywać się z łóżka, kiedy mógł wszystko obejrzeć przez okno, z pokoju? A może Tadeusz nie przepada za zbiegowiskami?

– Zdziwiło.

– Właśnie, właśnie. Może on jest jakiś aspołeczny typ? – rzuciła Zuza, głaszcząc Gryzoldę po puchatej sierści. Oczywiście bojowa kotka usiłowała się wywinąć i capnąć ją zębami.

– Jakby był aspołeczny, nie pomógłby nam z gazem. Sławusia też by nam nie wypożyczył.

– Akurat ze Sławusiem to jest niedźwiedzia przysługa.

– Ale liczą się chęci.

– Sratatata... Twojego tetryka trzeba obserwować i tyle.

– Jak: obserwować?!

– Mieć na samoluba oko.

– Dlaczego samoluba? – Misi zrobiło się nagle gorąco.

– A dlatego, że w trakcie śniadania były tu cztery delegacje. – Zuza wspomniała poranek, kiedy do Luka przychodzili sąsiedzi, a każdy oferował pomoc. – I każdy coś przynosił. Koc, jedzenie albo chociaż dobre słowo... A kulturalny Tadzio z czerwonymi drutami przy uszach co? Pomachał nam na dzień dobry i wsiadł do swojego jaguara. Tyle go widzieli.

Fakt, nie zachował się najładniej.

A może Tadeusz ma twardy sen i po prostu przespał całe zdarzenie?

– I nie łudź się, że spał – dodała pospiesznie Zuza. – Nie wierzę. A jak szedł do pracy, to musiałby nie mieć powonienia, żeby nie czuć smrodu spalenizny. Wali jak

w publicznej wędzarni.

Trudno było polemizować z takimi argumentami, więc Misia złożyła broń. Zresztą musiało coś w tym być, a jak pokazał przypadek Hardego, nie potrafiła obiektywnie oceniać ludzi. Życ z przestępcą i nie mieć o tym pojęcia?!

– I co, te nocne włamania i pożar to na pewno mój były mąż? – zapytała, wracając myślami do relacji Ryszardy, która opowiedziała im rano o zeznaniach, jakie złożyła na komendzie.

Ryszardę przesłuchiwał niejaki Jakub Prucz.

Zapamiętała nazwisko, bo policjant był nadzwyczaj miły. Dlatego przytoczyła rozmowę, której była świadkiem, wykradając z garażu pistolety – ten ostatni szczególnie akurat zostawiła dla siebie. Policjant zapewnił, że Hardy nie ucieknie, że będą go pilnowali i w ogóle miała się nie zamartwiać, nic jej nie grozi.

– A kto inny? – prychnęła Zuza. – Że go niby pilnują? Akurat, nie rozśmieszaj mnie. Karząca ręka sprawiedliwości... – podsumowała z kpina, przy czym ręka skojarzyła jej się z pewnym postanowieniem. – A ten ZUS załatwmy jak najszybciej. Chcę mieć go z głowy, póki mnie pchają nerwy. Bo do jutra mi przejdzie i będzie dupa.

– Co to znaczy najszybciej?

– Najszybciej, jak się da. Choćby dzisiaj w nocy.

Tempo zdarzeń jak zwykle Misie porażało.

– Może przed obiadem? – spytała słodko. – Nie załujmy sobie...

– Kochana, dzisiaj Hiszpania gra z Turcją, świat wychodzi nam naprzeciw. – Zuza sprawdziła w nocy terminarz rozgrywek. – Bierzmy to!

– Znaczy, rozumiem, że... Przypuszczam...

– Tak, potrzebuję wsparcia. – Przyjaciółka nie zostawiła miejsca na domysły. – Choćby motoryzacyjnego. Chyba nie każesz mi uciekać z miejsca przestępstwa tramwajem?

Wizja była kusząca, Misia zachichotała, jednak nurtowało ją co innego.

– Ale nie masz zgniłych jajek. Czym chcesz ostrzykiwać?

Zuza zdjęła z kolan śpiącego Madeja i uniosła się na fotelu.

W słońcu grządka ze świeżym nawozem wyglądała jak tło na obrazie Beksińskiego. Była złoto-brązowa, mięsista, fakturalna, a Beksiński zawsze Zuzę intrygował.

– Jajka? – Zaśmiała się szatańsko. – Nie mam jajek. Ale mam co innego. A jak sprawa jest od początku gówniana...



Faktycznie, w domu Misi zrobił się ruch jak na dworcu.

I ten ruch przyczyniał się do powstawania kolejnych ciekawych sytuacji.

Kiedy omówiły z Zuzą szczegóły dzisiejszej nocnej wizyty w ZUS-ie, wynikła sprawa monitoringu. Bo, owszem, może i portier będzie oglądał mecz, ale jak po budynku zacznie ktoś biegać, nie ma siły, Zuza zostanie w końcu dostrzeżona. I wtedy co? Wyrywanie zębów i przemoc fizyczna? Akurat. Misia miała czekać w aucie zaparkowanym ulicę dalej, w każdej chwili gotowa do ucieczki, ale z tym monitoringiem wypadało coś zrobić i już. Bruździł jak cholera. Za wiele jednak nie wymyśliły, więc Zuza postanowiła iść do apteki, po wagon igieł i strzykawek. W tym czasie Misia spróbowała zasięgnąć rady znajomych, którzy w jakikolwiek sposób otarli się w swoim życiorysie o elektryczność.

Na pierwszy ogień poszedł Robert, jej „kolega” z liceum.

– Cześć, Roberto...

– Michalina, moja dawna dziewczyna! – zawołał, kiedy opadło pierwsze zaskoczenie. Nie dzwoniła do niego od kilku lat.

– Stare dzieje.

– Ale ty wciąż młoda – zakwilił Robert, który uwielbiał żarty. – Słucham, cię, śląski kwiecie. Domyślam się, że nie dzwonicz w ten słoneczny piątek, żeby jedynie usłyszeć mój głos... – Zarechotał. – Coś się stało?

Przez chwilę Misia poczuła żal, że zamiast spokojnego, niepozornego Roberta, na którego zawsze mogłaby liczyć, wybrała hulajduszę Hardego, ale mleko się rozlało,

musztarda też po obiedzie, więc po kilku grzecznych słowach wstępu przeszła do sedna.

– Twój brat skończył technikum elektryczne, dobrze kojarzę?

– Dobrze kojarzysz.

– Bo bardzo potrzebuję porady, jak odciąć w dużym budynku prąd. A nawet w... – zawahała się, ale do Roberta miała pełne zaufanie – ...w budynku państwowym. W urzędzie. W urzędzie, który nie daje ludziom żyć.

– W Sejmie? – zapytał wesoło Robert.

– Blisko. Ale raczej chodzi o ZUS. Bardzo źle potraktowali moją przyjaciółkę. I chcemy... Chcemy tam wejść i dać komuś nauzkę. Tylko że w budynku na pewno są kamery...

Robert szczerze się zafrasował.

– Misia, pochwalam – zapewnił. – Łączę się w żalu. Gdybym mógł, poszedłbym z tobą, naprawdę. Ale z braciszkiem nie rozmawiamy od pięciu lat. Zero kontaktu, nawet nie mam jego aktualnego telefonu.

Zamienili jeszcze kilka zdań, zresztą bardzo miłych (Robert miał trójkę dzieci!) i Misia się rozłączyła. Rozważała właśnie, do kogo jeszcze przekręcić, kiedy zza ściany wyszedł... Sławuś. Nawet nie zdążyła się przerazić, że słyszał rozmowę, kiedy na jego płaskiej twarzy po raz pierwszy błysnęła inteligencja i Sławuś rzucił jak gdyby nigdy nic:

– Z tym prądem to mały miki. Wystarczy znaleźć przyłączy albo zasilający transformator. A ZUS-owi chętnie sam bym dokopał...

W Misię wstąpiła nadzieja.

Może nie pełna – doradzał jej specjalista, który nie umiał

naprawić kontaktu – ale taka w okolicach jednej trzeciej. A że nie było Zuzy, uznała, że nadeszła niezgorsza chwila, żeby pewne sprawy wyjaśnić.

– Panie Sławku, z pana jest miły chłopak i dziękuję za wsparcie... Ale poprosiłam pana o drobną naprawę i...

Sławuś spojrzał jej w oczy.

Pierwszy raz tak bezpośrednio, bo dotąd unikał kontaktu wzrokowego, i Misia przeżyła prawdziwy szok poznawczy. Naprzeciwko niej stał młody, całkiem rozgarnięty człowiek, który prosił, żeby mu dać szansę.

– Pani poczeka dziesięć minut – oznajmił, po czym wszedł do kuchni, pogmerał przy kontakcie, a następnie wszedł do salonu. Potem zniknął w piwnicy, a potem zameldował się znowu na miejscu, odsłaniając w uśmiechu jedyńki, dwójki, trójki...

– Gotowe.

– Już? – nie mogła się nadziwić Misia.

Przecież spędził na dole prawie cały poranek!

– Proszę sprawdzić.

Misia sprawdziła.

Kontakty działały bez zarzutu.

– Ale dlaczego?! – zapytała tylko, jednak równie dobrze mogła domagać się odpowiedzi od ściany.

Sławuś uśmiechnął się po swojemu i podrapał po głowie. Jego twarz nabrała poprzedniego wyrazu, ale już nie unikał patrzenia jej w oczy. I chociaż Misia intuicyjnie czuła, że coś jest tu bardzo, ale to bardzo nie w porządku, jednak przestała mieć wątpliwości. Chłopak był niezły, tyle że z jakichś powodów symulował.

– Czyli mówisz, że trzeba znaleźć...

– Przyłóżcie – wszedł jej w słowo. – Ja chętnie znajdę.

ZUS odebrał mojej mamie rentę...



Piotrek Marchewka szedł na Akacjową z duszą na ramieniu.

W nocy niemal ucałował własny telefon, ponieważ Misia, przepraszając za późną porę (nie ma sprawy, dopiero co gasił pożar...), zaprosiła go na jutrzejsze przyjęcie. W następnej wiadomości sugerowała, że powinien zajrzeć rano na kawę i właśnie zaglądał.

Tyle że zbyt nie wiedział, co go tutaj czeka.

Czy czeka Zuza i w jakim humorze.

– Cześć, Piotruś. – Misia cmoknęła go na powitanie w policzek i zaprosiła do kuchni. – Kawy, herbaty?

– Aaa... – Spojrzał znacząco na drzwi salonu.

Ale Zuzy nie było.

– Nie. Poszła po strzy... Z trzy torby zakupów jak nic. – Misia zakręciła się w miejscu, a komisarz starał się przybrać obojętny wyraz twarzy.

– Słyszałem o pożarze – zmienił czym prędzej temat.

Nawet tutaj, przy zamkniętych drzwiach, wciąż było czuć zapach wędzonki.

– Tak, okropna noc. Na szczęście większa część domu ocalała.

– Na szczęście... Zaraz będziecie tu mieć policję – uprzedził. – Już przesłuchują sąsiadów.

Misia wyraźnie się spłoszyła.

– Ale dlaczego przesłuchują?

– Trzeba wyjaśnić okoliczności pożaru, strażacy podejrzewają podpalenie.

– Aaa, jasne. – Wyciągnęła z szuflady kopertę i przez

chwile ważyła ją w dłoni. – Coś dla ciebie mam.

– List? – Marchewka zerknął na nadawcę i pojaśniał.

Rozpoznałby to drobne pismo wszędzie.

List był adresowany do niego i chociaż nieco zdziwiła go forma komunikacji, ważniejsze było, co jest w środku. Dlatego czym prędzej się pożegnał i już chciał wychodzić, kiedy w korytarzu trzasnęły drzwi łazienki, a w kuchni stanął...

Owinięty ręczniczkiem Luk.

I tak stali naprzeciwko, mierząc się wzrokiem.

Francuzik, niestety, prezentował się jak zroszony morską bryzą Mister Universe. Jasne włosy skrzyły się pod wpływem wody w fale, skóra błyszczała na nim jak pociągnięta filtrem UV. Tors na tle kuchennych szafek przętniał, pośladki pod ręcznikiem również i Marchewka odebrał to jak osobistą zniewagę.

– O, i do kompletu, widzę, jest i Francuski Piesek. Jaki wypucowany...

Ręczniczek niebezpiecznie się rozsunął, a komisarz poczuł nadciągające torsje.

– Spalił mu się dom, tam nie można mieszkać. – Misia, cała przejęta, ruszyła z wyjaśnieniami, ale czy w tej sytuacji konieczne były wyjaśnienia?

Komisarz powstrzymał ją stanowczym ruchem ręki.

Nie chciał nic słyszeć.

Spojrzał bibelociarzowi prosto w oczy, w duchu pożałował swoich nocnych działań i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Prowadzony ożywym zapachem łajna, dotarł do furtki.

– Luuuk! – Z domku dla gości wyjrzała Ryszarda.

Ożywiona, uśmiechnięta... Marchewka rzucił jej zdawkowe „dzień dobry” i już chciał wychodzić, ale

uosobienie radości wyprysnęło z domku w niebieskich kapciuszkach. Spojrzało na dom. I na jego pochmurną minę.

– A pan komisarz już idzie? Bo Zuza wciąż o pana pyta.

Zastopowało go.

– Naprawdę?

– Tak, bardzo naprawdę – zapewniła, delikatnie się uśmiechając i w tym uśmiechu był aż nadto czytelny komunikat, że Ryszarda Kociołek dobrze mu życzy. – A ja teraz mam Luka i chciałabym, żeby wszyscy byli szczęśliwi... Proszę z nią porozmawiać, ona pana bardzo kocha.

Czuł się potwornie zmieszany.

Zupełnie jakby... jakby mu ktoś zajrzał do gęby w filharmonii.

O swoim życiu osobistym rozmawiał tylko z rodziną i przyjaciółmi, a już na pewno nie miał w zwyczaju gmerać we własnych flakach na ogrodowej ścieżce. Z obcymi.

I co to znaczy, że Ryszarda miała Luka?

A może Pan Variété zmontował tu sobie jakiś harem?

– Taaak... – sapnął więc w odpowiedzi i zawiesił wzrok na rosnącej opodal gruszy.

Bardzo rozłożystej.

– Widziałam policjantów. – Ryszarda, niezrażona jego powściągliwością, wciąż paplała. – Pewnie przesłuchują świadków pożaru. Ja mogę opowiedzieć. A gdyby szukali Luka, on jest u mnie. Tylko że poszedł się kąpać, bo nie mamy ciepłej wody. Mieszkamy teraz razem. Cudnie, prawda?...



Godzina zero wybiła.

Właśnie rozpoczął się mecz Hiszpania–Turcja, a Zuza z Misią stanęły w przedpokoju ubrane w czern. Z tym że Zuza, preferująca bardziej optymistyczną kolorystykę, dyskutowała:

– Tam są jasne ściany i kafelki. W żadnym urzędzie nie ma czarnych, najwyżej zielone. W tym cholernym cmentarnym kolorze będę się na kamerach odznaczać. Jak pająk w wannie.

Misia uśmiechnęła się tajemniczo i wręczyła Zuzie czapkę.

Czarną jak noc.

Sama sięgnęła po reklamówkę pełną strzykawkę z brunatnym płynem, którą przechowywały na tarasie, ale zapach jakby do nich przyległ. Starając się nie myśleć o gorącej kąpieli, Misia spojrzała na zegarek.

– Nie będziesz się odznaczać – zapewniła. – O, jest!

Do drzwi zapukał Sławuś, który jakby się z nimi umówił: od stóp do głów również był ubrany na czarno. Koszulka, bojówki, żołnierskie buciory. Z tym że Zuza się wahała. Najidiotyczniejszy element stanowiły okulary słoneczne czy czarne rękawiczki?...

– Co to? – Zmierzyła niespodziewanego gościa spojrzeniem i zaczęła mieć złe przeczucia. – Jedziesz przepychać rury do Kosowa? A może wypadła ci stolarka w Wietnamie?

Misia nabrała powietrza, Sławuś złożył się do uśmiechu.

Jedynki, dwójki...

– On wyłączy prąd – oznajmiła pewnym głosem.

– Rzuci na kable łańcuch? – Zuza posłała Sławusiowi najśłodszy z uśmiechów, po czym przybrała kamienny

wyraz twarzy.

Najkamienniejszy.

– Pani Misia powie... – wydukał chłopak, zakładając ręce niczym Sylvester Stallone.

Misia wzięła więc Zużę na stronę.

– Słuchaj, nie wiem, o co chodzi, ale on jest dobry – zaczęła tłumaczyć. – Przysięgam. Tylko udawał partacza. Może mu tu lepiej niż u Tadeusza i grał na zwłokę?

– Po czym wnosisz? – zapytała Zuza konkretnie, bo czas płynął. A problem monitoringu pozostał nierozwiązany. Zdaje się, że nie mogły grymasić.

– Naprawił kontakty w dziesięć minut.

Zuza zmierzyła Sylvestra Stallone najczujniejszym ze spojrzeń, po czym dopadła włącznika. Jednego, drugiego, trzeciego...

– Dobra. – Wróciła do przedpokoju i stanęła naprzeciw siły roboczej. – Dasz radę? Pytam poważnie.

Sławuś ściągnął okulary.

I z miną zawodowca odchylił poły kamizelki.

Mogły teraz podziwiać zawieszony wokół bioder pas narzędziowy, pełen najrozmaitszych przyborów. Wszystkie lśniły i komunikowały, że ZUS wkrótce otworzy przed nimi podwoje. W dodatku Sławuś wręczył zszokowanej Zuzie jakiś pasek z przymocowaną do niego latarką.

– Pani to załóż na czapkę, jak zgasną światła. Mactronic, nie ma ściemy.

Zuzie nie trzeba było więcej.

– Tylko jak dasz płamę – uniosła swój wypiełgnowany palec – masz przesrane...



Budynek Zakładu Ubezpieczeń Społecznych przy ulicy Dąbrowskiego w Chorzowie – monumentalny gmach z elementami klasycyzmu – budził respekt. Górował nad okolicą rzędami okien, stał niewzruszony, mocny. Tak mocny, że kiedy podchodził pod niego zwykły petent, miazdżyła go siła urzędu, pod kolosem czuł się jak mała, rozdeptana glista. I to zanim urzędnik podniósł urzędniczy but! Tak, architekci majstrują przy umysłach, nie da się zaprzeczyć. Sądy i inne narodotoria nie powstają w garażu krytym blachą falistą. Na to jest nawet specjalny termin.

Godność państwowa.

Ale Sławuś rozumiał godność państwową po swojemu.

Przyłgął spojrzeniem do poszarzałych w ciemności murów, do kolumn, a wśród piegów na jego twarzy ukazała się najszczerza niechęć.

– Tu była kiedyś siedziba Urzędu Bezpieczeństwa – mruknął. – W porzo. To idę.

I poszedł.

Misia siedziała jak na szpilkach w aucie, ulicę dalej, a Zuza, stojąc w pojedynkę pod urzędem, zrozumiała, że tic-taki się skończyły: oto nadeszła decydująca chwila. Bała się tak bardzo, że nawet chciała zrezygnować, ale nie zniosłaby pogardy Sławusia. Ich człowiek do zadań specjalnych przez całą drogę opowiadał o chorej matce, która musiała żyć, pożyczając od krewnych. Bo ZUS cofnął jej rentę, choć była niezdolna do pracy.

Czekając, aż zadzwoni komórka, Zuza stanęła na pobliskim przystanku i zaczęła w panice układać plan. Kiedy siedziała w kuchni na Akacjowej i delektowała się herbatą, wyglądało to ciut inaczej.

I ten „ciut” lekko ją obezwładnił.

Na szczęście czas płynął wolno, zaczęła więc głęboko oddychać i myśleć logicznie. Spojrzała na zegarek. Od zniknięcia Sławusia minęło prawie pół godziny, po której wiedziała już, jak się dostanie do środka, ale znowu puściły jej nerwy. Pół godziny! A może ktoś Sławusia zatrzymał, kiedy gmerał w tych jakichś skrzynkach czy transformatorach? Może stał na rogu Wolności i nie wiedział, gdzie jest?

Żeby się całkiem nie rozsypać, bo z emocji rozboleła ją żołądek, Zuza postanowiła przejść się spacerkiem po podjeździe. Ale ze spuszczoną głową, powoli, nie pchając twarzy w żadne kamery.

I tak stanęła oko w oko z jaguarem Tadeusza Zawadzkiego.

Auto było na tyle wyjątkowe, że trudno mówić o pomyłce, więc zaczęła się zastanawiać. Już chciała zajrzeć do środka, kiedy w kieszeni eksplodowała dzwonkiem komórka! Nareszcie. Tak jak ustalili, jej wspólnik puścił krótki sygnał, a w tej samej chwili w części ulicy zaległa ciemność. Za plecami Zuzy również.

To było jak wezwanie na dobranockę.

Już nie czekała.

Skoczyła na schody, a potem na lewo, na podjazd dla niepełnosprawnych, który biegł dokładnie na wysokości okien. Tylko nie panikować! Na ulicy i tak nikogo nie było, a dookoła zapadał zmrok. Nikt jej nie widział. Teraz musiała tylko wybrać właściwe okno. A właściwe okno oznaczało otwarte drzwi pokoju. Bo jeśli stłucze szybę, a pokój okaże się zamknięty, zbyt nie zaszałeje. Nie ma przecież tysiąca wytrychów i umiejętności włamywaczki. Zaczęła więc zaglądać w każdą szczelinę, wypatrywać za

szybą różnicy w cieniach.

Szczęście jej sprzyjało.

Czwarte od lewej!

W prostokącie jaśniał kolejny prostokąt i jeśli to nie były otwarte drzwi, całą akcję diabli wezmą. Ale musiała zaryzykować. Ledwie wybiła okno i wgramoliła się do środka, w budynku usłyszała bieganinę. Pewnie strażnicy. Widząc, że drzwi faktycznie stoją otworem, postanowiła nie tracić czasu. Wyciągnęła smrodońskie narzędzie i zaaplikowała dawkę w szczelinę futryny. Na dobry początek.

Teraz trzeba było ruszać dalej.

Bezszelestnie wyjrzała na korytarz, a słysząc, że ktoś pobiegł do góry, opróżniła na parterze w regularnych odstępach pięć strzykawkę – w listwę między ścianą a podłogą. Dobrze, coraz lepiej. Teraz kolejne porcje przy schodach. Raz, dwa. I kilka w krzeselka, ale bez szaleństw, krzesła łatwo wyrzucić.

Nadstawiając uszu, weszła ostrożnie na piętro, gdzie z bijącym sercem powtórzyła całą serię czynności, koncentrując się jednak na ścianach. Już chciała pokonać schody, kiedy z góry znowu usłyszała kroki i była zmuszona zgasić latarkę.

Wstrzymała oddech.

– ...skąd mam wiedzieć?! – grzmiał jeden z głosów. – Może jakaś awaria?

– Tak jak awaria gazu, co?! – odpowiedział mu złośliwie ktoś drugi i Zuza rozpoznała pana Tadeusza!

Może gdyby nie samochód na podjeździe, miałyby wątpliwości, może w ogóle nie wychwyciłaby w głosie, nieco zniekształconym w tubie klatki schodowej, znajomych

tonów, ale fakt pozostawał faktem.

W pogrążonym w ciemnościach ZUS-ie spotkała swojego sąsiada.

Rozmawiał z kimś o gazie, a przecież temat nie był jej obcy.

Jednak awaria gazu w domku Ryszardy wydawała się tak nieistotna, że trudno, by z tego powodu zwoływano konferencję prasową. Pewnie zwykły zbieg okoliczności.

– Nie wiem, o czym mówisz...

– Ja cię uprzedzam – uprzedził pan Tadeusz. Jeszcze nie słyszała u niego takiej zawziętości. – Nie będę tolerował... Więcej... Co tu tak... erdzi?!

Właśnie!

Niech sobie panowie rozmawiają, Zuzie zostało jeszcze sporo pracy.

Uwinęła się w kwadrans i chociaż po kwadransie śmierdziała jak po wizycie w oczyszczalni miejskiej, opuszczała ZUS w poczuciu spełnionej misji.

Gówna...

Znaczy, kości zostały rzucone.



Przygotowania do kolacji trwały od samego rana.

Oczywiście po serii gorących kąpielii, po których w końcu udało się pozbyć ekologicznego smrodku – ubrania trafiły jednak na śmietnik. Później wypachniona Misia zjadła śniadanie i skoczyła na ostatnie zakupy, bo najlepsze warzywa to świeże warzywa, a Luk był tak czułym smakoszem, że wychwyciłby każdy kulinarny fałsz. Równie wyperfumowana Zuza smażyła naleśniki i pilnowała rosółu – na wołowinie, indyku i kurczaku. W osobnym garnku

dochodziły ziemniaki.

Dom pachniał więc płynem do kąpieli i lubczykiem.

– Padam z nóg – oznajmiła Misia, która stanęła w progu objuczona siatkami. – Przydałby się Sławuś...

Zuza rzuciła się odebrać od przyjaciółki zakupy.

– Prawda? Sławuś i Ryszarda to są dla mnie zaskoczenia roku... Mistrzowie drugiego planu.

– Każdy ma swoje zady i walety – palnęła z rozpędu Misia, a potem zachichotała.

Zuza razem z nią.

– W necie cisza, ZUS nie pochwalił się mediom swoim nowym zapachem – poinformowała, wypakowując na blat produkty. Przy pudełeczku z rukolą nie wytrzymała. Rozerwała opakowanie i wsadziła do ust pierzasty, pachnący czosnkiem listek. – Bomba... I tak chyba zostanie, po co im czarny PR...

– Szkoda, że nie możemy zobaczyć miny dyrektora. – Misia również zachwyciła się rukolą. – Położymy na niej różyczki. Kupiłam szynkę konserwową i imbir. A, i kolendrę w zielarskim, do farszu.

Nie mogła się już doczekać wieczora.

Różyczki z białego sera i śmietanki doprawione czosnkiem, solą, cukrem i mieloną kolendrą były jej pomysłem autorskim i liczyła, że Luk to arcydzieło doceni. Farsz trafiał do cienko pokrojonego plastra szynki, który się zwijało, kroilo na półtoracentymetrowe ślimaczki, a te Misia muskała delikatnie na zewnątrz serkiem i doklejała płatki z różowego imbiru.

Czysta rozkosz.

– Mamy różowe wino? – upewniła się Zuza.

Misia wskazała na siatki, które zostały w przedpokoju.

– Pięć butelek. Trzeba wstawić do lodówki. Ciepłe różowe wino to tragedia. A, i mam whisky dla facetów.

– Dokupiłaś białego sera? Bo tych pierogów jednak trzeba trochę ulepić. I zastanawiam się, czy nie powinnyśmy też zrobić z mięsem? Szkoda tej treści z rosołu...

Zuza nie lubiła marnować jedzenia, Misia również, ale zaczynała mieć wątpliwości.

– Nie będzie tego za dużo?... Na przystawkę różyczki plus oliwki, kapary i prażone orzechy – zaczęła wyliczać. – Zrobię na masełku... Potem krem z buraczków z grzankami i rosół do wyboru. Koniecznie z lubczykiem. Potem kociołek Ryszardy, nasze naleśniki z serem i sos szpinakowy. No i pierogi...

– Czyli co z mięsem? Chyba nie wyrzucisz?!

Tego Misia w ogóle nie brała pod uwagę.

– W życiu! Dobra – podjęła kobiecą decyzję. – Zrobimy też z mięsem, dodamy trochę warzyw z rosołu, żeby farsz był bardziej aromatyczny i wilgotny. Najwyżej się zamrozi.

– Przy Luku? – Zuza spojrzała wymownie. – On zeżre wszystko. Dwoma kłapnięciami swojej francuskiej szczęki. To chyba jego ukochana polska potrawa. – À propos... Kupiłaś zabie udka?

– Objechałam pół Katowic – zaczęła sfrustrowana Misia, ponieważ na żaby i ślimaki polowała już od wczoraj. – Ale nigdzie nie ma, nawet w Almie. Ślimaków również... Co robimy?

Niedobrze.

Żaby i ślimaki miały być specjalnym podziękowaniem. W końcu Luk się narażał, dźwigał trupa, a jeszcze wcześniej pomagał przy remoncie. Bez żab i ślimaków kolacja nie mogła się odbyć i tyle.

Zuza doskonale zdawała sobie z tego sprawę, więc zaczęła intensywnie myśleć.

– W sumie ślimaków masz w ogródku od groma i trochę... Winniczki też widziałam.

Misia wyjrzała za okno.

– To są te wielkie i tłuste? – upewniła się. – W kolorze kawy z mlekiem?

– Te.

– No, dobra. Wczoraj padało, więc nie powinno być problemu. A... żabie udka? – zapytała, marszcząc nos. Co prawda w ogrodzie znajdowało się oczko wodne, ale Misia nie widziała w nim dotąd ani jednej żaby.

– W parku jest całe mnóstwo żab – stwierdziła autorytatywnie Zuza, unosząc pokrywkę nad garnkiem z ziemniakami. Sprawdziła widelcem, czy są miękkie, a potem zestawiła je z gazu. – Choćby niedaleko nas, w tym dużym stawie. Dobra, nie ma co gadać – zarządziła. – Odcedzam ziemniaki i idziemy na polowanie...

Polowanie?!

Misia jęknęła.

Przed chwilą wróciła z zakupami.

– A czy to polowanie możemy przełożyć? – zasugerowała nieśmiało.

– Na kiedy? Na ostatnią chwilę? I tak nie wiadomo, czy się wyrobimy. – Zuza ogarnęła spojrzeniem kuchnię, w której panował prawdziwy rozgardiasz. – Bo nie wystarczy złapać. Trzeba jeszcze przygotować... A mamy południe.

Trudno było się z tym nie zgodzić.

Misia westchnęła i poszła na górę, żeby się przebrać. W tym czasie Zuza zadbała o szczegóły. Przygotowała

szczypcie kuchenne, wiadro, po czym poświęciła metalowy wieszak i osobiste rajstopy, żeby zrobić z nich coś na podobieństwo podbieraka. Design może nie powalał, ale liczyła się funkcjonalność...

Zaczęły od ślimaków.

– Gdzie jesteście, parszywce?! – zakrzyknęła bojowo Zuza, kiedy obydwie stanęły w kaloszach pośrodku ogrodu.

– Chowają się pod krzakami. Albo liśćmi – stwierdziła Misia, która o ślimakach wiedziała wszystko. Albo prawie wszystko. – Wolą wilgoć i cień. Grzeb pod rabarbarem – doradziła, rozgarniając czerwone łodygi.

– Takie polowania to rozumiem. – Zuza była cała spocona, brudna, ale wniebowzięta. Pół godziny później miały w wiaderku piętnaście okazów.

Stłoczone winniczki były mniej zachwycone.

– Czy to jest moralne? – zapytała Misia, przyglądając się kotłowaniu czułek i skorupki pokrytych śluzem.

Powolność nie oznacza przecież braku uczuć.

– Zapytaj Francuzów. – Zuza nie zamierzała snuć teraz rozważań filozoficznych. Podbierak z falującymi rajstopami aż parzył ją w dłonie. Chciała go jak najszybciej wypróbować. – Zdaje się, że wymyślili to podczas wielkiego głodu. W czasie rewolucji.

Ślimaki zostały zaniesione do łazienki.

Zuza wstawiła wiaderko do wanny i zaczęła się wahać. Szły właśnie do parku, polowanie na żaby mogło im zabrać nieco czasu.

– Nie uciekną? – zapytała z niepewnym uśmiechem.

– Śmigną tak, że znajdziemy je na autostradzie. – Misia również poweselała. – Możemy czymś przykryć wiaderko.

– Nie uduszą się?

– A nie planujesz ich czasem zabić?

– Ja?! – Zuza stanęła nad wanną cała w szoku, bo właśnie uświadomiła sobie smutną konieczność. – Oczywiście. Może jeszcze młotkiem?

Nie.

Nikogo nie zamierzała zabijać.

– A może ja?! – Misia zachnęła się równie wzburzona.

Spojrzały po sobie porozumiewawczo.

Sławuś...

– Czy ślimaki mają krew? – spytała nagle Zuza, ponownie nachylając się nad wiadrem. – Takie gluty im falują w środku. Widzisz? Co to może być?

– Płynne białko. Chyba. Nie jestem biologiem.

– Ale czy mają krew?

– A skąd mam wiedzieć?!

Kwestia, póki co, pozostała nierozstrzygnięta.

Misia pokropiła ślimaki odrobiną wody i zabezpieczyła wiadro reklamówką, którą podziurawiła, żeby wpuścić powietrze. Nieco uspokojone poszukały jeszcze słoików, po czym zamknęły dom. Przy furtce rozważały konsultację z Lukiem, ale popsułyby w ten sposób niespodziankę.

– Siurpryza ma być, a nie narada łowiecka. Poradzimy sobie. – Zuza nie upadała na duchu. Wręcz przeciwnie. Polowanie zaczynało ją coraz bardziej wciągać. – Siurpryza... – powtórzyła ze smakiem, machnęła rajstopkami i pociągnęła Misię do parku.

Scenografia zdarzeń była dość malownicza.

Najpierw szły chodnikiem, który biegł w tunelu drzew i innej roślinności, zapewniając spacerowiczom upragniony chłód, potem kotara się unosiła, a człowiek stawał porażony zielenią. Z lewej znajdował się spory staw, przypominający

kształtem rozlane na patelni jajko – z wysepką zamiast żółtka – po prawej stała zwarta ściana drzew i krzewów skrywających zabudowania dawnej szkoły ogrodniczej. Pachniało wodą i potem, bo aleja była w weekend szczególnie oblegana: co chwilę mijały rowerzystów albo biegaczy.

– Tu nie ma dobrego zejścia. – Zuza oceniła brzeg, który był niegościnnie porośnięty trzcina. – Podejźmy od strony Klonowej...

Minęły więc olbrzymią polanę z lądowiskiem dla helikopterów i skręciły w lewo. Tu staw pokazywał zupełnie inne oblicze. Brzegi schodziły do wody łagodnie, roślinność nie stanowiła dla nikogo przeszkody.

Zwłaszcza dla osób polujących na płazy.

– Co robią żaby w dzień? – zadała kłopotliwe pytanie Misia, rozglądając się dookoła.

Wokół stawu krążyło mnóstwo ludzi, jak zwykle w sobotę, ale lubiła to miejsce.

Zresztą lubiła cały park, nie wyobrażała sobie, że może mieszkać gdzie indziej.

– Cholera jasna... – Mina Zuzy wskazywała, że przyjaciółka zastanawia się nad tym samym. Stała nad wodą, zaglądając w mętne dno. – Żebym ja to wiedziała. Może czekają na księcia?

– Ale gdzie?

– Dobre pytanie. W nocy przynajmniej kumkają i wiadomo, gdzie szukać...

– To może będziemy się skradać? – zaproponowała Misia.
– One mają uszy?

– A ślimaki mają krew? – odparowała Zuza, która zaczynała być zła. Bo co to ma być, że polowanie im pada

na twarz, zanim się jeszcze zaczęło?! – Musimy się pospieszyć.

– Dobra. Będziemy się szybko skradać... Albo czołgać, one są przecież przy ziemi.

– GUPIA...

Pomysł Misi jednak wcale nie był taki zły.

Zresztą nic innego im nie pozostało. Wkrótce okazało się, że żaby spędzają czas... w stawie. Na wysepkach stworzonych z lilii wodnych. Niektóre wylegiwały się na liściach jak wczasowicze w basenie, inne natomiast wołały jacuzzi i pluskały się w wodzie, co chwilę to nurkując, to wystawiając nad powierzchnię ciekawskie zielone łebki.

– Nie ma siły, włązę – oznajmiła Zuza po kwadransie podchodów. – Powoli, powoli... Przyzwyczajają się, a ja wtedy łaps...

Plan był przedni.

Jednak wykonanie...

Zuza brodziła w kaloszach, ruszała się w zwolnionym tempie, obserwatorów na brzegu przybywało, ale zanim zdążyła dotrzeć choćby do połowy drogi, żaby coś zwąchały (może oprócz uszu miały nosy) i po chwili nie było ich już widać.

– Przyczaj się! – krzyknęła Misia, chichocząc.

– Co ta pani robi? – zapytało z boku jakieś dziecko, które stało grzecznie przy mamusi i nie odrywało od Zuzy zafascynowanego spojrzenia.

Mamusia zerknęła w zakłopotaniu na Misię.

– Ta pani próbuje złapać żabę – wyjaśniła więc, gdyż dziecko wyglądało na rezolutne.

Miła, grzeczna dziewczynka.

– Mamo, a żaby nie są pod ochroną? – padło kolejne

pytanie i tu już Misia poczuła niepokój.

– Chodź, Agatko – ucięła rodzicielka, przed odejściem gromiąc Misie wzrokiem.

– Mamo, ale dlaczego ta pani łapie żaby, skoro nie wolno łapać żab?

No właśnie.

Może dlatego, że do tej pory na to nie wpadły?... Misia zaczęła więc dawać Zuzie gwałtowne znaki.

Ale w wodzie coś się ruszyło!

Zuza skoczyła przed siebie, nie patrząc na rozbryzgiwaną wodę, po czym wykonała spektakularny zamach. Omal przy tym nie straciła równowagi, ale po chwili uniosła z triumfem podbierak. W rajstopach rzucała się zrozpaczona żabka.

Jedna jedyna.

– Trudno, będzie symbolicznie – zdecydowała łowczyni, kiedy już wgramoliła się na brzeg. Mokra i wzburzona. – To są jakieś podstępne gadziny, nie żaby. Założę się, że łatwiej upolować słonia...

Zaczerpnęły wody do słoika, wpuściły tam swoją zdobycz i ruszyły z powrotem do domu. Już w połowie drogi wynikła kwestia imienia.

– Jak ją nazwiemy? – Zuza uniosła słoik i przyjrzała się stworzeniu.

– Tylko nie Dzesika. Ani nie Samanta... Isaura, Nikoletta też odpadają. – Misia szkaradnie się wykrzywiła. – Może jakoś po ludzku?

– A może to jest facet?

Przystanąły.

Żabka patrzyła czarnymi jak paciorki oczami, na grzbiecie migotał jej elegancki wzorek.

– Baba – oceniła Zuza. – Na bank. I to jakaś arystokratka. Ładna jest...

– To może Maria?

– Maria... Marysia? Myślisz, że do niej pasuje?

– Maria Czubaszek – rzuciła na próbę Misia. – Maria Kaczyńska... I jeszcze była ta od Sobieskiego. Marysieńka. Niezłe imię... I polskie, a to jest polska żaba, nie francuska. Przynajmniej dopóki nie trafi do francuskiego żołądka.

– Dobra, Czubaszek mnie przekonała – zgodziła się Zuza.

– Uwielbiałam jej poczucie humoru.

Maria została umieszczona w wannie, obok wiaderka ślimaków, i polowanie dobiegło w ten sposób końca. Tyle że po polowaniu naturalną kolejną rzeczą przechodzi się do... kolejnego etapu.

– Czyli co? – zapytała niepewnie Zuza, stając pośrodku kuchni. – Może sprawdzimy, czy wino jest dobre, i poszukamy w necie, jak się przyrządza te francuskie frykasy?

Propozycja nadzwyczaj przypadła Misi do gustu.

Wyciągnęła kieliszki, a Zuza włączyła w międzyczasie komputer i zaczęła wpisywać w Google hasła:

– Winniczki jak przygotować...

– Czytaj na głos – zachęciła Misia, szukając korkociągu. – Zrobię ser do naleśników.

– A w zasadzie gdzie podamy kolację? Pogoda jest piękna.

– Zuza spojrzała w kłębiące się za oknem niebo. – Można by na tarasie, ale sanki...

– Luk obiecał przynieść stół. I dostawi się jeszcze mniejszy od Ryszardy... Co z tymi winniczkami?

Zuza skurczyła się przed ekranem.

– Jak przygotować ślimaki do spożycia[4] – przeczytała. –

Pierwszy etap: zbieranie. Winniczki najlepiej zbierać po deszczu, woda zmusza je, by wychodziły... Ble, ble, to wszystko wiemy. O, słuchaj. Drugi etap... Głodówka! – wyartykułowała ze zdziwieniem.

– Że mamy głodować?

– Ślimakom trzeba zafundować głodówkę – podjęła. – Chodzi o to, by miały czas, żeby się... wypróżnić i tym samym oczyścić. Smacznego.

– Czytaj...

– To bardzo ważne dla smaku przyszłej potrawy. Ślimaki należy głodzić przez kilka dni, opcjonalnie cztery, kropiąc je dwa razy dziennie wodą. Można je też nieco podkarmić, na przykład gałązkami tymianku. Z obfitością wody jednak nie przesadzajmy, mogą utonąć... Ale numer!

Misia uporała się już z otwarciem butelki i rozlała wino.

– Wypijmy, bo ślimaki nam właśnie zdechły...

– Jak to?

– Nie możemy ich podać, wyjdą paskudne – stwierdziła z przekonaniem. – Na dodatek nie mamy żadnego doświadczenia. Zapomnij, nie ma mowy.

– Ale ziołowe masełko... – próbowała jeszcze Zuza, Misia pozostała jednak niewzruszona.

– Nie podam zatrutych ślimaków na mojej kolacji i koniec. Za późno się zorientowałyśmy.

– A jakby im coś zaserwować na przeczyszczenie? Aha!

Zuza już zaczynała się rozkręcać, kiedy Misi przyszła do głowy pewna myśl. Myśl nie była może rozsądna, ale gdyby zawsze postępowały rozsądnie, umarłyby z nudów, jak mawiała Zuza. Poza tym ślimaki Misię gniotły i nie dawały spokoju.

– Słuchaj... One podobno do złudzenia przypominają

w smaku grzyby... – zaczęła.

– No, no?

– A gdybyśmy tak posiekały marynowane maślaki i podgrzybki, dodały pietruszki, koperku czy co tam trzeba...

Wino było wyborne, a Misia genialna.

– Chcesz poupychać do pustych skorupki?! – Zuza od razu skojarzyła. – Świetnie! Widziałam pod jaśminem, one tam chyba mają cmentarz. A te wypuścimy – dodała, nie kryjąc ulgi. – A żaba?

– Co o żabach mówi wujek Google? – zainteresowała się, choć umiarkowanie, Misia.

– Jak oprawić żabę. – Zuza wpisała hasło.

– Brutalna kobieta...

– A co mam wpisać?! Jak przyrządzić? To mi wyskoczą przepisy... Chcesz, sama szukaj.

Ale Misia nie chciała, właśnie przyprawiała ser.

– Do sera na naleśniki nie dodajemy czosnku, prawda? Będzie w szpinaku.

– Nie dodajemy, wszystko nie może smakować tak samo... Dzikie białko. Zdobywanie mięsa w terenie^[5] – przeczytała nazwę strony Zuza. – Już jest nieźle... Słuchaj tego... Entuzjaści prawdziwego survivalu żywią się tym, co zdobędą samodzielnie. Niepotrzebne są sklepy. Istnieją inne, prastare sposoby zaopatrywania spizarni: zbieractwo, rybołówstwo i myślistwo. Nic się w nich nie zmieniło. Polowanie na grubego zwierza prymitywnymi metodami, bez broni palnej, w przemyślnie skonstruowane pułapki, zamaskowane wilcze doły i zapadnie oraz wnyki jest całkiem skuteczne... Ha, ha, ha...

– Przemyślnie skonstruowane pułapki... – Misia również

zarechotała. – Dobrze. Ale gdzie tu żaby?

Zuza aż podskoczyła na krześle.

– Są i żaby... Wodna żaba jest ostrożna i zwykle w porę zdąży umknąć pod wodę, wcale nie tak łatwo ją schwytać. Mięso żabich udek jest bardzo delikatne, ale to także skromny kąsek, którym się nie najemy.

– I co dalej?

– O żabach tyle – zakończyła Zuza. – Jeszcze że są pod ochroną. I że wolno łowić tylko duże zielone żaby wodne.

– Nasza Maria nie jest duża – zaprotestowała Misia. – Ani tłusta. To subtelna i szczupła żaba. Bardzo ładna zresztą...

Zuza spojrzała na Misię i ponownie przeczytała:

– Mięso żabich udek jest bardzo delikatne, ale to także skromny kąsek, którym się nie najemy...

Tak, po polowaniu przychodzi czas na kolejny etap.

– W końcu będziemy mieć ślimaki. – Misia doskonale rozumiała przyjaciółkę. Poza tym Maria naprawdę była wyjątkowa. – To co? Wracamy nad staw czy wypuszczamy ją do oczka w ogrodzie?

– A jak tam na nią czeka jakiś stęskniony facet?...



Piotrek Marchewka tęsknił jak pies.

Po przeczytaniu pocztówki dosłownie nie potrafił sobie znaleźć miejsca. Wypucował całe mieszkanie, umył samochód, ale potem inwencja twórcza mu się skończyła. Dlatego już po obiedzie nabył butelkę wykwintnego czerwonego wina (Zuza uwielbiała czerwone), wskoczył w koszulę i popędził do Igły. Przedtem zajechał jeszcze na Rynek i kupił trzy bukiety kwiatów: dla Zuzy, Misi

i Ryszardy.

Igła otworzył mu... w garniturze.

– Tam masz lustro – odparował, widząc jego zdumiony wzrok. – Sam wyglądasz, jakbyś połknął kij od szczotki.

Racja.

Marchewka, ostrzyżony i wypucowany, przypominał eksportową, warzywną wersję samego siebie. Ale czy to źle? Kobieta chyba powinna wiedzieć, że facet się stara?

W oczekiwaniu na wieczór włączyli Polsat Sport i czas zaczął płynąć inaczej.

Na Akacjowej stawili się punkt dziewiętnasta.

Drzwi otworzyły im Misia z Zużą i na chwilę obaj jednocześnie stracili kontakt z rzeczywistością, choć każdy z innej przyczyny. Igła gapił się przed siebie jak ciele w malowane wrota, ale Marchewka podzielał jego zdanie. Misia wyglądała zjawiskowo. Te loki, te fale przełamujące Dunaj. Tak, tak, zjawiskowo. Ale kiedy spojrzał na Zużę...

Z zachwytu zaschło mu w ustach.

– Nigdy... – powiedział, całując jej dłoń, którą chętnie mu podała. Tak chętnie, że do ręki dołączyłaby i zawartość sukienki, co niezmiernie go ucieszyło. – Nigdy nie znałem tak wyjątkowej kobiety jak ty. I bardzo przepraszam, że... Że zaślepiła mnie zazdrość...

Po tym wyznaniu Zuzie rozświebliły się oczy i ceremoniał powitania nieco się przedłużył. W pokoju obok. A goście czekali. Z kuchni wyszedł właśnie Igła z Misią, a w salonie migdałiła się Ryszarda z... Lukiem.

Coś w końcu należało z tym fantem zrobić.

Marchewka chrząknął, poprawił koszulę, po czym podszedł do Francuza pewnym krokiem. Spojrzeli na siebie, jeszcze z ukosa, ale Luk Lucateau wyciągnął rękę pierwszy

i powiedział płynną polszczyzną:

– Ile jest kawałów o Francuzach? Jeden, bo cała reszta to prawda...

I wszystkie nieporozumienia poszły precz.

Przyjęcie było wspaniałe. Przynajmniej do pewnego momentu. Zuza z Misią urządziły je w ogrodzie i to był motyw przewodni. Porozwieszały na gałęziach słoiki, do których włożyły świece, wszędzie poustawiały świeże kwiaty, a pomiędzy dwoma drzewami rozwiesiły prześcieradło i wyświetlały fotografie przeróżnych ogrodów. Takie tło. Do tego doszło wyborne jedzenie i Marchewka w pewnej chwili stwierdził, że po dzisiejszej kolacji przybędzie mu parę kilo, tak mu smakowało. Luk jadł jak znawca: małymi porcjami. W międzyczasie spijał miód z ust Ryszardy i do tej pory wszystko toczyło się wręcz idealnie, komisarz dawno nie był na tak udanej imprezie.

Potem zaczęła się część artystyczna.

Zuza przyniosła z pokoju książkę (*Tajemniczy ogród*, jakżeby inaczej) i zaczęła czytać:

– „Zauważono ostatnio, że myśl – po prostu myśl – może być silna jak prąd elektryczny, dobroczynna jak promienie słoneczne lub zabójcza jak trucizna. Dopuszczanie do siebie myśli smutnych lub złych jest tym samym co zakażenie organizmu, na przykład zarazkiem szkarlatyny. Skoro więc dopuści się do osiedlenia takiej myśli na stałe, może to mieć zgubny wpływ na całe życie”[\[6\]](#).

Jasne, piła do niego, ale ogólnie musiał się zgodzić.

Ucałował więc Zuzę, zajrzał do książki i wepchnął do ust pieroga z mięsem. Potem wystąpił Pan Purée, to jest... Luk. Dziękował Ryszardzie, że ugotowała specjalnie dla niego swój kociołek, i wysilił się na skomplikowany cytat,

który po spolszczeniu mógłby brzmieć mniej więcej tak: „Odkrycie nowej potrawy bardziej przyczynia się do szczęścia ludzkości niż odkrycie nowej gwiazdy”. Czy po prostu: „Ważniejsze jedzenie na stole niż bujanie w obłokach”. Tak, pierogi z mięsem to było to.

I wtedy zdarzyły się dwie rzeczy.

Najpierw zadzwonił spanikowany Kuba.

– Piotruś, ratuj! – zacharczał.

– Człowieku, jestem na uroczystej kolacji...

– Hardy zwiął! – Kuba nie silił się już na ozdobne wstępy.

– Może ty coś poradzisz?!

– Jak to: zwiął? Przecież mieliście pilnować... Specjalne środki ostrożności... Kuba!

– Stary, zwiął! Zwiął i już, kur... Nie daliśmy rady. Nie wiem jak. Przepiórek mnie zatłucze... Może ty coś wiesz?

– Skąd?!

– Nie wiem, jesteś na miejscu...

– Mówię ci, kolacja... Kobieta...

– To gdzie mam go szukać? Stary!

– Kubuś, bardzo chciałbym pomóc, ale...

– Czekał. – Kuba na chwilę odłożył telefon i Marchewka słyszał jakieś trzaski, nawoływania... – Piotrek, mamy go!

– No! – odetchnął, ponieważ Zuza już zganiła go wzrokiem.

Przeprosił więc i na chwilę odszedł między drzewa.

Ale to był dopiero początek.

– Piotrek! – Kuba znowu był na linii. – Namierzyliśmy jego samochód. On prawdopodobnie jedzie do was!

– Gdzie: do was? Kubuś, jakie: do was?! Jestem na...

– Jedzie na Akacjową. Stary! Tam jest jeden jedyny wóz. Ratuj, bo będzie miazga!

– Co robimy? – Marchewka przestał już panikować, teraz liczyło się tylko bezpieczeństwo. – Tu jest impreza.

– No właśnie, wiem! Piotrek, musisz wszystkich wyprowadzić. Słyszysz? On jedzie po Francuza...

– Jasna cholera! – Marchewka złapał się za głowę. – Jak nie pożar, to... Dobra. Kubuś, zbieraj posiłki i pędźcie tu jak najszybciej... Coś wymyślę...

Na szczęście los dziś komisarzowi sprzyjał.

Ledwie zdążył się uspokoić, Misia wniosła na stół talerz pełen... ślimaków.

– To na cześć Luka. W podziękowaniu za... – lekko się zająknęła. – Za wszystko. Tylko to są specjalne ślimaki. Nie po burgundzku, ale po... śląsku. Częstoście się, zapraszamy.

Przy stole zapanowało poruszenie, które przerwał sam gość honorowy.

Zakołysał się w miejscu, wylewnie podziękował, po czym zadał konkretne pytanie:

– W ile stopnia pieczone?

Misia poprawiła nerwowo loki.

– Szczerze mówiąc... One są lepsze na surowo.

– Surowa ślimaka?! – Luk starał się nie unosić, w końcu darowanemu ślimakowi pod skorupkę się nie zagląda. Ale on zajrzał. A nawet ostrożnie wydlubał widelcem małą porcję i skosztował. – Oryginalny smak – ocenił, przyglądając się dość podejrzliwie Misi. A w następnej kolejności Zuzie. – Ale lepszejsza upieczona będzie. Można?

– Ale co?

– Upieczona, taka surowa nie proponują...

Zuza spojrzała rozpaczliwie na Marchewkę, Marchewka spojrzał rozpaczliwie na Iglę, a Iglę zerknął na... stojący za

plotem piec ogrodowy.

I to był strzał w dziesiątkę!

– Moi drodzy! – Marchewka, tłumiąc zniecierpliwienie, wstał i zastukał w kieliszek. – A gdybyśmy się tak przenieśli? Przecież nie zaprosiliście waszego sąsiada. Jak on się nazywa?...

– Tadeusz Zawadzki – bąknęła Misia, unikając wzroku Igły, ale Igła nie widział problemu.

A nawet chętnie zorganizowałyby małą konfrontację.

– Jestem za! – oznajmił, również zrywając się z krzesła. – Chcecie pieczone ślimaki? Może w takim razie pan Zawadzki udostępni nam piec?

– Ale jaki piec? Przecież mamy piekarnik. – Zuza stawiała opór, aż Marchewka złapał ją za rękę i pocałował.

– Potrzebujemy pieca. Chodź... – szepnął, obiecując tonem głosu trzęsienie ziemi i inne atrakcje.

– Ale to tak nieładnie kogoś nachodzić – Misia porozumiała się wzrokiem z Zuzą i również nie wyraziła aprobaty.

– Marudzicie. – Igła już wyciągał zza stołu Ryszardę, a Ryszarda Luka.

Towarzystwo podłapało pomysł.

Rozchichotani ruszyli do furtki, a wtedy Marchewka zmaterializował się przed Igłą i w kilku zwięzłych słowach przekazał najważniejsze treści.

Kumpel w lot wszystko przekalkulował.

– Szybko! – rzucił i pierwszy dopadł bramy Zawadzkiego.

Raz za razem przyciskał dzwonek.

Tyle że nikt im nie otworzył.

– Przecież samochód stoi – zauważyła Ryszarda, wtulając się w Luka.

Uwaga była niepozabawiona racji.

Tym bardziej, że w domu paliło się światło. I to na całym piętrze! Sąsiad nie miał obowiązku przyjmować gości, jednak nawet Zuza wyglądała na zdziwioną. A może Zawadzkiemu coś się stało? I teraz to ona wydała komendę:

– Przez płot, jest ciągle przecięty! Tylko uważajcie na nawóz...

Dalej wydarzenia potoczyły się same.

Igła trzymał fragment siatki, reszta towarzystwa przechodziła. Minęli piec (Marchewce nie umknął szczegół, że Zuza zatrzymała się przy nim dłużej, niż powinna), a potem wszyscy pognali po mięsistej trawie do drzwi tarasu. Tu zaczęli ze śmiechem pukać w szybę, ale im dłużej się dobijali, tym większą zyskiwali pewność, że coś jest nie tak.

Ale w końcu ich usłyszano.

Nagle od ściany odbiły się z trzaskiem drzwi wejściowe, ze środka wyprysnęła jakaś zamaskowana postać, a pod bramę Misi podjechało wielkie BMW. Jednocześnie gdzieś na górze usłyszeli wzywanie na pomoc.

Zawadzki?!

– Za dom! – Marchewka i Igła pognali na podjazd, a ponieważ napastnik już wybiegł z posesji, skierowali wszystkich na bok, pod garaż, tak, że byli niewidoczni od strony ulicy.

– Tadeusz... – zaprotestowała słabym głosem Misia.

– Zaraz sprawdzimy. Bądźcie cicho! – Igła próbował zapanować nad grupą. I dlatego nie mógł im wszystkiego powiedzieć. – Siedzicie tu i czekacie. Nie wychodźcie stąd pod żadnym pozorem... Zrozumiano?!

– Ale co dzieja się? – Luk również był poruszony.

– Co z Tadeuszem? – dopytywała Zuza.

Broń...

Marchewka powtarzał w myślach tylko jedno słowo, ale szedł na kolację.

Po jakiego grzyba miałyby zabierać ze sobą broń, i to kiedy go zawieszono?!

– Czekacie – powtórzył głosem nieznoszącym sprzeciwu, co zrobiło wrażenie nawet na Zuzie.

– Masz gnata? – zapytał po chwili na stronie Igłę, tak żeby go nikt inny nie słyszał.

Ale odpowiedziała mu Ryszarda.

Jak zakradła się do nich tak bezszelestnie, nie potrafił powiedzieć, ale to było prawdziwe zrządzenie losu. Najpierw poczuł zapach jej perfum, jednak mniej słodki niż zwykle, a potem Ryszarda szepnęła mu do ucha:

– Przyjechał Hardy, prawda?... W moim samochodzie, z tyłu, pod fotelem kierowcy. Tam znajdziecie pistolety. I ślepaki, ale zabrałam też prawdziwe naboje. Tak na wszelki wypadek. W osobnym pudełku. Auto jest otwarte...

– Nikt nie może wyjść z tego podwórka – zakomunikował jeszcze raz Igłę, a Ryszarda od razu pojęła.

– Nie wyjdzie. Będę pilnować.

– I nie wolno wam wchodzić do Zawadzkiego. Nie wiadomo, co się tam dzieje. Jasne?

– Ojej... Jasne przecież.

Zyskawszy w ten sposób sojusznika, mogli się skupić na najważniejszym.

– Przez płot i do auta. Osłaniasz mnie, cholera, garniturem chyba... – syknął Marchewka i pomknęli.

BMW stało na podjeździe, burcząc niczym chrabąszcz majowy.

W środku siedział tylko kierowca i po kształcie karku Marchewka rozpoznał niejakiego Larego. Odetchnął. Z nim nie powinno być większych problemów. Byle tylko koleś ich nie zauważył... Przeszli pod rozciętą siatką, już prawie dotarli niezauważeni do furtki, kiedy trzasnęły drzwi domku dla gości i usłyszeli za plecami czyjś niski głos:

– Stać! Łapy do góry, bo wam odstrzelę jaja. Już, wyłazić z krzaków!

Marchewka poczuł nagły przypływ adrenaliny.

Hardy stał w cieniu, spowity mrokiem, jednak z jego sylwetki emanowała siła, ta ohydna siła, która zniszczyła życie wielu ludzi. Komisarz już dawał Igle znak, już gotował się do skoku, kiedy na ulicę wpadł szpaler policyjnych aut i nastąpił Armagedon...

Wstrząśnięty Hardy obrócił się na pięcie i, wiele nie myśląc, wpadł do domku.

Igła z Marchewką przez okno za nim.

Jak potoczyłyby się wydarzenia, gdyby nie pewien rudy kot, nie wiadomo, ale słysząc rumor przewracanych mebli, dachowiec wykonał bardzo efektowny skok z szafy i wylądował wprost na twarzy Hardego...



W pełnym składzie mogli się spotkać dopiero w następną środę.

Marchewka po ujęciu Hardego został przywrócony do łask, Igle skończyło się zwolnienie lekarskie, więc mieli kupę roboty, zwłaszcza że próbowali zamknąć sprawę. W dodatku Igła przenosił etapami swoje rzeczy do Misi, a Luk rozpoczął remont parteru, więc zamieszanie na Akacjowej wcale się nie skończyło. W międzyczasie Zuza co

prawda usiłowała podpytywać Marchewkę o szczegóły, bo aresztowanie pana Tadeusza i pojmanie Hardego zrobiło na niej wrażenie, ale Piotrek się uparł. Dla dobra śledztwa postanowił nie puścić pary z ust. Aż do dzisiaj. Nie pomogły szantaże ani przekupstwa, fochy i humory. Uśmiechał się tylko tajemniczo i, nie tracąc rezonu, odpowiadał, że wszystkiego się dowie. W swoim czasie. Dlatego Zuza z Misią gnały do restauracji Luka, jakby je ktoś gonił. Z Igłą i Marchewką umówiły się na miejscu, panowie jechali prosto z komendy, a Ryszarda z Lukiem byli tam już od obiadu.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że Tadzio miał jakieś konszachty z Hardym – wieszczyła Zuza.

– Zobacz! – Misia w kwestii sąsiada również przestała być optymistką, ale teraz stanęła jak wryta.

Ścianę lokalu wyłączało zachodzące słońce.

Przedzierało się przez liście, tworząc na niej prawdziwie ażurowy wzorek. Po chwili do słońca dołączył również wiatr i materia utkana ze światła i cienia przesunęła się pod żeliwny szyld, na którym stylizowane na ręczne pismo litery układały się w napis:

FRANCUSKI PIESEK.

– Przecież to genialna nazwa dla takiej knajpy. – Zuza cmoknęła z uznaniem.

Misia sądziła podobnie.

– Marchewka tak powiedział, kiedy go zobaczył w ręczniku – wyjaśniła. – Przyszedł rano...

– Słucham? – Zuza czegoś tu nie rozumiała.

Jej Marchewka przyszedł gdzieś rano i zobaczył Luka w ręczniku?

Ale o wilku mowa.

W drzwiach stanął sam właściciel – cały wypachniony i wyelegantowany, a za nim ukazała się Ryszarda. Spowita w subtelne zielenie. Ale już bez żadnych chabazi na szyi, bez tysiąca ozdób i ozdóbek, kłosów, dojarek... Uśmiechała się tajemniczo, aż miło było na nią popatrzeć.

I tylko szlaczka na zębach żal...

– Zapraszamy do środka, Luk przygotował ucztę – oznajmiła z dumą. – Ktoś tu na was czeka.

Machewka z Igłą wyszli się przywitać, Zuza z Misią przepisowo zawisły na męskich torsach, a po chwili wszyscy siedzieli przy wielkim okrągłym stole i kosztowali wina.

Zuza wytrzymała do pierwszej przystawki.

– Tradycyjna terina z foie gras, chutney z czereśni i domowy brioche – wygłosił formułkę kelner, stawiając przed nią prześlicznie podany posiłek.

– Dziękuję... Tak, a może od razu przejdziemy do dania głównego?

Luk zamarł z widelcem w dłoni, a kiełek fasolki mung ułożył się na jego talerzu w znak zapytania.

– Teraz? Główne?!

Oczywiście, źle się wyraziła.

– Nie, nie... Chodzi mi o inne danie główne. O punkt programu, gwóźdź w zasadzie.

– O guść? Guść kulinarny? O guściach podobno nie dyskutowacie.

Marchewka patrzył w swoją porcję od pięciu minut, zastanawiając się, jak ugryźć temat. Fła coś z tam z teri coś tam... Świetnie, tyle że on widział trzy kleksy. Trochę sosu ułożonego w fikuśny wywijas, dwie kostki pasztetu plus przezroczystry płatek jakiejś buły. Chyba. Pochłonąłby

to za jednym zamachem, ale coś mu mówiło, że to nie jest dobry pomysł. Więc faktycznie, może zamiast jeść, powinien zrobić z ust inny użytek?

– Zuza sugeruje, że powinienem zacząć opowiadać... – włączył się do rozmowy.

– Tak, nie trzymaj nas dłużej w niepewności! – Zuza dotknęła pod stołem jego ręki, przysunęła się i komisarz uznał, że gdyby ktoś chciał podać na przystawkę marchewkę, byłaby glazurowana w cukrze.

Zerknął więc na Igłę, popił wina i zaczął:

– Niedawno dostaliśmy do rozpracowania sprawę nielegalnego handlu prawem jazdy...

– Że jaką?! – Zuza zareagowała dość żywiołowo.

Odłożyła sztućce i wyprostowała się, a na jej twarzy odmalował się popłoch.

– Handel prawem jazdy. W Wewnętrznym Ośrodku Ruchu Drogowego w Katowicach. Wiedzieliśmy, że stoi za tym dyrektor instytucji, Tadeusz Zawadzki, ale musieliśmy znaleźć dowody...

Zuza z Misią wyglądały teraz, jakby dostały z Akacyjowej eksmisję.

I to w trybie natychmiastowym – bez możliwości zabrania ze sobą choćby sanek.

– Słucham?... – wydukała Misia. – Możesz powtórzyć?

– WORD. Zdaje się, że Zuza zdawała tam ostatnich dwanaście egzaminów – zauważył Igła, starając się, żeby jego głos brzmiał neutralnie. – A Tadeusz Zawadzki to wasz sąsiad, więc czemu tak się dziwicie?

– Co to Worda? – Luk wyłapał najważniejsze i Ryszarda nachyliła się, żeby mu wytłumaczyć.

– Ale on jest dyrektorem Excela! – zawołała zdumiona

Zuza.

– Jakiego Excela? – nie zrozumiał Marchewka. – WORD-u. Excel to jest arkusz kalkulacyjny...

– WORD! – Zuzę nagle olśniło, bo dopiero z zestawienia tych dwóch słów wyciągnęła wspólny mianownik. – Excel... Pani Halinka się rypnęła, no, jasne...

– Taka pomyłka. – Misia również nie potrafiła ukryć, że wiadomość wywarła na niej piorunujące wrażenie. – I on handlował prawem jazdy? Tadeusz?!

– I to bardzo sprytnie handlował – zapewnił Marchewka, który odczekał, aż największe emocje opadną, po czym kontynuował: – Przez lata nie można mu było niczego udowodnić A nawet powiem inaczej. Niektórzy wiedzieli, że coś się dzieje, ale woleli nie wnikać. Mieli za dużo do stracenia, ponieważ pan Zawadzki ma za sobą dość ciekawą przeszłość...

Igła nie przeżywał kulinarnych dylematów, jak jego kumpel, ale rozprawił się z przystawką w dwie minuty. Wyborne. Tylko mało. Upił wina i postanowił nieco wesprzeć Marchewkę, który mógł się zagalopować i powiedzieć kilka słów za dużo. A po co?

– Ogólnie rzecz ujmując, Zawadzki pracował w rozmaitych służbach – dokończył. – Przez całe lata. I przez lata gromadził dokumentację, która służyła mu do szantażu albo była jego polisą na przyszłość. Zresztą ustawił się w nowych czasach bardzo dobrze. Być dyrektorem WORD-u to naprawdę niezła fucha...

– Tyle że wasz sąsiad był pazerny – wszedł mu w słowo Marchewka. – I wykombinował sobie biznes. Lewe prawko. Chociaż ono było dosyć prawe, bo egzamin się odbywał, a kandydaci otrzymywali autentyczne dokumenty. Bez

względu na rezultat.

– Ale jak to możliwe? – Nawet Ryszarda chciała poznać szczegóły.

Luk po usłyszanych na stronie wyjaśnieniach jakby wręcz przeciwnie.

Przez ostatnie pięć minut nie patrzył nikomu w oczy.

– Bardzo prosty mechanizm – wtrącił Igła, widząc, że jego kumpel przywołuje kelnera, pokazując pusty kieliszek.

– Zawadzki miał w swojej kadrze dziesięciu przekupionych egzaminatorów, którzy otrzymywali premie plus oczywiście niemałe sumki pod stołem. W konkretnym dniu ich szef po prostu przekazywał informacje, kto z podchodzących do egzaminu musi zdać. Wśród jego ludzi był Krzemiński...

Zuza na dźwięk nazwiska zamieniła się w słup soli i, podobnie jak Luk, wbiła spojrzenie w obrus. Idealnie wyprasowany, śnieżnobiały.

– Czy państwo życzą sobie, żeby podać tradycyjną zupę cebulową? – usłyszeli kuszące pytanie.

Kelner przystanął z boku i czekał na decyzję, która zapadła w okamgnieniu.

Państwo sobie życzyli.

– Pan Krzemiński współpracował ze swoim szefem od kilku lat. – Tym razem opowieść podjął Marchewka. – Ale z roku na rok domagał się coraz większych stawek, a w końcu zaczął Zawadzkiego szantażować. Tyle że to Zawadzki rozdawał karty. Kiedy zrozumiał, że Krzemiński oznacza problemy, postanowił się go pozbyć.

– Ojej... – westchnęła przejęta Ryszarda.

Misia siedziała cichutko i tylko patrzyła.

Igła uchwycił jej spojrzenie, uśmiechnął się, po czym dał Marchewce znak.

– I tu dochodzimy do Akacjowej – powiedział, zniżając dla efektu głos. – Dopóki Misia nie wprowadziła się do swojego domu, Zawadzkiemu żyło się tam jak w raju. A to dlatego, że ukrył dokumenty, o których mówiliśmy, w... domku dla gości.

Ryszarda zatrzepotała rzęsami, jakby kupiła na Grouponie brazylijską depilację.

Za pół ceny.

– W moim domku?!

– Tak. Na strychu, pod deskami – uściślił Igła.

– To dlatego w dachu była dziura! – skojarzyła.

– Dlatego. Jednak dobrze papiery zabezpieczył, żeby nie zamokły. Są całe... Tu muszę powiedzieć, że Zawadzki naprawdę nieźle to wszystko wymyślił. Dokumenty były bardzo ważne i wielu osobom zależało, żeby je przejąć. Podejrzewam, że niektórzy próbowali. Ale kryjówka na sąsiedniej posiadłości zupełnie im to uniemożliwiła.

– Znaleźliście je? – spytała Ryszarda.

Marchewka potwierdził skinieniem głowy, a Igła kontynuował:

– Zawadzki schował na strychu również sporo kosztowności. A że siatka była przecięta, dom opuszczony, mógł wchodzić na podwórko Misi, kiedy chciał... Dlatego nowe sąsiadki to był dla niego problem. Zwłaszcza że zaczęło ich przybywać. – Igła wskazał na Ryszardę, a później przeniósł spojrzenie na Zuzę, która w końcu przestała skubać obrus.

– Kot! – rzuciła porażona myślą.

– Ale który? – Ryszarda nie skojarzyła.

– Obdarty ze skóry. To Zawadzki, prawda? – upewniła się ze smutną miną Misia, a Igła przytaknął.

Widząc, że sytuacja znowu robi się napięta, Marchewka zmienił kumpla.

– Zawadzki chciał was w ten sposób zniechęcić – wyjaśnił.

– Może ostrzec...

– A nie mógł po prostu zabrać papierów?! – Ryszarda uznała, że były prostsze rozwiązania niż męczenie niewinnych zwierząt. – I zostawić nas w spokoju?

Marchewka zaprzeczył.

– Przyzwyczaił się. Sądził, że jeśli zaczną was spotykać nieprzyjemności, przeszkody, to się w końcu wyprowadzicie. Ale o tym później.

– A skąd wiadomo, że kot to sprawka... Zawadzkiego? – zająknęła się Misia. – A nie na przykład Hardego?

Na to pytanie odpowiedział Igła.

Który doskonale udawał, że nie dostrzega poruszenia swojej ukochanej. I że to poruszenie wcale go nie dotyczy.

– Mamy nagranie z kamery, rozpoznaliśmy go po kobiecym sposobie chodzenia. Zresztą, jak zobaczył film, sam się przyznał.

Misia już chciała to chodzenie podważać, ale spojrzała na Iglę i stwierdziła, że woli, kiedy ktoś twardo stąpa po ziemi. Uśmiechnęła się do niego oczami, a uszczęśliwiony Igła pogładził swoją starannie przyciętą bródkę, po czym mówił dalej:

– Ten kot nas nieźle przestraszył... Sądziliśmy z Marchewką, że komunikat był przeznaczony dla nas, że Zawadzki się domyślił, że go śledzimy...

– A śledziliście? – Zuza nerwowo drgnęła.

– Tak. Ale ze względu na wasze bezpieczeństwo musieliśmy się odsunąć od sprawy. I wtedy opiekę nad Zawadzkim i... innymi mieszkańcami Akacyjnej przejął

zespół naszego kolegi, Kuby Prucza. Wracając do Krzemińskiego...

Marchewka poprawił się z ożywieniem na krześle. Zbliżali się do najbardziej ekscytującego momentu opowieści.

– Mogę? – spytał, a wtedy Igła dossał się do dłoni Misi. – Krzemiński też był obserwowany. Nawet kiedy pojechał na pewne spotkanie, do którego doszło pod Silesią. Na parkingu...

Zuza wpatrzyła się w Marchewkę z rosnącym napięciem.

A potem poczuła, że coś w niej zaczyna dygotać.

– I nawet kiedy zapisywał pewne nazwiska w kalendarzu... – dodał znacząco komisarz.

– Kelner! – zawołał nagle Luk, który nie mógł już tego dłużej słuchać. – Dlaczego my bez zupa?! Idę gonić kelner – oznajmił, po czym zniknął w kuchni.

Zdumiona Ryszarda przyjęła reakcję swojego oblubieńca z troską. Przeprosiła towarzystwo i ruszyła za nim.

Tymczasem z Zuzy jakby opadła jakaś zasłona.

Zrobiła się czerwona na twarzy, po czym spytała złym głosem:

– Zdawał któryś z was dwanaście razy egzamin?! Słucham... Właśnie. – Sama sobie odpowiedziała. – Więc nie dziwcie mi się.

– Nie dziwciemy się. – Marchewka wyszczerzył zęby w przekornym uśmiechu, a Igła zapatrzył się w czyjeś szare oczy, które w tym oświetleniu były jednak zielonkawe, a w zielonkawych oczach można utonąć niczym w stawie pełnym żab. – Ja podejrzewałem, że tak będzie...

– I?... – zawahała się Zuza. – Co teraz? Wsadzicie mnie

za kratki?

Komisarz wziął do ręki kieliszek.

Znowu pusty.

– Żebyś rozniosła więzienie? – Puścił do Zuzy oko. – Polskiego wymiaru sprawiedliwości na to nie stać. Poza tym w policji liczy się tylko wódka i... statystyki. A statystycznie ilość trupów się zgadza.

– Znaleźliście... – Zuzę zatchnęło.

Uzmysłowiła sobie również potworną rzecz: że wszystkie, absolutnie wszystkie jej działania, łącznie z ułożeniem Krzemińskiego pod palmą, podrzuceniem go do policyjnej piwnicy, a nawet z włamaniem do ZUS-u były...
REJESTROWANE.

W jednej chwili zeszło z niej całe powietrze.

– Nie zabiłam Krzemińskiego – zdołała jedynie oświadczyć.

Marchewka otoczył ją ramieniem.

– Wiem – zapewnił. – Na parkingu jest monitoring. A jeśli zapytam, czyje auto stało na najniższym poziomie?

...

– Tadeusza! – odgadła Misia.

– Zgadza się. To on go zabił, znaleźliśmy ślady krwi na jednym z ubrań w koszu na pranie, nie zdążył uprać ani wyrzucić. Ale Krzemiński wrócił przed waszym wieczornym spotkaniem do domu, gdzie zostawił kalendarz.

– Z naszymi nazwiskami? – dopowiedziała Zuza.

Już czuła się spokojniejsza.

A nawet, kiedy Marchewka ją tak obejmował, czuła się najspokojniejszą kobietą na świecie.

– Z waszymi nazwiskami. Ale jedną kartkę zawsze

można wyrwać – szepnął jej do ucha. – A nawet przyznam się, że już wyrwałem...

– Macie kalendarz?! – Zuza nie posiadała się ze zdumienia.

– Zawadzki wiedział, że kalendarz to dowód. Musiał go mieć. Po morderstwie zakradł się do mieszkania Krzemińskiego i go odnalazł. Potem ukrył notes z ubraniami, w koszu. Komórkę Zawadzki też zabrał i zniszczył. Ale gdybyśmy jeszcze do kompletu dostali... bo ja wiem?... – Marchewka ucałował Zuzę w czoło. – Portfel?

– Portfel i klucze da się zorganizować...

– A czy ten portfel był w środku wytarty z odcisków palców?

Zuza poweselała.

– Z tego, co wiem, chyba nie.

– Bardzo dobrze – pochwalił ją Marchewka, a potem się wyprostował, ponieważ na salę wrócili Luk i Ryszarda w asyście kelnerów.

Zapachniało masłem.

– Zupa cebulowa! – Luk trząsał się nad każdym wydawanym talerzem. Swoją porcję zostawił na samym końcu.

– To rozumiem. – Igła spróbował, a na jego twarzy rozlało się zadowolenie.

Przez moment ciszę przerywało jedynie siorbanie, zupa była bardzo gorąca.

– Mnie ciekawi Hardy – zaczęła Ryszarda. – Bo skoro za kota odpowiada pan Tadeusz, to awaria gazu i ostateczne włamanie w noc pożaru...

– Jeszcze chwila, dokończę o sąsiedzie – powstrzymał ją Igła, zerkając na Zuzę. – Zawadzki przyznał się, że

w mieszkaniu Krzemińskiego kogoś spotkał. I rozpoznał... Wtedy podjął decyzję, że musi bardziej przycisnąć sąsiadki. Żeby życie na Akacjowej im obrzydło.

– Czy teraz będzie o Sławusiu? – zasugerowała Misia, a Igła uśmiechnął się z uznaniem.

– Będzie o Sławusiu, który dostał rozkaz, że ma obrócić wasz dom w perzynę. Ale polubił was, dlatego poprzestał jedynie na... małych niekompetencjach.

– My też Sławusia polubiłyśmy. – Misia już chciała stawać w jego obronie, ale Igła ją uprzedził.

– Sławuś jest w tej całej sprawie niewinny jak baranek. No, jeśli nie liczyć wyłączenia prądu w instytucji państwowej. Ale powiedzmy, że nasi koledzy setnie się przy tym ubawili i nie byli go w stanie powstrzymać. Bardzo byli ciekawi finału. Oczywiście finał przerósł ich najśmielsze oczekiwania. – Igła wrócił myślami do rozmów z Pruczem, kiedy ten, sikając ze śmiechu, opowiadał o podłożeniu pod ZUS bomby ekologicznej.

– O co chodzi z ZUS-em? – Ryszarda, przecież zadłużona w tej prastarej instytucji, od razu okazała zainteresowanie.

– Już wyjaśniamy... – Marchewka usiłował zachować powagę. – Ale sprawa zaczyna się o wiele wcześniej, bo Zawadzki zna dyrektora ZUS-u od wielu lat...

– Jak to? – zdziwiła się Ryszarda. – Tego obrzydliwego, chamskiego...

– Słucham? – Komisarz jednak nie był wtajemniczony i nie zrozumiał.

– Mów dalej – wtrąciła Zuza, która wolała, żeby Marchewka nie zajmował się Ryszardą, dla jej własnego bezpieczeństwa. – Naprawdę się znają?

– Tak, jeszcze z czasów, kiedy razem pracowali

w służbach – ciągnął komisarz. – I jak to bywa, jeden gromadził na drugiego kwity. Dyrektor ZUS-u bardzo chciał je dostać, kiedyś nawet nasłał zbirów, którzy włamali się do Zawadzkiego. Właśnie po tym zdarzeniu Zawadzki przeniósł dokumentację do domku dla gości. I kiedy w domku doszło do awarii gazu, Zawadzki uznał, że to sprawka jego dawnego znajomego, który pewnie odnalazł kryjówkę. Odwiedził go w ZUS-ie i ostrzegł, ale właśnie tej samej nocy...

– Doszło do skażenia ekologicznego – dokończył Igła, który rozszarpał z lubością położoną przed nim bagietkę.

– Do czego? – chciała wiedzieć Ryszarda.

– Jakiś niezadowolony petent – wtrąciła przezornie Zuza – rozrzucił w ZUS-ie łajno.

– Gdyby tylko rozrzucił! – Igła zaczął sprzątać ze stołu okruchy, ale Luk powstrzymał go uspokajającym gestem. – Ktoś wstrzyknął płynne... łajno w szczeliny między ścianami, w otwory futryn, w listwy przy podłodze. Do dzisiaj sobie z tym nie poradzili! Co tam się dzieje...

Przy stole zapanowała atmosfera radosnego ożywienia.

A zwłaszcza ożywiona była Ryszarda.

– I co, i co?

Marchewka chrząknął.

– To ma ciąg dalszy – podjął. – Ponieważ tej nocy w ZUS-ie był Zawadzki, dyrektor uznał, że to on wywinął mu ten śmierdzący numer. I pamiętnej nocy odwiedził go, bynajmniej nie w pokojowych zamiarach. Doszło do bójki, a resztę już znacie.

– Ale miało być o Hardym – przypomniała Ryszarda.

– To może ja? – zaproponował Igła. – To jest mniej skomplikowane. Po prostu Ryszarda rzuciła swojego

narzeczonego, a narzeczony... – Spojrzał na Luka, ale Luk w ogóle nie sprawiał wrażenia zazdrosnego o przeszłość swojej ukochanej. – Narzeczony postanowił się zemścić. Za doprowadzenie rogów, bo Ryszarda również była śledzona.

– Przez Larego?

Igła pokiwał głową.

– Żołnierze Hardego ustalili, że Ryszardą interesuje się Luk. Potem dostali polecenie, że mają Ryszardę postraszyć, i doszło do awarii gazu...

– A gdzie byliście wtedy wy? – spytała przytomnie Zuza.

– Przecież policja obserwowała Akacjową.

– Otóż to! – podchwyciła Misia, która skończyła jeść zupę, a wyraz jej twarzy mówił, że jest nadzwyczaj zadowolona.

– Gdybyśmy wtedy Larego nie spłoszyli – zasugerował Marchewka – na miejscu domku byłaby teraz wielka dziura...

– Ojej! – Ryszarda wyobraziła sobie wielką dziurę i ta wizja ją przeraziła.

– Na wszystkich etapach kontrolowaliśmy sytuację. Może nie całkiem – Igła przypomniał sobie pożar – ale jednak. Na początku nie wiedzieliśmy, kto włamuje się do domku. Dopiero kiedy Ryszarda złożyła na komendzie zeznania...

– Ale i tak Hardy wam zwiął! – Ryszarda, mimo wszystko, poczuła lekką satysfakcję, co zaraz ją bardzo zawstydziło.

– Nikt nie jest nieomylny – rzucił filozoficznie Marchewka. Wytarł usta, a później zaczął się... trząść. Patrzył to na Zuzę, to na kelnera przy barze i co chwilę kaszlał. – Ale ujęcie Hardego i pomyślnie zakończenie zawdzięczamy... Edkowi? Tak mu na imię?

– Tak, Edek – przytaknęła Zuza, a zaraz potem się

pochwaliła: – Nasz Edek i Pyza to teraz para. Pierwsze koty za płoty i już się kochają.

– Właśnie ja chciałem o kotach. To znaczy o ludziach... – Marchewka poprawił nerwowo swoją przyszczyżoną fryzurę, a następnie przerzucił się na krawat. – Pierwsze koty za płoty, ale może drugie?... – spytał dość niejasno i Zuza spojrzała na niego zaintrygowana.

– Co ci jest?

I wtedy od strony baru nadszedł kelner, taszcząc w ramionach gigantyczne ustrojstwo.

Zuza nie знаła się na hydraulice, ale nawet ona rozpoznała pompę.

– Bo ja chciałem z pompą...

Z głośników popłynęła nastrojowa muzyka, a Marchewka rzucił się na kolana, wyciągnął z kieszeni ozdobne pudełeczko i wyrecytował formułkę:

– Czy zrobisz mi ten paszczyt i zostaniesz moją żoną?...



Spotkanie przeciągnęło się do późnych godzin nocnych.

Wino lało się strumieniami, rzeczkami, wesoło ciurkało, a niektórzy kąpali się w nim jak w stawie (polowanie na żaby było przebojem wieczoru), jednak wszystko ma swój koniec. Misia z Iglą poszli na Akacjową, a wniebowzięty Marchewka zaprosił swoją przyszlą żonę na spacer do parku.

Ryszardzie i Lukowi zostały więc gary.

I niby przy stole padły wyjaśnienia, ale Ryszardę coś gryzło.

A nawet uwierało.

Dlatego poczekała, aż Luk dopilnuje pracowników,

a potem zaciągnęła go do sali i bez żadnych wstępów zapytała:

– Ty jesteś w końcu tym przestępcą czy nie jesteś?!

Luk bardzo lubił ciemności, zwłaszcza kiedy mógł być w tych ciemnościach blisko Ryszardy. Przygarnął ją więc do siebie i przycisnął do kredensu, na którym stała wiekowa, bogato zdobiona kasa.

– A mam bycia? – wymruczał, szukając jej ust.

– Poczekaj!

– Tak?...

– Jesteś przestępcą czy nie jesteś? Bo oglądasz strony o najgroźniejszych przestępcach, ale Marchewka o tobie nie powiedział ani słowa! – W głosie Ryszardy zabrzmiał tłumiony żal.

– A może ja taki przestępca, że nie wie nikt?...

Taka ewentualność była do przyjęcia. Dlatego Ryszarda nie protestowała, nawet kiedy poczuła, że mosiężna korbka kasy wbija się jej w zębra. – Naprawdę? – zapytała z nadzieją.

Luk westchnął, ponieważ zrozumiał, że nie powinien dłużej zwodzić ukochanej. Tym bardziej że miał wobec niej poważne plany.

– Tak, ja też przestępca – powiedział zupełnie innym tonem, po czym zostawił Ryszardę i usiadł na najbliższym krześle. – We *France* przetrąciłem człowiek... – wyznał załamany. – Sąda są procesy.

– Przetrąciłeś? – powtórzyła Ryszarda, usiłując zrozumieć.

– Samochoda...

– Potrąciłeś!

– Tak, potrąciłeś mężczyznę. Nie na śmierć – zapewnił.

– Żyje, tylko w szpitala z noga siedzi. I w policja, że nie wolno opuszczać kraja powiedzieli...

– A wy wyjechaliście z mamą! – zakrzyknęła. – Mimo że we Francji toczy się sprawa sądowa?

– Tak. Przeszępca. Odebrać prawo jazdy będą, a *maman* nie jeździ samochoda... Ona mocno denerwowana. Czyta Interneta, czy nie szukany jestem...

– To ona przeglądała te wszystkie strony?!

– Strony? – Luk nie bardzo wiedział, o co chodzi.

– Nieważne...

– Nieważne? – Spojrzał na nią z takim napięciem, że pomimo ciemności Ryszardę oświeciło.

Luk chyba sądził, że to coś między nimi zmienia!

Było dokładnie odwrotnie.

– Uwielbiam przestępców – wyznała więc zawstydzona, kładąc mu ostrożnie rękę na ramieniu. – Tylko nie takich jak Hardy. Ale takich romantycznych. Jak Robin Hood. Albo... Jak Luk Lucateau... Takich, którzy pomagają innym.

– Ja pomagam! – Luk zerwał się z miejsca i bez uprzedzenia porwał Ryszardę z podłogi. Zakręcił nią młynka, ucałował ją, po czym troskliwie odstawił. – I inne pomagają też. Proszę...

– Co to? – spytała Ryszarda, bo Luk wyciągnął zza kasy świstek papieru. Jednak wręczył go z takim przejęciem, że to musiało być ważne. – Dowód wpłaty?! Trzysta piętnaście tysięcy czterysta dwadzieścia trzy złote i sześć groszy... – przeczytała, nie wierząc własnym oczom. – Luk!

– Ale to wszystkie trzy we trójkę razem zapłacone – zapewnił. – Misia i Zuza też.

Jego oblubienica przez chwilę walczyła ze łzami

wzruszenia.

– Ojej... Czy to nie sen? Naprawdę zapłacone?!

– Każda grosika. – Luk pocałował ją czule w policzek, a wtedy Ryszardzie zakołatały w głowie dwie myśli.

– Muszę znaleźć tamtą staruszkę!

– Jaką ruszkę?...

– Tamtą, z poczty. Bo ja wciąż mam te pieniądze...

I skoro ona jest biedna...

Luk zamknął jej usta pocałunkiem, ale Ryszarda delikatnie się wyswobodziła, ponieważ miała do powiedzenia coś jeszcze. Coś bardzo ważnego.

– Jak ja się wam teraz odwdzięczę?!...



Siedzieli z Misią na tarasie i patrzyli na pyzaty księżyc, który po uczcie u Luka kojarzył im się z tłustą kluską. Co do scenografii – sanki poszły w odstawkę, ponieważ wczoraj Igła zakupił solidny drewniany stół. Na osiem osób. A po rozłożeniu, nawet na dziesięć.

Igła sam skrzył elementy, co sprawiło go w wyśmienity nastrój.

– Idealnie, prawda? – spytał, wdychając zapach włosów Misi, w którym, oprócz kwiatów, wyczuwał również... wędzonkę?

– Niezgorzej. – Misia zaczęła się z nim droczyć i stwierdził, że nadszedł odpowiedni moment, żeby porozmawiać o przyszłości.

– A gdyby tutaj... – Wskazał na ogrodzenie porośnięte krzakami. – Gdyby tutaj wszystko wyciąć i postawić... Salonik kosmetyczny?

Misia wtuliła się w jego ramię.

– To zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

– Czyli prawdziwe są tylko rzeczy brzydkie? – Zaśmiał się. – Dobrze, w takim razie pokażę ci bardzo brzydką umowę kupna...

– Kupna? – Misia nagle się wyprostowała. – Czego?

Igła na chwilę ją przeprosił, po czym sięgnął do rzuconej obok marynarki.

Kartka rzeczywiście nie była piękna.

Trochę się pogniotła, możliwe nawet, że plamy tłuszczu, które ją zdobiły, miały związek z francuską kolacją, ale fakt pozostawał faktem.

Sąsiednia działka, na razie zaniedbana i opuszczona, należała do niego.

A właściwie do niego i Misi.

Misia rzuciła się czytać, a kiedy zrozumiała, co oznacza świstek papieru, spojrzała...

Spojrzała tak, że Igła uznał, że było warto.

– O, rany! – przestraszyła się. – Ale to tu będzie znowu plac budowy!



Pompa została uroczyście włożona do samochodu.

– Jest... pompowa. – Zuza zaśmiała się lekko zachrypniętym głosikiem (dużo toastów) i Marchewka uznał, że zachrypnięte głosiki uwielbia najbardziej.

Zresztą tak samo jak uwielbia kobiety z charakterem.

– Przespacerowałabym się z tobą – stwierdziła Zuza, patrząc w czarny park, a jej spojrzenie obiecywało, że spacer będzie wyjątkowy.

– A ja bym się z tobą prze... spał.

– Prze... prze?

- Prze – zapewnił.
- Przeglupiek! – zachichotała, podejmując grę. – Nie prze... szło ci?
- Prze... stań!
- To co? Idziemy? – Zarzuciła na ramiona szal, który otoczył jej postać delikatną mgiełką. – Chyba że skoczymy najpierw do sklepu po szampana?
- Szampan w parku – brzmiało obiecująco. Jeszcze nie chciał kończyć tej wyjątkowej nocy. Tylko czy znajdą w pobliżu monopolowy?
- Która godzina? – zapytał więc Marchewka.
- Druga.
- Ale czy to była właściwa odpowiedź?
- Podszedł do Zuzy i czule ją ucałował.
- Ty dla mnie zawsze będziesz pierwsza...

24 sierpnia 2016

[1] „Uroda Życia” 2016, nr 4, s. 99.

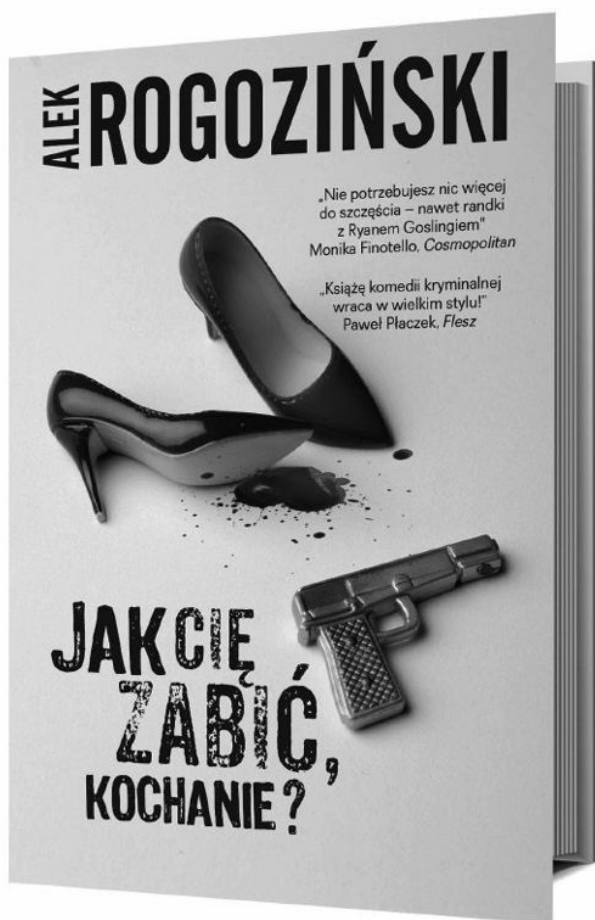
[2] <http://www.ojciec-dyrektor.de/grzechy0.htm> (dostęp 26.09.2016)

[3] Zachowano oryginalną pisownię ze strony www.ojciec-dyrektor.de (przyp. red.).

[4] <http://gotujmy.pl/jak-przygotowac-slimaki-do-spozycia,artykulykulinarne-abc-artykul,12124.html> (dostęp 26.09.2016)

[5] http://survival.strefa.pl/dziki_bialko.htm (dostęp 26.09.2016)

[6] Frances Hodgson Burnett, *Tajemniczy ogród*, tłum. Jadwiga Włodarkiewicz, Poznań 2015, s. 299.



„Trup, który nie chce być trupem, zakonnice, które wcale nie są takie święte, i lekarka, która ożywia zamiast leczyć. To oszałamiająca mieszanka dla każdego z poczuciem humoru.

Polecam!”

Magdalena Witkiewicz

FILIA



ITOM

*Sanatorium
pod Zegarem*

II TOM

*Weranda
na Czarcim Cyplu*

SERIA
Jak pies z kotem

FILIA



MARTA OBUCH



FRANCUSKI
PIESEK



FILIA

Spis treści

Karta tytułowa	2
Dedykacja	5
* * *	6
Reklama 1	416
Reklama 2	417
Spis treści	4
Karta redakcyjna	3